

LINDA LAEL
MILLER

TERAZ
BĘDZIE
INACZEJ



Miller Linda Lael

Bracia Creed 01

Teraz będzie inaczej

Na stare, zrujnowane ranczo w Stillwater Springs powraca po wielu latach Logan, jeden z trzech skłóconych z sobą synów Jake'a Creeda. Po dwóch rozwodach i innych perypetiach życiowych zamierza wyremontować stary dom i zamieszkać tam na stałe. Na miejscu okazuje się, że jego brat Dylan zatrudnił jako dozorczynię posiadłości piękną Briane, rozwiedzioną matkę dwóch uroczych synków.

DRODZY CZYTELNICY!

Zapraszam do lektury pierwszej z trzech powieści o niesfornych kuzynach McKettricków, braciach Creed.

Logan Creed, najstarszy z trzech skłóconych braci, powraca do miasteczka Stillwater Springs w stanie Montana oraz do zrujnowanego rancza, które od ponad wieku było w posiadaniu jego rodziny. Jest zdecydowany odbudować nie tylko samo ranczo, ale także dobre imię Creedów. Wkrótce poznaje swoją wielce niezależną sąsiadkę Brianę Grant i jej dwóch niezwykle żywiołowych synków. Od tej pory słowo „rodzina” nabiera dla niego zupełnie nowego znaczenia.

Chcę dzisiaj także opowiedzieć Wam o niezwyklej grupie ludzi, z którymi jestem od niedawna związana. To Humane Society of the United States - HSUS (Towarzystwo Ochrony Zwierząt), a zwłaszcza ich program Pets for Life (Zwierzęta dla życia).

Program Pets for Life to jeden z najlepszych sposobów, aby pomóc miejscowym schroniskom tak opiekować się zwierzętami, żeby nie musiały tam trafiać. Osoby biorące w nim udział prowadzą szeroką akcję propagandową w

zakresie odpowiedzialności właściciela za zwierzę. Udzielają podstawowych wskazówek, takich jak obowiązek zaopatrzenia każdego domowego zwierzęcia w obrożę z wizytówką właściciela, żeby w razie zagubienia wiadomo było dokąd je odprowadzić, oraz konieczność kastracji i sterylizacji naszych ulubieńców. Tłumaczą, aby nie poddawać się, jeśli z początku nie wszystko układa się dobrze. Jeśli Wasz pies kopie na podwórzu, a kot drapie meble, wiedźcie, że są to problemy, z którymi możecie się do nas zwrócić. Na stronie life.org znajdują się wszelkie potrzebne informacje. Kampania koncentruje się na tym, aby zwierzęta i ludzie trzymały się razem przez całe swoje życie.

Jak wielu z Was wiadomo, do moich domowników należą dwa psy, dwa koty i cztery konie, dlatego jest to sprawa bliska i droga mojemu sercu. Mam nadzieję, że i Wy dacie się w nią wciągnąć.

Serdecznie pozdrawiam

Linda Lael Miller

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ranczo Stillwater Springs

Między słupkami bramy wisiała szerniała drewniana tabliczka, dyndająca na trzech ogniwach zardzewiałego łańcucha. Litery, które Josiah Creed osobiście wyrył na niej ponad sto pięćdziesiąt lat temu, a które następnie wypalono krawędzią starej cechownicy bydła, zdążyły już wyblaknąć i stały się prawie nieczytelne.

Siedząc jeszcze w samochodzie (używany dodge pikap, określony przez dilerę jako wóz „z drugiej ręki”), ale już z nogą w kowbojskim bucie na stopniu, Logan Creed zaklął pod nosem.

Wystraszony zmokły pies, którego rano zabrał z postoju pod Kalispell, zaskomlił cicho, z głębi gardła. Nic dziwnego, że biedne stworzenie było płochliwe; najpewniej miało za sobą piekło porzuconych zwierząt.

- Przepraszam, stary - mruknął Logan, czując, jak kłęb splątanych emocji zaciska mu gardło niczym drut kolczasty. Wiedział, że rodzinne ranczo, które odziedziczył

do spółki z dwoma młodszymi braćmi, Dylanem i Tylerem, będzie w kiepskim stanie. Przez całe lata, właściwie... No tak, odkąd rozstali się po pogrzebie taty, nikt tutaj palcem nie ruszył. Od tej pory on, Dylan i Tyler podążali uparcie każdy swoją drogą.

Pies wybaczył mu chętnie, jak to pies. Wyglądało, że wręcz współczuje swojemu wybawcy, kiedy tak siedział po drugiej stronie dźwigni biegów, patrząc na niego brązowymi, niemal płynnymi oczami.

Logan rozchmurzył się i usadowił znów za kierownicą.

- Gdybym chociaż w połowie był taki, jak myślisz - powiedział psiakowi - mógłbym kandydować na świętego.

Już sama myśl, że jakikolwiek Creed miałby doczekać się kanonizacji, doprowadziła go do złośliwego chichotu.

Pies szczeknął radośnie, jakby chciał poprzeć dobrym słowem każdego, kto podejmował tego rodzaju decyzje.

- Trzeba będzie nadać ci imię. - Logan westchnął.

- Kurczę, jakoś nic nie przychodzi mi do głowy...

- Obróciwszy się w fotelu patrzył przed siebie i spoznáwał w myśli rejestr zwalonych płotów, rozpadających

się rupieci... - Mamy tu huk roboty, wiesz? I najlepiej wziąć się do niej od razu.

Przejeżdżając przez bramę, zawadził dachem o tabliczkę, a kiedy opony natrafiły na szczeble dziewiętnastowiecznej kratki tak zwanego stróża bydła, zadzwoniły mu zęby.

Długi, kręty podjazd ginął pod chwastami, ale koleiny po furgonach, pierwszych pojazdach na tej drodze, zachowały się całkiem nieźle. Do listy niezbędnych zakupów Logan dopisał w myślach kilka ton żwiru.

Na terenie posiadłości znajdowały się trzy domy, a ponieważ Logan był najstarszy w tym pokoleniu Creedów, przypadł mu w udziale największy. Zawsze to jakieś dziedzictwo, pomyślał. Będzie miał szczęście, jeżeli nada się do mieszkania.

- Tyle dobrego, że mam śpiwór i sprzęt kempingowy - pocieszył psa. Wychylony do przodu, z wzrokiem utkwionym ponuro w szybie, przedzierał się przez trawiaste wzniesienie. - Zgodzisz się, koleś, spać pod gwiazdami, gdyby się okazało, że nie ma dachu?

Oczy psa mówiły, że jest gotów na wszystko dopóty, dopóki obaj trzymają się razem. Miał już dość samotności, żebrania o jedzenie i ciepłe miejsce przy złej pogodzie.

Logan uznał, że czas poprawić sobie humor. Przechylił się, żeby poklepać zmierzwiony łeb zwierzaka. Nie dało się określić koloru tej kupki nieszczęścia pod warstwą brudu. Co do rasy, pies był po części labradorem, po części seterem, z domieszką wielu innych składników. Sterczały mu żebra i brakowało kawałka lewego ucha. Z pewnością nie zagrzał u nikogo miejsca na dłużej.

Kiedy po długiej jeździe z Las Vegas Logan zatrzymał się dla rozprostowania nóg, bynajmniej nie zamierzał zabierać czworonożnego autostopowicza, ale nie mógł nie zauważyć psa, który na jego widok wynurzył się chyłkiem z krzaków. W pobliżu nikt się nie kręcił, a jeśli zwierzę miało kiedyś obrożę lub znaczek z adresem, to dawno je utraciło.

Wiedział, że jest dla tego psa ostatnią nadzieją, a ponieważ sam znajdował się kilka razy w takim położeniu, nie potrafił odwrócić się do niego plecami. Podsadził zwierzaka do furgonetki i w następnym miasteczku

wspólnie zjedli śniadanie w barze z fast foodem. W niedługim czasie pies wszystko wyrzygał, a patrzył przy tym z taką skruchą, że Logan nie miał sumienia wymawiać mu dodatkowego postoju w myjni w celu doprowadzenia gruchota do porządku.

Teraz, kiedy po wielu bogatych w wydarzenia latach szykował się do pierwszego spojrzenia na ranczerski dom, cieszył się, że ma towarzystwo, choć konwersacja była jednostronna.

Wreszcie pokonali ostatnie wzniesienie i Logan najpierw zobaczył stajnię - chociaż mocno przechylona w jedną stronę, wciąż stała. Dopiero potem zmusił się do skierowania wzroku na dom i jego widok podniósł go na duchu. Część dachu się zapadła, ale chaotyczna parterowa konstrukcja z drewnianych bali, która pierwotnie była jednopokojową chatką, mniejszą niż szopa na narzędzia, zdołała przetrwać. Nie zawalił się też żaden z trzech kamiennych kominów, a we frontowych oknach - staromodnych, o zielonkawych ramach z purchlami - zachowały się nawet szyby.

Dom, pomyślał Logan, czując jednocześnie determinację i smutek. Ranczo Stillwater Springs właśnie takie, a nie inne, było domem.

Nadzieję, że wodociąg działa, uznał za przesadną, ale dzwonił wcześniej, gdzie trzeba, i przynajmniej włączono mu elektryczność i telefon. Czworonożny asystent pilnie potrzebował kąpieli, a wędrówki w tę i w tę do źródła to zbyt wielkie poświęcenie na rzecz powrotu do natury. Luksusowy styl życia, jaki Logan prowadził w Vegas, nie przygotował go do koczowania.

Asystent... W skrócie: As... - zadumał się Logan po wyjściu z auta - może to ujdzie na razie?

Rozradowany As przeskoczył dźwignię biegów i konsolę wprost na siedzenie, które jego nowy pan właśnie opuścił. Logan zachichotał i delikatnie przeniósł go na ziemię. Przy najbliższej okazji zabierze psa do weterynarza na badanie i jakieś szczepienia. Być może zwierzak ma pod skórą mikroczip z adresem właściciela, ale szczerze w to wątpił.

Najprawdopodobniej Asystent, jeśli w ogóle kiedyś miał pana, został przez niego wyrzucony.

Pies obwąchał otoczenie, a potem zadarł łapę przy zagrzebanym do połowy w piachu starym kole furgonu. Gdy Logan zbliżał się do domu z zapadniętym gankiem, As z zapalem truchtał za swoim panem.

Każdy rozsądny człowiek, myślał Logan z żalem, zrównałby z ziemią tę niegdyś imponującą budę i zaczął od początku. Jednakże on do takich nie należał - miał za sobą dwa nieudane małżeństwa, karierę w rodeo i morze smutku.

Naparł ramieniem na drzwi, aż zawiasy zaskrzypiały, i po kolejnym głębokim wdechu przekroczył próg. Oczywiście było tam strasznie brudno, wszędzie poniewierały się gazety, puszki po piwie i Bóg wie co jeszcze, ale podłoga z desek się trzymała, a wielki kominek z surowego kamienia wyglądał solidnie, jakby go dopiero co wymurowano.

Stojąc pośrodku kupy rodowych odpadków - kupa była tu jedynym właściwym słowem - Logan zastanawiał się nie po raz pierwszy, czy czasem w jego głowie nie ma też tak dużo kamieni, jak w tym kominku. Odkąd pół roku temu odnalazł swoich dalekich kuzynów, McKettricków, i odwiedził Triple M w północnej Arizonie, pytania o stan

rancza i o to, co zostało z jego rodziny, pulsowały mu w tyle głowy jak wielki siniak.

Ten siniak miał imię: wina.

Przeszedł przez duży pokój, usiadł na wysokim występie naprzeciwko kominka i rozluźniwszy nieco ramiona pod zwykłym białym T-shirtem westchnął ciężko. Przesunął dłonią po ciemnych włosach i uśmiechnął się smutno do Asa, który położył mu pysk na kolanie.

Niektórych ludzi - zwierzył się psu - nigdy nie omijają kłopoty i przykrości. A ja, mój stary, jestem jednym z nich.

Rancza w Montanie, bez względu na stopień zaniedbania, były żyłą złota na rynku nieruchomości. Szczególnie takie, jak właśnie to, które miało zapierającą dech historię. Gwiazdy filmowe chętnie kupowały je za astronomiczne pieniądze, urządziły korty tenisowe, instalowały studia dźwiękowe i baseny o powierzchni ćwierci hektara. Razem z Dylanem i Tylerem mieliby do podziału fortunę, gdyby sprzedali ranczo. Przetnij emocjonalne więzy, nie baw się w sentymenty i spadaj, proste, ale nie w jego wypadku.

Jednakże poza psem i starą furgonetką (kupił ją tylko dlatego, że pasowała do jego rodowej siedziby w Stillwater Springs w stanie Montana) ostatnią rzeczą, jakiej Logan potrzebował, były dodatkowe pieniądze. Miał ich do cholery i trochę, a to dzięki stronie internetowej usług prawnych „Zrób to sam”. Założył ją zaraz po ukończeniu studiów prawniczych, a ostatnio sprzedał za górę szmalu, i jak dotąd, ta forsa przysporzyła mu samych zmartwień.

Był jednak inny, głębszy powód, dla którego nie mógł sprzedać rancza.

Chociaż zrujnowane, siedem czy osiem pokoleń Creedów żyło tutaj i umierało, kochało i nienawidziło, modliło się i klęło. Ci, którym przyszło urodzić się w tych domach, pracowali w pocie czoła aż do końca swoich dni, a potem znajdowali miejsce spoczynku na cmentarzu za jabłoniowym sadem.

Logan po prostu nie mógł ich opuścić, tak samo, jak na tamtym postoju nie mógł wsiąść do furgonetki i odjechać bez Asystenta.

Ta horda przeklętych, niesfornych duchów była jego.

Podobnie jak ich skłonność do ustawicznego rozpętywania piekła.

Kiedy Logan zobaczył Triple M, coś się w nim zmieniło. Postanowił wycofać się z wyścigu, postawić stopy w jednym miejscu i zapuścić korzenie tak głęboko, żeby ich końce mogły wychynąć gdzieś w Chinach. Niestety trudno zaprzeczyć, że dziedzictwo Creedów w niczym nie przypominało dziedzictwa McKettricków.

McKettrickowie trzymali się razem, a ich nieprzerwana linia sięgała wstecz aż do patriarchy rodu - starego Angusa.

Creedowie się rozpadli.

Nazwisko McKettrick było synonimem honoru, uczciwości i mocnego charakteru.

Z kolei nazwisko Creed oznaczało tragedię, pecha i niedolę.

Logan wrócił, by objąć posterunek i zmienić kolej rzeczy. Zbudować od podstaw coś nowego, dobrego i trwałego. Jego własne dzieci, jeśli szczęście mu dopisze, by je spłodzić, będą z dumą nosić nazwisko Creed, tak jak jego bratanice i bratankowie. Nie miał ich na razie - z tego, co wiedział, Dylan i Tyler ciągle uprawiali rodeo,

przynajmniej w niepełnym wymiarze godzin, uganiając się przy tym za kobietami, z którymi żaden mężczyzna nie chciałby mieć dziecka, a także wdawali się w rozróby po barach dla wiejskich ćwoków.

Nie miał złudzeń, że łatwo da się zmienić dotychczasowy kurs Creedów, ale zasadniczo rzecz biorąc, czyż nie była to kwestia dokonania wyboru, podjęcia decyzji i trzymania się jej bez względu na wszystko?

Dylan się do tego nie nadawał, Tyler także; prawdę rzekłszy, wszyscy inni mieli to w nosie.

Znaczy, że padło na Logana: został wybrany miazdzącą przewagą jednego głosu.

Wstał i ruszył do kuchni. Wprawdzie wyglądała gorzej niż pokój, ale kiedy odkręcił kran nad zlewem, popłynęła z niego czysta źródłana woda z Montany - najpierw mętna, a później przejrzysta jak promień światła.

Podniesiony na duchu, wyszukał w kredensie starą miskę dla Asa, umył ją, nalał wody i ustawił na podłodze pokrytej brzydkim linoleum. Pies chleptał głośno, a potem czknął jak kowboj po wypiciu duszkiem kufla piwa.

Snuli się potem razem po pokojach - pies i człowiek - przy czym Logan cały czas notował w myślach. Gdy tylko wykupi cały towar z lokalnego marketu budowlanego, zatrudni setkę cieśli i paru hydraulików, od razu te wszystkie pokoje nabiorą blasku.

Briana nie pojawiła się na cmentarzu aż do późnego popołudnia, a gdy wreszcie tam dotarła, jak zwykle dziwiła się sobie, że w ogóle tam przyszła. Podczas gdy jej synowie, ośmioletni Alec i dziesięcioletni Josh biegali między powykrzywianymi kamiennymi nagrobkami i spróchniałymi drewnianymi tabliczkami, Briana rozłożyła na miękkim gruncie piknikowy koc, a potem wyciągnęła sok i kanapki. Jej stara suka, spasiona czarna labradorka imieniem Wanda, obserwowała spokojnie chłopców śmigających po cmentarzu w ostatnich promieniach czerwcowego słońca.

- Nawet nie znałam tych, którzy tu leżą - wyznała Wandzie Briana - to po co łamię sobie grzbiet, wyrywam chwasty i sadzę kwiaty na grobach obcych nieboszczyków?

Wanda patrzyła na nią cierpliwie.

Przez dwa lata, jakie upłynęły od wieczoru, kiedy to Vance, wówczas mąż Briany, po długiej kłótni zostawił ją z chłopcami i Wandą przed sklepem Wal-Marta w Stillwater Springs, Briana zaciekle walczyła o przetrwanie.

Wtedy się jej zdawało, że Vance pojeździ trochę po ulicach ich dychawicznym starym vanem, a potem ochłonie i po nich wróci. Ale on opuścił miasto, a zanim po trzech miesiącach pojawił się znowu, wielkodusznie gotów uznać, że „co było to było”, Briana zdążyła rozwieść się z nim metodą „Zrób to sam”. Znalazła sobie dach nad głową, a także pracę w kasynie, prowadzonym przez tutejsze plemię rdzennych Amerykanów, gdzie podawała darmowe napoje i kawę za same napiwki. Kilka dolarów, które zarabiała w ciągu ośmiogodzinnej zmiany, z trudem wystarczało na jedzenie, z czasem jednak dochrapała się biurowej posady w klubie graczy, a następnie rozdawała karty do blackjacka. Wreszcie - już jako kierowniczką sali - wymieniała pieniądze na żetony i wypłacała wygrane pule.

Kierownicy sal mieli porządne pensje, a poza tym ubezpieczenie zdrowotne, zasiłki chorobowe i płatne urlopy.

Doszła do tego wszystkiego sama, chociaż Vance jej wmawiał, że nie da sobie rady.

Wkrótce po przeprowadzce do domu za potokiem Alec i Josh zawędrowali na cmentarz, Briana zaś oczywiście musiała sprawdzić, czy dzieci mogą się tam bezpiecznie bawić. Miała bzika na punkcie bezpiecznych miejsc, choć te, jak dotychczas, okazywały się nieosiągalne. Mając trzydziestkę na karku, ciągle takiego miejsca szukała.

Chyba nic nie mogło przygotować jej do niezwykle silnego wrażenia, jakie wywarł na niej zapomniany wiejski cmentarzyk. Opuszczony, zarośnięty chwastami, zasłany odpadkami po imprezach nastolatków „piwo i zioło”, także i ją zdawał się jakoś dziwnie przyciągać.

Od tego czasu opieka nad porzuconym cmentarzem stała się jej misją. Przy pomocy chłopców wysprzątała teren, skosiła, a następnie przystrzygła trawę, zasadziła kwiaty i wyprostowała tabliczki. Robocze sesje zawsze kończyły się zabawą chłopców w berka. Wytracali przy niej nadmiar energii, po czym następowała piknikowa kolacja.

Nie spodziewała się, że dzisiaj będzie inaczej niż zwykle, co tylko dowodziło, że nadal zachowała podatność na zaskoczenie.

Z lasu wyszedł nieśpiesznym krokiem szczupły, rozczochrany mężczyzna w dżinsach, wysokich butach i T-shircie. Obok dreptał rudobrzązowy pies, który na widok Briany dosłownie wrósł w ziemię.

Od pierwszej chwili poczuła dziwny dreszczyk - paniki, ale też czegoś jeszcze, co trudno określić.

Miał ciemne włosy, i chociaż smukły, był potężnej postury.

Wanda wydała niski, niepewny pomruk, ale nie ruszyła się ze swojego tradycyjnego miejsca na kocu.

- Przestań - uciszyła ją Briana. Chłopcy przerwali zabawę i zmierzali do niej, podekscytowani i być może trochę zaniepokojeni.

Nieznajomy uśmiechnął się, powiedział coś cicho do psa i przystanął w stosownej odległości. Alec bez wahania ruszył w jego stronę.

- Cześć! Jestem Alec Grant. To moja mama Briana i mój brat Josh aka Dupek. A pan to kto?

- Logan Creed. Miło cię poznać, Alec - odpowiedział z lekkim uśmiechem, patrząc jednak przy tym na Briane badawczym, a zarazem tęsknym spojrzeniem. Chłonał wzrokiem jej postać, metr siedemdziesiąt wzrostu, w wytartych niebieskich dżinsach i różowym, marszczonym opalaczu; przyglądał się zielonym oczom i piegom, a także długim, rudawoblond włosom, splecionym, jak zawsze, we francuski warkocz. Patrzył tak, jakby chciał się nauczyć jej na pamięć, na wypadek gdyby kiedyś musiał zidentyfikować ją wśród innych osób w szeregu.

Poczuła się trochę nieswojo, gdyż rozpoznała znajome nazwisko, ale nic poza tym. Zaraz jednak podeszła bliżej, przywołując na twarz „sąsiedzki” uśmiech.

- Briana Grant. - Wyciągnęła rękę.

- Znamy kogoś, kto nazywa się Dylan Creed - wtrącił się Alec. Młodszy syn Briany nigdy nie zetknął się z nikim obcym, co zarówno cieszyło, jak i martwiło jego matkę. Pouczanie typu nigdy-nie-rozmawiaj-z-nieznajomymi było w wypadku Aleca czystą abstrakcją. - Mama, Josh i ja opiekujemy się jego domem. On ma byka, Cimarrona.

Z bliska Logan Creed okazał się jeszcze przystojniejszy niż z daleka. Miał nieco za długie, hebanowe włosy, bystre oczy w kolorze ciemnego brązu zwiastowały nieprzeciętną inteligencję, ale kryły też jakieś sekrety. Wysoko osadzone kości policzkowe wskazywały, że mógł mieć indiańskich przodków. Zupełnie nie przypominał swojego brata Dylana, niebieskookiego blondasa, a jednak coś wspólnego z sobą mieli... Coś w usposobieniu? Nie, o tym jeszcze za mało wie, więc może w postawie?

- Więc Dylan zatrudnił dozorczynię? I ma byka? - zapytał powoli. Następnie przesunął wzrok dalej, w stronę cmentarzyka. - Czy mój młodszy brat płaci pani także za opiekę nad grobami? Jeśli tak, powinien dać podwyżkę, bo to miejsce wygląda dużo lepiej niż wtedy, gdy ostatni raz je odwiedzałem.

Briana zarumieniła się lekko, niepewna co odpowiedzieć. Czuła się dziwnie pod ciężarem jego spojrzenia. Kiedy Dylan ją zatrudnił tamtego feralnego wieczoru przed sklepem Wal-Marta, nie wspominał nic o cmentarzu. W miasteczku bawił przejazdem, w jakiejś osobistej sprawie i przypadkiem zobaczył, jak Vance wyrzuca przez okno vana

dwie dwudziesto-dolarówki, po czym odjeżdża z piskiem opon.

Dylanowi, gdy uświadomił sobie, co się stało, zapewne zrobiło się żal Briany, dzieciaków i psa. Wręczył jej pęk kluczy, wytłumaczył, jak ma się tam dostać, i odszedł, nie oglądając się za siebie. Ostrzegł ją też przed Cimarronem, białym bykiem, od niedawna na emeryturze po długiej karierze na rodeo: zwierzę karmi sąsiad, a Briana powinna trzymać się z daleka.

Na ranczo dojechała taksówką; choć wściekła na Vance'a, miała jednak nadzieję, że mąż wróci, gdy ochłonie, a wtedy zobaczy, że ich nie ma. Dobrze mu tak. Ale Vance odjechał.

Następnego dnia kurier dostarczył pakunek z prowiątem, do którego Dylan dołączył notatkę, że w stajni stoi stara chevroletka, której może używać, jeśli zdoła ją uruchomić. Potem już nie kontaktowali się ze sobą i tylko od czasu do czasu rozmawiali przez telefon lub wymieniali e-maile. Jeżeli jakieś naprawy przekraczały jej ograniczone umiejętności w zakresie majsterkowania, Dylan zaraz

przysyłał czek, a Briana starannie zbierała pokwitowania, choć nigdy o to nie prosił.

Teraz do przodu wysunął się Josh i stanął obok matki. Jako całkowite przeciwieństwo Aleca, on dosłownie każdego uważał za obcego, a więc także potencjalne źródło kłopotów, i tak też go traktował, dopóki się nie przekonał, że może mu ufać.

- Nikt nam nie płaci za opiekę nad cmentarzem - wyjaśnił. - Robimy to, bo tak trzeba.

Uśmiech Logana pojawił się tak nagle, że Briana poczuła lekkie zażenowanie. Za to do katalogu zalet, który sporządziła w myśli, omiatając go wzrokiem w tym samym czasie, co on ją, dodała nieskazitelnie białe zęby.

- No cóż - powiedział - mogę tylko przyklasnąć. To tak samo dobry powód do działania, jak każdy inny.

Ostrożnie udobruchany Josh zmiękł nieco, ale nie zdecydował się na uśmiech. Swoją sztywną postawą i zaciśniętymi pięściami dawał Brianie jasno do zrozumienia, że gotów jest chronić matkę, brata i nawet Wandę, gdyby tylko zaszła potrzeba. Postępowanie Vance'a

sprawiło, że Josh był jak na dziesięciolatka zbyt dojrzały, zbyt poważny, zbyt smutny.

- Gdzie pan mieszka? - zapytał. Logan pokazał kciukiem za ramię.

- Na ranchu, w głównym domu.

- Tam nikt nie mieszka.

- Josh! - Briana westchnęła.

- Teraz już mieszka - odparł Logan przyjaźnie.

- Asystent i ja wprowadziliśmy się tam dzisiaj.

Josh przeniósł wzrok na rudawego psa.

- Strasznie chudy. Nie karmi go pan czy jak?

- Poznaliśmy się niedawno - wyjaśnił spokojnie Logan.

- Na pewno z czasem przytyje.

Wanda dźwignęła swoje potężne cielsko i nieśpiesznie podeszła do Asystenta; psy obwąchały sobie nosy, po czym przestały się sobą interesować.

- A jednak nie zaszkodziłaby mu kanapka z mortadelą - wymądrzał się Josh. Ale zaraz dodał pojednawczo: - Wygląda na bardzo czystego.

- Prawie wysuszyłem źródło, doprowadzając go do tego stanu - powiedział Logan - a także niemal wyczerpałem zapas mydła.

Josh pękł, uśmiechnął się.

Do Briany wreszcie dotarło, że Logan przyszedł na cmentarz, aby odwiedzić czyjś grób. W takim razie, szczególnie po dłuższej nieobecności, na pewno chciałby zostać sam.

- Chyba powinniśmy już iść - oznajmiła. Logan pokręcił głową.

- Absolutnie nie przerywajcie sobie pikniku.

- I zwracając się do Josha, dodał: - As z pewnością chętnie zje kanapkę, jeśli propozycja jest wciąż aktualna, muszę cię jednak ostrzec, może ją wyrzygać. Wygląda, że ma delikatny żołądek.

Ponieważ rzyganie to dla dziesięciolatka poważna sprawa, Josh skinął głową.

- Karma dla psów będzie dla niego lepsza. W razie czego możemy panu odpalić trochę chrupów Wandy.

Logan roześmiał się. Przez chwilę wyglądało, że ma chęć zwichrzyć Joshowi włosy, ale się powstrzymał.

- Dzięki. Wyprawiliśmy się już po żarcie do miasta, więc wszystko mamy.

Briana uśmiechnęła się i zapędziła Wandę i chłopców z powrotem na koc. Asystent pozostał przy Loganie, który przykucnął przy jednym z grobów.

- Mogę dać Asystentowi plasterek mortadeli?

- szepnął Alec.

- Nie - sprzeciwiła się Briana - nie teraz.

- To chwila osobistej zadumy, kretynie - wytłumaczył Josh bratu.

- Psy nie mają chwil osobistej zadumy, śmierdzielu

- odciął się malec.

- Spokój - mknęła Briana, dziwiąc się czemu przy rozlewaniu napojów i rozwijaniu kanapek drżą jej lekko ręce.

Logan z płonącym wzrokiem przesuwiał czubkami palców po literach wykutych na nagrobku matki: *Teresa Courtland Creed. Żona i Matka.*

Miał trzy lata, kiedy jego mama przegrała walkę z rakiem piersi i od tej chwili w jego życie wkradła się pustka. Jake Creed, jego tata, który już wtedy nie był

wzorem cnót obywatelskich, zaraz po pogrzebie poszedł na dziesięć lat w tango. Smutek nie przeszkodził mu jednak już po sześciu miesiącach poślubić matkę Dylana. Biedna, słodka Maggie zginęła w wypadku samochodowym cztery dni po siódmym urodzinach syna, ale Jake nie zbaczał z wytkniętego kursu: nie minął rok, gdy ożenił się z młodą nauczycielką Angelą, idealistką do tego stopnia pozbawioną rozumu, że wyszła za awanturnika i pijaka z dwójką rozwydrzonych dzieciaków. Bez wątpienia uważała, że Jake'owi do wyjścia na prostą trzeba jedynie miłości porządnej kobiety. Była dobrą macochą dla Logana i Dylana, a wkrótce wydała na świat Tylera. Wytrzymała całe pięć lat.

Rozróby Jake'a jednak zwyczajnie ją wykończyły. Pewnego pięknego, letniego dnia przygotowała górę wyporcjowanych pieczonych kurczaków, rozdzieliła między braci obowiązki domowe, przypomniała, że mają zmówić pacierz, po czym sobie poszła.

Jake, szukając jej, przewrócił całą okolicę do góry nogami. Szalał ze złości w przekonaniu, że porzuciła go dla

innego faceta, a gdyby do tego doszło, gotów był przywlec ją za włosy do domu.

Angełę jednak dopadło głębokie załamanie nerwowe. Wynajęła pokój w motelu na przedmieściach Missuoli, połknęła całe opakowanie środków uspokajających i umarła.

Tak oto przedstawia się dumna historia rodu Creedów, myślał Logan.

Potem Jake dał sobie spokój z małżeństwami. Kiedy Logan rozpoczynał naukę w college'u, stary stracił życie w niecodziennym wypadku przy wyrębie.

Na wspomnienie pogrzebu Loganowi skręcał się żołądek. Chociaż z perspektywy czasu mogło to wyglądać groteskowo, zważywszy że pijaństwo Jake'a zrujnowało im wszystkim życie, całą trójką najpierw urznęli się whiskey, a potem tak pobili, że musieli zakończyć wieczór w oddzielnych celach, jako goście szeryfa Floyda Booka.

Od tego czasu bracia z sobą nie gadali, chociaż Logan śledził ich losy, głównie przez Internet. Dylan, czterokrotny mistrz świata w ujeżdżaniu byków, niewątpliwie w swoim kręgu uchodził za celebrytę, teraz jednak zawiesił na kołku

swoją aktywność w rodeo. Wystąpił nawet w paru filmach, chociaż z tego, co Logan wiedział, sława Dylana nie wiązała się z niczym szczególnym.

Ot, Ameryka.

Tyler, który wyspecjalizował się w ujeżdżaniu na oklep dzikich koni, ciągle trzymał się rodeo. Kilka razy wplątywał się w szeroko nagłośnione romansowe tarapaty, swoje znaczne wygrane inwestował w nieruchomości, został także krajowym rzecznikiem firmy projektującej buty kowbojskie. Chociaż najmłodszy, Tyler okazał się najbardziej nieokiełznany z trzech synów Jake'a Creeda. Miał też mnóstwo problemów spowodowanych choćby metodami wychowawczymi Jake'a czy śmiercią matki.

Jednak historie jego braci były wyłącznie ich wersjami. Logan wiedział, że będzie miał pełne ręce roboty przy prostowaniu swojego życia, natomiast przykrą dla niego prawdę stanowił fakt, iż bracia Creedowie pozostali sobie obcy. I separacja mogła okazać się trwała. Zważywszy na rodzinną dumę, żeby nie wspomnieć o wrodzonym uporze, słowo „przepraszam” tutaj nie wystarczało.

Logan zamierzał już odejść - miał jeszcze kilka innych miejsc do odwiedzenia. Briana z dziećmi także zwijali koc. Młodszy chłopiec, Ałec, podszedł do Asa z plastrem mortadeli.

- Jest pan kowbojem? - zapytał, patrząc na podniszczone buty Logana, podczas gdy pies pochłaniał kiełbasę ze skórką.

Logan przejechał dłonią po włosach.

- Kiedyś byłem. - Czuł na sobie wzrok Briany. Briana... skąd, u diabła, takie imię?

- Mój tata jest kowbojem - oznajmił Ałec. - Nieczęsto go widzujemy.

- Przykro mi to słyszeć - odparł Logan.

- Występuje w rodeo. Mama rozwiodła się z nim przez Internet, bo zostawił nas przed Wal-Martem i w ogóle nie wrócił.

Logana aż zakłuło w dołku. Wściekł się, oczywiście - bo co za facet porzuca kobietę z dwójką dzieci i psem na dodatek? A jednak czuł też niepokojąco wielką ulgę. Raz jeszcze skierował wzrok na Briane, która właśnie otwierała usta, by przywołać Aleca. Kurczę, co za apetyczna

babeczka... te krągłości, te jasne włosy, ta gładka, lekko piegowata skóra...

- Mama naprawdę o nas dba - kontynuował Alec, bo Loganowi po prostu odjęło mowę. Stary Jake też nie zasługiwał na tytuł ojca roku, ale pomimo pijaństwa, ciągłych rozrób i uganiania się za babami harował w pocie czoła jako drwal w tutejszych lasach. Nawet w najgorszym dniu nie zostawiłby swojej kobiety czy dzieci na łasce losu.

- O, na pewno - wykrztusił, widząc, że Briana już idzie w ich stronę.

- Jest kierowniczką w kasynie - dodał szybko Alec, który też dostrzegł matkę.

Briana położyła szczupłą dłoń na ramieniu ubranego w T-shirt synka. Obaj chłopcy mieli ciemne włosy i oczy, w odróżnieniu od jasnej karnacji matki. W głowie Logana zaczął powstawać obraz jej byłego męża. Na pewno jest czarusem w cygańskim typie, o słusznej posturze i smutnej historii.

- Dość tego, Alec. - Briana unikała wzroku Logana, jakby nagle coś ją spłoszyło. - Musimy już wracać. Macie domowe obowiązki i lekcje do odrobienia.

Alec zmarszczył nos.

- Mama uczy nas w domu - zwierzył się Loganowi. -
Nie mamy prawdziwych wakacji nawet w lecie.

Logan uniósł brwi i oparł dłonie na biodrach. Powstrzymał się od odruchowego potarcia podbródka z kilkudniowym zarostem.

- A to dlatego - wyjaśniła Briana, ściskając łagodnie ramię chłopca - że za bardzo się obijacie i trzeba wam na wszystko więcej czasu.

- Chciałbym chodzić do szkoły w Stillwater Springs, tak jak inne dzieciaki - marudził Alec. - One tam grają w bejsbol, jeżdżą autobusem, mają wycieczki i w ogóle.

Twarz Briany stężała nieznacznie, a na policzkach znów pojawiły się rumieńce.

- Alec, pana Creeda nie interesują nasze osobiste sprawy. Chodźmy do domu, zanim komary nadlecą, okej?

Prawdę mówiąc, „pana Creeda” te sprawy interesowały, i to w stopniu przekraczającym zdrowy rozsądek.

- Jestem Logan - powiedział.

Briana spojrzała na zegarek i skinęła głową.

- W porządku, Logan - powtórzyła z roztargnieniem.

- Czy Josh i ja także możemy mówić ci „Logan”? - zapytał Alec z nadzieją w głosie.

Kobieta, która uczy swoje dzieci w domu, może mieć wygórowane wymagania w kwestii etykiety. Logan nie chciał jej wchodzić w paradę, więc postawił warunek:

- Jeżeli wam mama pozwoli.

- Zobaczymy - ucięła Briana, ciągle wytrącona z równowagi. Potem, jak kwoka, ale bez gdakania, zebrała swoje stadko i pognęła je w stronę strumienia. Dom Dylana stał po drugiej stronie małego, chybotliwego mostka, ukryty za brzozowym zagajnikiem, teraz w letniej szacie gęstego listowia. Czarny pies, kolebiąc się na boki, nieśpiesznie dreptał na końcu.

Logan odprowadzał nowych znajomych wzrokiem; poczuł się dziwnie osamotniony. Asystent musiał czuć to samo, bo zaskomlał w proteście.

Logan schylił się i poklepał go po głowie.

- Chodźmy do domu, stary. Na pewno już się rozniosło, że wróciłem i gości tylko patrzeć.

Ale nie ruszył się z miejsca, As także, dopóki Briana, chłopcy oraz ich suczka nie zniknęli im z oczu.

Logan zastanawiał się, czy przed odejściem nie zatrzymać się jeszcze przy grobie Jake'a, ale obawiał się, że tam splunie na mogiłę. Ruszył więc w stronę sadu, a pies żwawo dotrzymywał mu kroku.

No jasne, przed domem stał już gruchot Cassie Greencreek. W jakimś sensie dopełniał obrazu siedziby, co według wszelkich standardów było raczej smutnym komentarzem.

Cassie siedziała na najwyższym stopniu ganku. W poliestrowej fioletowej sukni, tak obszernej, że mogłaby pomieścić volkswagena, naprawdę robiła wrażenie. W jej czarnych, długich do pasa włosach pojawiły się już gdzieś siwe nitki, w piwnych błyszczących oczach było widać i radość, i zniecierpliwienie.

- Loganie Creed - oświadczyła, przyjmując łaskawie powitanie psa - nigdy nie przypuszczałam, że po tym wszystkim, co zaszło po pogrzebie Jake'a, będziesz miał odwagę tutaj wrócić.

Uśmiechnął się z zażenowaniem i przystanął na zarośniętym chwastami przejściu. Rozłożył szeroko ręce w tradycyjnym geście: oto jestem.

- Kiedy ostatni raz się goliłeś? - spytała obcesowo Cassie, robiąc dla Asa miejsce na stopniu. - Wyglądasz jak jakiś kowboj od siedmiu boleści.

Roześmiał się, podszedł bliżej i ucałował jej zadartą do góry twarz.

- Ja też cię kocham, babciu - powiedział.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dom, który przez ponad dwa lata był schronieniem Briany Grant, jej synów i psa, wyglądał w gęstniejącym zmroku niby tak samo jak zwykle, a jednak inaczej.

Kiedy rozglądała się wokół, czuła w dole brzucha jakiś dziwny, chociaż bynajmniej nie przykry dreszczyk.

Ta sama hałaśliwa, powgniatana lodówka, z drzwiami całkowicie ukrytymi pod „szatą graficzną” w wykonaniu Aleca i Josha.

To samo wytarte linoleum na podłodze.

Ten sam żółty staromodny telefon ścienny ze skręconym plastikowym sznurem. Niżej, na wyszczerbionym drewnianym blacie, pulsowało czerwone oczko automatycznej sekretarki.

Co się zmieniło?

Jasne, że nie dom. Ona się zmieniła, i to aż do poziomu kwantowego, jakby sama struktura każdej jej komórki zyskała wigor za sprawą jakiejś niebezpiecznej energii.

Co u diabła, dziwiła się, przygryzając dolną wargę. Tymczasem chłopcy wpadli w wir swoich zwykłych spraw

- jak to po powrocie do domu: Josh logował się do komputera na biurku pod oknem kuchennym, Wanda krążyła, szczekając, wokół miski na wodę, Alec przekradał się w stronę telefonu, kiedy nagle zobaczył, że czerwone światełko mruga.

- Może to tata! - krzyknął, naciskając guziki.

- A może prezydent - zadrwił z goryczą Josh.

- Zamknij się, dupku!

- Zamknijcie się obaj. - Briana odsunęła krzesło przy stole i opadła na jego popękane, czerwone siedzisko z winylu. Czuła się dziwnie przemieszczona, jakby przypadkiem trafiła do innego wymiaru.

Głos Vance'a, wydobywający się z automatycznej sekretarki, niczym dżin z lampy Aladyna, z obietnicą spełnienia trzech życzeń (oczywiście żadne się nie spełni), brzmiał przymilnie i gardłowo.

Wanda przestała szczekać.

- No cześć, rodzinno! - Brianie wystarczył rzut okiem w stronę Josha, by zauważyć, jak pod T-shirtem w paski tężeją mięśnie jego krzepkich pleców. - Przepraszam cię, Bree, za tę historię z czekiem alimentacyjnym.

Przypuszczałem, że zanim go zrealizujesz, będę miał kasę na koncie, ale mi nie wyszło.

Zamknęła oczy. Vance uwielbiał rzucać słowem „rodzina” jak jakimś zaklęciem, które może odwrócić historię i unieważnić prawdę. A prawda była taka, że zwyczajnie wyrzucił żonę i dzieci niczym papierki po batonikach czy opakowania po burgerach, zalegających na podłodze jego vana.

- Może w tym tygodniu będę przejazdem w Stillwater Springs... - ciągnął bezbarwnym głosem. - Przeklinałbym się na kanapie, jeśli nie masz nic przeciwko temu... Zobaczą, co się da zrobić z czekiem... - I po krótkiej pauzie dodał: - Kanapa się rozkłada, no nie?

Mortadela i sok z kolacji buntowały się już w żołądku Briany.

Alec szalał z radości, skakał jak pchła po całej kuchni.

- Jeśli on przyjeżdża, to ja więcej z domu. - Josh nabzdyczył się, nie przerywając palcowania po klawiaturze.

- To do zobaczenia - zakończył przymilnie Vane.

- Kocham was wszystkich.

Trzask.

Do zobaczenia. Kocham was wszystkich. Jasne.

Briana zakłęła pod nosem. Wcześniejsze, niemal mistyczne odczucie głębokiej zmiany wycofało się na tył głowy, błyskawicznie ustąpiło miejsca silnemu, pulsującemu w skroniach bólowi.

- To wiej, na co jeszcze czekasz? - zadrwił Alec.

- Przynajmniej będę mógł zająć dolne łóżko.

- Dosyć. - Briana westchnęła. Wstając z wysiłkiem z krzesła, przystąpiła do rutynowych czynności. Kiedy napełniała miski Wandy wodą i chrupkami, jej wzrok ciągle zbaczał w stronę automatycznej sekretarki. Vanee nie zostawił numeru, a stary aparat nie miał identyfikatora rozmówcy.

- Czy któryś z was ma numer komórki taty?

Vanee najczęściej używał tanich telefonów ze sklepów całodobowych. Dla niego wszystko było jednorazowego użytku - włączając w to ludzi i psa, którego wychowywał od szczeniaka.

- A czy ja dzwonię do tego palanta? - burknął Josh. Trzymał fason, ale pod skorupą pogardy ukrywał żal. Z Brianą było podobnie; wylała całe morze łez z powodu

Vance'a, ale ono dawno już wyszło, podobnie jak wszystko, co niegdyś do niego czuła. Stało się to na długo przed incydem pod Wal-Martem i prawdę powiedziawszy szukała już tylko sposobu, żeby się uwolnić.

- Po co ci numer taty? - zapytał podejrzliwie Alec, cały czerwony pod piegami. - Chyba nie chcesz mu powiedzieć, żeby nie przyjeżdżał?

Briana właśnie miała taki zamiar, ale napięcie widoczne na buzi synka powstrzymało ją; zrozumiała, że się na to nie zdobędzie. W każdym razie nie w obecności chłopców.

- Na pewno i tak się nie pojawi - stwierdził Josh, ciągle z zapalem surfując w sieci. Co on właściwie robi na tym komputerze? - Jego słowem można się podetrzeć tak samo jak kawałkiem srajtaśmy.

- Joshua! - powiedziała ostrzegawczo Briana.

- Nienawidzę was! - wrzasnął Alec. - Obojga was nienawidzę!

Wanda zaskomlała i klapnęła przy misce z wodą, demonstrując psie przygnębienie. Kiedy Alec wypadł z

kuchni i wbiegł do przyległego, wspólnego z bratem pokoju, nie podreptała za nim, jak to miała w zwyczaju.

Briana znowu westchnęła. Wzięła dzbanek od ekspresu i podeszła napełnić go do zlewu, zerkając po drodze ze złością na automatyczną sekretarkę. Kurczę, Vance, czemu po prostu nas nie zostawisz? To przecież twoja specjalność, no nie?

- On rzeczywiście jest kowbojem - ogłosił triumfalnie Josh. Stukanie w klawiaturę ucichło, ale z pewnością tylko chwilowo. Josh stanowczo za dużo czasu spędzał w sieci i zbyt skutecznie zacierał tam swoje ślady, żeby Briany miało to nie niepokoić.

Zmarszczyła brwi, wciąż wytrącona z równowagi i rozkojarzona. Włączyła ekspres, chociaż wcale nie potrzebowała kofeiny. I tak nie zmruży dzisiaj oka po bombie, którą właśnie zasunął jej Vance.

- Kto, tata? - zapytała.

Josh westchnął dokładnie tak, jak przed chwilą jego matka.

- Logan Creed - wyjaśnił z ostentacyjną cierpliwością stypendysty Harvardu, który przemawia do plotącego trzy

po trzy idioty. - Przepuściłem go przez wyszukiwarkę. Był laureatem All-Around Cowboy*, i to aż dwa razy. Poza tym dwukrotnie żonaty, bezdzietny, źródła utrzymania nieznane.

-Jest... kowbojem? - powtórzyła głupio Briana. Nie wiedzieć czemu, zaniepokoiło ją to bardziej niż groźba rychłego przyjazdu Vance'a.

- Ma dyplom z prawa - ciągnął Josh, pochylając plecy przed monitorem - Może jest bogaty czy coś.

Creedowie byli legendą w Stillwater Springs i okolicy. Nawet jako względnie nowa mieszkanka, Briana wiele słyszała o ich wyczynach, ale gdyby sądzić po stanie rancza, jego właściciele nie tylko nie grzeszyli zamożnością, ale wręcz cudem uniknęli licytacji.

- A właściwie po co szukałeś informacji o panu Creedzie? - zagadnęła mimochodem. Wzięła kubek z kredensu, wrzuciła słodzik i wlała beztłuszczową śmietankę.

Creed to kowboj, odezwał się głos w jej głowie. Potraktuj to jako ostrzeżenie.

* Prestiżowa doroczna nagroda przyznawana przez Professional Rodeo Cowboy Association.

- Miałaś mówić na niego „Logan” - przypomniał Josh.

- Więc dobrze, o Loganie. - Nalała sobie kawy, chociaż ekspres nie skończył jeszcze pracy. Napar był tak mocny, że aż skręcały się włosy, ale dzięki niemu nieco ochłonęła.

- Dlaczego sprawdzałeś go w sieci?

- A te jego kowbojskie buty... - mówił Josh; albo kluczył, albo wręcz udawał, że nie słyszał pytania. - Wcale nie takie wypasione, jak ma ten diler z salonu Forda, z gwiazdami, kaktami i niedźwiedziami...

- Kaktusami - poprawiła go odruchowo Briana, jak to nauczycielka.

- Niech ci będzie. - Josh odwrócił się w jej stronę. - Buty Logana są znoszone. Każdy, kto takie nosi, na pewno jeździ konno i ciężko pracuje na utrzymanie.

Briana pomyślała o butach Vance'a. Żelował je wiele razy, bo zawsze były zdarte.

- Może po prostu jest biedny - zasugerowała - to znaczy, Logan.

Josh pokręcił głową.

- Skończył prawo.

- I ma „nieznane źródła utrzymania”, jak to ująłeś.

Przestań się wymigiwać, Josh. Czemu sprawdzałeś naszego sąsiada?

- Żeby się upewnić, że nie jest seryjnym mordercą lub kimś w tym rodzaju.

Briana ukryła uśmiech. Za parę minut zajrzy do Aleca. Teraz dzieciak potrzebuje odrobiny samotności.

- I co stwierdziłeś, panie detektywie? To bezpieczne sąsiedztwo dla uczciwych ludzi?

Josh się uśmiechnął. Ostatnio uśmiechy zdarzały mu się tak rzadko, że nawet te najbardziej przelotne były powodem do świętowania. Po dezercji Vance'a wewnętrzne światło w Joshu przygasło i Briana martwiła się, czy z czasem całkiem nie zaniknie.

- Owszem, przynajmniej dopóki nie zjawi się tata - oświadczył.

Puściwszy tę uwagę mimo uszu Briana zapaliła górną lampę, dzięki czemu zniknęły cienie zmroku.

- Nie uciekłbyś naprawdę, co? - zapytała ostrożnie, otwierając lodówkę, przy czym obrazki na drzwiach zatrzepotały jak nastroszone pióra jakiegoś wielkiego ptaka. Kanapki kanapkami, a chłopcom trzeba dać prawdziwą kolację. - To znaczy, kiedy przyjedzie tata.

Między jej pytaniem a odpowiedzią Josha rozciągało się cienkie pasmo ciszy.

Nie odwracając się od komputera, patrzył w podłogę.

- Mam tylko dziesięć lat. Dokąd miałbym pójść?

Wyjęła z lodówki paczkę kurzych udek i odłożywszy je na bok podeszła do syna. Chciała położyć mu rękę na ramieniu, ale się rozmyśliła.

- Josh...

- Czemu nie może zostawić nas w spokoju? - wybuchnął żałościwie. - Macie rozwód. Ja też chcę się z nim rozwieść.

Przykucnęła przy krześle i zajrzała synowi w twarz. Był tylko udręczonym małym chłopcem, który tak bardzo starał się zachowywać jak mężczyzna.

- Wiem, że jesteś na niego zły, ale on zawsze będzie twoim tatą. Na pewno nie jest doskonały, lecz nam także wiele brakuje do ideału.

Po policzku Josha płynęła łza - cienką srebrną strużką przedzierała się przez warstwę brudu, jaki został po bez troskiej popołudniowej zabawie.

- A jednak wolałbym wymienić go na kogoś innego - wyznał.

Chichot Briany brzmiał trochę jak łkanie. Wzrok jej się mącił, a uśmiech musiał się wydawać Joshowi kruchy, a nawet wymuszony.

- Podstawowa zasada kosmiczna numer jeden: nie da się zmienić przeszłości... ani innych ludzi. I prawdę mówiąc, mimo wielu trudnych chwil wcale nie żałuję, że wyszłam za twojego tatę.

Pociągnął nosem.

- Nie żałujesz? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jak to? Jest ciągle bezrobotny. Jeśli już przyśle alimenty, to czek zwykle nie ma pokrycia. Nigdy nie chciałaś mieć za męża kogoś zupełnie innego? Albo w ogóle pozostać singielką?

Briana pogładziła synka po krótko ostrzyżonych włosach.

- Nie, nigdy. Bo gdybym nie wyszła za waszego tatę, nie miałabym ciebie i Aleca, a nie potrafię sobie nawet wyobrazić życia bez was.

Josh zamyślił się. Odbyli taką rozmowę już wcześniej, ale musiała mu wciąż przypominać, nawet częściej niż Alecowi, że matka jest opoką, że dla niego pokonałaby wszystkie potwory i poszła w ogień. Przez rok, jaki upłynął od chwili, gdy Vance ich porzucił, Josh miewał nocne koszmary i budził się, wołając ją na pomoc. Alec zresztą też odcierpiał swoje - kilka razy w tygodniu moczył się w łóżko.

- Masz z nami mnóstwo kłopotu... Ciągłe się tłuczemy i nie pomagamy ci w domu.

- Nic bardziej wspaniałego od was nie mogło mi się przydarzyć. - Briana z mocą wyprostowała się.

- Ale na pewno byłoby miło, gdybyście się mniej żarli, no i jednak robili, co do was należy.

Drzwi do sypialni chłopców uchyliły się nieco i w szczelinie ukazała się głowa Aleca.

- Już mi przeszła wścieklica - oznajmił. I przesunąwszy wzrok na Josha dodał: - No, prawie.

- To dobrze - pochwaliła ze śmiechem Briana, wyciągając elektryczną patelnię, żeby usmażyć udka.

- Teraz musicie się domyć. Josh, idziesz pierwszy. Zamknij komputer i zasuważ do łazienki. Alec, możesz opłukać się w zlewie kuchennym, a potem zajmiemy się twoją tabliczką mnożenia.

Przynajmniej raz Josh usłuchał bez słowa. Alec przysunął sobie stołeczek do zlewu i stanąwszy na nim wyszorował dokładnie twarz i ręce.

- Ale przecież jest lato, mamusiu - protestował

- założę się, że dzieciaki z prawdziwej szkoły nie trują sobie teraz głowy żadną durną tabliczką mnożenia...

- Alec!

- Jeden razy jeden jest...

- Alec.

Chłopiec szybko odbębnił szóstki, siódemki i ósemki, sekwencje, które zwykle sprawiały mu kłopoty, po czym zsunął się ze stołka. Teraz stał przed Brianą, a woda kapła mu z rąk i twarzy.

- Znam numer komórki taty.

Brianie ścisnęło się serce. Alec żył oczekiwaniem na jakikolwiek kontakt z Vance'em, choćby krótki i ograniczony. Zapewne spodziewał się po niej, że ustrzeli mu tę wizytę jak glinianego ptaszka na strzelnicy, ale mimo to chciał ją poinformować.

- W porządku - odpowiedziała nieco zduszonym głosem.

Alec miał dopiero osiem lat. Nawet po tych wszystkich rozczarowaniach i ostrożnych próbach wyjaśnienia, podejmowanych przez Brianę, po prostu nie pojmował, dlaczego ich czwórka plus Wanda nie tworzą już rodziny.

- Wiesz, oczywiście, że twój tata... często zmienia zdanie. W kwestii wizyt i takich spraw jak...

Spojrzał na nią spode łba.

- Ja tylko chcę go zobaczyć, mamusiu. Wiem, że może nie przyjechać.

Briana poczuła gulę w gardle. Vance zawsze gonił za jakąś wielką nagrodą, jakimś ulotnym zwycięstwem. Uczuciowo ślepy, potykał się na nierównej ziemi, próbując łapać gołymi rękami świetliki. Chociaż małżeństwo z Brianą definitywnie się rozpadło, Vance wciąż był ojcem

jej synów - dwóch świetnych chłopaków. Dlaczego zawsze trzymał ich na końcu swojej listy priorytetów?

- Rozumiem, synku - zdołała wykrztusić.

Cassie, głaszcząc psa, patrzyła uważnie na Logana. Widziała jego wnętrze daleko w głąb. Kiedy tak siedziała na stopniu, sprawiała wrażenie osoby całkowicie zadowolonej z siebie. W przeciwieństwie do większości znanych Loganowi kobiet Cassie zdawała się nigdy nie przejmować swoją wagą - traktowała ją po prostu jako część osobowości. Dla niego była zawsze pięknym, wielkim i głęboko zakorzenionym drzewem, zapewniającym w dzieciństwie jemu i jego braciom schronienie pod swoimi liściastymi konarami, podobnie jak połowie dzieciaków całego okręgu. Wszyscy dorastali, grzejąc się w ciepłe jej stałej, niewzruszonej serdeczności.

- Jesteś taki podobny do Teresy - szepnęła. - Zwłaszcza z oczu.

Logan nie odpowiedział. Cassie nie wdawała się w rozmowę, ona tylko głośno myślała. W ogóle nie uznawała czegoś takiego jak rozmowa, a już na pewno nie taka grzecznościowa, banalna.

Teresa, jego matka, była przybraną córką Cassie, więc i Logana nie łączyło z nią prawdziwe pokrewieństwo. Kochał jednak tę „babcię” i wiedział, że ona kocha go także.

Rozejrzała się dokoła z westchnieniem.

- To wrak, a nie dom. - Ciągle pieściła Asystenta, który przyjmował to z zachwytem i wtulał się mocno w jej bok. - Powinieneś zamieszkać u mnie, w pokoju gościnnym, dopóki budowlańcy nie skończą roboty.

- Twój pokój gościnny to tipi. Cassie się zaśmiała.

- Jakoś ci to nie przeszkadzało, kiedy sypiałeś tam za dawnych lat - przypomniała mu. - Udawałeś, że jesteś Geronimo, a Dylan i Tyler ciągle skarżyli się mi, że nie pozwalasz im być wodzami.

To wspomnienie, a także wzmianka o braciach trafiły bezbłędnie w najczulszy punkt Logana.

- Miałaś od nich jakieś wieści, Cassie? - zapytał cicho, po dłuższym milczeniu.

- A ty? - odparowała.

Przeciagnał ręką po włosach. Powinien się ostrzyć, ale ile spraw człowiek może załatwić w ciągu pierwszego dnia w domu?

- Nie. I dobrze o tym wiesz, więc czemu pytasz?

- Chciałam, żebyś to głośno powiedział, bo może w ten sposób coś wreszcie do ciebie dotrze. Dylan i Tyler są twoimi braćmi, jedynymi na świecie ludźmi tej samej krwi. Traktujesz to lekko, jakbyś miał mnóstwo czasu na naprawę waszych stosunków, ale kiedyś tego pożałujesz.

Logan podszedł bliżej i usiadł na dolnym stopniu. W pierwszej chwili chciał się postawić, zapytać, dlaczego to on miałby naprawiać stosunki, uznał jednak, że byłoby to retoryczną ścierną.

Świetnie wiedział, dlaczego to od niego wszystko zależy: po prostu nikt inny nie zamierzał wszczynać dialogu. Poza tym to on wywołał bójkę w dniu pogrzebu taty, ponieważ źle mówił o zmarłym.

No dobrze, był pijany.

Ale z całą świadomością powiedział o ojcu to, co powiedział: że nie będzie mu go brakować, że świat bez Jake'a stanie się spokojniejszy, jeśli nie lepszy.

W każdym razie wtedy tak uważał.

Cassie zwichrzyła mu włosy.

- Logan, po co tutaj wróciłeś? Myślę, że wiem, ale tak jak poprzednio, chcę usłyszeć, jak to mówisz.

Zawahał się, zanim odpowiedział:

- Aby zacząć wszystko od początku.

- Więc czeka cię wielkie zadanie. A dogadanie się z braćmi, i to bez względu na warunki, bo gorzej niż jest, być nie może, będzie tylko częścią roboty. Skinął głową, ale się nie odezwał. Nie ufał swojemu głosowi na tyle, by powierzyć mu coś więcej niż ostatnie zdanie. - Dam ci ich numery. - Cassie przesunęła się nieco, żeby z torebki zaklinowanej między udem a poręczą ganku wyjąć notes i pióro. - Zadzwońisz do nich.

- I co mam powiedzieć?

Pomimo wszystkich kalkulacji, planowania i analizowania nigdy nie udało mu się wpaść na pomysł, jak zasypać przepaść między nim a braćmi.

Cassie zachichotała.

- Zaczynij od „cześć” - zasugerowała - i sprawdź, dokąd cię to zaprowadzi.

- Nie muszę ci chyba mówić, czym to może się skończyć - odparł.

- Nie dowiesz się, póki nie spróbujesz. Naba-zgrawszy w notatniku dwa numery - z pamięci i bez wahania, nie omieszkał zauważyć - wyrwała kartkę, którą mu podała. Wstała z gracją, co zawsze go zadziwiało, iż to możliwe przy jej tuszy. Poklepała jeszcze Asystenta, po czym zeszła ze schodków wolno, lecz zdecydowanie, niczym sunący z góry lodowiec. Loganowi pozostało usunąć się z drogi albo dać się staranować.

Asystent tkwił na stopniu, ale dał wyraz żalowi cichym, podobnym do chrapnięcia westchnieniem.

Jak przystało na dżentelmena, Logan otworzył Cassie drzwi samochodu. Dlaczego dotąd nie sprawiła sobie jakiegoś przyzwoitego pojazdu, przekraczało jego zdolność rozumienia. Przecież dwa razy do roku otrzymywała swoją dolę z zysków lokalnego kasyna, podobnie jak jej czterdziestu kilku współplemieńców.

- Przy naszym następnym spotkaniu - powiedziała, grożąc mu palcem - chciałabym usłyszeć, że rozmawiałeś z Dylanem i Tylerem. Byłoby też niezłe, gdybyś się ogolił i

włożył na siebie coś, co ma kołnierzyk i guziki. - Szarpnęła go za T-shirt. - W moich czasach takie coś nosiło się pod koszulą.

Logan roześmiał się.

- Brakowało mi ciebie, Cassie. - Pocałował ją w policzek. - Jutro przyjadę do ciebie z Asem. Zabieram go do weterynarza i muszę spotkać się z budowlańcem. Mogę obiecać golenie i zapiętą koszulę, może nawet się ostrzygę, ale czy dam radę zadzwonić do braci... No cóż, to loteria.

- Im dłużej będziesz odkładał, tym będzie trudniej - przekonywała go Cassie, stojąc wciąż przy samochodzie. - Chcesz tutaj zostać, czy tylko wpadłeś przejazdem, żeby splunąć na grób ojca i sprzedać swoją część ziemi jakiemuś aktorowi?

- Mam nadzieję, że nie będziesz tutaj stała, udając prezeskę fanklubu Jake'a Creeda.

- Spieraliśmy się nieraz, Jake i ja - przyznała - ale był twoim ojcem. I na swój szalony sposób was kochał.

- O tak, nasze życie toczyło się jak żywcem wyjęte z tych ciepłych rodzinnych sitcomów - zakpił Logan. Resztką szacunku w jego głosie przeznaczona była dla Cassie, nie

Jake'a. - Chyba zapomniałaś już, że kiedyś w Boże Narodzenie przeciął na pół choinkę piłą łańcuchową. Albo to wspaniałe Święto Dziękczynienia, kiedy uznał, że indyk jest za mocno przypieczony, więc wyrzucił go przez okno?

Z westchnieniem położyła mu rękę na ramieniu.

- A co z tą historią, kiedy z Dylanem uciekliście z domu i zgubiliście się w lesie? Był listopad i facet od pogody zapowiedział rekordowo niskie temperatury. Szeryf zakończył akcję po zachodzie słońca, ale Jake...? Nadal was szukał, aż wreszcie znalazł i doprowadził do domu.

- I obaj wylądowaliśmy w drewnitni.

- Gdyby zrezygnował, wylądowalibyście w kostnicy. Wiem, że dostaliście baty i gdybym była na miejscu, tobym go powstrzymała. A jednak nie z gniewu przetrzepał wam wtedy tyłki, Loganie Creed. Poczul zwyczajny, ludzki strach.

- Dzisiaj nazywa się to przemocą wobec dzieci

- zauważył.

- Dzisiaj mamy strzelaniny w szkołach i dzieciaki, którym nie można wystawić stopnia z testu, ponieważ ich samoocena mogłaby zostać zachwiana. Takie smarki

dzwonią do pracowników socjalnych, jeśli mają w pokoju za mały telewizor albo ich komputer zbyt wolno chodzi. Nie jestem taka pewna, czy solidne baty nie wyszłyby na dobre młodym opryszkom, którzy zamiast siedzieć w szkole, włączają się na tyłach salonów bilardowych.

- To jest absolutnie niepoprawne politycznie - odparł, choć w głębi duszy zgadzał się z tą opinią.

- Ja nie muszę być politycznie poprawna - prychnęła Cassie.

Co do tego miała rację: nie musiała. I nie była. Ulokowała się za kierownicą.

- Witaj z powrotem, Logan - powiedziała, obserwując go przez otwarte okno. - Widzę, że zostajesz.

Pomyślał o Brianie Grant, jej żywiołowych synkach i spasionym czarnym psie. Pomysł trzymania się tych stron nie wydawał mu się już taki beznadziejny jak przedtem.

- Dylan chyba już wrócił - zagadnął. - I nawet zdążył zatrudnić dozorczynię.

Cassie pokiwała głową, ale powstrzymała się od komentarza.

- Czy on... czy Dylan i Briana...? Brązowe oczy Cassie rozbłysły wesołością.

- Mają się ku sobie? O to chciałeś zapytać?

- Tak - burknął, wiedząc, że jeśli nie wyrazi się jasno, Cassie gotowa zostawić go w niepewności.

- Właśnie o to.

Poruszyła nieznacznie ramieniem.

- Znasz Dylana. Jeśli mu któraś wpadnie w oko...
Zacisnął dłoń aż do bólu na krawędzi otwartego
okna samochodu.

Cassie z uśmiechem poklepała go po ręce.

- Jeśli cię interesuje, co jest między Dylanem a Brianą -
powiedziała niewinnie - to najlepiej zapytaj jedno z nich.
Jestem tylko starszą panią, która pilnuje swojego nosa.
Skąd miałabym wiedzieć coś o ich sprawach?

-Ty wiesz wszystko. - Gdyby nie to, że był w T-shircie,
kark pod kołnierzykiem zacząłby go palić.

- Wszystko o wszystkich w Stillwater Springs i w pro-
mieniu najbliższych pięćdziesięciu kilometrów.

Westchnęła i wrzuciła wsteczny bieg.

- Lepiej się cofnij - uprzedziła. - Bo inaczej przejadę ci po palcach.

Logan usłuchał, przecież nie był głupi.

Patrzył, jak samochodzik Cassie rusza z dużą szybkością, grzechocząc obluzowanymi częściami, i puszcza z rury wydechowej kłęby dymu. Kiedy zniknął mu z oczu za wzniesieniem, Logan spojrział na kartkę, którą dostał od babci.

Numer telefonu Dylana.

I Tylera.

Asystent zszedł po schodkach i otarł mu się o udo, jakby chciał go ponaglić.

Cassie, oczywiście, miała rację. Odkładanie nic nie da.

Wyciągnął komórkę i wybrał numer Dylana w cichej nadziei, że trafi na pocztę głosową.

- Tak - odezwał się jego brat we własnej osobie.

- Dylan Creed z tej strony.

Logan opadł na stopień ganku, tam gdzie wcześniej siedziała Cassie. Odchrząknął.

- Dobrze sprawdziłeś na wyświetlaczu, kto dzwoni? - zapytał.

Cisza.

- Logan?

- To ja. - Zebrał się w sobie. Pewnie zaraz usłyszysz wiazankę albo połączenie zostanie przerwane.

Nic takiego nie nastąpiło. Dylan wydawał się zbity z tropu i brakowało mu słów, tak samo jak Loganowi.

- O kurwa - odezwał się wreszcie Dylan. - Gdzie jesteś?

- Na ranchu - odparł z ulgą Logan.

- Co tam robisz? - Zabrzmiało to zaczepnie, wręcz podejrzliwie.

- Nic szczególnego, przynajmniej w tej chwili - mówił Logan, drapiąc uszy Asystenta. - To miejsce niedługo do reszty diabli wezmą, więc pomyślałem, że zrobię trochę porządku... przynajmniej w mojej części.

Zapadła dłuższa cisza, aż pulsująca od tematów, których żaden z braci nie śmiał poruszyć.

- Co się z tobą działo?

Pytał z braterskiej troski czy oskarżał? Logan postanowił przesądzić to na korzyść Dylana.

- Rzuciłem rodeo, dwa razy żeniłem się i rozwodziłem, założyłem biznes. A ty?

- Są pewne podobieństwa. Także rzuciłem rodeo. Żadnych żon, aktualnych lub byłych, za to dwuletnia córeczka. Nazywa się Bonnie... z tego, co ostatnio słyszałem. Matka zmieniała jej imię co najmniej kilka razy od dnia narodzin.

Logan przytknął oczy. Dylan ma dziecko! To przecież jego bratanica, a on nawet nie wiedział o jej istnieniu.

- Jak to: „ostatnio słyszałeś”? Nie widzisz się z Bonnie?

Przez chwilę wydawało się, że połączenie zostanie przerwane.

- Rzadko - przyznał niechętnie Dylan. - Sharlene miała dzielić się ze mną opieką, ale się z tego nie wywiązuje.

- Może mógłbym ci pomóc - zaproponował odruchowo Logan.

- A tak - odparł Dylan, znów z tą ostrą nutą. - Jesteś prawnikiem. Ciągle o tym zapominam.

Jestem też twoim bratem.

- Słuchaj, jeśli uznasz, że trzeba ci porady prawnej, to zadzwoń. A jeśli nie, to nie, bez urazy. Zadzwoń, bo po prostu...

- No właśnie. Właściwie po co do mnie dzwonicz? -
Wyzwanie. Całkiem w stylu Dylana: skoro Logan decyduje się na kontakt po tak długim czasie, musi mu o coś chodzić.

- Chyba po powrocie do domu wpadłem w nieco nostalgiczny nastrój.

- Do domu, powiadasz? - powtórzył Dylan, nie kryjąc sarkazmu. - Co nazywasz domem?

Logan nie odpowiedział.

- I w ogóle czego chcesz?

Pytanie zraniło Logana bardziej, niż gotów był przyznać.

- Niczego. Myślałem, że moglibyśmy pogadać.

- Planujesz sprzedaż swojej części rancza, no nie? To dlatego wynajmujesz budowlańców i kupujesz drewno. Żeby naciąć jakiegoś typa z Hollywood na parę milionów?

Ach, ta poczta pantoflowa. Dylan wiedział, że Logan remontuje dom, bo wciąż miał w mieście znajomków. Pytanie, skąd dzwoni, to tylko formalność.

- Nie mam zamiaru sprzedawać - rzekł zdecydowanie. - Chcę tutaj osiąść. A jeśli ty myślisz o sprzedaży swojej części, to przebiję wszystkie oferty. - Ten wątek prowadził

prosto do Briany Grant, która mieszkała w domu Dylana, toteż jego kontynuacja wprawiała Logana w zakłopotanie. Zbyt późno zorientował się, że powiedział parę słów za dużo.

- Gdybym chciał sprzedać moje dwa i pół tysiąca hektarów - a nie mam takiego zamiaru - w życiu nie pozwoliłbym, żebyś mnie wykupił.

Tu cię mam.

- A czemuż to?

- Wiesz dlaczego. Z powodu tego, co mówiłeś o tacie.

- No więc się myliłem, okej? Powinienem okazać więcej szacunku i zatrzymać moje opinie dla siebie. Przepraszam, Dylan.

Długa cisza. Dylan zapewne spodziewał się kontrataku, a ta strategia wolnego pola trochę pomieszała mu szyki.

- Dylan? Jesteś tam? Westchnienie.

- Jestem.

- A konkretnie gdzie?

- W Los Angeles. Miałem spotkanie z moim agentem i paroma ludźmi ze studia... Robię w filmie jako kaskader. Od przyszłego tygodnia zaczynają kręcić w Albercie.

- Lubisz ten rodzaj pracy? - Nie pojmował, jak można to lubić, ale właściwie kaskaderka nie jest bardziej niebezpieczna niż rodeo, przez które obaj przeszli w swoim czasie.

- Muszę zarabiać na alimenty.

Logan zdecydował się skoczyć na główkę, chociaż wiedział, że woda będzie lodowata.

- Rozważam hodowlę bydła na ranchu. Kupuję też kilka koni. Może chciałbyś zostać współnikiem?

- Nie wytrzymałibyśmy ze sobą nawet dziesięciu minut - odpowiedział Dylan z niejakim smutkiem w głosie.

Logan roześmiał się.

- Nigdy nam się to nie udawało, ale i tak mieliśmy mnóstwo frajdy między awanturami.

Znów cisza, potem śmiech. -No.

Była to pierwsza rzecz, co do której zgodzili się w ciągu ostatniej dekady.

- Będziesz dzwonił do Tylera? - zapytał Dylan.

- W swoim czasie.

- Cóż, to uważaj, co mówisz. I nie powołuj się na mnie, pożarliśmy się ostatnio.

- O co? - Mógł sobie wyobrazić tysiąc powodów, a fakt, że Tyler był w gorącej wodzie kąpany, nie należał do najmniej istotnych.

Ale Dylan go zgasił.

- To zbyt osobiste - odparł chłodno, wyraźnie dając mu do zrozumienia: To sprawa moja i Tylera. Ty do nas nie należysz. - Słuchaj Logan, dobrze, że się odezwałeś, ale muszę już iść. Ważna randka.

- Jasne. - Przynajmniej byli dla siebie grzeczni. Kiedy Logan następnego dnia spotka się z Cassie, będzie mógł uczciwie powiedzieć, że próbował. - Powodzenia w filmie.

Dylan podziękował i się rozłączył

Logan zerknął na Asystenta, który smętnie wpatrywał mu się w oczy.

- Jeden załatwiony, został jeszcze drugi - poinformował psa.

Asystent zaskomlał.

Logan spojrział na kartkę Cassie, wybrał numer nabazgrany obok imienia Tylera. Jeden sygnał. Dwa. Trzy.

Potem poczta głosowa:

- Tu Tyler Creed. Teraz jestem zajęty, ale oddzwonie, chyba że chcesz mi coś sprzedać. W takim razie masz pecha. Poczekaj na sygnał i gadaj.

Logan zachichotał.

- Tu Logan - zaczął po sygnale. Wyrecytował numer swojej komórki i nowy numer stacjonarny. - Zadzwoń do mnie. Nic nie sprzedaję.

Jeszcze czego.

ROZDZIAŁ TRZECI

Alec z namaszczaniem pokazał Brianie obszarpaną kartkę z notesu. Cyfry tworzące numer Vance'a były zapisane mocno dociskanym ołówkiem, tak jakby Alec bał się, że wyblakną, jeżeli nie użyje całej swojej siły.

Smutek, który w tej chwili poczuła Briana, przytłoczył jej serce. Nawet Alec, najbardziej lojalny stronnik Vance'a, wiedział, że drogocenne cyfry tego numeru mogły się z czasem ulotnić. Zupełnie jak jego ojciec.

Łzy piekły ją w oczach. Na pocięgę dotknęła wisiora, który zawsze nosiła na szyi. Zrobiła go sama: zeskanowała i sformatowała stare zdjęcie taty, po czym osadziła je w żywicy. Tata, Bill McIntyre, był także wędrowcem - znanym klaunem z rodeo, który w sezonie podróżował wraz z cyrkiem, a po jego zakończeniu mieszkał w przyczepie na podwórku siostry w Boise.

Od Vance'a różnił się tym, że po śmierci żony zabierał Brianę ze sobą w drogę. Była wtedy w wieku Aleca.

Ciotka Barbara oczywiście protestowała przeciw tym podróżom i korespondencyjnej nauce Briany.

Dziewczynka, zdaniem ciotki, powinna chodzić do prawdziwej szkoły. Potrzebuje koleżanek, lekcji tańca, szkółki niedzielnej i poczucia bezpieczeństwa.

Za każdym razem, gdy wracali do Boise, apodyktyczna, ale ukochana ciotka Briany zaganiała ją do szkoły na testy; Briana zawsze wypadła w nich lepiej niż inne dzieci w jej wieku. Mając piętnaście lat, ukończyła szkołę średnią. Bill od razu zapisał ją na kursy na poziomie college'u i tam też z jego pomocą zabłysła.

Przechowywała w pamięci niczym skarb wieczory, kiedy przy składanym stoliku w przyczepie pochylali się nad takim czy innym podręcznikiem, a światło lampy tworzyło nad ich głowami aureolę.

Teraz, patrząc na synka, który stał przed nią pełen nadziei, jeszcze dotkliwiej odczuwała brak taty. To prawda, włóczył ją po całych Stanach w starej przyczepie, ale był też solidny jak opoka i całkowicie jej oddany, bez względu na okoliczności.

Myśląc o swoich dzieciach, największy żal miała do siebie, że nie wybrała im takiego ojca, jak jej własny. Bo

dała się zauroczyć Vance'owi - wygadane mu przystojniakowi, który tak ładnie przeciągał słowa.

- Zadzwonisz do taty? - zapytał nieśmiało Alec.

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem - ale tylko po to, żeby zapytać, jak długo u nas zostanie.

Alecowi jakby kamień spadł z serca. Przesunął wzrok na rzemyk z wizerunkiem Billa „Dzikusa” McIntyre'a w galowym stroju klauna.

- Tęsknisz za dziadkiem, co?

- Bardzo - przyznała Briana. Tata wycofał się z rodeo niedługo po jej ślubie z Vance'em, kiedy zamieniła ukochaną przyczepę na skromny domek, położony kilka przecznic od domu ciotki Barbary i jej rodziny.

Zapowiadał, że teraz będzie codziennie chodził na ryby, i czekał na wnuki.

Zmarł po miesiącu nagle, kiedy po wyjątkowo pa-skudnej grypie wywiązało się zapalenie płuc.

Briana nie mogła przeboleć tej ironii losu. Podczas długiej kariery błazna tatę nieraz pobodły byki czy sponiewierały dzikie konie, a umarł na chorobę, której mógł zapobiec zwykły zastrzyk.

Alec pocałował ją w policzek.

- Branoc, mamusiu. I dziękuję.

Czekając, aż chłopcy położą się spać, Briana krzątała się po kuchni. Pomyła naczynia, zostawione po śniadaniu w zlewie, zrobiła listę zakupów, sprawdziła raz i drugi plan zajęć na nadchodzący tydzień. Na koniec wilgotną od potu dłonią zdjęła słuchawkę z widełek ściennego aparatu i zadzwoniła do Vance'a.

- Wybrany numer jest nieaktualny - odpowiedział po trzech sygnałach automat.

Jasne, że nieaktualny, myślała Briana, rozłączając się z trzaskiem. Z jednej strony ją to cieszyło, z drugiej - irytowało. Żeby móc korzystać z tego numeru, Vance musiałby wykupić doładowanie. Wolał tego uniknąć, dlatego nabywał w innym centrum handlowym nowy telefon z nowym numerem i oczywiście nie zwracał sobie głowy przekazaniem jej tej informacji.

Rzadko miała coś do powiedzenia swojemu eks, ale co by było, gdyby któryś z chłopców zachorował albo stało mu się coś złego? Jak mogłaby się porozumieć z jego ojcem?

Westchnęła z rezygnacją i spojrzała na zegar kuchenki. Za wcześnie, by się kłaść, szczególnie po tej ilości kofeiny, a na telewizję czy surfowanie po Internecie nie miała ochoty.

Z dużego pokoju zerknęła przez firanki w stronę głównego domu na ranczu. Po raz pierwszy, odkąd wprowadziła się do domu Dylana, zobaczyła światło jarzące się pośród drzew w sadzie. Jego widok koił, dzięki niemu czuła się mniej opuszczona i samotna. Nie, wcale nie zamierzała spoufalać się z Loga-nem Creedem. Bo chociaż mógł się podobać i Briana od razu go polubiła, nawet jeśli budził w niej pewną nerwowość, to jednak... był kowbojem.

Jak Vance.

Wtargnął tutaj ten cały Logan na fali wiatru niczym jakaś niechciana roślina i tak samo zniknie, kiedy poniesie go kolejny podmuch.

Przygryzła wargę i odwróciła się od okna.

Zadzwonił telefon.

Pobiegła go odebrać, ale po drodze uderzyła nogą o krzesło. Krzywiąc się z bólu, chwyciła słuchawkę i zawołała:

- Halo? Vance? Cisza.

- Halo!

- Tu Logan - usłyszała spokojny głos nowego sąsiada.

-Ach!

- Rozumiem, że czekasz na inny telefon - ciągnął przyjaźnie Logan - więc będę się streszczał. Obejrzałem płot wokół pastwiska Dylana i przypuszczam, że nie da rady zatrzymać tego byka, gdyby zachciało mu się zaszarżować. Ponieważ i tak planuję sporo robót na terenie posiadłości, każę przy okazji postawić tam nowe słupki i bariery. Po prostu chciałem cię o tym uprzedzić, zanim pojawią się robotnicy.

Wcale nie czekam na inny telefon. Briana to właśnie miała na końcu języka, ale nie mogła zmusić się do wyjawienia, jak bardzo cieszy się, słysząc głos innej ludzkiej istoty w tę ciemną, letnią noc. Facet gotów pomyśleć, że zwyczajnie brakuje jej chłopa.

- A uzgodniłeś to z Dylanem? - Rozcierając posiniaczoną goleń, od razu pożałowała, że nie poszła za pierwszym odruchem. Byłoby to znacznie lepsze od niezamierzenie zgryźliwego tonu pytania.

Odczekał chwilę, wyraźnie dając jej do zrozumienia, że go to zabolalo.

- Nie wyobrażam sobie, by oponował, skoro to ja płacę rachunki. Gdyby byk się wydostał i narobił szkód, adwokaci przybiliby na ścianie stodoły skórę Dylana, nie moją.

Myśl o Cimarronie w amoku i dzieciach, które mogły znaleźć się na jego drodze, wyparła z głowy wszelkie obawy co do właściwości tonu. Oglądając w swoim czasie setki pokazów rodeo, nieraz widziała, jak byki wyrzucają kowbojów i klaunów w powietrzne salta, a potem w mgnieniu oka rozgniatają im klatki piersiowe.

- Myślisz, że naprawdę mógłby się wydostać?

- Tak - odrzekł lakonicznie Logan, ale Briana dobrze zrozumiała niewypowiedzianą głośno uwagę: „Przecież już to mówiłem”.

- O Boże... - mruknęła, zamykając oczy. W Stillwater Springs brakowało opiekunek do dzieci, więc kiedy nie mogła zabrać chłopców do pracy, gdzie spędzali czas w biurze albo grali w gry wideo w kafeterii kasyna, po prostu zostawiała ich w domu. Mieli się tam uczyć, bawić lub wypełniać wyznaczone obowiązki. Wiedzieli, że w razie najmniejszych problemów powinni do niej zadzwonić i pod żadnym pozorem nie oddalać się od domu, ale przecież byli tylko małymi chłopcami, żądnymi przygód i pełnymi temperamentu. Na pewno włóczyli się po całym ranczu, ledwie spuściła ich z oka.

- Coś nie tak? - zapytał pojednawczo Logan.

- Nic, nic, po prostu się zmartwiłam. - Próbowała zmusić się do uśmiechu, choć nie potrafiłaby określić dlaczego: była sama w kuchni, a Logan nie mógł jej widzieć. - Jak to matka.

- Zajmę się tym płotem - obiecał - ty jednak przypilnuj, żeby chłopcy trzymali się z dala od Cimarrona. - I po chwili dodał: - Bo przed niedźwiedziami Dylan chyba cię ostrzegł?

Briana o mało się nie zakrztusiła.

- Przed jakimi niedźwiedziami?

- Czasem przychodzą do sadu.

Poczuła, że żołądek zaczyna się przewracać.

- Przez dwa lata nie widziałam tu ani jednego niedźwiedzia.

- Kręcą się w okolicy. Głównie brunatne i czarne, ale trafiają się także grizzly, co nie wróży dobrze.

- Grizzly... - powtórzyła bez sensu Briana. Logan westchnął.

- Dylan powinien cię uprzedzić.

Briana słabo znała Dylana Creeda, ale miała wobec niego poważny dług wdzięczności. Kiedy znalazła się w potrzebie, zapewnił jej dach nad głową, hojnie zaopatrzył w żywność, oddał do dyspozycji tę starą furgonetkę... Lekko krytyczny ton Logana skłonił ją do obrony wybawcy:

- Zdaje mi się, że ten temat nigdy nie wypłynął - powiedziała oschle.

- Z Dylaniem tak już jest, że najważniejsze tematy często nie wypływają - skwitował.

- Będę pamiętać o Cimarronie i niedźwiedziach

- obiecała.

Logan chciał coś jeszcze powiedzieć - wyczuła to

- ale widocznie zrezygnował.

- To dobrze - rzucił po kilku sekundach. Nic więcej, jedynie „to dobrze”.

Znaczy jest z tych małomównych.

W słuchawce zapiszczał sygnał rozmowy oczekującej. Nie miała w telefonie identyfikatora rozmówcy, poza tym anioł stróż szeptał, że Logan ją ostrzegł i nie ma powodu traktować go jak wroga, więc postanowiła sygnał zlekceważyć.

- Może wpadniesz do nas jutro na kolację? - zaproponowała, żeby zatrzeć złe wrażenie.

Czekając na odpowiedź, poczuła, jak od nasady szyi pnie się jej na twarz rumieniec.

- To może coś przynieść? - zapytał po chwili.

- Nie trzeba - zapewniła, dziwnie rozradowana jego milczącą zgodą. To przecież tylko kolacja, zwykła

sąsiedzka grzeczność. Nie powinna robić z tego wielkiego wydarzenia.

- Asystent oczywiście też jest mile widziany. Więc o wpół do siódmej? Wracam z pracy około piątej piętnaście i muszę mieć czas na prysznic, gotowanie i tak dalej.

I po co mu te wszystkie informacje, myślała, czerwieniąc się jeszcze bardziej. Co się z nią dzieje?

-Wpół do siódmej - powtórzył z uśmiechem w głosie, zupełnie jakby widział, że jest czerwona po korzonki włosów.

Pozegnali się i rozłączyli, a chwilę później telefon znów zadzwonił.

- Halo? - Czyżby Logan zmienił zdanie co do kolacji? Przypomniał sobie o wcześniejszych zobowiązaniach?

- Hej - odezwał się Vance - właśnie próbowałem się dodzwonić i...

Briana odetchnęła.

- Miałam inną rozmowę.

- Dostałaś moją wiadomość?

- Tak. Zamierzasz wpaść z wizytą. - Ściszyła głos, ponieważ pokój synów był blisko i nie chciała, by któryś z nich lub obaj przykleili się z uszami w trąbkę do drzwi z drugiej strony. - Alec bardzo się rozczaruje, jeśli nawalisz.

- Hej, a co z tobą, mała? - Przeciągał słowa na kowbojską modłę, który to zwyczaj wessał ją od pierwszej chwili na jego orbitę. - Ty nie będziesz rozczarowana, jeśli się nie pojawię?

Briane podskoczyło ciśnienie. Odczekała, aż minie szczyt i zacznie opadać, zanim odpowiedziała.

- W najmniejszym stopniu. Jesteśmy rozwiedzeni, Vance. Rozwiedzeni - przesylabizowała dobitnie.

Zupełnie nietypowo, wycofał się. Rozgrywał to na zimno, a to znak, że czegoś chciał.

- O co chodzi, Vance? - zapytała, starając się o jak najspokojniejszy ton. Jeżeli potraktuje go zbyt ostro, Vance się rozłączy, ale nie miała zamiaru padać przed nim plackiem. - Nie przyjechałeś do Stillwater Springs zeszłej jesieni, kiedy Josh miał wycinane migdałki, nie pokazałeś się na Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia ani na

urodziny obu chłopców. Co jest tak ważne, że chcesz zboczyć z trasy i spać na mojej kanapie?

Odpowiedź Vance'a była podszyta ciężkim, acz cichym westchnieniem udręczonej cierpliwości. Czuł się niezrozumiany!

- Chciałem porozmawiać z tobą w cztery oczy, to wszystko. I zobaczyć chłopców.

I zobaczyć chłopców. Zawsze w drugiej kolejności.

- O czym? - Starła się nie podnosić głosu. - Bo jeśli ci chodzi o wykręcanie się od alimentów...

- Nie, wcale nie o to - przerwał tonem skrzywdzonego przez los. - Dlaczego ty, Bree, zawsze wszystko sprowadzasz do pieniędzy?

- Gdybym ja wszystko sprowadzała do pieniędzy, to ty, Vansie Grant, siedziałbyś teraz w pudle. Josh i Alec są twoimi synami. Czy w ogóle czujesz się choć trochę za nich odpowiedzialny?

- Ja ich kocham - oświadczył Vance; z tonu można by sądzić, że już nie tylko udręczony, ale wręcz zraniony.

- Gadanie nic nie kosztuje.

- Więc mam przyjechać czy nie? Mogę być w sobotę.

- Pracuję w soboty.

- Nie szkodzi - rzucił w przypiływie wielkoduszności. Mogę się gdzieś wypuścić z chłopcami, zanim wrócisz do domu.

Briana pomyślała o pełnej nadziei buzi Aleca, a potem o Joshu, który groził, że ucieknie z domu, jeśli Vance się pojawi.

- Alec będzie w siódmym niebie, natomiast co do Josha, to życzę szczęścia.

- A co jest z moim kumplem Joshem?

- Powiedziałabym, że cię przejrzał. - Josh nie potrzebował kumpla, ale ojca. Zrozumienie tego przekraczało możliwości umysłowe Vance'a.

- Czyli że co? - Vance się wściekł. Prawdziwe oblicze, pomyślała Briana. Koniec z Panem Przymilnym.

Przestań go drażnić, doradził anioł stróż. Czasami chciałyby udusić tego anioła.

- Zgadnij - powiedziała.

- Posłuchaj, dość mam tego. Może będzie lepiej, jeśli dam sobie spokój.

Zamknęła oczy, ale obraz tęskniącego za uwielbianym tatą Aleca nie zniknął. Musiała przestać myśleć o tym, czego sama pragnęła: żeby nigdy już nie widzieć Vance'a Granta; musi wziąć pod uwagę potrzeby dzieci. Tak czy inaczej, był ich ojcem, i chociaż Josh zdecydowanie temu zaprzeczał, czuł się z nim tak samo mocno związany, jak Alec.

- Przepraszam - wykrztusiła.

- Czy wiesz, co jest z tobą nie tak? - Znowu zmienił taktykę, wciskając guzik „wdzięk”. - Potrzebujesz seksu.

W jednej chwili stanął jej przed oczami Logan Creed. Czy pod tą koszulką ma tors owłosiony, czy gładki?

Ostro zganiła siebie w duchu.

- Może i tak - przyznała - ale nie z tobą, więc nie nabijaj sobie głowy żadnymi pomysłami. Śpisz na kanapie.

- Tak właśnie planowałem. Ale, ale czy ona się rozkłada?

O to samo pytał w nagraniu na sekretarce. Brianę to zastanawiało i lekko niepokoiło.

- No tak - odpowiedziała powoli. - A czemu pytasz?

Chichot Vance'a zabrzmiał fałszywie.

- Spadałem swego czasu z wielu mustangów. Teraz, gdy robię się coraz starszy, muszę dbać o kręgosłup.

- Słusznie. - Wciąż ją to ciekawiło, ale nie drażyła tematu. Rozmowa i tak za długo już trwała. Dwadzieścia minut życia, których nigdy nie odzyska.

- To do zobaczenia w sobotę - pożegnał ją serdecznie Vance, jakby wyczekiwała tej wizyty, a nie wzdragając się przed nią każdym nerwem.

- Do zobaczenia w sobotę - powtórzyła chłodno. I odłożyła słuchawkę.

- Powiniennem walnąć cię w pysk - powitał Jim Huntinghorse Logana, kiedy ten wytropił go następnego ranka w Council Fire Casino.

Logan uśmiechnął się.

- Też się cieszę, stary kumplu, że znów cię widzę.

- Odsunął krzesło przy stoliku w kawiarni i zamówił na migi filiżankę kawy u kelnerki. Ponieważ Asystent pozostał w furgonetce, Logan nie zamierzał zagrzewać tutaj miejsca; weźmie kawę na wynos. Przesunął wzrokiem po eleganckim czarnym garniturze Jima.

- Poszedłeś w górę - powiedział. - Naczelnny menedżer, któż by pomyślał?

- No właśnie, któż by pomyślał - powtórzył Jim nieco łagodniejszym tonem - że wyjedziesz z miasta, nie żegnając się ze swoim najlepszym przyjacielem? Zero telefonów, zero e-maili, zero wszystkiego.

- Kiedy sędzia wypuścił mnie z więzienia po awanturze z Tylerem i Dylanem, zakazał mi pokazywać się w Stillwater Springs, dopóki nie ochłonę.

- I to ci zajęło dwanaście lat?

- Jako nieodrodnemu synowi swojego ojca. - Logan podziękował skinieniem głowy za kawę w kubku na wynos i sięgnął po pieniądze.

Jim go powstrzymał i gestem oddalił kelnerkę.

- Gadaj zdrów - burknął. Stał obok stolika, nie zamierzając usiąść, i zaciskał przy bokach potężne pięści, jakby rzeczywiście chciał przyłożyć Loganowi. - Jesteś taki sam wariat, jak twój tata.

- Ale jestem. - Logan ostrożnie upił łyk parującej cieczy. - I jeśli pominąć zakupy żarcia w supermarkecie

oraz wizytę u weta z psem na badanie, to moja pierwsza wizyta w tym mieście.

- To miało być wyróżnienie?

- Siadaj. Rzucasz cień jak góra, za którą świeci słońce.

- Ja tutaj pracuję - przypomniał Jim, ale odsunął krzesło i usiadł.

- Jesteś pierwszy na liście. To coś znaczy.

- O rany, dzięki! Biorę ślub. I gdzie jest mój najlepszy kumpel od czasów przedszkola? Nie ma! Rozwodzę się. Czy ktoś pomaga mi zalać robaka? W życiu! No, ale jestem „pierwszy na liście”!

- Nie chcesz, to nie. Lepiej tego nie ujmę.

Jim zmiękł. Na jego wycyzelowaną twarz rdzennego Amerykanina wypłynął niechętny uśmiech.

-Jesteś tu tylko przejazdem? Szukasz zwady z którymś z braci albo i obydwoma? Czy może wreszcie wrócił ci rozum i uznałeś, że ktoś powinien tutaj osiąść i zająć się ranczem?

Logan położył na stole napiwek dla kelnerki, która obserwowała ich z drugiej strony bufetu. W ciągu tej

milisekundy, gdy kładł monetę, twarz Jima się zmieniła. Spochmurniała.

- Nie zamierzasz czasem go sprzedać jakiemuś palantowi z filmu?

Logan pokręcił głową.

- Zostaję na dobre. - Ten refren zaczynał się powtarzać jak slogan reklamowy w radiu lub telewizji.

Oślepiający uśmiech powrócił. Białe zęby i inne atrybuty przystojnego dzikusa z pewnością ułatwiały mu podrywanie w latach młodości. Pewnie to działa i teraz, myślał Logan.

- Serio? - zapytał Jim.

- Serio.

- Nie tak jak wtedy, kiedy obiecywałeś być drużbą na moim weselu?

- Byłem w Iraku.

- Byłeś w Iraku?

- Przecież mówię.

- Jeśli ty, Creed, coś mówisz, nie znaczy jeszcze, że to prawda.

- Kiedy moje rzeczy tutaj dotrą, pokażę ci dokumentację. Honorowe zwolnienie z wojska. Nawet parę medali.

Jim gwizdnął cicho.

- To dlatego rzuciłeś rodeo. Zawsze było cię pełno na ESPN, a potem nagle zniknąłeś. Wzięli cię z poboru?

- Zgłosiłem się na ochotnika. Moglibyśmy nie mówić o Iraku właśnie teraz?

Jim zmarszczył brwi zmieszany. Sam był weteranem, a w świecie kumpli wymieniali się wojennymi historiami.

- Dlaczego nie chcesz?

- Ponieważ muszę się porządnie napić, żeby choć pomyśleć o wojaczce, a co dopiero o niej mówić.

A ze względu na moją chwalebłą przeszłość, nie wspominając o licznych przypadkach alkoholizmu w rodzinie Creedów, staram się ograniczać do jednego piwa od czasu do czasu.

- Hm. Marnie, co?

- Ano marnie.

- Byłeś w służbach specjalnych, tak?

- Tak. I do tego sprowadza się temat Iraku. Jestem trzeźwy jak świnia i chciałbym takim pozostać.

- Okej - zgodził się pospiesznie Jim, unosząc otwarte dłonie. - Okej.

Logan wstał.

- Wpadłem tylko się przywitać. Mam w trucku psa i jestem umówiony z budowlańcami, a jeszcze obiecałem odwiedzić Cassie.

Jim także wstał i się uśmiechnął.

- Masz psa i trucka? Więc naprawdę stajesz się wieśniakiem.

- Nie. - Logan machnął w stronę kelnerki po drodze do wyjścia. - Ciągle mam obydwie przednie zęby.

- Nie na długo - dowcipkował Jim. - Jeśli któremuś z twoich braci coś strzeli do łba i także zechce wrócić.

Żartował tylko, a jednak udało mu się dźgnąć Logana w czuły punkt. Nie spodziewał się raczej, że drogi życiowe Dylana i Tylera przywiodą ich do domu, że wszyscy trzej zdołają się jakoś dogadać, ale mimo wszystko nie tracił nadziei.

Przyjaciół odprowadził go do drzwi kasyna obok połyskliwych, brzęczących automatów do gier. Dziwne, że ktokolwiek mógł w takim hałasie pracować.

- Kończę o szóstej - powiedział Jim, gdy się żegnali. - Chcesz pograć w bilard, łyknąć piwa i w ogóle nadrabiać zaległości?

- Nie dzisiaj. - Logan pamiętał o niespodziewanym zaproszeniu na kolację do Briany. Była wkurzona, kiedy wspomniał o Dylanie, a potem zupełnie zmieniła front i zaproponowała mu posiłek. Kobiet nie da się zrozumieć. - Już mam plany na wieczór.

- Zatem niebawem. Obiecuję, żadnych wojennych historii. Chyba że uznasz za takową szczegółową relację z mojego rozwodu.

Logan roześmiał się, klepnął Jima po ramieniu.

- Zawsze, byle nie dzisiaj. Wiesz gdzie mieszkam, podjedź, kiedy będzie ci pasować.

Jim skinął głową i wrócił do kasyna robić to, co robi naczelnym menedżerem, a Logan skierował się do furgonetki.

A więc nie ja jeden wróciłem po długiej nieobecności do rodzinnego miasta, myślał Brett Turlow, wsiadając do

samochoodu po całonocnej ostrej grze w pokera, w której dostał w dupę. Różnica między nimi była taka, że on wracał z podwiniętym ogonem, zaś Logan Creed wygląda! ciut za bardzo radośnie, by się z nim równać.

Brett wsunął się za kierownicę pożyczonej od siostry powgniatanej corolli. Obserwował, jak Creed wsiada do szacownie zdezelowanego pikapa, drapie po uszach psa i włącza silnik.

Najprawdopodobniej przymierza się do sprzedaży rancza, ponieważ nic nie wskazywało, by ktoś choć trochę dbał o to miejsce, a już na pewno chciał dalej tutaj żyć.

Byłoby dobrze, gdyby się wyniósł.

Bo gdyby został, wynikłyby tylko kłopoty, to jasne i proste jak drut.

Z przekrwionymi oczami, wykończony, ponieważ nie jadł od dwunastu godzin i przegrał prawie cały zasilek bezrobotnego, Brett zakonotował sobie, że musi popytać ludzi. Dowiedzieć się, co kombinuje Creed.

A teraz uderzyć w kimono.

Briana trzymała się z dala od kafeterii, dopóki Logan z niej nie wyszedł. Dopiero potem zaszła niby to przy okazji,

by przywitać się z Millie, jedyną kelnerką na służbie, i łyknąć beztłuszczowej latte, żeby utrzymać się na obrotach przez cały ranek.

Poprzedniego wieczoru siedziała do późna po mocnej kawie; denerwowała się ewentualnym przyjazdem Vance'a w sobotę, ale także tym, że może znów ją wystawi do wiatru. Potrzebowała kofeiny, i to zaraz. Jako klina na swego rodzaju kaca.

Chłopcy zostali w domu ostrzeżeni, że pod karą śmierci nie wolno im zbliżać się do Cimarrona i sadu, w którym mogą grasować niedźwiedzie.

- Widziałaś tego faceta, który rozmawiał z Jimem? - zapytała Millie z zachwytem, odruchowo uruchamiając ekspres. - Ale ciacho, co nie?

Briana z jednej strony poczuła ukłucie zaborczej irytacji, z drugiej - dodało jej to skrzydeł.

- Takie ciacha są śmiertelnie groźne - rzuciła lekko.

- Aha. - Millie zerknęła na nią przez ramię, podczas gdy pod dyszą bajeranckiego ekspresu pienilo się mleko. - Ale zanim do tego dojdzie... Zapytam Jima, jak się nazywa.

- Nie musisz. Logan Creed. Millie otworzyła szeroko oczy.

- Ten z rancza Stillwater Springs?

- Ten sam. - Millie, podobnie jak Briana, była w mieście nowa, ale o braciach Creed słyszała; mieli opinię niemal ludowych bohaterów, na podobieństwo niektórych przestępców na Dzikim Zachodzie.

Z tego, co mówiono Brianie, słynęli głównie z rozrób i awantur.

- Więc ty go znasz? - próbowała podchodów Millie, podając latte.

- Mieszkam na tym ranczu, jesteśmy sąsiadami. - Resztę historii, to że dzisiaj Logan będzie u nich na kolacji, zachowała dla siebie, jak smakowity, dojrzewający sekret.

Głupio.

I w tym właśnie momencie zatrzeszczało radio przy jej pasku. Bezosobowy głos poinformował Brianę, że w najnowszym rzędzie automatów do gier ktoś właśnie wygrał pulę - czas wracać do roboty.

Podziękowała Millie za latte i wybiegła.

Okazało się, że pula była wielka. Drobną błękitnosiwa pani z wycieczki seniorów trafiła na żyłę złota w Płonących Siódemkach i następnym razem czterydzieści pięć minut Briana spędziła na wypełnianiu papierków.

Jim, jako szef, wypłacił łup w szeleszczących stu-dolarówkach, uśmiechając się do kamery obok szczęśliwej zwyciężczyni.

Kiedy zamieszanie ucichło, Briana odciągnęła szefa na słowo.

- Chciałabym cię prosić o wolne w sobotę, okej? Jim zmarszczył brwi. Był porządnym człowiekiem, pracę traktował poważnie i nigdy nie tracił z oczu celu. Mówiono nawet, że mógłby ubiegać się o stanowisko szeryfa, gdyby stary Floyd Book przeszedł wcześniej na emeryturę z powodu kłopotów z sercem.

- W soboty mamy spory ruch.

- Wiem.

Błysnął uśmiechem, od którego zwykle kobietom miękły kolana. Tuż po swoich rozwodach Briana i Jim umówili się kilka razy na wieczór, ale nic między nimi nie zaiskrzyło, a gdy on awansował na obecne wysokie

stanowisko, zdecydowali dać spokój randkom i postawić na przyjaźń.

- Hej, przecież cię znam. Skoro prosisz o wolne, to musi być ważna sprawa.

Czy rzeczywiście taka ważna? Vance miał przyjechać w sobotę, a ją niepokoiło, że spędziłby cały dzień sam z chłopcami. Nie chodziło o zagrożenie fizyczne

- Vance nigdy nie podniósł ręki na nią ani na synów

- ale mógłby ich skrzywdzić w inny sposób...

- Ma przyjechać mój eks. Uśmiech Jima zgasł. -Och.

No tak, pewnie sobie pomyślał, że zanosí się na pojednanie. Od razu się zaczerwieniła.

- To nie tak. Martwię się, że chłopcy będą z nim sami przez cały dzień. Alec cierpi na ostry przypadek kultu bohatera i Bóg wie, czym Vance może nabić mu głowę, a Josh zapowiedział mi, że prędzej ucieknie...

Jim przerwał jej ruchem ręki.

- Możesz mieć tę sobotę, sam cię zastąpię. Ale będziesz mi winna dodatkową zmianę.

Kiwnęła głową uradowana.

- Dzięki, Jim.

Uśmiechnął się, lecz w jego ciemnych oczach był niepokój.

- Josh groził, że ucieknie?

Znał synów Briany, ponieważ często przesiadywali w kafeterii kasyna, a on tolerował ich obecność. Mało który szef okazałby taką wyrozumiałość, ale Jim także miał syna. Czteroletni Sam mieszkał teraz z matką w Missouli i nie odwiedzał go często.

Briana poklepała go po ręce.

- Nie sądzę, żeby naprawdę dał w długą, ale wolę dmuchać na zimne.

Jim westchnął ciężko i przeciągnął ręką po bujnych, niemal granatowych włosach.

- Dzieciaki miewają czasem głupie pomysły. Briana pomyślała o byku na pastwisku Dylana i niedźwiedziach, które podobno żerowały czasem w sadzie. Spojrzała na zegarek - zaraz przerwa na lunch. Zadzwoń do domu z sali dla personelu na zapleczu jednej z trzech restauracji. Musi sprawdzić, czy Alec i Josh przestrzegają nakazów.

- Tak, to prawda.

Gdy tylko skończyła rozmawiać z Jimem, poszła na zaplecze, kierując się prosto do automatu telefonicznego. Przydałaby się komórka, ale nie mieściła się w jej budżecie.

Josh odebrał po trzecim dzwonku.

- Alec jest skończonym dupkiem - oznajmił bez wstępów.

- Myśl sobie, co chcesz - odpowiedziała Briana, przyzwyczajona do ciągłych swarów między synami - ale to jednak twój brat. Co robicie?

- Alec odrabia matkę, a ja siedziałem w Internecie aż do twojego telefonu. Wanda zjadła świstaka czy coś w tym rodzaju i teraz pierdzi tak, że nie da się wytrzymać.

- Rozumiem twój ból, ale jak Wanda mogła zjeść świstaka?

- Przecież mówię: „czy coś w tym rodzaju”. Briana uśmiechnęła się.

-Joshua?

- Okej, to była przedwczorajsza kielbaska. I nie ja wpadłem na pomysł, żeby jej dać. Alec.

Czyli wszystko po staremu.

- Przyjedziesz po nas? Nudno tutaj, nawet nie możemy wyjść na dwór!

- Nie mam czasu. Musicie wytrzymać, dopóki nie wrócę. Po pracy wpadnę do supermarketu, więc mogę być trochę później.

- Alec naprawdę wierzy, że tata przyjedzie w sobotę.

Briana zamknęła oczy.

- Być może - powiedziała z naciskiem. - Być może przyjedzie.

- Z tatą to zawsze „być może”.

- Taka jest prawda. Zrób mi jednak tę grzeczność i powstrzymaj się od uwag. One naprawdę sprawiają Alecowi przykrość.

- On żyje w urojonym świecie.

- Jesteś jego starszym bratem. Bądź dla niego miły.

Josh westchnął rozdzierająco.

- Okej, ale tylko do twojego powrotu. Potem się nie liczy.

- Umowa stoi.

W odpowiedzi jęknął z obrzydzeniem.

- Co jest? - spytała nerwowo, już widząc dom w ogniu albo seryjnego mordercę pod tylnymi drzwiami.

- To Wanda! Znowu puściła bąka! - W tle słychać było Aleca, piejącego w szaleńczym zachwycie.

- Dupek! - wrzasnął Josh.

- Nie przezywaj go, Josh! Obiecałeś!

- Dobrze, ale jeśli nie wrócisz do piątej trzydzieści, to będę zmuszony go zabić.

- Na to, Joshuo Grant, mam dla ciebie tylko jedno słowo.

- Jakie?

- Babysitter. Do widzenia! -1 odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przed rudera na skraju miasta parkowały dwa samochody. Na tabliczce przybitej obok drzwi wejściowych napisane było ręką Cassie: „Z klientem”. Logan wziął mazak, dyndający na szpagacie z obszarpanej szpulki i dopisał: „Byłem. Logan”.

Potem się odwrócił i rozejrzał po posiadłości. As węszył wokół krawędzi tipi, obiektu najbardziej zbliżonego do turystycznej atrakcji, jaką miało do zaoferowania Stillwater Springs, Montana. Było oryginalne, zbudowane jeszcze przez ojca Cassie według dawnych reguł, z trzech żerdzi i koźlej skóry. Za wstęp Cassie pobierała pięćdziesiąt centów.

Wrzucił dwie ćwierćdolarówki do zardzewiałej puszkii po kawie, która służyła za kasę - Cassie wierzyła w honorowy system opłat, on także - i dał nura w ten sam chłodny półmrok, w którym on, Dylan i Tyler bawili się jako dzieci.

Poza dawno wygasłym kręgiem paleniska, obramowanym osmalonymi kamieniami, tipi było puste.

Zniknęły złachane koce, które pamiętał, warząchew z tykwy, gliniane garnki i drewniane wiadro. Ani śladu po wyliniałych skórach niedźwiedzi.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, twarzą do paleniska, i wyobrażał sobie tańczące płomienie. Asystent niepewnie usiadł koło niego i oparł mu się lekko o ramię.

Być może zwierzę wiedziało, że w dawnych czasach samo mogło być częścią kolacyjnego menu.

Otoczył psa ramieniem, przycisnął go uspokajająco.

- W porządku, stary. Nikt cię nie udusi z fasolą.
Asystent nie ruszył się z miejsca.

Siedzieli tak dość długo, aż Logan popadł w stan podobny do medytacji. Wspominał inne wizyty w tym miejscu, czasami samotne, a czasami z braćmi. Zawsze rozpalali ogień, napełniając tipi dymem o zapachu skóry, i zdejmowali koszule. Czasami nawet malowali sobie twarze i torsy kosmetykami pozostawionymi przez którąś z ich matek.

Jake nigdy niczego nie wyrzucał.

Poza, rzecz jasna, trzema żonami i trzema synami.

Coś zacisnęło mu się w środku, a Asystent wydał cichy gardłowy jęk, jak gdyby wiązała ich z sobą niewidzialna nić.

Sama osnowa czasu zdawała się zmieniać. To rozciągał się, to kurczył, aż Logan nie potrafił już odróżnić sekund od minut, a nawet godzin.

Na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu.

Zaskoczył silnik.

Pies ruszył do otworu, zaniepokojony hałasem. A Logan dalej trwał w bezruchu. Widział potężny cień Cassie u wejścia, ale ani nie podniósł wzroku, ani się nie odezwał.

- Wiesz, że będziesz musiał zawrzeć z nim pokój - powiedziała spokojnie.

Nie odpowiedział, nawet nie skinął głową ani nie spojrzał jej w oczy. Oczywiście miała na myśli Jake'a, człowieka, którego zarówno kochał, jak i nienawidził, i to z taką intensywnością, że przeważnie nie potrafił odróżnić jednego uczucia od drugiego.

- On nie zazna spokoju, dopóki tego nie zrobisz

- kontynuowała Cassie. Potem weszła do tipi i z gracją usiadła naprzeciwko.

Logan zamrugał i ocknął się z odrętwienia.

- Ciągle wróżysz - zauważył z uśmiechem, mając na myśli tabliczkę „Z klientem” którą zauważył, kiedy przyjechał.

- Żyję z tego - wyjaśniła z lekkim zażenowaniem.

- Nie musisz wróżyć z kart za dolca - wytknął jej, zresztą nie po raz pierwszy. - Dostajesz regularnie czeki od swojej rady plemiennej.

- Może to nie chodzi o pieniądze - odrzekła pojednawczo Cassie i zaśmiała się, bo Asystent zaczął się jej wpychać na podolek.

- I co im mówisz? Tym swoim klientom?

- To zależy, co według mnie powinni usłyszeć.

- Przewierciła go wzrokiem, że aż się poczuł nieswojo.

- Dzwoniłeś do Dylana i Tylera?

- Tak. Dylan właściwie mnie spławił. A Tylerowi zostawiłem wiadomość, ale nie oddzwonił. - Czyli mam to z głowy.

- Chyba tylko w twoich fantazjach.

- Czy to jest część, w której mi mówisz to, co twoim zdaniem powinienem usłyszeć?

-Tak.

Zrobił długi wydech.

Asystent usadowił się na rozłożystych udach Cassie, a ona wprawdzie go nie zepchnęła, ale głaskała z roztargnieniem, skupiona całkowicie na Loganie. Zupełnie jakby promień słońca, po przejściu przez szkło powiększające, wypalał sobie drogę do jego sekretów przez kruchą wewnętrzną skorupę.

- Jake nie zazna spokoju, dopóki się nie pogodzisz z faktem, że jesteś jego synem.

- Jak to „nie zazna spokoju”? - Logan najeżył się. - On umarł, odszedł, jest wykreślony czy co tam. Może wpuścili go do nieba, ale założyłbym się, że pocztę odbiera w piekle.

- Proszę, proszę, co za gorycz! Nikt nie jest całkiem zły, Loganie. Włącznie z Jakiem Creedem.

- To był skurwysyn. Cassie zmarszczyła brwi.

- Nieprawda. Twoja babka była porządną kobietą. Logan nie odpowiedział. Nigdy nie poznał swojej babki, dziadka zresztą też. Oboje zmarli przed jego urodzeniem, a Jake ani o nich nie opowiadał, ani nie trzymał ich zdjęć.

- Ludzie przychodzą na ten świat z programem do wykonania - tłumaczyła spokojnie Cassie. - Czasami program jest prosty, a czasami skomplikowany. Jake wypełnił swoje zadanie.

- Jakie zadanie? Urządzania piekła na ziemi?

- Dał wam siłę. Zarówno tobie, jak Dylanowi i Tylerowi. Jesteście tak wytrzymali, jak ściany tego tipi, wszyscy trzej.

- Dzwoniłem do moich braci. Piłka jest teraz po ich stronie. Co jeszcze można zrobić?

- Nie byłeś na grobie Jake'a, prawda?

Logan zeszywniał, pokręcił głową. Jak się zdawało, Cassie miała oczy wszędzie, w krzakach, w drzewach i w ścianach. Zawsze jakoś wiedziała, co on zrobił i czego nie zrobił. Co gorsza, uważała, że ma prawo wszystko komentować.

- I nie rozpakowałeś dotąd jego rzeczy. To wygodne, prawda? Wtedy nie ciągnie cię do wspomnienia.

- Wróciłem tutaj, czyż nie? Wzruszyła ramionami.

- Nie zostaniesz tutaj, jeśli nie pojednasz się z Jakiem. Wiem, co ci się marzy: doprowadzić do tego, by nazwisko

Creed kojarzyło się z czymś dobrym. A ja ci powiem, że to więcej niż marzenie, to poszukiwanie - najważniejsza rzecz, którą masz w życiu do zrobienia. - Umilkła i rozejrzała się po wnętrzu tipi, jakby jej przodkowie unosili się w powietrzu. Kiedy wbiła wzrok w Logana, poczuł się jak motyl, którego skrzydła przyszpilono do podkładki. - Przegrasz, jeśli nie pogodzisz się z tym, kim jesteś. I nie chodzi tylko o dyplom prawnika, o te bajeranckie srebrne sprzączki trofea z rodeo, o całą tę forszę, co to niby jej nie masz. Musisz przyjąć, że jesteś ciałem z ciała Jake'a Creeda, kością z jego kości, krwią z krwi i że nic tego nie zmieni.

Logan poruszył się niespokojnie i wstał.

- Był łajdakiem. Gdybym mógł być synem kogoś innego, wszystko jedno kogo, chętnie bym się na to zgodził.

- No cóż, nie jesteś. Akurat co do tego mam pewność. - Cassie ostrożnie zepchnęła Asystenta z kolan i wstała, przyjmując pomocną dłoń, którą Logan podał jej z pewnym wahaniem.

- Szkoda, że jemu o tym nie powiedziałaś. - Pienił się w środku ze złości. - Nazywał Teresę kurwą, nie wiedziałaś o tym? Gdy tylko się nawalił, a więc bardzo często, mówił mi, że się szlajała, i że prawdopodobnie nie jestem jego synem. - Pochylił się nieco, nie bacząc na skurcz, który przebiegł przez szeroką poczciwą twarz Cassie. -1 wiesz co? Prosiłem wtedy Boga, aby to się okazało prawdą, i proszę o to teraz!

Cassie nie poddawała się, jak zawsze. Zresztą uwielbiał ją za tę cechę, nawet jeśli wściekały go jej słowa.

- No i co ci to dało, Loganie? Te prośby? Spojrzał na nią gniewnie.

Czekała.

- Jesteś pewna, że nie mówił prawdy? Ten jeden, jedyny raz, w swoim nędznym, bezwartościowym życiu?

- Teresa była wierna mężowi. Kochała go i kochała ciebie. - Cassie wzięła głęboki, nieco drżący oddech.

- Ponadto masz budowę Jake'a, a także jego temperament i potężną dozę uporu, co powinno być odnotowane w każdym słowniku pod hasłem „Creed”.

- Super - burknął Logan, który po upuszczeniu pary oklapł. - I co mam począć z tą całą informacją, o wielka uzdrowicielko?

- Przełam klątwę. Postępuj inaczej niż Jake. Znajdź sobie kobietę i pokochaj ją całym sercem i umysłem, ciałem i duszą. Spłódź z nią dzieci. Trzymaj się jej i tych dzieci na dobre i na złe. - Przerwała i popatrzyła na niego wzrokiem pełnym ciepłego smutku, który w przeciwieństwie do jej prowokacji wciskał mu się głęboko pod skórę. - Odkąd złożono Jake'a do ziemi, cały czas uciekałeś. Powrót tutaj to dla ciebie naprawdę wielka sprawa, wiem o tym. Ale dopóki nie zdobędziesz się na wybaczenie Jake'owi - prawdziwe wybaczenie - dopóty nie ruszysz z miejsca na krok, i to we wszystkich swoich poczynaniach.

Logan przesunął dłonią po włosach.

- Nie dam rady.

- W takim razie ty i twój pies możecie tak samo wsiąść do tego gruchota i wynieść się stąd, bo tutaj marnujecie czas. - W mądrych, brązowych oczach Cassie zabłyśły łzy. - Teresa była moją córką pod każdym względem, który

naprawdę się liczy. Wiem, co przeszła z Jakiem... Maggie i biedna Angela także. Musiałam to wszystko puścić w niepamięć... całą nienawiść i pragnienie zemsty, ponieważ paraliżowało to mnie od wewnątrz. Spójrz na swoje życie. Twoi bracia są dla ciebie obcymi ludźmi. Dwa razy żeniłeś się z niewłaściwymi kobietami. Ranczo - twoje dziedzictwo - jest w ruinie. Nie możesz tego nie dostrzegać. Musisz wszystko naprawić.

- Jak? - spytał Logan ze złością, wiedząc, że Cassie ma rację. Obydwie jego żony, Susan i Laurie, były dobrymi kobietami. Nigdy nie podniósł ręki na żadną z nich i naprawdę rzadko podnosił głos. Ale na swój sposób nie zbliżył się do nich bardziej niż Jake do Teresy, Maggie czy Angeli. - Mam popełnić bigamię?

Cassie uśmiechnęła się.

- Te małżeństwa masz już za sobą. Rozstaliście się w przyjaźni?

W przyjaźni? - pomyślał z żalem Logan. Kochał Susan, a przynajmniej tak sądził. Ale kiedy nie uprawiali dzikiego seksu, mieli dla siebie tylko chłód. Teraz była szczęśliwie zamężna z łysiejącym dentystą o lekkim brzuszku i

spodziewała się drugiego dziecka. Kilka lat po rozwodzie, kiedy wystartował z firmą, przekazał jej uzgodnioną sumę, a Susan ulokowała je w funduszu powierniczym swoich dzieci. Jednakże kiedy widzieli się ostatni raz, wyraz jej oczu mówił mu, że najchętniej naplułaby mu w twarz.

- Nie za bardzo - przyznał. Z Laurie ciągle czasami rozmawiał, zwykle wtedy, kiedy czegoś potrzebowała. Za swoją odprawę rozwodową otworzyła salon fryzjerski w Santa Monica, a kiedy ostatnio rozmawiali, opowiedziała mu o swojej ceremonii ślubnej na plaży o zachodzie słońca.

Wyszła za samą siebie. Biała suknia, welon, tort, te rzeczy.

Widocznie uznała, że to lepsze niż małżeństwo z nim... Z wyjątkiem, gdyby go kto pytał, sfery seksu.

Seks zawsze był więcej niż dobry, zarówno z Susan, jak i z Laurie.

I to właściwie wszystko, za czym tęsknił w małżeństwie.

- Czy one są szczęśliwe? - zapytała Cassie z osten-tacyjną troską o jego byłe.

Skinął głową.

- Nic tak nie poprawia perspektyw życiowych kobiety, jak rozwód z którymś z Creedów.

Roześmiała się i odsunęła klapę tipi, zamierzając wyjść. Do wnętrza przeniknęła słaba smuga światła. As pierwszy przepchnął się do otworu, Logan wyszedł na końcu.

Oślepiło go słońce, więc zaczął grzebać w kieszeni, szukając okularów słonecznych, które zostawił na desce rozdzielczej dodge'a.

Obok furgonetki zaparkował kolejny samochód.

- To Elsie Blake - oznajmiła Cassie z filozoficznym westchnieniem. - Z pewnością zapyta, czy widzę w jej przyszłości mężczyznę, jak zawsze, gdy przychodzi do mnie po wróżbę. Powinnam jej doradzić, żeby poślubiła siebie, tak jak Laurie. Logan zamrugał.

- Wiedziałaś o tym?

- Oczywiście że tak - odpowiedziała Cassie pogodnie. Koniec audiencji był tak oczywisty, jakby mu wprost powiedziała, by ładował tyłek do furgonetki i zjeżdżał do domu. - Rozesłała zawiadomienia ze swoją fotografią w białej sukni na okładce. Wysłałam jej toster.

Kiedy się oddalała, Logan przewracał oczami.

Briana wpadła do kuchni z torbami zakupów w obu rękach i wprawnym okiem ogarnęła otoczenie. Blaty czyste... z wyjątkiem resztek po lunchu: po zwęglonych okruszkach chleba poznała, że były to zapiekane kanapki z serem; tenisówki równiutko ułożone tuż przy tylnym wyjściu... Obaj chłopcy wyglądali jak istne aniołki, tylko dać im świece i wysłać do Watykanu. Jedna Wanda w tym towarzystwie zachowywała się normalnie.

- Okej - mruknęła podejrzliwie Briana; zonglowała torbami, kierując się w stronę stołu. - Coście robili?

- Ja odrabiałem na komputerze histrę - odparł wyniośle Josh, klikając szybko myszą, po czym strona, którą właśnie oglądał, znikła w cybernetycznym niebycie.

- A ja zamiotłem podłogę - pochwalił się Alec. - Oczywiście najpierw odrobiłem swoje lekcje. Tylko ten śmierdziel nie puścił mnie do kompa.

- Co mówiłam o przezywaniu?

Chłopcy wymienili jadowite spojrzenia.

- Żeby tego nie robić - odpowiedział smętny chór. Briana bała się, że gdy tylko zniknie im rano z oczu, Alee i Josh zawędrują do sadu, gdzie, według Logana, grasują

niedźwiedzie, albo urządzi sobie corridę na pastwisku Cimarrona. Ale pewnie oglądali w telewizji program nie dla dzieci, a może dobrali się do jej ukrytych zapasów batoników o rozmiarach kanapki.

Albo jedno i drugie.

- Co będzie na kolację? - zapytał Alec, gdy Briana zaczęła wyklądać zawartość toreb: mleko, wielka puszka zupy, paczki hamburgerów i kurzych piersi, chleb i świeże owoce, a także mrożone ziemniaki, wciśnięte w małe walce.

- Zapiekanka.

Alec zmarszczył brwi z oczywistą dezaprobatą, podczas gdy Wanda drapała tylne drzwi z nadzieją, że zostanie wypuszczona.

- Pamiętasz, że dzisiaj mamy gościa?

Briana uśmiechnęła się przelotnie, wypuściła Wandę, a potem schowała wszystkie zakupy oprócz zupy, kilogramowej paczki chudych hamburgerów i pokrojonych ziemniaków.

- Owszem, pamiętam.

- Myślę, że kowboje żywią się stekami - zauważył Josh, przysuwając się bliżej. Akurat ta zapiekanka, jeszcze z przepisu taty, była specjalnością Briany i obaj chłopcy ją uwielbiali.

Zazwyczaj.

- No więc dzisiaj nie będą. - Podeszła do zlewu, by umyć ręce przed przyrządzaniem posiłku. Pysznic weźmie, kiedy danie wstawi do piekarnika, pociągnie też rzęsy tuszem, a usta błyszczkiem. Nie ma czasu na mycie włosów, więc zwinie warkocz w kok na karku, przypnie go szpilką i będzie dobrej myśli. - Dzisiaj w karcie mamy kartoflaną fantazję dzikusa albo nic. Alec się wykrzywił.

- Josh ma rację - przyznał z przykrością. - Kowboje lubią steki i tego rodzaju rzeczy.

- Przykro mi, ale nic z tego - odparła Briana z lekkim oblędem w oczach. Wanda znowu drapała w drzwi. - Niech któryś wpuści psa, proszę.

Po krótkim pojedynku wzrokowym z Alekiem Josh wyświadczył jej ten zaszczyt.

- A potem nakarmi.

- Siedzieliśmy cały dzień w domu - poskarżył się Josh, ale zaczerpnął miską psich chrupek z torby i postawił ją, napełnioną z czubem, przed Wandą. Miał przy tym minę starożytnego niewolnika dźwigającego kamienie do budowy piramidy. - Myślałem, że zrobimy sobie piknik na cmentarzu.

- Słyszeliście, co pan Creed, to znaczy Logan mówił o niedźwiedziach.

- A kiedy ostatni raz widziałaś niedźwiedzia?

Briana westchnęła. Nigdy nie widziała niedźwiedzia, przynajmniej nie w okolicach Stillwater Springs, i pewnie dlatego Dylan jej nie ostrzegł, kiedy wprowadzała się z chłopcami. W czasie jednej z rzadkich rozmów telefonicznych uprzedził ją, że podłoga w piwnicy w paru miejscach próchnieje, że w czasie mrozów piec centralnego ogrzewania trzeba trzy razy kopnąć, bo inaczej nie ruszy, i że ma trzymać się z daleka od Cimarrona.

Dlaczego nie wspomniał nic o niedźwiedziach, skoro stanowiły zagrożenie?

Czyż Jim Huntinghorse lub ktoś ze znajomych nie uprzedziliby jej?

Nastrój, już lekko zmrożony, jeszcze się jej pogorszył. Logan albo świrował w kwestii tych niedźwiedzi, albo po prostu nie chciał, aby ona z synami pętała się po posiadłości.

Przez moment pożałowała, że zaprosiła go do siebie. Jakie inne śmieszne strachy spróbuje zasiać jej w głowie?

- No kiedy? - kontynuował przesłuchanie Josh, który nigdy nie porzucił tematu, dopóki go całkowicie nie wyczerpał. - I myślę, że lepszy byłby piknik na cmentarzu.

- Okej, możemy mieć pikniki na cmentarzu, ale nie dzisiaj. Nie będę targać gorącego naczynia przez strumień.

Josh i Alec przybili piątkę, w niecodziennym popisie zgody.

Briana szybko zrumieniła mięso na żeliwnej patelni, odsączyła, wymieszała z zagęszczoną zupą pieczarkową i kilkoma liofilizowanymi cebulami, na wierzch wsypała pokrojone ziemniaki i wsunęła wszystko do piecyka nastawionego na sto osiemdziesiąt stopni.

Telefon zadzwonił, gdy wychodziła spod prysznic. Vance? Że pojawi się wcześniej albo wcale? Logan, żeby

odwołać wizytę? Skrzypnęły drzwi łazienki. W szczelinie ukazała się głowa Aleca z mocno zaciśniętymi oczami.

- Mamo?

Owinięta ręcznikiem Briana zachichotała na ten widok.

- Co jest?

- Wygraliśmy tygodniowe wakacje nad Jeziorem Tahoe! Musimy tylko poszukać kogoś do współwłasności domu i obejrzeć film. Nawet zawiozą nas tam samolotem!

- To sztuczka reklamowa. - Briana sięgnęła wolną ręką po szlafrok. - Odłóż słuchawkę.

- Ale powiedziałem facetowi, że jesteś pod prysznicem i że po ciebie pójde. Przecież wygraliśmy!

Była już w szlafroku, ze szczelnie zawiązanym paskiem.

- Możesz otworzyć oczy, wyglądam przyzwoicie. Idź i powiedz „facetowi”, że nas to nie interesuje, i się rozłącz.

Alec powlókł się do kuchni, żeby wykonać polecenie - przynajmniej taką miała nadzieję - a Briana przemknęła do sypialni. Włożyła czystą bieliznę, obcisłe dżinsy, biały bezrękawnik i sandały, upięła włosy, spryskała się

perfumami z drogerii, które chłopcy podarowali jej na gwiazdkę, wreszcie przyjrzała się swojemu odbiciu w mętym lustrze nad komodą.

Uznała, że tusz do rzęs i błyszczak są absolutnie niezbędne.

W kuchni unosiła się smakowita woń zapiekanki. Briana zatrzymała się w progu, nieco zaskoczona widokiem siedzącego przy stole Logana z Joshem po prawej i Alekiem po lewej ręce.

- Przyszedłem za wcześnie. - Z przepaszającym uśmiechem wstał z krzesła. Na stole stały polne kwiaty w słoiku i butelka białego wina.

Punkt za dobre maniery. W nowych dżinsach i wyprasowanej białej koszuli, rozpiętej pod szyją, wyglądał aż nazbyt atrakcyjnie. W ciemnych włosach, jeszcze wilgotnych po prysznicu, odznaczały się wyraźnie ślady grzebienia.

Przez siatkę w ciągle otwartych tylnych drzwiach widać było drzemiącego na ganku Asa. Briana odwróciła na chwilę wzrok od Logana, żeby nieco ochłoniąć, ale zaraz

przywołała na twarz uśmiech, może ciut za bardzo promienny.

- Nic nie szkodzi, kolacja jest już gotowa.

- Pachnie znakomicie - zauważył jakby nieśmiało.

Wiedziała, że nie jest nieśmiały.

Udaje czy co?

- To Kartoflana Fantazja Dzikusa - oznajmił dumnie Alec; jak widać zmienił wcześniejsze stanowisko w kwestii steków.

Logan, który na zaproszenie Briany zajął z powrotem miejsce, uniósł brew, a w kąciku ust zadrgał mu lekki uśmieszek.

- Kto to jest Dzikus?

- Nasz dziadek - odpowiedział Josh. - Był sławnym klaunem w cyrku rodeo.

- Ach! - wykrzyknął Logan, nie spuszczać wzroku z twarzy Briany. - Ten Dzikus?

- Znałeś go? - zapytał Alec zaintrygowany ponad wszelką miarę. Sądząc po jego minie, ta rewelacja przebijała nawet rzekomo wygraną wycieczkę nad Jezioro Tahoe. Nawet piegi mu poczerwieniały.

- Kiedy byłem w twoim wieku, widziałem kilka razy jego występy. - Logan przeniósł spojrzenie na Aleca. Jakoś mu się udało wciągnąć na swoją orbitę także Josha. - Chciałem zostać Dzikusem McIntyre, gdy dorosnę. Okazało się jednak, że jestem tylko sobą.

Briana zajęła się nakrywaniem do stołu. Na pewno Logan jadał z tych samych naczyń, przemknęło jej przez głowę. W czasach, kiedy on i Dylan byli dla siebie naprawdę braćmi... jeśli w ogóle kiedykolwiek łączyły ich relacje braterskie.

- Mamy cały album jego zdjęć! - pochwalił się Alec.

- Po kolacji - wtrąciła Briana z nieco sztucznym uśmiechem.

Chłopcy nie zwrócili na to uwagi.

Ale Logan tak. Patrzył przez chwilę na Brianę, powodując tym pulsowanie każdej komórki jej ciała, po czym zerknął na Aleca.

- Bardzo chętnie obejrzę - powiedział. - W odpowiednim czasie.

Briana upomniała surowo samą siebie, ma się natychmiast opanować i przestać zachowywać jak

kretynka, ale nic z tego nie wyszło. To zwykła kolacja z sąsiadem, a jednak wyczuwało się, że nie tylko.

Wyczuwało się w tym jakby początek czegoś.

Nie lubiła początków, ponieważ nieuchronnie przekształcały się w zakończenia. Gdyby miała wybór, spędziłaby resztę życia gdzieś pośrodku, z dala od ważnych wydarzeń. Teraźniejszość, niechby nawet ze wszystkimi problemami, to przynajmniej dobrze znany grunt.

Miała chłopców, dach nad głową i pracę, która pozwalała jej płacić rachunki.

I to wystarczy, czyż nie?

Zapiekanka udała się nadzwyczajnie. Logan wziął dwie dokładki, chociaż nie tknął wina. Odkąd w pewnej chwili otworzył butelkę, Briana zgodziła się na jeden kieliszek, ale po kilku nieśmiałych łykach uznała, że lepiej będzie się czuła bez rauszu. Nawet łagodnego.

Tak naprawdę i bez alkoholu czuła w końcówkach nerwów rausz. Być może Vance miał rację, kiedy zarzucił jej seksualny głód.

Przez całe tygodnie nie myślała o seksie.

Teraz, kiedy Logan Creed, w całej krasie swojej surowej, męskiej urody, podkreślonej seksownym ubiorem, siedział przy jej stole, czuła, że jakieś prymitywne instynkty zawładnęły niektórymi częściami jej ciała.

No nie, tak nie może być.

Gdy tylko skończyli jeść, wstała szybko i zaczęła sprzątać ze stołu. Zwykle to Alec i Josh musieli odnosić naczynia, ale tego wieczoru chciała mieć pełne ręce roboty.

Toteż szamotała się po kuchni jak trzmiel uwięziony w słoiku z dżemem. Nawet Wanda przyglądała się temu z zaciekawieniem.

Logan próbował jej pomóc, ale go odsunęła. Tylko tego brakowało, żeby ten mężczyzna stał z nią biodro w biodro przy zlewie czy gdzie tam wypadnie. I tak zapach jego wody kolońskiej - jeśli to w ogóle była woda - uderzał jej do głowy. Pachniał wysuszonym na słońcu praniem, świeżo skoszoną trawą, latem.

Z honorowego miejsca w salonie Josh przyniósł album i rozłożył na sprzątniętym już stole.

- To on - zwrócił się do Logana, pukając palcem w wyblakłe czarno-białe zdjęcie. - Mój dziadek, Bill „Dzikus” McIntyre.

Briana dawno pogodziła się z tym, że jej chłopcy nigdy nie poznają dziadka. Mimo to oczy ją zapiekły, a gardło się ścisnęło.

Profil Logana, pochylonego nad albumem, wzbudził w niej w niej jakieś dziwne emocje. Życzyła sobie, żeby zaraz wstał i sobie poszedł. A jeszcze bardziej życzyła sobie, by został.

Traciła głowę.

Podniósł wzrok, jakby poczuł, że go obserwuje.

- Mama mówi, że na rodeo to klauni są najodważniejsi - oznajmił nieco prowokacyjnie Alec.

- Ma rację. - Znów nie spuszczał z niej wzroku.

- Kilka razy... ocalili mi życie.

Starła się ze wszystkich sił odwrócić oczy, ale nie potrafiła.

- Widzicie? - Josh nie posiadał się ze szczęścia, iż wyszło na jego. - Mówiłem wam, że Logan jest kowbojem!

Brianę zapięły policzki. Odwróć wzrok, bo ja nie potrafię, błagała w duchu Logana.

A on, zupełnie jakby ją słyszał, spełnił tę prośbę. Skoncentrował się teraz na chłopcach.

- Kiedyś rzeczywiście byłem kowbojem. Rzuciłem to, żeby wstąpić do wojska.

- Byłeś na wojnie? - zapytał Alec, wciąż pod wrażeniem.

- Tak - odparł Logan. Zabrzmiało to ochryple, więc odchrząknął. - Niespecjalnie mi na tym zależało.

Niespecjalnie mu zależało! Za sam ton, jakim to wypowiedział, można by mu przyznać tytuł obłudnika stulecia.

- Zwykle zabieramy Wandę na spacer po kolacji - odezwał się Josh.

Logan odsunął z uśmiechem krzesło, wyraźnie wdzięczny za zmianę tematu.

- Świetny pomysł. Może i my z Asem pójdziemy?

- A jeśli spotkamy niedźwiedzia? - przypomniała Briana. Zdążyła już pozmywać i przykryć ścierką talerze, szkło i sztucce na ociekaczu.

Logan zachichotał.

- Cóż, w takim wypadku odradzałbym ucieczkę. Niedźwiedź potrafi przegonić nawet szybkiego konia. I nie wolno wspinać się na drzewo, bo w tym także celują. Ja bym spróbował pokonać go uśmiechem, jak starszek Dan Boone*.

- Jesteśmy z nim spokrewnieni - oznajmił z dumą Josh.

- A kto nie jest? - zażartował Logan. Josh się roześmiał.

Logan otworzył siatkowe drzwi i wyszli na dwór, Briana na końcu.

Przysięgłaby, że Logan gapił się na jej... hm... odwrotną stronę medalu, gdy koło niego przechodziła.

As z Wandą wyrwali do przodu, zadowoleni z perspektywy spaceru, chłopcy dotrzymywali im kroku.

- Lubią cię - powiedziała Briana.

- To chyba dobrze, prawda? Odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz.

- To zależy. Brakuje im ojca. Mogą z łatwością...

- Co mianowicie? - zapytał spokojnie.

- Polubić cię za bardzo - dokończyła z zakłopotaniem.

- Jestem nieszkodliwy.

- Nie sędzę.

Przez chwilę szli w milczeniu, obserwując chłopców przed nimi, jak brykają z psami. Chociaż słońce nie powinno jeszcze zachodzić co najmniej przez godzinę, już zmierzchało, pokazywały się pierwsze gwiazdy i księżyc przebijał się przez chmury. Wiejskie powietrze pachniało sianem, trawą i urodzajną ziemią.

A może to Logan tak pachniał? Prawie nie tknęła wina, a jednak Briana Grant czuła się lekko oszołomiona.

- Czemu powiedziałeś mi o tych niedźwiedziach? Boję się wypuszczać chłopców z domu.

Nie wziął jej za rękę, ale przysunął się na tyle blisko, że kostki ich dłoni się zetknęły, a Brianę przeszedł ostry, palący dreszcz.

- Nie chciałem cię wystraszyć. Niedźwiedzie żerują głównie na wysypisku po drugiej stronie miasta. Jednak czasem składają wizytę w sadzie. Można by za to winić ludzi, zajmują ich tereny, ale do gruszy i jabłoni niedźwiedzie dobierały się już od czasów starego Josiaha Creeda.

Briana zadrżała i skuliła się pomimo ciepłego wieczoru.

- Podobnie jak większość dzikich zwierząt - ciągnął Logan - są niebezpieczne tylko wtedy, gdy czują się zagrożone, a to się zdarza, jeżeli się je zaskoczy.

- Mogę na przykład walić łyżką w patelnię - zastanawiała się na serio Briana. - To znaczy, kiedy idziemy na cmentarz. Bo raczej nie mamy innych powodów by odwiedzać sad.

Uśmiechnął się.

- Pewnie, że możesz. Czy się z niej naśmiewał?

- Nie chcę, żeby moi chłopcy się bali. - Wyprostowała się lekko. - Nawet niedźwiedzi.

- Trochę strachu nie zaszkodzi. Czasem to nawet zdrowo, szczególnie w wypadku niedźwiedzi, no i tego starego byka, podopiecznego Dylana.

Zerknęła na niego z ukosa, ale nic z tego, co mówił o bracie, nie odbijało się na jego twarzy czy zachowaniu.

- Nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów z Cimarronem.

- Bóg jeden wie, po co Dylan go trzyma. Nie hoduje bydła, a tylko wtedy miałoby to sens.

- Niezbyt go lubisz, prawda?

- Cimarrona? - zapytał wymijająco.

- Dylana.

- Nie powiedziałbym tego.

- To co byś powiedział?

- Że dawno temu doszło między nami do wielkiej awantury - odparł chłodno, a ona zrozumiała, że przekroczyła granicę. - To się zdarza między braćmi.

Briana zerknęła na rozbrykanych chłopców, i jak zwykle poczuła przyływ dzikiej, nieokiełznanej miłości.

- Alee i Josh ciągle się czubią. Gdyby jednak jako dorośli mieli się nienawidzić, tego bym nie zniosła.

Milczał przez chwilę.

- Nie czuję nienawiści do Dylana - odpowiedział po namyśle.

Twarz mu stężała. Ponieważ powiedziała już zbyt wiele, Briana postanowiła trzymać język za zębami.

Logan zagwizdał; dzieci i psy jak na komendę zawróciły w jego stronę.

- Dziękuję za kolację. Wrócimy już z Asem do domu. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Briana kiwnęła głową.

Logan pożegnał chłopców, a potem on i Asystent ruszyli w stronę sadu. Jeżeli obawiali się niedźwiedzia, to sposób, w jaki przemierzali wiejską drogę, był tego zaprzeczeniem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Komórka zadzwoniła, gdy Logan w towarzystwie rozdokazywanego psa szedł przez pogrążający się już w mroku sad. Zerknął na wyświetlacz i zobaczywszy, kto dzwoni, przełknął głośno ślinę.

- Halo, Tyler - powiedział, nacisnąwszy odpowiedni klawisz.

Lodowaty chłód w ciągu milisekund pokonał drogę od Tylera do satelity, a potem do ucha Logana, skąd rozlał mu się po całej głowie.

- Zostawiłeś wiadomość, to dzwonię - wyjaśnił Tyler. Głos miał niski; od czasu, kiedy ostatnio z sobą rozmawiali, jeszcze mu się zmienił.

Logan stłumił westchnienie.

- Musimy porozmawiać.

- Ty może musisz, starszy bracie, ale ja nie mam ci nic do powiedzenia.

Logan zatrzymał się w środku sadu, spojrział na gałęzie nad głową, w razie gdyby jakiś niedźwiedź szykował się do

skoku. Ciężar, który oddzielał go od Tylera, był jednak większy od wszystkiego, co mogłoby spaść z drzewa.

- Nie rozłączaj się, okej? - Musiał całą siłą zwalczyć dumę, zanim te słowa przeszły mu przez gardło.

- Podaj mi jeden dobry powód, dlaczego miałbym tego nie zrobić - burknął Tyler, ale przynajmniej nadal go słuchał... jeśli martwą ciszę uznać za słuchanie.

- Bo jesteśmy braćmi?

Tyler roześmiał się, ale bez krztyny wesołości. Tępy chłód, który przywitał Logana, rozprzestrzenił się jak nisko pełzająca mgła po zalanym deszczem krajobrazie.

- Ciepło, ciepło... ale my jesteśmy braćmi tylko w połowie. Zgadnij, która połówka jest moją ulubioną?

- Za łatwe. - Logan ruszył z wolna dalej. As co parę kroków zaglądał mu w oczy na swój zatroskany sposób. - Ta, która nie jest spokrewniona ze mną.

- Słusznie. Czego chcesz, Logan? Bo raczej nie pieniędzy, masz ich aż nadto. A jeśli myślisz, że zobaczysz mój podpis na kontrakcie sprzedaży rancza, to zapomnij.

Logan z trudem rozluźnił szczęki, by móc wydobyć głos.

- Nikt nie mówi o sprzedaży. Dylan zareagował tak samo...

- Rozmawiałeś z Dylanem?

- Tak, wczoraj.

- Gdybyś z nim jeszcze gadał, powiedz mu, że jest pierdolonym kurzym wypierdkiem.

Mimo wszystko Logan musiał się uśmiechnąć. Wyszli z Asem z sadu i pies pognał przodem, żeby obwąchać stertę stalowych słupków, drewna i innych materiałów budowlanych, które już przywieziono, żeby stawiać ogrodzenie.

- Sam mu to powiedz.

Znowu zapadła cisza. Potem Tyler przeszedł do rzeczy:

- Czego. Ty. Chcesz?

Logan dużo o tym myślał od czasu podobnej rozmowy z Dylanem. Nie bardzo wiedział, więc wymyślił coś na poczekaniu.

- Planuję remont głównego domu. Chcę wybudować nową stajnię, wymienić niektóre płoty i tak dalej. Ponieważ ty i Dylan macie równe udziały w ranczu, myślałem, że

zechcecie przyjrzeć się projektom i ewentualnie wyrazić zgodę na zmiany.

Znów cisza.

- Jesteś tam? - zapytał Logan. Doszedł już do frontowego ganku, ale nie zamierzał jeszcze wchodzić do środka, usiadł więc na stopniu. Asystent gonił w wysokiej trawie nisko latającego owada, kłapał paszczą, ale ciągle pudłował.

- W sprawie głównego domu nie mam nic do gadania - odpowiedział wreszcie Tyler spokojnym, ale pełnym urazy głosem. - Stajnię też buduj, jeśli chcesz. Nigdy wcześniej nie potrzebowałeś mojej zgody, więc co ci teraz odbiło?

- Mam zamiar hodować bydło i nie chcę, żeby mi się rozlazło. Dlatego muszę ogrodzić na nowo pastwiska, a część tej ziemi jest twoja.

- Przypuśćmy, że nie chcę, żebyś pasł bydło na moim kawałku ziemi?

Czupurny kogucik, pomyślał Logan, nawet nieco rozbawiony.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli ruszysz dupę i spróbujesz mnie powstrzymać. A skoro według ciebie

Dylan jest „pierdolonym kurzym wypierdkiem”, powiedz mu to.

Tyler zaklął. Ale wciąż nie przerywał połączenia.

Logan zastanawiał się, czy to dobry znak, czy też najmłodszy brat po prostu szykuje się do bitki, choćby i na odległość. Być może jego obecni kumple byli zbyt mili i po prostu nie dawali mu do tego okazji.

Mało prawdopodobne.

- Nie życzę sobie żadnych płotów, jasne? Przynajmniej nie na mojej ziemi.

- Za późno na protesty - odparł Logan. - Materiały są zwiezione i wynajęłem już robotników. Zaczynają jutro wczesnym rankiem.

- Żadnych płotów, słyszysz? Jeżeli je postawisz, zmuszę cię do rozbiórki.

- Dużo gadasz, jak na młodszego brata. - Wiedział, że to tak, jakby wrzucił zapaloną zapałkę do baku z benzyną. - Jestem prawnikiem, pamiętasz? Zanim wypłaczesz się z całej biurokracji, rozpętam największą hodowlaną operację w całym stanie Montana.

- Wal się, skurwielu!

- Miło się gadało, Tyler. I pozdrów Dylana. - Logan przeciągnął się, wydając przy tym dźwięk podobny do westchnienia.

- Słuchaj...

Logan ziewnął demonstracyjnie.

- Teraz jestem ranczerem, a o ile pamiętasz, ranczerzy wcześniej wstają. Więc chcę się już położyć.

- Nie rozłączaj się...

Logan nacisnął klawisz zakończenia rozmowy.

Komórka natychmiast zadzwoniła znowu.

Sprawdził identyfikator: Tyler.

Nie odebrał, gwizdnął na Asystenta. I weszli do środka.

W starym domu niosło się echo, bo nie było w nim mebli, obrazów i gromadzonych przez kolejne pokolenia bibelotów. Podeszwy butów Logana na gołej podłodze wydawały głuchy dźwięk.

Telefon przestał dzwonić, a po chwili znów zaczął.

Logan zerknął na wyświetlacz.

Asystent przekrzywił głowę i postawił uszy. Tak jak Logan przypuszczał, pies mógł przez dłuższy czas być zdany na samego siebie (weterynarz nie znalazł

mikroczipa) ale wiedział już, że na dzwoniący telefon się odpowiada. Czuł się winny jego niepokoju, wyłączył więc komórkę i odłożył ją na gzyms kominka nad pustym paleniskiem.

- Wszystko w porządku - uspokoił psa, pstrykając kontaktem przy drzwiach jadalni. Przy marnym oświetleniu dom prezentował się jeszcze gorzej.

Logan przypomniał sobie album, który Alec i Josh pokazywali mu tego wieczoru, i wezbrało w nim uczucie samotności.

Matka i obie macochy uwielbiały fotografować - w domu przechowywano masę zdjęć dokumentujących dzieciństwo braci.

Gdzie się to wszystko podziało?

Większość mebli sam odesłał do magazynu w rok po śmierci Jake'a. Albumy i kufer z papierami rodzinnymi także tam trafiły?

Nie potrafił sobie przypomnieć, może zresztą nigdy tego nie wiedział.

Miał wprawdzie klucz do swojego schowka w magazynie, ale nie chciało mu się jechać do miasta i przekopy-

wać się z latarką przez graty. Zależało mu jednali na zdjęciach, ponieważ nagle poczuł się dziwnie niematerialny, jakby nigdy nie istniał, nie miał przeszłości.

Może razem z Asem są tylko duchami, nawiedzają zrujnowany dom na ranczu. Brak im tylko łańcuchów do podzwania i kogoś do straszenia.

Wiedząc, że prędko nie zaśnie, uznał, że poszukiwanie zdjęć najlepiej rozpocząć od strychu. Skierował się na tył domu, oczywiście w towarzystwie Asa, który jakby ciągle się bał, że pan zniknie mu z oczu.

Drabina na strych była ukryta za klapą w suficie kuchni.

Mimo słusznego wzrostu Logan musiał podskoczyć, żeby złapać sznurowy uchwyt i ściągnąć drabinę na dół.

Kiedy całym ciężarem walnęła w podłogę, z gory buchnął kłęb kurzu. Asystent odskoczył w popłochu, a Logan zaniósł się takim kaszlem, że aż łzy mu pociekły. - Zostań - polecił psu, po czym zaczął się wspinać schyliwszy głowę, żeby nie uderzyć w solidne drewniane krawędzie otworu.

Asystent zlekceważył rozkaz i natychmiast wdrapał się za nim.

Logan przeciągnął przedramieniem po twarzy. Przydałaby się latarka, pomyślał, ale ponieważ musiałby schodzić po nią na dół i jeszcze wędrować do furgonetki, postanowił polegać na swoim wzroku. Rzeczywiście, na strychu było pełno rupieci. Kufry. Pudła. Długi plastikowy tobogan, pęknięty w środku. Stara aluminiowa choinka, mrugająca przebłyskami zabłąkanego światła.

Przynajmniej tego drzewka ojciec nie zdołał przepiłować na pół, rozmyślał Logan. Miał dwanaście lat, kiedy kupił je za uciulane pieniądze - kosił trawniki odgarniał śnieg oraz wykonywał różne dziwne prace na sąsiednich ranczach. Z gotówką w kieszeni pomaszerował prosto do sklepu z żelastwem gdzie przepuścił wszystko do spodu. Kupił nawet tę pierdoloną lampkę, która obracała się, rzucając najpierw czerwony, a potem zielony i złoty blask. Kurczę, ależ Dylan i Tyler uwielbiali to drzewko..

Wtedy już byli za duzi, by wierzyć w Świętego Mikołaja - przy takim ojcu jak Jake Creed pewnie nigdy w niego nie wierzyli - ale Logan jeszcze teraz widział oczy

braci, tak wyraźnie, jakby odbył podróż w czasie, odbijał się w nich blask srebrnego rozjarzonego drzewka.

Od tych wspomnień aż zapiekło go w gardle. Wtedy bracia trzymali się razem. Musieli - było ich trzech przeciwko ojcu i surowemu światu.

Rzecz jasna, tłukli się też ze sobą, jak to chłopcy, ale bardziej dla sportu niż z jakiejś szczególnej wrogości, a kiedy pojawiał się jakiś kłopot - co zdarzało się dość często - stawali ramię w ramię i wspólnie stawiali mu czoło.

Kiedy to się zmieniło?

Na pewno jeszcze przed pogrzebem Jake'a bo inaczej nie rzuciliby się sobie do gardeł, ale jakiegoś konkretnego punktu zwrotnego Logan nie mógł sobie przypomnieć.

- Strzepnij to - nakazał sobie głośno. To powiedzonko, jak wiele innych rzeczy, niechęć odziedziczył po Jake'u.

„Strzepnij to, chłopie” - taka była odpowiedź Jake'a na wszystkie problemy; na ramię Dylana złamane w piątej klasie tak paskudnie, że aż mu wyszła kość; na koszmary Tylera, który budził się z krzykiem po tym, gdy szeryf Book zawiadomił ich, że w dalekim motelu znaleziono ciało jego matki; na nagłą operację wyrostka Logana w

wieczór balu maturalnego. Niewiele brakowało, a wykorkowałby wtedy w karetkę. Strzepnij to, chłopie.

- Pierdol się, stary - syknął Logan pod nosem.

- Pierdol się, słyszysz?

Wydało mu się, że gdzieś w tyle głowy odezwał się rechot Jake'a.

Zaczął otwierać pudła i kufry.

Papierzyska... Stare gazety aż kruszyły się w rękach. Akty notarialne, mapy oraz coś, co wyglądało na drzewo genealogiczne rodziny, zwinięte w rulon i związane zmurszałą wstążką.

Odsunął te rzeczy na bok i kontynuował poszukiwania. Szukał albumów założonych przez Teresę, Maggie i Angelę, nic więcej go nie interesowało.

Na dużym plastikowym pojemniku z wciskaną pokrywką widniał napis „Zdjęcia”, nabazgrany na boku czarnym pisakiem pochyłym pismem Jake'a. W środku leżało kilka grubych folderów.

Nie pozwolił sobie - przynajmniej świadomie - na rozważania, czy to, że Jake z takim pietyzmem potraktował albumy, z których się zawsze wyśmiewał, może mieć jakieś

znaczenie. Był przekonany, nawet bez zaglądania, że nie znajdzie w nich ani jednego zdjęcia ojca uśmiechającego się do obiektywu, jak wszyscy inni. Zawsze musiał robić miny, nachmurzyć się lub w ostatniej chwili uciec z kadru, zanim błysnął flesz.

Zawsze musiał coś spieprzyć.

Logan przypisał pieczenie oczu wszechobecnemu kurzowi, który razem z psem wzbijali przy każdym ruchu. Zamrugał parę razy, po czym dźwignął niesamowicie ciężki pojemnik, zawierający wiele chwil z życia jego samego oraz braci, i ruszył na dół.

W kuchni postawił plastikowe pudło na okrągłym dębowym stole, jedynym meblu, który pozostał na swoim miejscu. Krzesła stanowiły zbieraninę ze wszystkich pokoleń Creedów od czasów Josiaha.

Asystent szurnął pazurami po linoleum. Właśnie zeskokczył z ostatniego stopnia i zademonstrowawszy figurę „Bambi na lodzie” dał wyraźnie do zrozumienia, że o to mu właśnie chodziło.

Logan zaśmiał się i potarł go za uszy.

- Nie wiem, czy jestem na to gotowy - powiedział. W tym momencie na ścianie zadzwonił telefon. Był

starego typu i nie miał identyfikatora numeru, więc Logan odebrał. Przecież mogła dzwonić Briana, że ma na ganku niedźwiedzie albo że Cimarron wybrał się na ksiuty.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - zaczął bez wstępów Dylan.

Logan uśmiechnął się. Może jego bracia spierali się o coś, ale to oczywiste, że Tyler poinformował Dylana o planach gradzenia pastwiska.

- Teraz? Stoję w kuchni.

- Tyler mówi, że chcesz ogrodzić całe ranczo i hodować bydło!

- Zgadza się. Mógłbym kryć jałówki twoim bykiem, ponieważ nie widać, żeby służył do czegokolwiek poza spalaniem ogromnych ilości trawy i ziarna.

- Jesteś właścicielem jednej trzeciej rancza, a nie całości!

- Czemu się tak rzucasz w sprawie tych płotów? - Logan podniósł pokrywę pojemnika i oglądał zakurzoną oprawę starego albumu. Był tam wyciśnięty złotymi literami napis

„Nasza rodzina”. - Przecież zwiększam w ten sposób wartość posiadłości, chociaż nie proszę żadnego z was o złamanego centa.

- Po prostu zostaw moją część rancza w spokoju, okej?

- Mógłbym to zrobić, gdyby nie twój byk. - Zrobił pauzę, by do Dylana dotarło, co mówi, łącznie z podtekstami i wszystkim. - Chyba nie muszę ci tłumaczyć, nawet biorąc pod uwagę liczbę wstrząsów mózgu, jakich doznałeś na rodeo, że jeśli Cimarron kogoś poturbuje, to wpłynie pozew o odszkodowanie. I powód będzie miał głęboko w dupie, który z nas jest właścicielem zwierzęcia. Jeśli wypadek zdarzy się na terenie rancza, wspólnie za niego odpowiemy, jako właściciele. Może ty nie masz nic przeciwko podejmowaniu takiego ryzyka, ale ja mam.

Dylan kipiał złością, ale wzmianka o pozwie musiała go w oczywisty sposób nieco przyhamować.

- Płacę Chetowi Fortnerowi dwieście dolców miesięcznie za opiekę nad Cimarronem - wyjaśnił spuściwszy nieco z tonu.

- Cóż, trudno mieć pretensję do Cheta, że za dwieście dolców miesięcznie nie naprawiał płotów. Tak czy inaczej,

bariery są stare i niektóre próchnieją. Kilka dobrych kopniaków albo walnięcie „z byka” i zwierzak się wydostanie, a wtedy z pewnością narobi kłopotów. Dlatego zamówiłem tyle stalowych słupków i rur, żeby wystarczyło na ogrodzenie całego pastwiska.

Dylan wyraźnie zużył cały zapas pary.

- To ile ci jestem winien? Znaczy, za to grodzenie?

- Nie będę wiedział przed zakończeniem robót - skłamał Logan. Dysponował dokładną kalkulacją, poza tym ustalił z przedsiębiorcą, że kwota na podsumowaniu jest ostateczna, a ewentualne nadwyżki kosztów to problem jego, a nie Logana. Nie zależało mu tylko na czeku Dylana; chciał ściągnąć brata do domu, choćby tylko po to, żeby mógł sprawdzić wszystko na własne oczy. -Aha.

- Widziałem twój dom. - To także była przemyślana uwaga, która miała nakierować Dylana na temat pewnej pięknej sąsiadki. - Briana dobrze się nim opiekuje.

Cisza. Logan wiedział, że brat przetrawia informację, rozważając, czy powinien się wkurzyć, czy nie. Jak to z Dylanem - możliwe były obie opcje.

- Halo? - odezwał się Logan.

- To ty już bywasz u Briany? - zainteresował się Dylan. - Szybki jesteś.

- „Ten, kto się waha jest zgubiony” - zacytował Logan beztrosko, ale wewnątrz czuł się tak niepewnie, jak wtedy, w starych złych czasach, kiedy Jake wracał późno po wypłacie, a aktualna macocha próbowała robić dobrą minę do złej gry. Jeśli Dylana coś łączyło z Brianą, zmienia to całkowicie sytuację, i bynajmniej nie na lepsze.

- To porządna kobieta - powiedział Dylan, znowu tym cierpkim tonem. - Zrób jej tę grzeczność i zostaw w spokoju.

- Mówisz, jakbyś miał prawo ją chronić.

- Ledwie ją znam. Ale jest uczciwa i ciężko pracuje, a z tego co słyszałem, miała wystarczająco dużo kłopotów z facetem. Jeśli coś ci chodzi po głowie, to lepiej zrezygnuj.

- Nie ma mowy.

Dylan zaklął i przerwał połączenie.

Logan uśmiechnął się do Asystenta, który cały czas obserwował go z zainteresowaniem.

- Jak dotąd, nieźle - zauważył.

Asystent zaskomlał. Prawdopodobnie nie podzielał tego zdania.

Logan postawił psu miskę z karmą i podszedł do kuchennego zlewu, żeby obmyć twarz i ręce z kurzu. Wytarł się papierowym ręcznikiem i wrócił do przerwanej zajęcia.

Zdejmując pokrywę z pojemnika, wyobraził sobie scenę otwierania Arki Przymierza z filmu o Indianie Jonesie. Nie mógł się pozbyć uczucia, że właśnie uwolnił masę wyjących widm i zjaw.

Wziął album „Nasza rodzina” i pokiwał głową nad naiwnym optymizmem tytułu.

Na widok dedykacji na pierwszej stronie aż go zakłuło w sercu: „Jake'owi i Teresie w dniu ślubu - z miłością od Cassie”.

A więc to Cassie była tą optymistką, która kupiła album „Nasza rodzina”. Mieszkając przez całe życie w Stillwater Springs, musiała sporo wiedzieć o Jake'u. Być może wtedy, inaczej niż teraz, wierzyła w sprawczą moc życzeń.

Ze ściśniętym gardłem przysunął sobie krzesło i opadł na nie; nie będzie w stanie oglądać tych zdjęć na stojąco.

Asystent położył pysk na udzie swojego pana i jęknął ze współczuciem.

Logan zebrał się w sobie i odwrócił pierwszą stroną.

Od razu okazało się, że się mylił - istniało co najmniej jedno zdjęcie uśmiechniętego ojca. Jake, bardzo młody i niesamowicie podobny do Dylana, spoglądał radośnie z taniego portretu ślubnego, ubrany w smoking, który w późniejszym życiu określałby pewnie jako „małpi gajer”. Obok niego uśmiechała się Teresa, ciemnooka piękność, dumna z młodego męża i ślubnej sukni ze sklepu wysyłkowego. Znowu go zapiekły oczy.

Zgiętymi palcami dotknął jej twarzy, spodziewając się niemal delikatnego ciepła żywego ciała. Teresa mogła mieć najwyżej siedemnaście lat, a może jeszcze mniej. Była w ciąży ze swoim pierwszym i jedynym dzieckiem, ale jeśli ona albo Jake tego żałowali, ich uśmiechy niczego nie zdradzały.

Przynajmniej tego dnia obydwójce spodziewali się żyć długo i szczęśliwie.

Teresa zapewne wierzyła, że jej miłość odmieni lake'a, skłoni do porzucenia dzikich obyczajów.

Być może Jake także w to wierzył.

Przełykając głośno ślinę, Logan przewrócił kartkę.

Kolejne zdjęcia ze ślubu: staromodne odbitki z ząbkowanymi brzegami, kolorowe i czarno-białe, wyblakłe i podniszczone.

Chociaż oglądał to wszystko z przykrością, nie udało mu się zachować kamiennej twarzy; wiedział, że nie dopuści, aby fotografie przepadły. Gdy tylko przywiozą mu komputer i skaner, zmagazynuje na dysku całą zawartość albumu.

Teraz mógł tylko patrzeć.

Czy kiedykolwiek wcześniej widział te zdjęcia? Nawet jeżeli tak, to nie pamiętał. Powoli przewracał kartki.

Teresa w sukni w kropki pozuje obok drzewa, w zaawansowanej ciąży.

Roześmiany Jake namydłą pianą starego gruchota, sprej z węża zastygł na wieki na papierze.

A potem zdjęcie pierwszego dziecka.

Logan patrzył na siebie jako absolutnie przeciętnego łysego niemowlaka. Teresa siedzi w szpitalnym łóżku, trzyma swoje dziecko i promienieje uśmiechem.

Na jej ramieniu widać czyjąś rękę, pewnie Jake'a. Kochany, stary tata... Już wtedy wymykał się z kadru.

Potem Logan już nie przeglądał dalej.

Zamknął album, przepełniony zdjęciami na początku, na końcu miał puste kartki. Logan włożył go z powrotem do pudła i zatrzasnął pokrywę. Czuł się tak, jakby zagonił duchy z powrotem i uwięził je w plastiku.

Ale nie da się zamknąć widm przeszłości, teraz już o tym wiedział. Skoro raz się wydostały, pozostaną z nim na zawsze i z pewnością będą go straszyć.

Teraz żałował, że w ogóle wrócił do Stillwater Springs i otworzył tę szczególną puszkę robali. Wstał, otarł przedramieniem twarz i niemal potknął się o Asystenta, który leżał cierpliwie u jego stóp, czekając na dalszy rozwój wypadków.

To pozwoliło mu zobaczyć wszystko w perspektywie.

Gdyby nie jechał do domu, nie spotkałby psa. Mimo tak krótkiej znajomości nie potrafił już wyobrazić sobie życia bez Asystenta.

Zmarszczył brwi. Briana nazwała swojego psa Wanda. Być może on też powinien nadać stworzeniu jakieś

„ludzkie” imię, takie jak Gus albo Bob. Coś, powiedzmy, bardziej kumpelskiego.

Nie chciało mu się spać; najpierw wprowadziła go na wyższe obroty kolacja z Brianą, potem rozmowy z braćmi i oglądanie zdjęć. Telewizora jeszcze mu nie przywieziono, podobnie jak sprzętu komputerowego. Pewnie i tak nie miałby ochoty go włączać, ale brak takiej możliwości go denerwował.

Z marynarskiego worka wyłuskał zakupiony gdzieś po drodze szpiegowski thriller i wyciągnął się na śpiworze w swoim starym pokoju.

Dom na ranczu mógł sprawiać przygnębiające wrażenie, ale przynajmniej był duży. Każdy z braci miał własny pokój, chociaż Tyler, kiedy był mały, często wkradał się w środku nocy do Logana i związał w kłębek na dywaniku przy jego łóżku. Tak jak robiłby to Asystent, gdyby w pokoju było łóżko. Nie mówiąc o dywaniku.

Wspomnienia znów zaczęły go dławić, i choć tak bardzo doskwierała mu samotność, cieszył się, że za towarzysza ma tylko Asystenta. Bo gdyby był przy nim

ktoś jeszcze i zapytał, co mu dolega, mógłby się załamać i powiedzieć.

Albo po prostu tylko się załamać.

Asystent zwinął się w kłębek przy jego nogach.

Logan otworzył książkę, znalazł zaznaczone miejsce i zaczął czytać.

W pewnym momencie zasnął, ale duchy dręczyły go przez całą noc. Raz, świadom, że śni, zobaczył Take'a, tego Jake'a z albumu, w szczytowej formie. Zajrzał do niego z przedpokoju, uśmiechnął się i zamknął z powrotem drzwi.

Rano, podczas wypuszczania i wpuszczania psa oraz nastawiania kawy, nadal przeżywał ów sen z taką wyrazistością, jak mistycy swoje wizje.

- Czemu nie potrafiłeś nas kochać, staruszkule? - zapytał wschodzącego słońca. Stał na tylnym ganku i patrzył, jak smugi brzoskwiniowego światła przelewają się przez grzbiety wzgórz.

Odpowiedzi się nie doczekał, ale miał pewną koncepcję.

Jake Creed nie kochał swoich żon ani swoich dzieci, ponieważ nie kochał samego siebie.

Przedsiębiorca od płotu wraz z ekipą zjawili się o siódmej, gdy Logan kończył śniadanie, i zaraz wzięli się do roboty. O wpół do dziesiątej zajechała ciężarówka z rzeczami, wzbudzając wielkie zainteresowania Asystenta. Kierowca z pomocnikiem zaczęli wyładowywać komputer, sprzęt fotograficzny, książki, łóżko, komody, ubrania i inne potrzebne w gospodarstwie rzeczy.

Logan siedział na podłodze w sypialni i skręcał śrubokrętem metalowy stelaż pod materac, kiedy usłyszał z bawialni jakieś głosy.

Asystent, który słabo znał się obowiązkach psa-stróża, usiadł na zadzie i szczechnął niepewnie.

- Logan?

Rozpoznał ten głos: to Josh, starszy chłopak Briany.

- Tutaj! - zawołał. - Do końca korytarza i na prawo! Po chwili zadudniły kroki i w otwartych drzwiach

ukazali się Alec i Josh pod nadzorem Wandy.

- Wszystko w porządku? - zapytał Logan. O tej porze ich matka powinna być w pracy. Czy te dzieciaki biegają bez opieki przez cały dzień, mając za całą ochronę starego, spasionego psa?

Ty tak robiłeś, podpowiedział mu wewnętrzny głos.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Jasne, że tak - zapewnił go Alec. - Przyszliśmy tylko z wizytą. Chyba możemy, no nie?

- Oczywiście. Pod warunkiem że wasza mama się zgadza.

Chłopcy wymienili spojrzenia.

Logan postanowił udać, że tego nie widzi.

- Szliście przez sad? - zapytał mimochodem, koncentrując się na dokręcaniu ostatniej śruby. Tej nocy będzie spał we własnym, wygodnym łóżku. Wszystko idzie ku lepszemu.

- Skądże - pośpieszył z odpowiedzią Alec. - Mama mówiła, że tam mogą być niedźwiedzie albo Cimarron może się wydostać i nas zaatakować, więc poszliśmy główną drogą.

- Może powinniście zadzwonić do mamy i powiedzieć, gdzie jesteście.

- Nam nie wolno zawracać mamie głowy w pracy, chyba że któremuś z nas krew leci albo czujemy dym - wyjaśnił Josh.

- Bardzo rozsądnie - pochwalił Logan, wstając.

- W takim razie chodźmy zobaczyć, jak postępuje budowa płotu, a potem zrobimy sobie lunch.

Chłopcy wyglądali na zachwyconych.

Kiedy weszli do zawałonego pudłami dużego pokoju, Logan zauważył na gzymsie kominka porzuconą komórkę i natychmiast ją włączył.

Pięć wiadomości - trzy od Dylana, dwie od Tylera.

Uśmiechnął się i wsunął telefon do kieszeni dżinsów.

Niech dojrzeją.

- Mama mówi, że kupi komórkę, kiedy dostanie podwyżkę albo wygra na loterii - oświadczył Alec.

- Hm - mruknął tylko Logan. Briana chyba cienko przedzie, skoro nie stać jej na telefon komórkowy. Kurczę, dzisiaj mają je nawet przedszkolaki.

- Ona nie wygra na loterii, głupolu - prychnął Josh, szturchając brata w ramię. - Przecież nie kupuje losów.

- Przeważałeś mnie! Wszystko powiem!

Logan zastosował swój niezawodny środek: gwizdnął przez zęby.

Chłopcy obrzucili go pełnym podziwu spojrzeniem.

-Wyluzujcie, koledzy! - Gestem zaprosił ich do wyjścia. - Idziemy.

Briana ze zmarszczonymi brwiami patrzyła przez chwilę na słuchawkę, zanim ją odłożyła.

Millie, korzystając z przerwy, siedziała na kanapie i przeglądała stary numer „People”, ale tak czy inaczej salę dla personelu miały dla siebie.

- Coś nie tak? - zapytała.

Briana próbowała opanować wzbierającą w głębi brzucha panikę.

- Już trzeci raz dzwonię do domu. Nikt nie odbiera.

- Może Josh jest w sieci - zasugerowała Millie.

Większość mieszkańców miała szybkie łącza internetowe, ale Briana wciąż używała modemu telefonicznego, a w domu była tylko jedna linia.

- Pewnie masz rację - zgodziła się, dziwiąc się nawet, że ten zupełnie oczywisty powód nie przyszedł jej wcześniej do głowy.

A nie przyszedł, bo miała ją nabitą Loganem Creedem i od wczorajszego wieczoru nie potrafiła myśleć o niczym innym. Wierciła się na łóżku, przewracała z boku na bok,

dwa razy nawet specjalnie poszła do salonu, żeby wyrzeć przez okno, bo myślała, że zobaczy wśród drzew światła jego domu.

Wciąż jednak nie mogła pozbyć się niepokoju, i gdyby już nie naciągnęła Jima, prosząc o wolną sobotę, wyskoczyłaby na chwilę do domu, by sprawdzić, co się tam dzieje.

A mogło się dziać wiele złego.

Znudzeni obowiązkami, telewizją i komputerem, chłopcy mogli pobiec do sadu w przekonaniu, że potrafią spacyfikować uśmiechem każdego napotkanego niedźwiedzia.

Albo pójść na pastwisko popatrzeć na byka.

Albo Vance, wiedząc, że Briana jest w pracy, mógł próbować ich wykraść. No dobrze, rzeczywiście przegięła; przecież musiałyby ich potem karmić i ubierać, ale przecież zdarzały się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Vance uwielbiał ją denerwować, a porwanie dzieci świetnie się do tego nadawało.

Splotła ramiona i mocno przygryzła wargę. Mniejsza o rachunki, zaraz po zakończeniu zmiany idzie kupić komórkę.

Jogurt, który zjadła w samochodzie po drodze do pracy, stężał i próbował wrócić do gardła.

- Bree? - zainteresowała się Millie. - Marnie wyglądasz. Mam poprosić Jima, żeby cię puścił do domu, bo źle się czujesz?

Brianę kusilo, żeby się zgodzić, ale nie chciała oszukiwać Jima, nawet pośrednio. Dwa razy ją awansował i dał jej wolną sobotę, chociaż w weekendy zawsze brakowało personelu. Nie zasłużył sobie na takie numery.

Odmówiła więc, a potem wzięła głęboki oddech i poszła do swojej sali wypłacać pule, wymieniać szto-ny i pilnować, czy wszystko idzie jak należy.

Stojąc przy głównym wejściu, słuchała jednym uchem narzekań starszego pana na rzekomo „ustawione” automaty do gier, a jednocześnie wyobrażała sobie, że Vance na pewno uwozi Bóg wie gdzie starym vanem Josha i Aleca. Nagle zobaczyła, że do pobliskiej restauracji, przez

„wejście dla rodzin”, wchodzi Logan w towarzystwie jej rozanielonych synków.

Pierwszym odczuciem Briany była ulga. Chłopcom nic się nie stało i znajdowali się na tyle blisko, że mogła ich widzieć i dotknąć.

Ale w chwilę później ulga ustąpiła wściekłej furii, która wstrząsnęła nią do szpiku kości, błyskawicznie przenikając do całego krwioobiegu.

Za kogo, do kurwy nędzy, uważa się Logan Creed? Jakim prawem zabiera gdzieś cudze dzieci, nie pytając o pozwolenie ich matki?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nadchodzi - obwieścił Josh, zerkając zza swojego menu.

Logan już zauważył kątem oka Brianę prującą w ich stronę jak pociąg towarowy na stromym zjeździe. Lekko się uśmiechnął, ale przewidywał nieuchronną kolizję, z iskrami do kompletu.

- Może wezmę enchiladę z wołowiną plus tamale combo.

Alec poruszył się niespokojnie na krześle.

- Mama wygląda na wkurwioną - wyszeptał.

- Masz nie mówić „wkurwiona” - skarcił go Josh.

- Wkurwiona - powtórzył Alec z lubością, wysuwając podbródek. - Wkurwiona, wkurwiona, wkurwiona.

Briana wmaszerowała przez szerokie drzwi w szklanej ścianie, oddzielającej meksykańską restaurację od reszty kasyna.

Logan spokojnie zamknął menu

Wstał.

Briana rzuciła mu gniewne spojrzenie, a potem, ująwszy się pod boki, odwróciła się do chłopców, którzy kulili się

za wielkimi menu, z szeroko otwartymi oczami, w których widać było lęk, ale także wyzwanie.

- Co wam mówiłam o jeżdżeniu samochodem z nieznajomymi?

- Logan nie jest nieznajomy. - Josh się nastroszył. - To nasz sąsiad.

Kelnerka, która szła już w ich stronę, zatrzymała się w bezpiecznej odległości.

- Zjesz z nami? - zagadnął Brianę Logan.

Krew napłynęła jej do policzków. Zawsze wyglądała świetnie, ale rozzłoszczona nabrała takiego ognia, że Logan oddałby wszystko, żeby zaraz, w tej chwili móc wziąć ją do łóżka.

Co zapewne nastąpi raczej później niż wcześniej. Albo wcale.

- Jestem w pracy - przypomniała z naciskiem.

- I dlatego nie możesz jeść?

Wyraźnie podenerwowana zwróciła się znowu do synów.

- Mieliście być w domu! Znacie zasady.

- Było nam smutno - tłumaczył się Josh.

- Ciężkie jest życie dziecka z kluczem na szyi - dodał Alec.

Ten chłopak ma przed sobą wielką przyszłość w zawodzie wymagającym zręcznego wciskania kitu. Zapewne byłby dobrym adwokatem albo politykiem.

- No więc wybraliśmy się do Logana, żeby zobaczyć, co porabia - ciągnął Josh, jak gdyby Alec w ogóle się nie odzywał.

- Absolutnie nie zbliżaliśmy się do Cimarrona ani do sadu - dodał Alec z ważną miną i takim samym tonem. - Poszliśmy główną drogą.

Briana dyskretnie, ale nieco nerwowo zerknęła na zegarek. Zbierała się do powiedzenia czegoś, ale tylko westchnęła.

- *Nie* w mówisz mi poczucia winy - odpowiedziała, trochę poniewczasie, Mecowi.

Wręcz przeciwnie, pomyślał Logan. Uwaga Aleca o dzieciach z kluczem na szyi bezbłędnie trafiła w cel.

Spojrzała Loganowi w twarz, a on dostrzegł w jej oczach ból. Ból, strach i taki rodzaj zmęczenia, na który nie pomogą nawet długie wakacje.

- Muszę pracować.

Logan chciał wziąć ją w ramiona i przytulić. Zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Ale to akurat nie wchodziło w rachubę.

- Nic się nie stało - wyjaśnił spokojnie. - Kiedy chłopcy się u mnie pojawili, uznałem, że najlepiej przywieźć ich tutaj, do ciebie.

Odetchnęła, a jej zeszywniałe ramiona nieco się rozluźniły.

- Dziękuję - mruknęła bez przekonania. A później znowu spojrzała na zegarek.

- Muszę wracać na salę. - Duma zastąpiła w jej oczach wyraz bólu. - Pracuję do piątej. Do końca mojej zmiany Alec i Josh mogą poczekać w kafeterii.

Logan skinął głową. Widocznie nie miała do niego zaufania na tyle, by powierzyć chłopców jego opiece na resztę dnia, więc nie pozostało mu nic innego, jak się z tym pogodzić. Uważała go za obcego, ostrożność była jak najbardziej na miejscu.

- A nie możemy wrócić z Loganem na ranczo? - zaproponował Josh. - To żadna frajda siedzieć przez cały dzień w kasynie.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim złamaliście regułę numer jeden: kiedy mnie nie ma w domu, nie ruszacie się poza podwórze. - Pauza. - A może powiecie mi łaskawie, gdzie jest Wanda?

Alec uśmiechnął się szeroko. -W domu. Zostawiliśmy ją tam po drodze, ale Asystent siedzi w wozie. Ma nawet miskę z wodą.

- Nie możesz po prostu zjeść z nami lunchu? - W głosie Josha dźwięczała prośba.

- Kolej na mnie postawić ci posiłek - poparł go Logan.

Ale Briana pokręciła głową. Potem, rzucając każdemu z nich ostrzegawcze spojrzenie - najpierw Joshowi, potem Alecowi, wreszcie Loganowi - odwróciła się i wróciła do pracy.

Chłopcy przygaśli, ale ostatecznie zamówili enchilada tamale combo z wołowiną, tak jak Logan, i pałaszowali, jakby przez tydzień ich głodzono.

Kończyli już lunch i Logan z ciężkim sercem szykował się do odstawienia ich do kasyna, kiedy zobaczył, że od stolika w drugim końcu sali obserwuje ich Brett Turlow.

Turlow natychmiast odwrócił wzrok.

Siedział sam i wydawał się mniejszy, niż Logan go pamiętał. Musiał mieć dobrze po czterdzieście, ale wyglądał na więcej. Miał niewątpliwie ciężkie życie od czasu, gdy po przejęciu rodzinnej firmy wyřębu lasu błyskawicznie doprowadził ją do bankructwa.

Logan o tym wiedział, ponieważ po pierwszym wyjeździe z domu nadal prenumerował „Stillwater Springs Courier”, a poza tym miał kilka istotnych powodów, by nie lubić Bretta Turlowa.

Znali się od dawna, choć było między nimi dziesięć lat różnicy.

Od bardzo, bardzo dawna.

Zapłacił rachunek, zostawił kelnerce napiwek i odprowadził chłopców do kafeterii. Chociaż nie zapominał o psie w furgonetcie (zostawił mu uchyloną szybę i zapas wody), postanowił zawrócić i zamienić słówko z Brettem.

Ku jego zaskoczeniu, Turlow wciąż siedział na swoim miejscu przy resztkach nachos i szklance piwa.

Podniósł wzrok i w jego oczach pojawiły się dawne złe błyski. Wtedy, dawno temu, był twardzielem i awanturnikiem, synem szefa. Teraz skóra nie pasowała mu do twarzy i luźno zwisała z kości.

Kiedyś dał Loganowi straszny wycisk. A potem Jake dał jeszcze większy wycisk jemu.

Brett chciał, aby jego ojciec natychmiast wylał Jake'a z roboty.

Ale bez względu na wszystko Jake Creed był najlepszym drwalem w lasach. Na każde drzewo ścięte przez innych przypadały trzy ścięte przez Jake'a, który w dodatku niczego się nie bał. Ani olbrzymich sosen, zwanych „producentkami wdów”, ponieważ zwykły pękać od czubka po pień, miażdżąc każdego, kto założył łańcuch w dowolnym miejscu na całej ich długości, ani tym bardziej syna Deke'a Turlowa. Mając, jak zwykle, na uwadze swoje zyski, Deke zamiast Jake'a wyrzucił z lasu Bretta.

Po tym incydencie Brett nie pokazywał się w mieście aż do śmierci Deke'a, który zginął, wywróciwszy na siebie

buldożer. Jednak nawet wtedy testament starego zabraniał mu wyrzucenia Jake'a, toteż Brett, chcąc nie chcąc, musiał przełknąć ten afront i pracować dzień w dzień z człowiekiem, który skopał mu dupę na oczach połowy miasta.

- Co, przyjechałeś triumfować? - zapytał Brett ze znużeniem.

- A mnie to po co?

- Wiesz, że straciłem firmę. Wszystko przez zamorską konkurencję i ekologów robiących szum z powodu jakiejś sowy...

- Pech - skomentował krótko Logan, dodając w duchu: Taki sam jak ten łańcuch, który pękł w nieodpowiednim momencie, przez co kilka ton drewna z ciężarówki zważyło się prosto na Jake'a, rozgniatając go na miazgę.

- Ty i twoi bracia dostaliście kasę z ubezpieczenia - przypomniał Brett, jakby to załatwiało sprawę śmierci Jake'a. Szeryf mówił, że stary żył jeszcze, kiedy dotarli do niego inni drwale. Musiał potwornie cierpieć, a jednak się śmiał. Zakrwawiony niczym surowy hamburger patrzył na starego Floyda Booka i normalnie się śmiał.

- No i tak to się kończy, stary kumplu - powiedział. - Tak to się kończy.

Pieniądze z ubezpieczenia poszły na spłatę osobistych długów Jake'a, a resztą podzielili się on, Dylan i Tyler. Logan ze swojej części spłacił pożyczki, które zaciągnął na naukę w college'u.

- Byłeś tam tego dnia, Brett? - zapytał Logan. - Tego dnia, gdy pękł łańcuch zabezpieczający ładunek?

Turlow poruszył się niespokojnie, a potem odsunął krzesło i wstał.

Logan, wyższy o głowę, też wstał i nie odsunął się, żeby tamten mógł przejść.

- No byłem, i co z tego? A oprócz mnie jeszcze ośmiu ludzi z brygady.

- Oni w tym czasie rąbali jeszcze w lesie. Turlow zaczerwienił się chorobliwym rumieńcem.

Miał nieświeży oddech i zdawał się wydzielać wszystkimi porami kwaśny odór wczorajszego piwa.

- Przeprowadzono śledztwo - prychnął. - Zostałem oczyszczony.

- Jake sypiał z twoją dziewczyną - przypomniał mu Logan.

Rumieniec Turlowa pociemniał.

- To była dziwka.

Logan wzruszył ramieniem i dalej stał twardo jak słup totemowy.

- Może - przyznał. - Ale i tak musiało cię to wkurzać. Żeby twoja osobista dziewczyna łomotała się z facetem dwa razy starszym od ciebie...

- Logan?

Odwrócił się nieco zbity z tropu. Za jego plecami stał szeryf Floyd Book. O wilku mowa...

Turlow smyrgnął bokiem i pognał do drzwi wyjściowych.

- Gdybym uznał, że to coś da - Book zaczepił kciuki o pas - to ze względu na zachowanie porządku kazałbym ci trzymać się z daleka od Bretta Turlowa.

Floyd od zawsze miał brzuch, tylko teraz zwisał mu niżej, napinając guziki brązowej koszuli mundurowej. Odznaka błyszczała jednak jak zwykle, a kiedy szeryf zdjął

kapelusz z rondem, Logan zobaczył tę samą gęstą, stalowosiwą czuprynę.

- Nie ma sprawy, szeryfie. Powiedziałem, co chciałem, i tyle.

- Nie życzę tu sobie żadnych kłopotów - ciągnął Book tonem śmiertelnie znużonego człowieka. - W Stillwater Springs mamy względny spokój, odkąd twój tata zginął... niech jego obmierzła dusza spoczywa w pokoju, a ty i twoi bracia wynieśliście się w nieznanym kierunku. I narażając się na porównanie do postaci z czarno-białych westernów, powiem bez ogródek: chcę, żeby tak zostało.

Logan uśmiechnął się. Zawsze lubił Floyda Booka, uważał go za porządnego faceta. Teraz jednak Asystent siedzi sam w trucku. Brett Turlow raczej nie będzie wyzywać się na psie, ale lepiej nie ryzykować.

- Będę uważał na maniery - obiecał, zbierając się do odejścia.

Book usiadł przy sąsiednim stoliku i skinął głową na pożegnanie.

- Zajdź przy okazji do mojego biura, to trochę pogadamy.

Logan ukłonił się i wyszedł.

Na parkingu As zgotował mu gorące powitanie, szczerząc z entuzjazmem, wtykał nos w szparę w oknie.

Logan poczuł ulgę, otworzył drzwi, zepchnął psa z siedzenia kierowcy i usiadł za kierownicą. Wprawdzie w tak małej miejscinie jak Stillwater Springs prędzej czy później natknąłby się na Bretta Turlowa, ale i tak spotkanie go zirytowało. Przywróciło mnóstwo wspomnień, od których wywracały się flaki.

Przygnał w te pędy do Montany, gdy tylko dotarła do niego wieść o wypadku taty. Jake leżał na oddziale intensywnej terapii szpitala w Missuoli i trzymał się życia dosłownie koniuszkami palców.

Ciało miał w fioletowych siniakach. Zwały drewna połamały mu nogi i żebra, a zniekształcenia było widać nawet przez koc. We wszystkie strony sterczały z niego jakieś rurki i druty - wyglądało, jakby się w nie zaplątał niczym mucha w pajęczą sieć.

Tylko oczy, jaskrawobłękitne i łypiące upartą dumą, pozostały takie jak dawniej.

Jake nie mógł mówić - krtań, podobnie jak niemal każda kość i organ jego ciała były zmiażdżone lub uszkodzone - ale te oczy mówiły dostatecznie wiele.

Przyjechałeś za późno.

Zawiodłem się na tobie. Jak zawsze.

Tak, umieram.

Strzepnij to.

- Strzepnij to - powtórzył głośno Logan.

Jake dotrzymał swojej niewypowiedzianej obietnicy. Umarł, zanim Dylan i Tyler zdążyli dotrzeć, i to wtedy zaczęły się pretensje. Obaj wściekali się na Logana, ponieważ był przy ojcu, kiedy ten wydawał ostatnie tchnienie - widocznie uznali, że nie wypada kierować tej całej złości na nieboszczyka.

Zwłaszcza że tym nieboszczykiem był ich ojciec.

Asystent zaskomlał.

Logan potarł go za uszy.

A potem ruszyli z powrotem na ranczo Stillwater Springs, swoje miejsce na ziemi.

Czy rzeczywiście nim było?

Akurat w tej chwili Logan wcale nie miał takiej pewności.

Reszta dnia Briana wlokła się niemiłosiernie.

Wpadała na krótko, ale regularnie do kafeterii, żeby sprawdzić, czy chłopcy nadal tam są. Jim zaproponował jej wcześniejsze wyjście, ale ponieważ miała zamiar dokonać nieplanowanego zakupu, zmniejszanie wypłaty nie wydawało się jej najlepszym pomysłem. Ponadto i tak z trudem wiązała koniec z końcem, skoro większość czeków alimentacyjnych nie miała pokrycia.

Dziesięć po piątej Briana zabrała synków, którzy po kilku godzinach w kafeterii byli bez humoru i marudzili. Załadowali się wszyscy do poobijanej, z licznymi śladami po szpachlowaniu furgonetki z powiększoną kabiną, po czym Briana włączyła silnik, czekając, aż Alec i Josh zapną pasy. Dylan pozwolił jej korzystać ze starego grata, jeśli tylko potrafi go uruchomić. Poświęciła na to prawie całą pierwszą wypłatę z kasyna i przy ofiarnej pomocy lokalnych mechaników zdołała dopiąć celu. Jednak po dwóch latach utrzymywanie gruchota na chodzie stało się prawdziwym wyzwaniem.

Cały czas odkładała pieniądze na kupno porządnego używanego samochodu, ale ciągle robiła trzy kroki w przód i dwa wstecz. Za każdym razem, gdy posunęła się trochę do przodu, przychodziły niespodziewane wydatki - lekarstwa i rachunki od weterynarza, kiedy Wanda zerwała więzadła w tylnej łapie; szyba, którą wybił Josh, grając z Alekiem w bejsbol na bocznym podwórku; zrzutka w pracy na jednego z pracowników, który stracił wszystko w pożarze domu.

Nie było temu końca.

A teraz po prostu musiała kupić komórkę. Josh i Alec będą dzwonić do niej bezpośrednio, a nie przez centralę kasyna. To dobrzy chłopcy i pewnie skontaktowaliby się z nią, zanim wyruszyli do Logana drogą publiczną, gdzie mogli zostać przejechani, porwani albo zaatakowani przez dzikie zwierzę.

Na pewno by zadzwonili.

- To, co dzisiaj zrobiliście, nie było fajne. - Dopiero na parkingu przy Wal-Marcie odezwała się do nich po raz pierwszy, odkąd ruszyli spod kasyna. Często robiła tutaj zakupy, ale przy każdej wizycie dręczyły ją przykre

wspomnienia tamtego wieczoru, kiedy Vance porzucił ją z dziećmi i Wandą.

- Przepraszamy, mamusiu - powiedział Alec.

- Nic wielkiego się nie stało - zaprotestował Josh.

Odwróciła się w fotelu i spojrzała na nich.

- Owszem, stało się. I Alec, słowo „przepraszamy” w tej sytuacji wypada blado. Macie szlaban do odwołania.

- Też mi nowina - burknął Josh. - Cały czas mamy szlaban, bo każesz nam siedzieć w domu, kiedy ciebie nie ma. Zupełnie jakbyśmy byli dzidziusiami.

Miał trochę racji, ale co robić? Nie mogła ich umieścić w placówce opiekuńczej, bo nie tylko zjadłoby to fundusze na samochód, ale i na pewno źle by się tam czuli.

Alec łypnął na nią, a następnie zgodził się z bratem, co samo w sobie było ewenementem.

- Tak... - westchnął. - Jasne, że jesteśmy uziemieni. Niech tylko przyjedzie tata, założę się, że będzie nas zabierał w różne miejsca.

Vance. Powiedział, że będzie w mieście w sobotę, czyli jutro. Nastrój Briany, i tak już podły, zanurkował w dół.

- Zaczekajcie w samochodzie. To nie potrwa długo.

- Mamo, my przecież ciągle czekamy - wytknął jej Josh. - Przez całe popołudnie ćwicziliśmy czekanie w kafeterii.

Briana westchnęła i ustąpiła.

- Dobrze, ale nie rozchodźcie się. Jeśli będę musiała szukać was po całym sklepie, nie będę zadowolona.

- A to coś nowego? - Josh otworzył drzwi i wyskoczył szybko, żeby przypadkiem nie zmieniła zdania. - Ty nigdy nie jesteś zadowolona.

- Właśnie - dodał cichutko Alec. Briana przewróciła oczami.

- Po prostu zróbmy, co mamy do zrobienia, i wracajmy do domu nakarmić Wandę, dobrze?

- Dobrze - zgodził się Josh, jakby miał w tej sprawie coś do powiedzenia. - A co właściwie będziemy robić?

- Kupuję komórkę. - Stali teraz na chodniku, w tym samym miejscu, w którym Vance kazał jej wynosić się z auta razem z bachorami i wstrętnym psem, bo on ma coś lepszego do roboty od wysłuchiwanie zrzędzącej baby.

Briana chciała wtedy kupić w delikatesach smażone kurczaki, ponieważ były tańsze od posiłku w restauracji, a

jej i chłopcom przejadły się wieczne hamburgery z przydrożnego baru. Czy to można nazwać zrządzeniem?

Do terazniejszości przywrócił ją radosny okrzyk Aleca.

- Hura! Dostaniemy komórki?

- Ja będę miała komórkę - sprostowała Briana. - A wy będziecie do mnie dzwonić i prosić o pozwolenie, kiedy wpadniecie na pomysł spacerowania po szosie.

Kiedy byli młodszy, trzymała ich za ręce, dopóki nie dotarli bezpiecznie na miejsce, ale teraz, jako mali mężczyźni, trzymali dystans.

- Wszystkie dzieciaki na lekcjach pływania mają własne komórki - marudził Josh.

Briana ugryzła się w język i darowała sobie stałą odpowiedź: „Nie możemy sobie na to pozwolić”, bo sama miała jej serdecznie dość.

W sklepie skierowała się prosto do działu z elektroniką. Alec i Josh nie wrywali się do samodzielnych wędrówek; prawdopodobnie fascynowały ich całe ściany płaskich telewizorów, laptopów, odtwarzaczy DVD i tym podobnych.

Wszystko to było poza finansowym zasięgiem Briany: komputer kupiła swego czasu na niskie miesięczne raty w firmie wysyłkowej, ponieważ potrzebowała go do kształcenia chłopców, ale był badziewny. Dzisiaj to życie w ciągłym niedostatku przygnębiało ją jeszcze bardziej.

Alec i Josh namawiali ją na hit sezonu - z kamerą, odtwarzaczem mp3, gramy i ekranem dotykowym.

Briana zdecydowała się na model superoszczędny - pozwalał tylko na prowadzenie rozmów. Nie wyprowadzał psa. Nie tapetował salonu. Tylko łączył.

Miał jednak jedną zaletę, która go ratowała. Sprzedawano go w pakiecie z gratisowym aparatem stowarzyszonym, co trochę udobruchało chłopców. Obiecali użytkować go wspólnie, ale ona wiedziała, że najpewniej pobiją się o niego, zanim dojadą do domu.

Z westchnieniem wtoczyła wózek do działu spożywczego, żeby kupić torbę karmy dla Wandy i mleko - zapomniała o tym poprzedniego dnia, kiedy kupowała składniki Kartoflanej Fantazji Dzikusa. Wreszcie po odstaniu w kolejce do kasy wyszli na zewnątrz.

Jakimś cudem udało się dotrzeć do domu bez żadnych aktów agresji na tylnym siedzeniu. Wniosła zakupy do domu, wypuściła na chwilę Wandę i włożyła do pieca wczorajszą zapiekankę. Alec sprawdził automatyczną sekretarkę, a Josh usadowił się przy stole z nowymi komórkami i instrukcjami ich obsługi.

- Najpierw trzeba je naładować - ogłosił. - To zajmie całe godziny.

- Przeżyjemy - odparła Briana, myjąc ręce nad zlewem.

- Obiecałaś, że dzisiaj możemy urządzić piknik na cmentarzu - przypomniał Alec. - Tak powiedziałaś wczoraj wieczorem, kiedy szykowałaś zapiekankę.

- Nic podobnego. Nie mówiłam o konkretnym dniu.

- To nie fair.

- Przykro mi, ale tak już jest.

- Dlaczego?

- Bo tak powiedziałam.

- To bardzo nie fair. Dlaczego dzieci muszą zawsze coś robić, bo dorośli tak mówią?

Roześmiała się; w domu, przy codziennych czynnościach w rodzaju karmienia psa czy odgrzewania resztek od razu poczuła się lepiej.

- Bo przeważnie jesteśmy od was więksi.

- Pewnego dnia będę większy od ciebie - poprzysiągł Alec.

- Bez wątpienia, ale do tego czasu staniesz się dżentelmenem i nie będziesz się ze mną kłócił

- Akurat - prychnął Josh.

- Szykujcie się do kolacji - poleciała Briana.

- Nie chce mi się jeść - odparł Alec.

- Jesteś wściekły, bo nie było wiadomości od taty

- wypomniał bratu Josh.

- Stop! - Briana weszła między chłopców jak sędzia między szarżujących hokeistów. - Jeśli natychmiast nie przerwiecie kłótni, żaden nie będzie używał dodatkowej komórki. Nigdy.

- Mogłabyś się nauczyć gwizdać na nas jak Logan.

- Josh patrzył na nią z niewzruszoną pewnością. - To daje natychmiastowy skutek.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Briana.

- Dzisiaj w tej meksykańskiej knajpie zaczęliśmy się kłócić, a Logan zagwizdał - wyjaśnił rzeczowo Josh. - Przez przednie zęby. To było naprawdę ekstra!

- A to ma być dobre?

- Przynajmniej działa - skonstatował obojętnie Alec. - Gdybym nie miał już taty, byłoby fajnie być dzieckiem Logana.

Briana z westchnieniem opadła na krzesło. Potrzebowała kilku chwil, by się opanować. Czemu te słowa Aleca tak ją poruszyły? „Gdybym nie miał już taty, byłoby fajnie być dzieckiem Logana”.

Alec spochmurniał.

- Jesteś na niego zła, bo zabrał nas dzisiaj do miasta. Powinnaś się złościć na nas, a nie na niego.

Od razu zarobił za to kuksańca od Josha.

- Masz rację. Powinnam być zła na was - przyznała z powagą. - Ale nie jestem.

- Naprawdę? - zdumiał się Alec.

Zwykle nie pozwalała sobie na wybuchy złego humoru. Jeżeli już posuwała się za daleko, to raczej z

pobłażliwością, pozwalając im na zbyt wiele. To skąd to zdziwienie?

- Naprawdę.

- Nie pyskuj, palancie - doradził Josh. Briana przeszła starszego syna spojrzeniem. Telefon zadzwonił w czasie kolacji; Alec tak się

śpieszył odebrać, że przewrócił po drodze krzesło.

- Hej, tato! - wykrzyknął, jaśniejąc na twarzy. Briana czekała w niepewności, podobnie jak Josh.

Sądząc z dotychczasowych doświadczeń, Vance zamierzał przekłuć balonik i wykręcić się od wizyty pierwszym lepszym pretekstem. Ona nie miałaby nic przeciwko temu, lecz Alec byłby zrozpaczony. Ława przysięgłych jeszcze nie zawyrokowała, jak zachowa się Josh.

- Dojeżdżasz do Stillwater Springs? Już prawie jesteś? - darł się Alec do słuchawki. - Jasne, oczywiście, już jej przekazuję - Mamo! On nie wie, jak jechać!

Briana powoli wstała z krzesła, przeszła przez pokój i przyłożyła słuchawkę do ucha. Musiała odchrząknąć, zanim zdołała coś powiedzieć.

- A więc... już prawie jesteś?

- Jesteśmy - sprostował Vance. My?

- Jak mam jechać, Bree? Naprawdę nie mogę się doczekać widoku moich chłopców.

Alec skakał po całej kuchni.

Josh zapewne dał nura do swojego pokoju. Będzie musiał przejść koło niej, żeby się dostać do tylnego wyjścia.

Briana spokojnie wyjaśniła byłemu mężowi, w którą stronę ma skręcać na kolejnych skrzyżowaniach.

Kiedy się rozłączyła, była kompletnie odrętwiała.

Poszła prosto do sypialni chłopców.

Josh kulił się na łóżku pod znieawidzoną narzutą z misiem, którą uważał za dobrą dla maluchów.

- Josh? - Briana usiadła ostrożnie na brzegu materaca, kładąc dłoń na plecach synka. - Możesz się na chwilę odsłonić? Chcę z tobą pogadać.

- Nie - dobiegło ją spod narzuty. - Pozwolisz mi zamieszkać u Logana aż do wyjazdu taty?

- Skarbie, on jest twoim ojcem.

Szarpnął narzutę w dół i spojrzał na Brianę z niesmakiem.

- To łajdak! Porzucił nas przed Wal-Martem!

- Ale od tej pory dawaliśmy sobie jakoś radę, czyż nie? y

- A jeśli on tutaj zostanie?

- Nie pozwolę mu zostać, Josh. Pamiętaj, że mamy rozwód.

- Powinien trzymać się od nas z daleka. On czegoś chce, dlatego tutaj przyjeżdża. - Dolna warga Josha drżała.

- A co będzie, jeśli postanowi zabrać Aleca i mnie ze sobą?

- Nie zrobi tego - zapewniła z przekonaniem Briana, której przy okazji odpadł jakiś kawałek serca. Jak długo Josh się tym zamartwiał? - Mam prawnie przyznaną opiekę. A to znaczy, że do czasu, aż się usamodzielnicie, będziecie mieszkać ze mną.

W tym momencie Josh zrobił coś, co nie zdarzało mu się od czasu, gdy Vance ich porzucił. Zarzucił matce ręce na szyję i przywarł do niej ze wszystkich sił.

Przytuliła go mocno. Kiedy całowała go w czubek głowy, ostrzyżone na jeża włosy zakłuły ją w wargi i chociaż oczy miała pełne łez, musiała się roześmiać.

- To było naprawdę straszne, wtedy pod Wal-Martem - powiedziała po dłuższej przerwie. - Naprawdę przykro mi, że do tego doszło. Ale teraz radzimy sobie, ty, ja, Alec i Wanda. Mieszkamy w miłym miejscu, mam pracę i...

Josh się odsunął.

- Nie pozwól mu nas zabrać - błagał. - Może znowu się wścieknie i gdzieś nas zostawi, a ciebie tam nie będzie i kto się nami zaopiekuje?

Briana sama była bliska łez, ale nie chciała tego okazać. Musiała być silna dla Josha, a także dla Aleca. Nie mogła sobie pozwolić na płacz, tak samo jak na wielki telewizor, wystrzałowy komputer czy komórkę z najnowszymi bajerami.

- Obiecuję, że tak się nie stanie, Josh. Pociągnął nosem. Tak bardzo chciał jej uwierzyć.

Tak bardzo się starał.

- Przysięgnij!

- Przysięgam.

- To co teraz robimy?

Uśmiechnęła się; zaryzykowała szybki pocałunek w czoło szczęśliwa, że jej na to pozwolił.

- Ja wracam do kuchni i robię kawę, a ty idziesz do łazienki umyć twarz.

Z ponurą miną skinął głową.

Zaparzyła dzbanek kawy, znalazła też czyste prześcieradła, koc i poduszki do rozsuwanej kanapy. Vance użył liczby mnogiej, co zapewne znaczyło, że przywiezie jakiegoś kumpla z rodeo, by odwracał uwagę i utrudniał Brianie wyegzekwowanie czegoś od byłego męża. Cóż, będą musieli spać razem, bo nie ma innego miejsca.

Vance podtoczył się tym samym starym vanem; poznała samochód po pyrkoczącym tłumiku.

- Jest! - Alec wypadł z impetem tylnymi drzwiami na dwór. Za nim biegła Wanda, niemal wyszczekując sobie mózg.

Co za nieprzewidywalny pies.

- Hura - wymruczał żałośnie Josh, zgarbiony przed komputerem.

Briana rzuciła mu współczujące spojrzenie i zmusiła się do podejścia w stronę drzwi.

Było ciemno, ale nie na tyle, żeby nie widziała Vance'a gramolącego się z vana z tym swoim firmowym uśmiechem. Podniósł Aleca i okręcił go wkoło.

Kiedy otwarty się drugie drzwi, Briana wstrzymała oddech.

Kobieta - właściwie dziewczyna - okrążyła van z przodu, uśmiechając się nerwowo. Była okropnie chuda, miała na sobie przylegający kusy top, obcisłe dżinsy i wysokie buty. W pępku błyszczał jej mały srebrny kolczyk, a rozjaśnione włosy, spięte w kucyk, zdawały się wyrastać z czubka głowy.

Vance postawił Aleca na ziemi i spojrzał w stronę Briany, wyraźnie dążąc, by spotkali się wzrokiem. W tej samej chwili wyciągnął rękę do dziewczyny, która podbiegła i przytuliła się do niego. Patrzyła na Brianę wielkimi, pełnymi strachu oczami.

- Świetnie wyglądasz, Bree - zagaił Vance.

Nie mogła wykrztusić słowa. Nie przeszkadzało jej, że ma przyjaciółkę - nic nowego. Dotknęło ją, i to tak, aż chciała gryźć paznokcie, że przywiózł swoją dyżurną zdziwę

tutaj i jak widać zamierzał spać z nią pod jednym dachem z synkami.

- To jest Heather - dokonał prezentacji - Heather, to moja była żona, Briana. To mój chłopak, Alec. - Zmarszczył brwi i pogłaskał od niechcienia łeb Wandy. - A gdzie Josh?

- W domu - zdołała powiedzieć Briana.

- Cześć, Briana - bąknęła Heather. Brianie zrobiło się jej żal: tak bardzo starała się go zadowolić. Biedna mała, pewnie nie ma pojęcia, po co Vance ją tutaj zabrał.

- Wejdźcie.

Przeszli do kuchni i następne minuty były dla wszystkich bardzo krępujące. Josh nawet się nie ruszył, by przywitać Vance'a, za to obaj z Alekiem wpatrywali się w Heather niczym w jakąś osobliwość wystawianą na poboczu drogi, gdzie sprzedaje się zakurzone, pogniecione pocztówki i plastikowe przyciski do papieru z martwym wężem, zatopionym w środku.

- To jest Heather - powtórzył Vance. Zaczerwieniła się, jakby chciała się zapaść pod ziemię.

Współczucie Briany zamieniło się w litość.

- Napijesz się kawy, Heather? - I szybko dodała: -
Siadajcie, proszę. Siadajcie.

W kuchennym świetle zauważyła, że Heather była starsza, niż to się wydawało na zewnątrz. Na pewno miała ponad dwadzieścia jeden lat, i dobrze, bo w przeciwnym razie Briana zawiadomiłaby szeryfa.

- Dzięki. - Heather jakby zapadła się w krzesło. Poklepała się po włosach i dopiero wtedy Briana zauważyła na jej lewej dłoni cienką, złotą obrączkę. Vance napuszył się jak kogut.

- Heather - obwieścił Alecowi i Joshowi - jest waszą nową macochą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie powiesz nawet „siema” swojemu staremu tacie? - zagadnął Vance Josha, który wściekły i przygnębiony siedział przy komputerze w głębi kuchni.

- Siema - odburknął Josh.

Alec siedział już u ojca na kolanach, ale nawet on, wieczny optymista, wyglądał na wstrząśniętego faktem, że ma macochę.

Vance westchnął i rzucił Heather znaczące spojrzenie.

- Chyba mam wiele płotów do zreperowania.

- Tak jakby - zgodziła się Heather. Pewnie na tym etapie zgadzała się ze wszystkim, co powiedział Vance. To, jak wiedziała Briana, z czasem się zmieni.

Ręka trochę jej drżała przy nalewaniu kawy Heather i Vance'owi. zaproponowała im jakąś szybką kolację, ale odmówili. Podobno jedli po drodze.

- Tak się składa - Vance pocierał knykami szczeciniastą głowę Aleca - że przywieźliśmy prezenty.

Brianę ogarnęła wściekłość, aż drgały jej dosłownie wszystkie końcówki nerwów. Prezenty? Vance przeważnie

nawet nie płacił alimentów. Nie kupował chłopcom butów, dżinsów i T-shirtów, chociaż ciągle wyrastali z ubrań. Nie przysyłał nawet kartek na urodziny.

Jakim cudem stać go na prezenty?

No tak, prezenty stawiały go w dobrym świetle. Jak widać uważał, że niezbędne rzeczy, niewymagające podziękowań, należały do jej zakresu odpowiedzialności.

Alec cały się rozpromienił na tę wiadomość i nawet Josh wydawał się zaintrygowany.

- Są w wozie - mówił Vance. - Może byśmy je wyładowali? - Odwrócił się do Josha z uśmiechem.

- Przyda nam się twoja pomoc.

Alec zerwał się i popędził do drzwi. Josh ruszył za nim, ale dopiero po milczącym skinieniu Briany. Vance też wstał i cała trójka wyszła na zewnątrz. Heather poruszyła się nerwowo na krześle.

- Mamy dla nich rowery - powiedziała nieśmiało.

- Kupiliśmy je na wyprzedaży sąsiedzkiej w małym miasteczku pod Vegas, ale Vance je wyszykował i wyglądają jak nowe.

Serce Briany doznało lekkiego poślizgu. Rowery. Przez całe lata chłopcy prosili o nie przed każdym Bożym Narodzeniem i urodzinami. Nigdy nie udało się jej wygospodarować pieniędzy. Co za ironia, że to dawne, niezmiennie marzenie spełni się właśnie dzięki Vance'owi.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zapytała Heather. Briana zamrugła zmieszana.

- Przeciwko czemu?

- Że Vance przywiózł mnie tutaj. Nie zostaniemy długo, tylko do jutrzejszego popołudnia.

Briana miała coś przeciwko temu, ale nie była aż tak małostkowa, by powiedzieć to śmiertelnie wystraszonej kobiecie.

Na dworze rozległ się radosny krzyk Aleca.

A więc już dostali rowery.

- Dokąd się dalej wybieracie? - zapytała Briana dla podtrzymania rozmowy.

Bomba, kiedy już spadła, kompletnie ją zaskoczyła.

- Och, chcemy osiąść właśnie tutaj, w Stillwater Springs - szczebiotała Heather. - Vance pewnego dnia trafił królewskiego pokera na automacie w Vegas i uznał to za

znak od Boga, że powinniśmy się ustabilizować. -
Wtajemniczona zapewne w problem alimentów młoda
małżonka zaczerwieniła się i mocno przygryzła pulchną
wargę. - Nie ma tego tak wiele - dodała pośpiesznie - ale
wystarczy na czynsz i kaucję, a także na życie, dopóki nie
znajdziemy sobie pracy.

- Wokół Stillwater Springs będzie z tym trudno

- zauważyła Briana, czując zawrót głowy. Samo życie.

Może się nic nie zmieniać przez lata, aż tu nagle zwrot o
sto osiemdziesiąt stopni. - Znaczy, z pracą.

Heather natychmiast jej zaprzeczyła.

- Zatrzymaliśmy się w warsztacie samochodowym w
miasteczku, żeby wymienić świece. Na drzwiach był napis:
„Potrzebny pracownik”. Potrzebują mechanika, a Vance
jest w tym dobry. Zaprosili go na jutro na rozmowę
kwalifikacyjną.

Briana oparła się pokusie zamknięcia oczu i po-
trząśnięcia głową. Vance w Stillwater Springs? Miałby
pracować od dziewiątej do piątej, zamiast jeździć w trasy
rodeo?

Alec będzie zachwycony, a Josh zapewne się dostosuje.

Ale wszystko się zmieni.

Dosłownie wszystko.

Ciągle przetrawiała nowinę, kiedy w otwartych drzwiach na ganek pojawił się Vance. W blasku zewnętrznego światła wyglądał tak jak zawsze, a jednak inaczej.

Stał się religijny czy co?

Czy na zderzaku ma nalepkę „Zatrąb, jeśli kochasz Jezusa”.

- Chodź, zobacz te rowery - powiedział. Briana nie miała pojęcia, czy odnosi się to do niej, czy Heather. Poczekala jednak, aż oboje wyszli, zanim dołączyła do nich na ganku.

Alec i Josh zataczali trochę niepewnie duże okręgi na swoich „nowych” rowerach.

- Całkiem szybko się połapali - zauważył z dumą Vance.

Chłopcy już wcześniej jeździli na rowerach kolegów, kiedy tylko trafiła się okazja, ale to było dawno. Jak widać jazda na rowerze to coś, czego się nigdy nie zapomina.

- Dla ciebie, Bree, także coś mam - oznajmił. Heather ruszyła do vana po swój bagaż.

- Co? - zapytała Briana nieufnie.

Vance skierował ją do środka. Kiedy chwilowo sami znaleźli się w kuchni, wyciągnął portfel i odliczył jej do ręki kilka szeleszczących studolarówek.

Wlepiała w niego zdumiony wzrok.

- Alimenty.

- Och! - wykrztusiła oszołomiona Briana. Znając Vance'a, spodziewała się, że jeszcze przed końcem weekendu poprosi ją o pożyczkę. W soboty bank był otwarty do południa, więc postanowiła pójść tam rano, gdy tylko otworzą drzwi. - Dziękuję.

- Znaczy jesteśmy lewita? - Bacznie ją obserwował.

Czego on oczekiwał? Łez wdzięczności? Może ma paść przed nim na kolana i podjąć go pod nogi, łkając ze szczęścia? Przecież był jej winien pieniądze i aż dotąd ociągał się z wypłatą.

- Dziękuję - powtórzyła. Szybko złożyła banknoty i wcisnęła do kieszeni roboczych spodni. - Rzeczywiście

jesteśmy teraz kwita. Na razie. Heather mówiła, że chcecie się tutaj osiedlić.

Skinął głową i spojrzał z ukosa poza ganek. Kiedy obserwował chłopców na rowerach, miał na twarzy wyraz, jakiego Briana nigdy u niego nie widziała.

- Spieprzyłem sprawę z Alekiem i Joshem... z tobą także - powiedział, nie patrząc jej w oczy. - Ale u dzieci ciągle mam szansę.

Poczuła, jakby miała w gardle nie gulę, ale głaz.

- Nie podbijaj ich oczekiwań, Vance - poprosiła, kiedy już odzyskała mowę. - Nie staraj się im wmawiać, że zamierzasz tutaj zostać i być częścią ich życia, okej?

Zanim zdołał zrobić coś więcej, niż obrzucić ją spojrzeniem człowieka, który właśnie dostał po gębie, wróciła Heather, taszcząc neseser i pękata torebkę.

- Czy mogę się wykąpać? - zapytała Brianę.

- Oczywiście - odparła Briana, nie spuszczając wzroku z Vance'a.

Przeszedł za nią na ganek, kazał synkom zostawić rowery przy domu i wrócić do środka.

Oni jednak wtoczyli rowery po schodkach i zaparkowali je w kuchni.

Briana powoli zamknęła drzwi, a jej wzrok wędrował od chłopca do chłopca i od roweru do roweru. Nawet Josh wyglądał na ostrożnie ukontentowanego, zaś Alec wprost promieniał.

- Ktoś mógłby je tam ukraść - tłumaczył Alec. Jego rower był czerwony; kierownica błyszczała, a lakier wyglądał na świeży. Joshua, wyścigowy, miał metaliczny lakier i opalizował kolorem.

- Wstawcie je teraz do schowka - powiedziała Briana. - Tylko uważajcie, żeby nie porysować pralki i suszarki.

Kiwnęli głowami i wytoczyli rowery z kuchni.

A potem znowu zrobiło się niezręcznie.

Heather po kąpieli powiedziała, że jest zmęczona, i rozłożyła kanapę, chcąc się położyć.

Chłopcy siedzieli przy stole i pilnie słuchali, kiedy Vance relacjonował swoje ostatnie przygody. Heather poznał w Butte, na rodeo, i od razu wiedział, że to miłość. Ożenił się z nią jeszcze przed wyjazdem z miasta.

Briana westchnęła w duchu.

Josh zachowywał się powściągliwie; będąc dwa lata starszy od brata, znał lepiej ojca i jego wzięte z księżycy obietnice, ale jednak rower także na nim zrobił wrażenie. Briana wiedziała, że chłopiec chce wierzyć Vance'owi, ale jeszcze nie śmie.

Natomiast serce Aleca było otwarte na oścież. Wszystko zostało łatwo wybaczone - przecież nigdy na serio nie żywił urazy do swojego taty. Zawsze widział u Vance'a coś, co umykało Brianie.

- Dostarczymy ci jutro jakieś zakupy - powiedział jej Vance cicho; było dobrze po północy, kiedy już zapędził Aleca i Josha do ich pokoju, a być może nawet otulił do snu.

Czy dotarło do niego choć słowo z tego, co mówiła o nierozbudzaniu w nich nadziei?

Miał pojęcie, jacy będą zdruzgotani, kiedy złamie swoje obietnice, tak jak to zwykle robił?

- Dobrze - zgodziła się Briana. - W porządku.

Przeszedł przez pokój, położył ręce na jej ramionach i odwrócił od zlewu, gdzie napełniała dzbanek na poranną kawę. Spojrzał jej w oczy.

Wyrwała się i odsunęła.

W salonie Heather albo smacznie spała na rozłożonej kanapie, albo leżała rozbudzona i słuchała.

- Briana, ja tylko... - W chropawym głosie Vance'a było znużenie. - Ja nie chciałem...

- Mogłeś wspomnieć o Heather przez telefon, Vance. I dać mi szansę przygotowania chłopców.

Szczęki mu stężały.

- Chłopcy znieśli to całkiem dobrze. A tego rodzaju sprawy mężczyzna załatwia osobiście, nie przez telefon.

Odwróciła wzrok. Nic nie mówiła. Jeżeli Vance myśli, że jest wkurzona, bo się ponownie ożenił, to ona umrze ze wstydu.

- Lepiej się już położyć. Dobranoc, Bree.

Nie odezwała się ani nie patrzyła mu w oczy. Tylko kiwnęła głową.

Poszedł do salonu, mruknął coś mężowskim tonem do Heather, a ta westchnęła i mamrotała przez sen.

Dobry Boże, pomyślała Briana, idąc do swojego pokoju, z Wandą przy nodze, chyba nie będą uprawiać tutaj seksu?

Bo jeśli tak, to ona nie chce nic o tym wiedzieć.

Przebrała się w bawełnianą nocną koszulę, a potem przemknęła korytarzem do łazienki, z trudem powstrzymując się od zasłonięcia uszu rękami. Po powrocie do sypialni nastawiła cicho radio.

Wanda zwinęła się w zwykłym miejscu na materacu tuż przy wezglowiu. Obrzuciła ją zaciekawionym spojrzeniem, ziewnęła i ułożyła się do snu.

Briana też się położyła, ale mimo zmęczenia sen nie nadchodził.

Czy poza tym, że chłopcy mogli usłyszeć jakieś barabara w toku, naprawdę ją obchodziło, że Vance i jego pani się kochają?

Nie.

Więc w czym problem?

Przewróciła się na bok, potem na drugi. Niski, chrapliwy głos z radia śpiewał piosenkę z gatunku tych, które budzą w kobiecie pragnienie mężczyzny, kieliszka wina i światła świec.

Wyciągnęła rękę i zmieniła stację.

Inwestowanie w przyszłe ceny wieprzowiny. To jest to!

Nie ma nic romantycznego w przyszłych cenach wieprzowiny.

Cokolwiek, u diabła, to znaczy.

Ktoś cicho zastukał do drzwi.

Usiadła, podciągnęła przykrycie pod brodę.

-Tak?

Drzwi skrzypnęły i stanął w nich Josh w przykrótkiej piżamie.

- Mogę tutaj spać?

Zwykle go zniechęcała, ale tym razem wystarczyło jej spojrzeć na twarz synka, by ugryźć się w język.

- O co chodzi, kochanie? Miałeś zły sen? Skinął głową, tłumiąc łzy.

- Śniło mi się, że tata nas zabrał. Nie mogłem przypomnieć sobie numeru twojej komórki, bo jest nowa i...

- Już dobrze, to tylko sen - przerwała mu Briana, poklepując stronę łóżka, która należała do Wandy.

Pies usłużnie przesunął się w dół materaca, tak żeby Josh mógł się wsunąć obok Briany.

- Jestem za duży, aby spać z mamą - lamentował Josh.
- Raz można.
- Czy to wypada cieszyć się z roweru? Brianę zapiekły
oczy.

- Oczywiście.

- Czy nam każe nazywać Heather mamą?

- To od was zależy, jak ją będziecie nazywać, ale
powinniście odnosić się do niej z szacunkiem. - Myśl, że
Alec i Josh zwracaliby się „mamo” do innej kobiety,
uwierała ją w serce, ale była zdecydowana grać uczciwie.

A ponadto - w jakimś sensie - polubiła Heather.

Josh leżał przez chwilę w milczeniu w kręgu światła
nocnej lampki i delikatnego szumu radia. Nagle zapytał:

- Czemu słuchasz audycji o rolnictwie? Prezenter
właśnie mówił, że następnego dnia odbędzie się w Choteau
wielka wyprzedaż zwierząt inwentarskich. Briana
uśmiechnęła się i wyłączyła radio.

- Chciałam, żeby coś szemrało.

- Aha. - Josh usiadł i odrzucił przykrycie. - Chyba już
wszystko w porządku.

- To dobrze. - Patrzyła, jak wychodzi z pokoju i zmierza do swojego łóżka. Wanda bezceremonialnie wróciła na sąsiednią poduszkę.

Briana przekręciła wyłącznik i w pokoju zapadła ciemność.

- Potrzebuję konia - tłumaczył Logan Asystentowi, obserwując przez okno furgonetki drugą brygadę budowlańców; od rana uwijali się wokół stajni.

As nie opatrzył tego żadnym komentarzem. Zapewne miał nadzieję na śniadanie w barze z fast foodem w mieście albo na kolejną wizytę Aleca, Josha i Wandy.

- Tak, tak, mój panie - powtórzył Logan, właściwie tylko po to, aby usłyszeć czyjś głos, nawet własny. - Z całą pewnością potrzebuję konia.

Właśnie sprawdził postęp prac przy nowym ogrodzeniu pastwiska. Robotnicy trochę obawiali się Cimarrona, ale do tej pory stary byk trzymał się od nich z daleka, podglądając działania z zagajnika brzozonego, i tylko parę razy pogrzebał kopytem w ziemi. Ponieważ nie można było zwierzęcia uspić ani przewieźć w inne miejsce na czas

wznoszenia płotu, budowanie go wokół niego wydawało się najlepszym sposobem.

Na razie wszystko gra.

Stajnia będzie gotowa na przyjęcie koni najprędzej za tydzień lub dwa, ale w odległym o trzydzieści kilometrów Choteau odbywała się dzisiaj aukcja zwierząt i Logan nie mógł się powstrzymać, by tam nie pojechać.

Jako dzieciak, a także później na rodeo dużo jeździł konno. Jake trzymał dwie stare szkapy, Shadow i Dynamite, a on, także Dylan i Tyler wychowali się na ich grzbietach. Logan wspominał z uśmiechem, jak to zawsze wkurzało Tylera, że nie mógł jeździć samodzielnie, tylko za którymś z braci. Nie cierpiał być najmłodszym, nie cierpiał, że zawsze musiał się podporządkować, kiedy chciał być przywódcą.

Shadow i Dynamite odeszły dawno temu ze starości, ale dzisiejszego ranka ta strata wydawała się świeża, tak jakby miały czekać przy bramie korralu, gotowe do osiodłania.

Logan przełknął kulę w gardle i włączył bieg furgonetki. Mógł przesiedzieć tak cały dzień, roniąc łyżę do piwa, ale mógł też ruszyć sprawy do przodu.

Na początku podjazdu, tam gdzie górna część starej bramy dalej wisiała na tych samych trzech odcinkach łańcucha, o mały włos nie zderzył się z Alekiem i Joshem. Śmignęli przed nim na rowerach, podczas gdy on wdepnął hamulec, wystawiając jednocześnie rękę, aby Asystent nie rozbił się o przednią szybę.

Chłopcy zwolnili i wykonali szeroką pętlę na drodze.

Logan opuścił szybę i odetchnął głęboko, bo serce jeszcze nie zdążyło wrócić do normalnego rytmu.

- Moglibyście na przyszłość bardziej uważać.

- Przepraszamy - bąknął Josh. Alec uśmiechał się od ucha do ucha.

- Dostaliśmy nowe rowery! - pochwalił się z zachwytem.

Logan zachichotał.

- No widzę. Odlotowe.

- Tata kupił je na garażowej wyprzedaży - oświadczył Josh.

Tata. To przecież absolutnie normalne, że mężczyzna odwiedza swoje dzieci i kupuje im rowery. Więc dlaczego

on, Logan, poczuł nagle, że musi wpaść do Briany i zobaczyć, co jest grane?

Tak czy inaczej jemu nic do tego.

- Chłopaki, a wasza mama wie, że tutaj jesteście? - Miał na uwadze wczorajszą sprzeczkę o wspólny wypad do miasta.

- Zamierzała wziąć dzisiaj wolny dzień - wyjaśnił Alec - ale byliśmy pod opieką taty, więc mimo wszystko pojechała do pracy. Kiedy tata skończy rozmowę kwalifikacyjną, zabierze nas i pojedziemy oglądać mieszkanie z ogłoszenia.

Całkiem spora porcja informacji do przyswojenia i uporządkowania, ale Logan wypił rano trzy filiżanki mocnej kawy i jego szare komórki pracowały sprawnie.

- A gdzie teraz jest wasz tata?

Z zakrętu wychodził właśnie jakiś wysoki mężczyzna. Miał na sobie stare wysokie buty, dzinsy i niebieską batystową koszulę o sportowym kroju.

Alec uniósł kciuk.

- To on! - powiedział dumnie.

Logan zmusił się do uśmiechu i wysiadł z furgonetki.

- To jest nasz sąsiad, Logan Creed. - Josh zaprezentował go ojcu. - Przedwczoraj był u nas na kolacji.

- Ach, tak? - Podali sobie ręce i Logan poczuł na sobie uważne spojrzenie niebieskich oczu przybysza. - Vance Grant. Miło poznać.

Logan jedynie skinął głową. Grantowi nie podobało się, że składał towarzyską wizytę jego byłej żonie, już on potrafił to wyczuć. W tych lodowatych oczach czaił się chłód podejrzenia.

- Teraz ja też będę się kręcił w pobliżu. Jeśli robi ci to różnicę.

Logan podniósł brwi, świadom że chłopcy, którzy stali obok ze swoimi rowerami, nadstawiają uszu.

- A powinno?

Uśmiech Vance'a nie obejmował oczu. Zanim zdołał odpowiedzieć, zadzwoniła czyjaś komórka.

Josh szybko wyciągnął z kieszeni dzinsów telefon - model o stopień wyższy od śmieciowego - i odebrał połączenie.

- To mama. - Przewrócił oczami, choć Logan dobrze widział, że chłopak poczuł się ważny.

- Tak, tata tutaj jest... jest z nami, mamó. Logan także. -
Przerwa. - Kiedy wychodziliśmy z domu, Heather jeszcze
spała.

Kim, u diabła, jest Heather? - dziwił się Logan.

- Powinniśmy zmierzać w stronę domu - powiedział
Vance, gdy Josh wyłączył komórkę, potrzymał ją kilka
sekund poza zasięgiem Aleca, a potem wsunął do kieszeni.
- Za pół godziny mamy być w mieście.

Alec i Josh pożegnali się i popedałowali w stronę domu
Dylana. Logan wszedł do furgonetki, której okno pozostało
otwarte, ale Vance zwlekał jeszcze z odejściem.

- Moi chłopcy mają ojca - oświadczył.

Logan poczuł, że pałą go uszy. Raz tylko był u Briany
na kolacji i wczoraj zabrał Aleca i Josha na lunch do
kasyna, gdzie później czekali na matkę. Czy ten prostak
uważa, że wchodzi na jego teren albo co?

Ale Briana nie była żoną Vance'a. W jej wypadku
słowo „teren” nic nie znaczyło.

- Słuchaj - oparł rękę na krawędzi okna, a drugą nieco
zbyt mocno zacisnął na kierownicy - dopiero się
poznaliśmy, więc zamierzam skorzystać z domniemania

niewinności i nie zakładać, że jesteś przewrażliwionym skurwysynem, który szuka zwady. Alec i Josh to miłe dzieciaki. Jesteś szczęściarzem, że ich masz.

Vance sapnął i trochę się odprężył. Zdjął kapelusz, aby przesunąć ręką po włosach, zrobił pół obrotu, by pójść za chłopcami, zaraz zawrócił.

- Może i jestem trochę drażliwy - przyznał. - Popełniłem wiele błędów, a teraz staram się je naprawić.

To wymaga wielu działań i prawda jest taka, że nie trzeba mi teraz żadnej konkurencji.

Logan się nie odezwał. Postanowił tylko słuchać, nic więcej.

Ale Vance nic nie dodał. Odwrócił się, zobaczył, że chłopcy znikają za zakrętem, i podążył za nimi.

„Nie trzeba mi teraz żadnej konkurencji”.

Co to, u diabła, znaczyło? Vance próbował odzyskać rodzinę, włączając w to Brianę? Czy też mówił jedynie o nawiązaniu relacji ze swoimi dziećmi?

Przy czym „swoimi” to kluczowe słowo.

Kiedy wrzucał jedynkę, skrzynia biegów trochę zazgrzytała. Z piskiem opon wjechał na drogę publiczną.

Prawie nie znał Briany Grant. Skoro chciała pojednać się z byłym mężem, miała do tego prawo.

Tak czy inaczej, przejechawszy przez całe Stillwater Springs, skierował się na Choteau. Tylko w ten sposób mógł powstrzymać chęć skręcenia do kasyna, odnalezienia Briany i wypytania jej, co się właściwie dzieje. Ale tak naprawdę tym, co go powstrzymało, była wzmianka Josha o kobiecie.

Heather.

Dojechał do Choteau, znalazł aukcję zwierząt i pobrał numerek uczestnika. On i Asystent przechadzali się wzdłuż zagród, oglądając bydło i konie, które wystawiono dzisiaj na sprzedaż.

Gdy wreszcie rozpoczęto aukcję, licytacja potoczyła się w zawrotnym tempie. Kiedy po wypisaniu astronomicznego czeku dla organizatorów pakował Asystenta z powrotem do furgonetki, był już ranczerem całą gębą, właścicielem dwudziestu jałówek i czterech koni.

Bydło miało być dostarczone w ciągu dziesięciu dni, a konie nazajutrz.

Wychylony do przodu, przyglądał się niebu przez szybę. Pogoda była piękna. Koniom do czasu wybudowania stajni zupełnie wystarczy korral.

Musiał dopłacić za opóźnienie dostawy bydła, ponieważ płot wokół pastwiska wciąż nie był gotowy.

Uśmiechnął się do Asystenta, który siedział na siedzeniu pasażera, podczas gdy za oknem przesuwały się wieczorne widoki.

- Jak sobie radzisz z zaganianiem bydła, staruszk? - zapytał psa.

Asystent tylko wlepił w niego oczy pełne psiego przywiązania.

- Jedno jest pewne - ciągnął Logan. - Cimarron będzie bardzo szczęśliwym bykiem.

Zadzwoiła komórka.

Logan prowadził, więc odebrał telefon, nie patrząc na identyfikator.

- Logan Creed - przedstawił się odruchowo. Do niedawna, zanim sprzedał swoją firmę, większość telefonów dotyczyła interesów.

Laurie się roześmiała; głęboki, ciepły tembr jej głosu sprawił, że zatęsknił za kobietą w swoim życiu, jeżeli nawet nie była to ta.

- Większość ludzi mówi po prostu: „halo” - powiedziała.

- W porządku, halo.

- Świr!

- Jak się układa w małżeństwie? - zapytał, chcąc wprowadzić lżejszy nastrój. I może trochę zaleźć jej za skórę, chociaż się przyjaźnili. Nawet bardzo.

- Rozważam rozwód. Nie jest mi zbyt dobrze z sobą.

- Przykro mi to słyszeć. - Nie mógł nie zachichotać. Na świecie wszyscy ludzie byli zwykli, normalni. No i była też Laurie.

Ponieważ nie odpowiedziała od razu, pomyślał, że lepiej będzie samemu pokierować rozmową. Nie miał ochoty na pogaduszki, a rzeczowy ton pozwoli mieć to szybko z głowy.

- Czego chcesz? - zapytał.

W głowie odezwało mu się echo głosów Dylana i Tylera.

Czego chcesz? Laurie zaczęła płakać.

- Laurie?

- Nie mogę mieć psa.

- Co? - Nic z tego nie rozumiał.

- Właśnie wprowadziłam się do tego apartamentowca, a oni nie pozwalają mi trzymać Snookumsa.

Logan spojrział na Asystenta.

- To okrutne - zauważył z troską. Chciała się tylko wyzalić czy oczekiwała, że on coś poradzi?

- Zastanawiałam się, czybyś go nie wziął. To dobry pies.

- Laurie, ty mieszkasz w Kalifornii, a ja w Mon-tanie.

- Mogę wsadzić go do samolotu. Logan, musisz to dla mnie zrobić. Nie mogę tak od razu się przenieść, a jeśli nie znajdę Snookumsowi innego miejsca, to mnie wyeksmitują. Przecież nie mogę go oddać całkiem obcym ludziom!

- Snookumsa... - powtórzył machinalnie Logan. Poczuł się wessany w wir miłośników psów. Wszystkich psów: wielkich, małych i średnich.

- Zgadzasz się! - krzyknęła Laurie z taką radością, że Logan zaniemówił. - Jesteś tam? - spytała niespokojnie jego druga żona, obecnie zameżna z sobą.

- Jestem.

- Postaram się wysłać go jak najszybciej

- Snookumsa? - powtórzył Logan.

- Imię możesz mu zmienić. - W głosie Laurie słychać było urazę.

- Laurie, czy nie możesz... Znów uderzyła w płacz.

- Proszę, Logan. Proszę. Westchnął głośno.

- Okej. Jakiego rodzaju jest ten...

- Zadzwońię do ciebie, gdy tylko zarezerwuję lot

- przerwała mu głosem przepelnionym wdzięcznością i pociągnęła nosem. - Dzięki, Logan.

I się rozłączyła.

Zamknął telefon, spojrział w lusterko wsteczne i napotkał swój wzrok.

- Frajer - mruknął.

Z gardła Asystenta wydobył się cichy dźwięk.

- Będiesz miał brata - zawiadomił go Logan.

- Snookumsa!

Pies przechylił głowę.

- Tak, tak - potwierdził Logan. - Dobrze słyszałeś.
Snookumsa.

- Tata dostał tę pracę! - oznajmił Alec, gdy tylko Briana weszła po pracy do domu. - I jeszcze znaleźliśmy dla nich wielką przyczepę, w której będą mieszkać.

Van stał na podwórzu, ale nie było śladu szczęśliwej pary.

- Gdzie są Heather i twój tata? - zapytała, schylając się, by poklepać Wandę na powitanie.

- Biorą prysznic.

Za jego plecami napotkała wzrok Josha.

- Razem - uściślił starszy syn z wymowną miną. Zamorduję, pomyślała Briana, waląc torebką o stół.

- Heather także znalazła sobie pracę - paplał dalej Alec, puszczając, dzięki Bogu, mimo uszu uwagę o wspólnym prysznicu. - Będzie fryzjerką w galerii handlowej.

Heather jest fryzjerką? Briana miała szczerą nadzieję, że te przypominające siano pukle na głowie małżonki Vance'a nie są dziełem jej własnych rąk.

- To super. - Nie miała sumienia psuć Alecowi radości.

- Ale do tej przyczepy mogą się wprowadzić dopiero jutro - uprzedził ją Josh, unosząc brwi na znak, że nie ma w związku z tym dobrych przeczuć.

- I zrobiliśmy wielkie zakupy! - Alec otworzył drzwi lodówki na poparcie tych słów. Briana zobaczyła sześciopak piwa, paczkę mielonki, składniki sałatki oraz pizzę z gatunku „upiecz sobie sam”.

Czyli mimo wszystko nie przeniosła się do równoległego świata. Vance kupił piwo.

W oddali prysznic ucichł, a chwilę później Heather wkroczyła do kuchni odziana w kusy różowy szlafrok kąpielowy. Gejzer kucyka oklapł pod wpływem pary i wilgoci.

- Cze, Briana - zawołała wesoło. - Siadaj i ułóż nogi wysoko czy jak tam chcesz, bo dzisiaj ja szykuję kolację.

Briana otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Raczej nie wypada prosić tej kobiety, żeby jednak, do cholery, trochę się okryła, bo w pokoju są dzieci. A może jednak?

Vance pojawił się bez koszuli, zapinając po drodze rozporek dżinsów.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zostali na jeszcze jedną noc - zagadnął swobodnie. - Nie mogę dostać kluczy do przyczepy, dopóki nie podłączą wody i światła, a to nastąpi jutro.

Briana znowu poruszała ustami jak ryba.

Otwarte.

Zamknięte.

Znowu otwarte.

- To dobrze - rzucił Vance i skierował się do pralni. Wrócił za chwilę, dopinając czystą koszulę. Najwidoczniej między załatwianiem pracy a wynajmowaniem przyczepy zrobili sobie małe pranie. - Heather! Ruszaj się z tą pizzą! Jestem teraz człowiekiem pracy i muszę się odżywiać!

Briana schroniła się do swojej sypialni, gdzie przebrała się w szorty i T-shirt.

Kiedy wróciła do kuchni (musiała użyć całej siły woli, żeby wyjść z ukrycia), Heather była ubrana względnie przyzwoicie w obcisłe białe dżinsy i ciasny top, który odsłaniał brzuch. Wsadziła pizzę do pieca i obrzuciła Brianę taksującym spojrzeniem.

- Powinnaś obciąć włosy - zasugerowała. Briana złapała się obronnym gestem za warkocz.

Dlaczego styliści zawsze chcą skracać długie włosy? Może to dla nich taki sam rodzaj wyzwania, jak na przykład Mount Everest dla wspinaczy.

- Chętnie się tym zajmę - kusiała Heather. - Gratis.

- Dziękuję, ale podoba mi się tak jak jest. Heather zmarszczyła z wdziękiem nosek.

- Kiedy zaczynamy się starzeć - zauważyła słodko - naprawdę nie powinniśmy nosić długich włosów.

Ta uwaga była tak oburzająca - i tak prostolinijnie szczerą - że Briana nawet się nie wściekła.

- Zapamiętam to sobie.

Heather uśmiechnęła się z satysfakcją i zabrała do krojenia sałatki.

W salonie Vance z chłopcami oglądali w telewizji jakąś grę.

- Mogę ci w czymś pomóc? - zapytała Briana.

- Przy kolacji.

- Możesz nakryć do stołu - zaproponowała Heather z promiennym uśmiechem.

Briana poszła do kredensu po talerze.

- Fajnie, co nie? - Heather kroila energicznie dymkę.

Briana nie odpowiedziała.

Heather odwróciła się, spojrzała na nią przez ramię.

- Jestem taka dumna z Vance'a! Dostał pierwszą pracę, o którą się starał.

- Wyobrażam sobie. - Briana przygryzła wargę, żeby nie powiedzieć więcej.

Heather spojrzała na nią, zmrużając oczy. Być może zadziałały jej wykrywacze sarkazmu. Ale ta koncepcja Briany upadła, bo Heather zaraz się uśmiechnęła.

- W przyczepie jest dodatkowa sypialnia - powiedziała.

- Vance i ja mamy nadzieję, że chłopcy będą mogli czasem nocować u nas, na przykład w weekendy czy po szkole.

Tego mostu Briana nie zamierzała przekraczać, dopóki nie będzie to konieczne.

- Chłopcy nie chodzą do szkoły. Uczę ich w domu.

Heather jeszcze energiczniej potraktowała zieleninę do sałatki.

- Vance mówi, że będzie musiał tupnąć nogą w tej sprawie - wysnęło się Heather. - Zresztą Alec i Josh chcą

być jak inne dzieci. Grać w bejsbol i takie tam. Uważam, że jako matka odwaliłaś kawał dobrej roboty i w ogóle, ale...

- Heather. - To był głos Vance'a.

Briana zastygła w bezruchu i tylko zwróciła oczy w jego stronę. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Cóż - wybuchnęła Heather - sam mówiłeś, że boisz się poruszać tego tematu, szkoły chłopców, więc ja...

Vance stał w drzwiach salonu, a Josh i Alec przyciskali się do ojca z obu stron.

- Heather - powtórz! z naciskiem. Rozplakała się i uciekła do łazienki, jedyne miejsce, w którym mogła się schronić.

- Dobrze nam szło - wyjaśniła Briana, patrząc mu w oczy. - Obaj całkiem nieźle sobie radzą z zadaniami szkolnymi.

- Potrzebują kontaktu z innymi dziećmi, Bree, uprawiać sport, jeździć na wycieczki i takie tam.

- Nagle obudził się w tobie troskliwy ojciec? Przestań - odezwał się anioł stróż. - Przestań w tej chwili. Dzieci słuchają.

- Wiem, że twój tata uczył cię w domu - mówił spokojnie Vance, pozostawiając jej słowa bez komentarza - i świetnie mu to wyszło. Ale Josh i Alec są także moimi dziećmi i jesienią pójdą do szkoły, jak wszyscy.

Alec wyjrzał zza łokcia Vance'a. Josh wystąpił krok naprzód.

- Tata ma rację, mamo. Chcemy być tacy, jak inni.

- A ty, Alec? - zapytała łagodnie Briana.

- Chcę być w drużynie bejsbolowej! I jeździć żółtym autobusem, i jeść lunch w kafeterii!

Briana usiadła i zamknęła oczy. Wszystko się zmieniało. Zbyt szybko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Briana miała wolną niedzielę, więc już o świcie przeciągnęła się rozkosznie w łóżku, zachwycona mylnym przekonaniem, że sobie dłużej pośpi.

Potem wszystko się jej przypomniało. Vance i Heather wyprowadzali się dzisiaj do wynajętej przyczepy, a Alec i Josh nalegali, że im pomogą. Co znaczyło, że pojedą do miasta i spędzą dzień w nowym miejscu.

On jest ich ojcem, napomniała się Briana; powinni mieć z nim kontakt. Czyż nie tego właśnie chciała?

Z kuchni dobiegały odgłosy przygotowań. Wanda poruszyła się, wstała i ciężko zeskoczyła z łóżka. Podeszła do drzwi i przytknęła do nich nos.

Briana z westchnieniem wstała, włożyła brzydki żółty płaszcz kąpielowy z różowymi welurowymi różami na plecach, zawiązała pasek i wyszła z kryjówki.

Vance, już całkowicie ubrany, przygotowywał na śniadanie swoją specjalność: naleśniki i mielone kotlety.

Heather brała prysznic.

- Gdzie są chłopcy? - Briana otworzyła tylne drzwi i wypuściła Wandę.

- Jeżdżą na rowerach po podjeździe. - Vance omiół wzrokiem Briane. Potrząsnął głową i spojrzał w bok. - Poznałem wczoraj twojego sąsiada, Logana Creeda.

Briana, która właśnie szła po dzbanek z kawą, skwitowała to kiwnięciem głowy. Chociaż między nią i Loganem nic się nie działo, wołała nie rozmawiać na jego temat z Vance'em.

- Chyba nie zrobiłem na nim najlepszego wrażenia. - Vance odwrócił naleśnik.

Briana znieruchomiła z kubkiem do kawy w ręku.

- To znaczy?

- Mogłem się wydać dość... zaborczy.

Czekała na dalszy ciąg, który jednak nie nastąpił, więc spróbowała go sprowokować.

- Zaborczy? W jakim sensie?

- Chłopcy ciągle o nim mówią. - Skupił uwagę na naleśnikach. - Więc mu przypomniałem, że to ja jestem ich ojcem.

Nie potrafiła wymyślić odpowiedzi, która nie wywołałaby awantury z wrzaskami, więc milczała.

Vance odwrócił się w chwili, gdy do kuchni jednymi drzwiami weszła Heather, a drugimi wtargnęli z dworu Alec i Josh z Wandą.

- Pogadamy kiedy indziej. - Vance się wycofał. Temat spadł. I bardzo dobrze.

Naleśniki jak zwykle były dobre, kotlety także. Briana nie czuła głodu, ale jadła, ponieważ wiedziała, że potrzeba jej siły. Każdy dzień, jak się zdawało, przynosił nowe wyzwania - a to skoki przez płonące obręcze, a to biegi przez coraz wyższe płotki.

- Chcesz jechać z nami do miasta i zobaczyć nasze nowe mieszkanie? - zapytała Brianę Heather, gdy skończyli jeść i przyszła pora na sprzątanie.

Alec spojrział na Brianę z radosnym oczekiwaniem w oczach. Josh bezgłośnie zasygnalizował: proszę.

- Okej - zgodziła się. Czy jej się to podoba, czy nie, chłopcy będą teraz spędzać sporo czasu u Vance'a i Heather, więc musiała wiedzieć, jakie tam są warunki.

Briana umyła talerze, a Heather je wytarła. Vance po śniadaniu wyszedł z chłopcami na podwórze, żeby przygotować vana. Stary grat zawsze wymagał pomajstrowania przed wyruszeniem w drogę i to się nie zmieniło.

- Ja... bardzo przepraszam za to, co mówiłam o posłaniu chłopców do szkoły - podjęła Heather, gdy zostały same. - To było nie do przyjęcia.

- Nic się nie stało - odparła Briana. Wiele bezsennych godzin poświęciła na rozważania problemu „nauka w domu versus normalna szkoła” i zdecydowała się ustąpić. Uczyła chłopców w domu od pierwszej klasy, ponieważ razem z Vance'em przez większość roku podróżowali z rodeo. Potem, gdy osiedli w Stillwater Springs ciągnęła to dalej dlatego, że chłopcy robili znaczne postępy i dlatego, że będąc nadopiekuńczą matką, bała się dla nich nowego otoczenia.

- Będziesz miała więcej wolnego czasu - zachwalała Heather. - W każdym razie od jesieni.

Wolny czas? A co z nim robi? Na podwórzu silnik vana rykiem oznajmił powrót do życia.

Alec wpadł do środka jak bomba; Josh włókł się za nim z Wandą.

- Mogę jechać z tatą i Heather? - zapytał z zapalem Alec.

Briana poczuła skurcz serca.

- Możesz.

- Możemy jechać wszyscy razem - włączyła się Heather.

- Mam trochę spraw do załatwienia - wykręciła się Briana. Nie było to całkowite kłamstwo; latem bibliotekę w Stillwater Springs otwierano także w niedziele ze względu na napływ autokarów wycieczkowych i stałych klientów kasyna. Ona zaś miała stos książek do zwrotu i chciała pożyczyć następne.

- Pojadę z mamą - powiedział szybko Josh.

Tak więc wyruszyli dwoma samochodami: Briana i Josh za Vance'em, Heather i Alekiem.

- I co ty na to wszystko? - zapytała Briana syna, gdy mijali wjazd na ranczo Stillwater Springs.

Kiedy ktoś naprawi tę dyndającą tabliczkę nad bramą?

- O co ci chodzi? - zapytał Josh nieco opryskliwie. Jeszcze wczoraj chciał spać w jej łóżku, teraz w świetle dnia pewnie się tego wstydział.

- O spędzanie dnia u taty i Heather. Wiesz, że nie musisz.

Westchnął tak potężnie, że aż uniosły mu się ramiona.

- Może nie będzie tak źle. A ty w ogóle zamierzasz coś zrobić poza chodzeniem do biblioteki?

- Nie podoba ci się, że tam chodzę? Odkąd przenieśliśmy się do Stillwater Springs, bywamy w niej co najmniej raz w tygodniu.

- Nie przenieśliśmy się tutaj, mamó. Tata nas tutaj zostawił.

- A co to ma wspólnego z biblioteką?

Tak naprawdę przetrzymanie emocjonalnego zawirowania Briana zawdzięczała wyłącznie bibliotece.

Vance'a - zarówno przed zniknięciem, jak i po jego zniknięciu. Biblioteki były ciepłe, przestronne, jasne i pełne książek - a pieniędzy, których Briana nie miała, nikt tam od niej nie wymagał. Chłopcy uwielbiali bibliotekarkę Kristy

Madison i zostawali czasami na godzinie bajek, chociaż w zasadzie uważali, że są za duzi na „ten kit”.

Czy to także miało się zmienić?

Briane ścisnęło się serce.

- To chyba nie ma nic wspólnego z biblioteką - przyznał Josh. - Alec chce cię zapytać, czy może przemocować u taty i Heather.

Briany nie zaskoczyła druga część zdania, ale jednak serce lekko jej drgnęło. Co zrobi, jeśli Alec uzna, że woli zamieszkać na stałe u ojca i macochy?

- Mamo? - naciskał Josh, gdy nie odpowiadała.

Przejeżdżali wzdłuż ciągu plakatów reklamowych

kremów do golenia i innych porozmieszczanych wzdłuż drogi, a między nimi znalazł się i ten:

Przedterminowe wybory 1 lipca

Czy Już

Zarejestrowałeś się Na głosowanie?

- Co takiego? - zdziwiła się Briana. Słyszała, że szeryf Book zamierzał przejść na emeryturę, i była ciekawa, kto będzie się ubiegał o ten urząd.

- A dla ciebie to jest w porządku?

Spojrząwszy na Josha zobaczyła troskę na jego twarzy.

- No, że tata zamieszka w Stillwater Springs i w ogóle - wyjaśnił, obserwując ją z niepokojem.

Problem nie polegał na tym, czy dla niej to jest w porządku. Chodziło o chłopców, czy im będzie z tym dobrze. Vance miał nową żonę, pracę i najlepsze chęci, ale za bardzo kochał swobodne życie, by usiedzieć długo w jednym miejscu, a szczególnie w takiej dziurze jak Stillwater Springs. Któregoś dnia - co pewne jak wschód słońca i podatki - otrząśnie ze stóp pył tego sielskiego miasteczka, porzuci Heather i pracę, po czym ruszy w świat.

Heather zostanie zdana na siebie, ale to Briana będzie musiała połączyć z sobą braci.

Zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Będzie ci z tym dobrze? - dopytywał się Josh.

- Dam sobie radę - zdołała powiedzieć. Minęli zjazd do kasyna i Briana wciąż widziała przed sobą van, jak kopci dymem z rury wydechowej. Vance musiał być dobrym mechanikiem, skoro potrafił przez cały czas utrzymać tego rzęcha na chodzie.

Na zarośniętym podwórku przed przyczepą wciąż wisiała tabliczka „Do wynajęcia”, a przed frontowymi drzwiami piętrzyły się śmieci - stare zabawki, ubrania i inne odpadki, co wyglądało, jakby kamper zwymiotował.

- Cudownie - mruknęła Briana. No cóż, jej lokal nie był pałacem, ale przynajmniej miała przystrzyżony trawnik i wysprzątane podwórko.

- Wymaga trochę pracy - zauważył z entuzjazmem Vance.

- Błę. - Josh się skrzywił.

Heather wysiadła z vana po Alecu, który z radosnym uśmiechem zeskoczył przez boczne drzwi z pudłem ogromnych worków na śmieci.

- No to bierzmy się do roboty, trzeba to trochę ogarnąć - zarządził Vance.

Josh jęczał przy wysiadaniu, ale nie zmienił zdania w kwestii jazdy do biblioteki. Brianie wiele to mówiło.

- Wygląda to strasznie - przyznał Vance - ale w środku jest w porządku. Sama zobacz.

W tej przyczepie będą przebywać moje dzieci, napomniała się w duchu Briana. Połykając westchnienie,

wysiadła z furgonetki i brnęła za Vance'em. Okrążywszy górę śmieci weszli po schodkach na ganek i dalej, do środka.

- Właściciel nie powinien trochę tutaj posprzątać? - Pokręciła ze zdumieniem głową.

- Opuści nam czynsz za pierwszy miesiąc, jeśli zrobimy to sami - wyjaśniła Heather, gdy stali we trójkę w saloniku. Mieli tam aneks kuchenny i dość miejsca na kanapę i telewizor, a w korytarzyku po lewej stronie przypuszczalnie łazienkę i sypialnię.

Podłoga była tak zasłana butelkami po piwie, kartonami po płatkach i innymi świadectwami beztroskiego życia, że Briana nawet nie próbowała wchodzić dalej niż za próg.

Spojrzała na zegarek.

- No dobrze, na mnie już czas. Nie będzie daleko.

Biblioteka była o dwie przecznice w dół i jedną w górę.

Jedno SOS od Josha, który wciąż rządził dodatkową komórką, a mamusia migiem wróci na ratunek.

- Do zobaczenia - powiedział Vance.

Przynajmniej nie oczekiwał, że zostanie do pomocy.

Tego byłoby za wiele, nawet jak na Vance'a, ale Briana mimo wszystko czuła się trochę winna, że sama nie zaproponowała.

Gdy wykręcała furgonetkę, widziała, jak Heather wręcza Vance'owi, Alecowi i Joshowi worki na śmieci i wszyscy zaczynają je napełniać.

Pięć minut później wjechała na parking przy bibliotece - małym, parterowym budynku z czasów administracji Roosevelta, jak głosił napis na mosiężnej tabliczce obok podwójnych drzwi. Sam widok tego miejsca sprawił, że poczuła się lepiej. Właśnie zaczęła zbierać książki do zwrotu z tylnego siedzenia, kiedy obok niej zaparkował wóz patrolowy z szeryfem Bookiem za kierownicą.

Briana uśmiechnęła się i skinęła mu głową.

Szeryf odklonił się i opuścił szybę.

- Mam kilka płyt, żona pożyczyła. Mogłabyś je oddać razem ze swoimi książkami?

- Nie ma sprawy. - Żonglując stosem kilkunastu książek, sięgnęła po płyty. - Podobno mają być przedterminowe wybory? - zagadnęła przypomniawszy sobie plakat przy drodze wjazdowej do miasta.

- Tak jest! Dzisiaj rano ogłosiłem, że przechodzę na emeryturę, a komitet wyborczy natychmiast podał to do wiadomości. Można by pomyśleć, że tylko czekali, by się mnie pozbyć.

Wiedziała, że będzie jej brakować szeryfa. Mimo różnic w wyglądzie przypominał jej trochę ojca, poza tym lubiła jego żonę, Dorothy.

- A kto miałby cię zastąpić?

Zdziwiło go to pytanie, a kiedy na nie odpowiedział, zrozumiała dlaczego.

- Jak dotąd, jedynym oficjalnym kandydatem jest Jim Huntinghorse.

Briana osłupiała. Pracowała z Jimem przez pięć dni w tygodniu i byli przyjaciółmi. Nie powiedział ani słowa, że zamierza ubiegać się o urząd szeryfa.

- Och... - Potrzebowała chwili, żeby ochłonać. - Nic nie wiedziałam.

- Poznałem po twojej minie - powiedział dobrodusznie szeryf Book. - Jim będzie dobrym szeryfem, ale znajdą się tacy, którzy zagłosują przeciw niemu z powodu uprzedzeń.

Nawet jeśli będzie jedynym kandydatem - w co wątpię - musi zdobyć pewien procent głosów, by wygrać.

- W każdym razie mój głos już ma.

Szeryf roześmiał się i włączył wsteczny bieg.

- Powiedz mu to, a skończysz jako szefowa jego kampanii - zażartował. - Dziękuję, że wzięłaś płyty.

Briana skinęła głową i patrzyła, jak szeryf Book wycofuje samochód, zawraca szerokim łukiem i wyjeżdża na główną drogę.

Znowu zmiany.

Cieszyła się ze względu na Floyda i Dorothy. Także ze względu na Jima, skoro urząd szeryfa był tym, czego pragnął. Ale gdyby wygrał, musiałby odejść z kasyna, a wtedy będą mieli nowego szefa. To zawsze przerażająca perspektywa dla ludzi, którzy jak Briana żyją od wypłaty do wypłaty.

Ruszyła do wejścia, przyciskając mocniej stos książek i płyt.

Zza głównego biurka uśmiechnęła się do niej Kristy Madison.

Kristy, która całe życie spędziła w Stillwater Springs, nie odpowiadała stereotypowi bibliotekarki.

Wysoka i szczupła, miała blond włosy opadające luźno do podbródka i oczy w kolorze niebieskiej porcelany. Do pracy zazwyczaj ubierała się w dzinsy z bluzką lub swetrem i wysokie buty, tak jak dzisiaj.

- Hej - powitała ciepło Brianę.

Briana położyła książki i płyty na blacie przy ręcznie wykonanym napisie „zwroty”.

- Hej.

Mając już wolne ręce, przełożyła torbę na drugie ramię i wyciągnęła z kieszeni dzinsów nową komórkę. Od razu przełączyła ją na tryb wibracyjny, dzwoniące telefony były w bibliotece zakazane.

Kristy wzięła książkę z wierzchu stosu Briany.

- Co o niej myślisz? - zapytała. - Jeszcze jej nie czytałam.

- Ja doczytałam do końca.

- Brzmi jak pochwała - zauważyła z uśmiechem Kristy. Już kilka razy zapraszała Brianę na lunch w mieście, ale ta zawsze wynajdywała jakąś wymówkę. Lunche w

restauracji, jak wiele innych rzeczy, nie mieściły się w jej budżecie. Zresztą woląa spędzać wolny czas z chłopcami.

Teraz, tak jak wtedy, zastanawiała się, czy Kristy uważa, że Briana nie chce się z nią zaprzyjaźnić.

- Są książki lepsze i gorsze - powiedziała oględnie.

- Właśnie rozpoczynamy działalność klubu czytelniczego - oznajmiła Kristy. - Pierwsze z comiesięcznych spotkań odbędzie się we wtorek wieczorem. Zamierzałam zaproponować tę książkę, ponieważ mamy kilka egzemplarzy, ale teraz nie jestem już taka pewna.

Briana już miała się wymówić, chcąc jak najszybciej przejrzeć nowości, ale zatrzymała się w pół kroku.

- Klub czytelniczy?

- Dla dorosłych.

Według Dorothy Book, która regularnie grywała na tanich automatach w kasynie, Kristy była w szkole czirliderką, królową zimowego karnawału i gwiazdą kółka dramatycznego.

To wcale nie odstręczało Briany.

- Naprawdę? Kristy potwierdziła.

- Interesuje cię to?

Briana przywykła do odrzucania takich propozycji i tym razem o mało nie zaprzeczyła. Jednak jak słusznie zauważyła Heather, będzie teraz miała więcej wolnego czasu.

- Bardzo by mi to odpowiadało.

- Więc we wtorek o siódmej - uściśliła Kristy. - Spotkamy się w sali na zapleczu po zamknięciu biblioteki i wtedy uzgodnimy, co będziemy czytać w pierwszej kolejności.

- Dobry pomysł - pochwaliła Briana, czując swoje zuchwalstwo. Czytanie to dla niej nic nowego, książki - głównie dzięki tacie - pochłaniała zachłannie od piątego roku życia, ale to, że miałaby coś robić dla własnej przyjemności, bezsprzecznie było teraz czymś nowym.

Do biurka podeszła starsza pani i zapytała Kristy, gdzie znajdzie encyklopedię. Bibliotekarka wstała, żeby jej wskazać.

Briana skupiła się na nowościach. Można było wziąć tylko jedną, i to z krótkim terminem zwrotu, ale porwała najnowszą powieść Nory Roberts i poczuła się bogata.

Wzięła też kilka innych książek - western, thriller i pamiętnik - a kiedy wyszła z biblioteki, mężnie zwalczyła pokusę powrotu do kampera i sprawdzenia, czy z chłopcami wszystko w porządku.

Wanda była w domu sama.

Teraz pojedzie na ranczo, wypuści psa, zrobi sobie na lunch grillowaną kanapkę z serem, po czym zabierze się do czytania. Czytania! Ma czas aż do chwili, kiedy Vance albo przywiezie chłopców do domu, albo zadzwoni z prośbą, żeby ich odebrała.

Zaczęło do niej docierać, jak to jest nie być matką kwoką.

Do pewnego stopnia.

Logan wypatrzył tuman kurzu bijący w niebo na dobre półtora kilometra od rancza. Kiedy truck z przyczepą do przewozu koni dotarł na miejsce, czekali już z Asystentem przy bramie korralu.

Nagle - ku zaskoczeniu Logana - tuż za tamtymi zaparkował stary pikap Dylana, obecnie użytkowany przez Brianę.

Kierowca ciężarówki wygramolił się z szoferki, dotknął na powitanie daszka czapki i przeszedł na tył przyczepy, by ją otworzyć.

- To ty masz konie? - spytała Briana z niemal nabożnym zachwytem, osłaniając oczy od słońca.

- Już mam. Przepraszam na chwilę, muszę pomóc je wyładować.

Briana nie odstępowała go na krok.

- Właśnie jechałam do domu i zobaczyłam przyczepę...

Logan uśmiechnął się rad, że ją tutaj widzi. Trzymała się blisko, gdy on z kierowcą, Bobem, sądząc po imieniu wyszytym na koszuli, zakładali nowym koniom kantary i sprowadzali je kolejno po rampie. Asystent, zachowując rozsądny dystans, rozwój sytuacji obserwował z ganku.

Pierwszy wyszedł wielki, krępy bułany wałach, a Briana jakby na niego czekała. Dobrze się czuje wśród koni, pomyślał Logan, na którym zrobiło to wrażenie. Ale przecież jest córką Dzikusa McIntyre'a, więc to oczywiste, że zna konie.

Już sam jej widok, kiedy stała w pyle drogi, z błyszczącymi w słońcu kosmykami jasnych włosów, całkowicie skupiona na bułanku, wstrząsnął nim do głębi.

Pierwsza żona Logana bała się koni.

Druga miała na nie alergię.

A Briana stoi sobie nos w nos z koniem, jak widać, nawiązując z nim kontakt. Może nawet nie porozumienia.

Logan otrząsnął się z tej wizji i wrócił do bieżących zadań. Bob wyprowadził jeszcze sroką, biało-brązową klacz, potem myszatego wałacha, a zanim Logan wyładował czwarte zwierzę, karą klaczkę, jeszcze za młodą do jazdy, Briana zdążyła wprowadzić bułanka do korralu.

Witała każdego konia zaraz po uwolnieniu, prowadząc z nim coś w rodzaju cichej rozmowy, a Logana aż korciło, żeby poznać jej treść.

Zapłacił Bobowi za dostawę i poczekał, aż ciężarówka z przyczepą wyjedzie z podjazdu. Zanim wrócił do korralu, Briana była już na zewnątrz i siedząc na najniższej żerdzi, podziwiała jego nowe nabytki.

- Są naprawdę piękne - wyszeptała.

To były zgrabne, dobrze zbudowane konie i na ile Logan potrafił rozpoznać, łagodnego charakteru... Ale piękne? Tego akurat nie widział.

Być może za bardzo trzymał się tego, że piękna była Briana. Już wcześniej uważał, że jest atrakcyjna, ale ten widok jej z końmi... Było w tym coś mistycznego. Coś, co odczuł bardzo głęboko i co pozostawiło swój ślad.

- Jeździsz konno? - Przysiadł obok niej na żerdzi, tak blisko, że ramionami się stykali. Znał odpowiedź, zapytał tylko dlatego, by zacząć rozmowę.

Przytaknęła, odgarnęła miedzianoblond kosmyk z czoła, ale ani na chwilę nie spuszczała oka z koni. Zwierzęta biegały wokół korrala, wzbijając kurz, jakby świętowały wyswobodzenie z przyczepy. Później ustalą „porządek dziobania”, co nie obejdzie się bez podgryzania i pisków, ale srokata klacz i tak będzie górą.

Najstarsza klacz zawsze jest przywódczynią.

- Tym, czego najbardziej mi brakuje z czasów rodeo, oczywiście oprócz taty, są konie - wyznała, nie patrząc na niego.

- Muszę je najpierw trochę oszlifować - powiedział Logan - ale jeśli okażą się łagodne, możesz na nich jeździć kiedy tylko zechcesz.

Odwróciła głowę i wtedy zobaczył, że spojrzenie jej zielonych oczu iskrzy się od emocji, ale co wyrażało tak naprawdę, nie miał pojęcia.

- Och, te konie są łagodne - stwierdziła z przekonaniem.

- Są po prostu podniecone, to wszystko.

Poczuł się jak głupek, chociaż nie wiedział dlaczego. Wiedział za to, że chciałby pocałować Brianę Grant, tu i teraz.

Nie zrobił tego, bo wprawdzie w pobliżu nie było nikogo (robotnicy odmówili pracy w niedzielę nawet za półtorej stawki), ale sytuacja sprzyjająca, by wziąć Brianę w ramiona, wymagała więcej intymności.

Popatrzyła w stronę domu, potem znów napotkała jego spojrzenie.

Wystarczyło tylko troszkę się pochylić... Uświadomił sobie, że wpatruje się w jej usta. Niedobrze.

Zeskoczył z żerdzi. Już wcześniej napełnił wodą koryto i włożył trochę siana do zardzewiałego paśnika. Teraz pozostało tylko czekać, aż konie się uspokoją.

- Gdzie są chłopcy? - zapytał bez sensu, bo nie potrafił wymyślić nic innego. Tylko skończony dupek zaprosiłby ją teraz do domu na zimnego drinka, czyż nie? Tak samo mógłby zaproponować, żeby darowali sobie wstępy i poszli prosto do łóżka.

Nic z tego.

Za łatwo było wyobrazić sobie, jak ściągają zakurzone ubrania i kochają się przy otwartych oknach, przez które wpada letni wiaterek. Skóra się styka ze skórą...

- Są z tatą - wyjaśniła. - I z macochą.

- Heather! - mruknął Logan, mając nadzieję, że Briana nie pozna po głosie, jak bardzo go to cieszy.

Uniosła brwi.

- Alec wspomniał mi o niej wczoraj. - No super. Nie szykuje się żadne pojednanie, Vance Grant ma żonę.

- Lepiej już pójdę. - Wstała. - Wanda jest sama w domu.

Logan odruchowo ruszył za nią w stronę furgonetki.

- Briana...

Obejrzała się już przy otwartych drzwiach. Podobnie jak on była obsypana pyłem. Żałował, że nie może go z niej zlizać.

- Ty i Vance...

- To skończone. On jest żonaty, pamiętasz? Czy pamiętałeś? Miał ochotę wynająć piszący po niebie samolot, żeby cały okrąg się dowiedział.

- Myślałem, żeby urządzić grilla dzisiaj wieczorem. - Grilla? Jest coś takiego na tym ranczu? - Może przyszłabyś z chłopakami na kolację?

Tak długo zwlekała z odpowiedzią, że zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa na głos, czy tylko o nich myślał.

- Okej. O której?

Musiał wyskoczyć do miasta, kupić grill i coś, co można by na nim przyrządzić. To zajmie góra godzinę.

- O szóstej? - strzelił na oślep.

- Dobrze. Mam coś przynieść? Robię świetną sałatkę ziemniaczaną.

- Sałatka ziemniaczana - zgodził się, prawie potykając się o język.

- To do zobaczenia. - Zamknęła drzwi, uruchomiła furgonetkę i odjechała.

Począł, aż zniknie mu z oczu, i dopiero wtedy zaczął skakać i bić pięścią powietrze.

- Jest już całkiem czysto - szeptał Josh do swojej komórki. - Zebraliśmy wszystkie śmieci i wywieźliśmy w vanie taty na wysypisko, a Heather robi na kolację spaghetti i mięsne kulki...

Słuchając tego podczas mieszania sosu musztardowego do sałatki, Briana świetnie wiedziała, co się święci.

- ...i oni chcą wiedzieć, czy ja i Alec możemy zostać na noc.

- Ale i ja - poprawiła odruchowo Briana. -Możemy? Pozwolisz... - Westchnienie. - Czy

pozwalasz Alecowi i mnie zostać tutaj na noc?

Zmarszczyła brwi, pamiętając wcześniejsze obawy Josha.

- Jesteś pewien, że masz na to ochotę?

- Teraz mamy komórki, mamó. W razie, gdyby działo się coś nietypowego, zawsze mogę do ciebie zadzwonić.

Uśmiechnęła się, aczkolwiek trochę smutno.

- A co uważasz za nietypowe? Josh ściszył głos jeszcze bardziej.

- Cóż, gdyby tata zapakował wszystko do vana i powiedział, że jedziemy na przejażdżkę albo coś w tym rodzaju.

- Możecie zostać na noc. - Oczy ją piekły od łez i miała ściśnięte gardło, ale się uśmiechała.

- Pozwoliła - powiedział Josh do brata. Alec wydał swój typowy okrzyk triumfu.

- A co ze szczoteczkami do zębów, piżamami i tak dalej?

- Nagle wróciła do spraw praktycznych.

- Tata powiedział, że możemy spać w jego T-shirtach, a szczoteczki Heather kupiła, kiedy poszliśmy na zakupy.

- Okej. - Briana ustąpiła, czując się zbędna.

- To pa, mamó.

- Zaczekaj! O której mam was zabrać rano?

Josh przekazał pytanie, a potem Vance przejął telefon.

- Jutro pracujesz, tak?

Skinęła głową, ale zaraz uświadomiła sobie, że Vance jej nie widzi.

- Tak. Jak rozumiem, ty i Heather także?

- Ja muszę być w pracy o ósmej, ale Heather zaczyna swoją zmianę około drugiej. Może przed wyjściem odprowadziłaby chłopców do kasyna?

Briana zamknęła oczy. Tak właśnie sprawy będą się teraz miały i powinna się z tym pogodzić. A jednak dla niej i dla chłopców Heather to wciąż nieznaną. Co będzie, jeśli ma jakieś złe nawyki, na przykład sypia do południa, pozwalając Alecowi i Joshowi szaleć bez opieki? Albo pije czy bierze narkotyki? Albo jest marnym kierowcą?

- No nie wiem.

- Nie ufasz Heather? - Chociaż mówił szeptem, w niedużym wnętrzu wszyscy musieli go słyszeć.

- Tego nie powiedziałam. Po prostu jej nie znam.

- Cóż, ja ją znam, i jeśli powierzam jej moje dzieci...

Gdyby był oddanym ojcem, który troszczy się o dobro Aleca i Josha. Gdyby nie...

Westchnął.

- Jeśli chłopcy z jakiegoś powodu poczują się przy niej nieswojo, zawsze mogą do ciebie zadzwonić i poprosić, żebyś ich zabrała.

Briana zamrugała, przesunęła ręką po oczach.

- To chyba uczciwe warunki.

Vance był zły, potrafiła to rozpoznać. Ale jednak się hamował, co już stanowiło postęp. Być może naprawdę się zmienił.

Być może ona, gdyby włożyła srebrne trzewiczki i stuknęła piętami, znalazłaby się w Kansas?

- Do widzenia - powiedział tak głośno, aż jej zawibrowały bębenki w uszach. Koniec rozmowy.

Odłożyła telefon i spojrzała na Wandę, która niepewnie merdała ogonem.

- Myślę, dziewczynko, że dzisiejszy wieczór spędzimy tylko we dwie - oznajmiła swojej podopiecznej.

A potem zajęła się sałatką.

Przecież wcale nie będą same, przypomniała sobie z radością, ale także z obawą.

Przyjęła zaproszenie na grilla u Logana.

Wtedy, oczywiście, myślała, że uda się tam razem z chłopcami i Wandą.

Co powie Loganowi, gdy zjawią się tylko we dwie? I jak powinna się ubrać?

Nieźle wyglądała w niebieskiej letniej sukience w grochy, ale nie chciała prowokować go strojem.

A może chciała?

A co będzie, jeśli ją pocałuje?

A jeśli to doprowadzi do seksu?

Nie, nie włoży tej sukienki.

Dżinsy. Czy nie obiecywał jej konnej przejażdżki? Z pewnością bułanek i inne już się uspokoiły, przywykły do nowego miejsca.

Dżinsy sygnalizują dobrą zabawę, a nie żadne figle-migle.

Czy ktoś jeszcze mówi na to „figle-migle”?

O wpół do szóstej poszła pod prysznic położywszy komórkę w pobliżu, na sedesie, w razie gdyby w kamperze zaszło coś „nietypowego”. Włożyła czarne dżinsy i niebieską wciągana przez głowę bluzkę, tak jak planowała,

ale po krótkim wahaniu przebrała się jednak w sukienkę. I w sandały na wysokich obcasach.

O szóstej piętnaście, razem z Wandą i sałatką, wsiadła do furgonetki i wyruszyła do sąsiada.

Sukienka czy dżinsy, i tak za wcześnie na seks. Nie znała Logana dostatecznie długo, by iść z nim do łóżka. To tylko towarzyskie spotkanie przy grillu.

Nie, nie, dzisiaj nie będzie żadnego seksu.

To znaczy, prawdopodobnie nie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

No dobra, powiedział sobie Logan, marynując steki na grilla w swojej wciąż niewyremontowanej kuchni, i tak jeszcze za wcześnie na uwodzenie. Brianę Grant znał raptem od kilku dni, chociaż zdawało mu się, że znacznie dłużej - to jakaś kosmiczna sprawa, która ciągnie się od wielu wcieleń - i był święcie przekonany, że przyjdzie na kolację razem z dziećmi.

Jeśli nawet to nie wystarczyło, by ostudzić jego zapały, zostawał jeszcze Jim Huntinghorse. Stary przyjaciel zadzwonił pół godziny temu i oznajmił, że właśnie zamierza skorzystać z propozycji, żeby „wpaść w dowolnym czasie na pogawędkę”.

W dowolnym czasie, znaczy dzisiaj wieczorem.

I na domiar złego, skontaktowali się z nim ludzie z lotniska w Missoula, ponieważ przyleciał pies Laurie. Jak to ona, zdążyła już zapomnieć, że miała wcześniej podać nazwę linii lotniczych, numer lotu oraz przewidywany czas lądowania, toteż Logan sporym nakładem kosztów załatwił dowiezenie kundla na ranczo przez kuriera.

- Najstaranniejsze plany*... - przypomniał początek starego porzekadła Asowi. Dobrze, że wyhaczył w supermarkecie kilka dodatkowych kawałków z kostką, bo jak tak dalej pójdzie, połowa jego dawnej klasy gotowa mu się zwalić na zaimprovizowane spotkanie. Pies nie spuszczał oka ze steków, które pan przekładał z jednej miski do drugiej, gdzie moczył je w jakimś lepkiem świństwie z butelki.

Podczas gdy steki moczyły się w sosie, Logan poszedł nakarmić konie. Tyle miał do roboty, bo wszystkie inne prace na ranchu wykonywali teraz najemni robotnicy.

Oczywiście to się zmieni, gdy będą krowy.

Już wcześniej odszukał w stajni pod stertą rupieci stare siodło ojca i wraz z inną uprzężą zaniósł do domu, żeby oczyścić. Rano zamierzał pojeździć i przekonać się o stanie rancha na własne oczy i z właściwego miejsca, za jakie uważał koński grzbiet.

Właśnie przerzucał siano przez płot korrala, kiedy zajechała Briana. Sama, tylko z Wandą, która obserwowała wszystko bacznie z tylnego siedzenia.

* Porzekadło oparte na linijce wiersza Roberta Burnsa *Do myszy*, brzmi: Najstaranniejsze plany myszy i ludzi często zawodzą.

Brak dzieci zaintrygował go, ale także rozczarował.

Na widok Briany, gdy wysiadała ze starego trucka, dosłownie stanęło mu serce. Miała na sobie krótką letnią sukienkę, odsłaniającą ramiona, i sandaalki na wysokich obcasach, w których szła ku niemu chwiejnym krokiem, z nieco zakłopotaną miną. Nosiła się raczej sportowo, więc na pewno lepiej czułaby się w džinsach i wysokich butach niż w tych niewygodnych miejskich pantofelkach... Świadomość tego poruszyła go do głębi. Najchętniej zadzwoniłby teraz do Jima i poprosił o przełożenie wizyty na inny dzień, ale uznał, że nie wypada. Huntinghorse był jego najlepszym kumplem, znali się od przedszkola, chociaż długo nie mieli z sobą kontaktu. Potem nawiązał wiele innych przyjaźni, podczas występów na rodeo czy zakładając spółkę, ale żaden z nowych znajomych nie umywał się do Jima.

Spotkali się z Brianą pośrodku podwórka. Logan zobaczył, że Wanda, uznawszy, że o niej zapomniano, wali łapą w szybę i szczeka w starym gruchocie na całe gardło.

- Wezmę ją stamtąd - powiedział.

Briana splonęła rumieńcem; nawet jej odsłonięte ramiona przybrały różowy odcień. Wprawdzie nie wypadało mu sprawdzać, czy dotyczy to także nóg, ale z pewnością miał na to ochotę.

- Dziękuję. - Patrzyła, jak podchodzi do trucka, otwiera drzwi i wyciąga psa...

- Powinno ci się ograniczyć żarcie, Wanda. - Pokręcił z dezaprobatą głową. Przez cały czas zdawał sobie sprawę z niestosowności swojego roboczego ubrania, pokrytego żdźbłami siana, w zestawieniu z pachnącą skórą i włosami Briany.

Czuł się też trochę winny... Że też zawsze musiał strzelić jakąś gafę! Postawił Brianę niechcący w kłopotliwej sytuacji. Nie uprzedził, że przyłączy się do nich Jim - bądź co bądź jej szef.

- Myślałem, że przywieziesz dzieciaki. - Podał jej ramię, bo te cienkie obcasy zapadały się w piach i chyba bała się potknąć.

- Są u swojego ojca. - Nagle zachwiała się i pochyliwszy się ku niemu tak, że aż prąd go przeszył, dodała-

- Szlag by trafił te idiotyczne buty!

- Mogłabyś je zdjąć - poradził. I w tej samej chwili poczuł się tale, jakby zaproponował jej, żeby rozebrała się nie tylko z butów, które może i były idiotyczne, ale także seksowne jak wszyscy diabli. Oto druga strona Briany Grant, a on był gotów do gruntownego jej zbadania.

Spojrzała na podwórko, wciąż zaśmiecone gdzieś niedzie rozbitym szkłem mimo pewnych - beznadziejnych wprawdzie - wysiłków Logana, by doprowadzić obojście do porządku.

- W ogóle nie powinnam ich wkładać - mruknęła. - Nie wiem, co mi odbiło!

- Wyglądasz naprawdę bardzo... bardzo ładnie.

- Może wrócę do domu i się przebiorę? - zastanawiała się, gryząc wargę, aż jej lekko spuchła, przez co po prostu prosiła się o pocałunek.

Logan chciał uziemić ten pomysł i to migiem. Jeśli Briana pojedzie teraz do domu, to gotowa nie wrócić, zwłaszcza kiedy dowie się, że Jim prawdopodobnie jest już w drodze.

- Zostań - poprosił, ale zabrzmiało to dziwnie ochryple, bez typowego dla mieszkańca Montany przeciągania.

Popatrzyła na niego, a on zamyślił się, co też może się kryć za tymi zielonymi jak wiosna oczami. Czyżby żałowała, że zgodziła się przyjechać?

Nagle, zanim zdolał ją ostrzec, zza zakrętu wynurzyło się czarne porsche Jima.

- Musisz poprawić tę tabliczkę - powiedział Huntinghorse, gdy tylko wysiadł z auta z sześciopakiem piwa w ręku. - O mało nie zadrapała mi dachu.

Briana co prawda nie zeszywniała, lubiła Jima, cieszył się zresztą sympatią większości mieszkańców Stillwater Springs, ale Logan i tak rozpoznał jej reakcję na przybycie szefa - leciutkie, ledwie dostrzegalne napięcie, którego w ogóle by nie zauważył, gdyby nie stał tak blisko.

- Nie zdążyłem ci wyjaśnić - szepnął jej do ucha. Nie była to do końca prawda, bo nie tyle nie zdążył, ile się z tym nie śpieszył. Za bardzo pochłaniało go gapienie się na nią i zastanawianie, czy wkładając te cholerne buty, rzeczywiście chciała mu przekazać to, co zrozumiał.

Jim ogarnął przenikliwym, krytycznym spojrzeniem sukienkę Briany, a także zerknął na odsłonięte ramiona i nogi.

Logan natychmiast poczuł ukłucie czysto terytorialnej irytacji. W myślach „obsikał” już wokół Briany Grant krąg, ostrzegając każdego samca, zwabionego jej zapachem, żeby nie ważył się przekraczać linii.

- Jim! - wykrzyknęła Briana z radosnym zdumieniem.

Oczy Jima przeskoczyły na twarz Logana.

- Nie chciałem przeszkadzać - rzekł z naciskiem .

- To tylko sąsiedzki grill - uspokoiła go Briana, wciąż urocza w tych uwięzionych w piachu sandałkach. Po porannym deszczu grunt pewnie zmieni się w grząskie błoto, zwane przez lokalsów „gumbo”. Kiedy obróciła się do Logana, ten dostrzegł w jej oczach zmieszanie. - Prawda, Logan?

- Oczywiście - odparł, z trudem powstrzymując westchnienie. Nagle wiedziony neodpartym impulsem wziął Brianę na ręce i poniósł w stronę domu, nie oglądając się na Jima. Gdyby go ktoś zapytał, odpowiedziałby, że to w trosce, by nie złamała nogi, brnąc w niewygodnych butach przez podwórko, ale nie był to jedyny powód i Logan miał tego świadomość.

Jim - chyba jednak zdziwiony - szedł z tyłu w towarzystwie Wandy i Asystenta.

Kiedy dotarli do ganku, Logan postawił Brianę na ziemi.

Mocno zaróżowiona, natychmiast zaczęła obciągać boki trochę wygniecionej sukienki, ale nie zgłaszała żadnych obiekcji, co Logan uznał niemal za wygraną na loterii.

Wprowadził gości do kuchni, sam zaś wycofał się do łazienki, żeby wziąć szybki prysznic i zmienić ubranie. Kiedy się stamtąd wynurzył, Jim i Briana siedzieli przy turystycznym stole na patio i pili piwo. Psy w najlepszej zgodzie leżały u ich stóp, a cały ten obrazek, jak na gust Logana, robił aż nazbyt sielankowe wrażenie.

Stłumił nagły przyływ zazdrości, karcąc siebie za głupotę. Jim był jego najlepszym przyjacielem, a poza tym nie rościł sobie do Briany żadnych praw.

Uśmiech, jaki mu posłała, uspokoił Logana w sposób, który zaniepokoił go jeszcze bardziej niż ów objaw własnej zaborczości.

- Mamy oficjalny komunikat - oznajmiła. - Jim startuje na szeryfa.

Pantofle zdążyła już zrzucić; leżały przewrócone pod stołem.

Fala krwi znów uderzyła mu do głowy. I znowu ją przeczekał.

- To dobrze - wyjąkał po dłuższej chwili milczenia; Jim uniósł brew i przekrzywił głowę. W kąciку ust błąkał mu się wszystkowiedzący uśmieszek.

- Zanosi się na trudny wyścig - zauważył. - Napijesz się piwa?

- Może później.

Logan podszedł do grilla, kupionego parę godzin wcześniej w sklepie z narzędziami. Kiedy podniósł błyszczącą nowością pokrywą, buchnęły kłęby dymu.

- Rozumiem, że ogień gotowy. - Jim mrugnął do Briany. - Znam się na tym. To ta indiańska krew.

Parsknęła śmiechem.

Logana to nie bawiło, ale uśmiechnął się z przymusem.

- Przyniosę steki. - No, Creed, prawdziwa z ciebie dusza towarzystwa, powiedział sobie w duchu.

Jim wstał i poszedł za nim do kuchni.

- Mam się wynieść? - zapytał bez ogródek. Logan wyjął steki z lodówki. Do tej pory powinny się już zamarynować.

- Nie. - Zabrzmiało to cierpko, chociaż nie miał takiej intencji, więc westchnął z irytacją, rąbnął o blat brytfanną i przesunął ręką po mokrych jeszcze włosach.

Jim zachichotał i gwizdnął przeciągle.

- Rozchmurz się, bracie. Twoje prymitywne samcze instynkty są widoczne jak na dłoni.

- O kurwa.

Jim zaśmiał się, pokręcił głową.

- Nie mogłeś mi powiedzieć, jak człowiek? Przecież bym zrozumiał.

Logan znów westchnął. W ogóle to często wzdychał od czasu powrotu do Stillwater Springs. A ściślej rzecz biorąc, odkąd poznał - akurat na cmentarzu! - Brianę Grant, jej dzieci i psa.

- Może jeszcze nie ufam sobie na tyle, żeby zostawać z nią sam na sam.

- Boisz się jej? - W ciemnych oczach Jima błysnęły iskierki wesołości. - O, bracie, ale cię wzięło!

- Dopiero co się poznaliśmy.

Jim splótł muskularne ramiona. Miał na sobie

- Logan wreszcie to zauważył - białą koszulkę polo, czarne, starannie odprasowane spodnie i wypolerowane tenisówki. Wyglądał jak... polityk.

- Nieważne. Znam to spojrzenie. Przypomina mi byka, który utknął na zderzaku pędzącej lokomotywy.

- Ty naprawdę chcesz kandydować na szeryfa!

- Logan uśmiechał się do obrazu, który Jim wykreował mu przed oczami. Naprawdę czuł się jak ów wyimaginowany byk, pędzący na oślep po nieznanym szlaku w stronę Bóg wie jakiego końca.

- Myślisz, że mogę wygrać? - spytał Jim, tym razem na serio, opierając ręce na biodrach.

- Czemu nie?

- No cóż, po pierwsze jestem czerwonoskóry.

- Faj, co za niepoprawne politycznie określenie.

- Logan podniósł oburącz brytfannę ze stekami. - Powinieneś powiedzieć: „rdzenny Amerykanin”.

- Dzięki, białe oczy. Zapamiętam to sobie. Logan ruszył do tylnych drzwi. Czekala tam już Briana; cała miękka,

lekko zawiana, przyciągała go jak magnes z tym większą siłą, że w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy.

Znów poczuł ucisk w piersi, kiedy zobaczył, jak pochyla się nad Asystentem i głaszcze mu uszkodzone ucho. Musiał na chwilę przystanąć, bo Jim trzasnął go w plecy.

Omiał nie zwałił go przy tym ze schodków.

Wyobraziwszy sobie, jak ląduje z twarzą w brytfannie pełnej surowych, lepkich od sosu steków, ostatkiem sił wyrwał się ze stuporu.

- Trzeba było pozwolić „Wielkiemu Wodzowi” uwarzyć to mięcho. - Jim wyjął mu z rąk brytfannę. - „Błada twarz” robi wrażenie lekko rozkojarzonego.

Rzeczywiście był rozkojarzony, prawdopodobnie spaliłby te steki. Wziął sobie piwo i usiadł przy Briannie, ale w bezpiecznej odległości.

Zjedli we troje sałatkę, pogadali o zwykłych sprawach, a steki okazały się w porządku.

Jimowi jednak nie śpieszyło się do odjazdu. Jedzenie dawno się skończyło, komary przestały dokuczać, psy doszczętnie ogryzły kości po stekach, a on nie ruszał się z miejsca.

Dopiero kiedy wrócili do wnętrza domu ze względu na insekty, „Wielki Wódz” uznał za stosowne pożegnać się, po czym wsiadł do porsche i odjechał.

Ledwie jednak Jim ruszył z miejsca, kurier z lotniska przywiózł Snookumsa.

Loganowi skrzynka wydała się nieduża. Pokwitował przesyłkę, cały czas czując na karku wzrok stojącej na ganku Briany, po czym z ciężkim westchnieniem zajrzał do środka.

Snookums okazał się jednym z tych pretensjonalnych małych terierów, które łatwo pomylić z mopem i które na każdy dźwięk reagują jazgotem. Kudły sięgały mu do ziemi, a na czubku głowy miał zawiązaną niebieską kokardkę.

- No super - mruknął jego nowy pan.

- Jakiś ty piękny! - rozpromieniła się Briana, kiedy wniósł go na ganek.

Przez chwilę czystej, nieskażonej głupoty wydało mu się, że Briana jego ma na myśli. Różnie był nazywany w życiu, ale żeby „piękny”? Mówi o psie, ty durny złamasie, skarcił się w duchu.

- Poznaj Snookumsa - dokonał prezentacji.

- Snookums? - Zachichotała.

- Od tej pory Snooks - zdecydował Logan. - Inaczej cała Montana będzie się z niego śmiać.

Postawił skrzynkę na ganku; As i Wanda obwąchiwali ją ciekawie, Snooks zrejterował, przycupnął w rogu paki.

- Och, on się boi. - Briana przepędziła łagodnie psy i usiadłszy na schodku, sięgnęła do środka.

Piesek zadrżał i wylizał gorliwie jej rękę. Logan sam miał na to ochotę. Na lizanie, nie na drzenie.

Zaśmiała się cichutko.

- Już dobrze, mały. Nikt cię tutaj nie skrzywdzi. As i Wanda przepchnęli się, żeby jeszcze trochę powęszyć, wreszcie stracili zainteresowanie i poszli gonić owady na podwórku.

Logan usiadł obok Briany na schodku. Splótł palce i pozwolił dłoniom opaść swobodnie między kolanami. Uwagę Briany pochłaniał mały kłębuszek w skrzynce.

- To york - stwierdziła z zachwytem. Wzięła Snooksa na rękę takim ruchem, jakby wyjmowała dziecko z kołyski. - Nie przypuszczałam, że wybierzesz tę rasę.

- Wcale go nie wybrałem - burknął Logan. Zaczynał już mięknać na widok puchatego stworzonka, chociaż wiedział, że przysporzy mu sporo drwiących komentarzy ze strony Jima i ekipy budowlanej. - To piesek mojej eks-zony. Nie mogła go zatrzymać, bo miała problemy z właścicielem mieszkania.

Briana nie od razu odpowiedziała i nie od razu podniosła wzrok. Rumieniec znów oblał jej policzki, sięgając wzdłuż linii szczęki aż pod ucho. Impuls, by pocałować ją w to właśnie miejsce, przetoczył się przez Logana niczym walec drogowy na wstecznym biegu.

- Chłopców interesowało, czy masz dzieci... - zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Nie miałem tego szczęścia. Może wejdziemy już do środka? Bo inaczej komary zjedzą nas żywcem.

Dopiero wtedy spojrzała Loganowi w oczy. Położyła mu Snooksa na kolanach i wstała, ale wcale nie po to, żeby wejść do środka. Miała minę kobiety, która uznała, że czas się zwijać do domu.

- To było bardzo miłe - powiedziała. - Znaczący, ten wieczór. Dziękuję.

- Powinienem cię uprzedzić, że Jim jest w drodze. To wynikło dosłownie w ostatniej chwili i...

- Nie ma sprawy. Lubię Jima.

Jak bardzo, miał chęć zapytać, ale ugryzł się w język. Dźwignął się ostrożnie na nogi, żeby nie spłoszyć zdenerwowanego yorka, ledwie widocznego w jego wielkich łapskach. Piesek był niewiele większy od szczura, co on będzie robił na ranczu?

- Mam cię zanieść do samochodu? - spytał Logan bez zastanowienia i zaraz miał ochotę kopnąć się w kostkę, bo też zabrzmiało to naprawdę idiotycznie.

- Chyba poradzę sobie sama. - Choć usta jej nawet nie drgnęły, w oczach pojawiły się wesołe iskierki. - Ale dziękuję za propozycję.

Patrzył, jak Briana razem z Wandą oddala się w stronę gruchota, którym Dylan jeździł jeszcze w średniej szkole. Raz przystanęła, prawdopodobnie żeby odzyskać równowagę, i patrzyła na konie w korralu. Zachodzące słońce podkreślało ich sylwetki i złociło grzywy.

Loganowi zaparło dech w piersiach. Czy to z powodu takiego typowo montańskiego obrazka, czy też kobiety, która stała nieopodal zagrody, osłaniając dłonią oczy?

Moment wydawał się niezwykły, z rodzaju tych, jakie mężczyzna pamięta przez całe życie. Pomyślał, że na starość chciałby siedzieć na ganku i wspominać, jak to wszystko wyglądało - konie w zachodzącym słońcu i Briana w pełnym blasku swojej urody.

Minęło... o wiele za szybko.

Snooks wiercił mu się na rękach, więc Logan postawił go na ganku. York podniósł tylną łapę i podlał doniczkę z jakąś dawno uschniętą rośliną.

Briana pomachała ręką na pożegnanie, wsiadła do trucka - rozkoszny manewr sam w sobie, zważywszy na długość jej sukienki - i odjechała.

Patrzył za nią, dopóki nie znikła mu z oczu.

Może Jim miał rację? On, Logan, znał się na kobietach, zawsze wiedział, co zrobić, co powiedzieć... Z Brianą było inaczej - przy niej czuł się dziwnie skrępowany, a zarazem bardziej świadom swojej męskości.

Czy to znaczy, że go „wzięło”, jak ujął to Jim? Rozważał to przez chwilę, po czym pokręcił głową. - Nie - powiedział do Asa, kiedy weszli do domu razem ze Snooksem, który biegł w podskokach z tyłu.

Dom tylko z nią i z Wandą wydawał się stanowczo zbyt cichy.

Przede wszystkim Briana pozbyła się butów. Nie tylko je zdjęła, ale też wrzuciła do pojemnika na śmieci. Prawdopodobnie zrobiła z siebie idiotkę, paradując w tych rzeczach jak żywcem wyjętych z *Seksu w wielkim mieście*.

Przeszła do dziennego pokoju i włączyła telewizor. Popstrykała trochę pilotem po kanałach, stwierdziła, że nie ma nic do oglądania - same wiadomości i sitcomy dla półgłówków. Bez kablówki czy anteny satelitarnej nie miała dostępu do ulubionych kanałów Discovery i Historia.

Wyłączyła z westchnieniem odbiornik i podeszła do okna. Światła domu Logana migotały wśród gałęzi sędziwych jabłoni w sadzie niczym żółte latarnie.

Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak nedorzecznie wyglądał Logan z yorkiem na rękach. Swoją drogą, ciekawe, jak układają się jego stosunki z eks-żoną. Jak

widać muszą być przyjacielskie, skoro zgodził się wziąć jej psa.

Z kuchni dobiegło ją stłumione dzwonienie.

Zmarszczyła brwi i nagle uświadomiła sobie, że to dzwoni telefon komórkowy, który schowała w torebce. Ponieważ numer mieli tylko Vance, Heather, Josh i Alec, pobiegła odebrać. Zanim zdołała wyłuskać aparacik z głębi torebki, dzwonek umilkł, ale natychmiast odezwał się znowu.

- Halo? - krzyknęła Briana nagle zaniepokojona.

- Briana? - Głos Heather wydawał się dziwnie zdławiony.

Pokój zawirował.

- Tak! Heather, co się stało? Rozległo się łkanie.

O mój Boże, pomyślała Briana z sercem w gardle. Wiedziała, wiedziała, że coś jest nie w porządku. Telefon przejął Vance.

- Z Alekiem wszystko w porządku - powiedział szybko, ale głos miał poważniejszy niż zwykle.

- Alec... Vance, co się stało?

- Po prostu ma złamane ramię. Głupi dzieciak przebiegał za vanem, kiedy Heather dała wsteczny, bo chciała jechać do sklepu po mleko. Musiała go nie zauważyć w lusterku, krótko mówiąc, potrąciła go i teraz jesteśmy na pogotowiu.

Briana uchwyciła się stołu i czekała, aż kuchnia wróci na swoje miejsce.

- Złamane ra... Uderzyła go?

- Weź głęboki oddech, co? To był wypadek, nic poważnego się nie stało, tyle że do końca lata chłopak będzie w gipsie.

Gwałtownie wciągała powietrze. Musi dostać się na pogotowie, ale cała się trzęsła, bała się, że zemdleje po drodze... Poza tym u Logana wypła dwa piwa...

- Nie zatrzymają go na noc? - usłyszała swój głos. Co za dziwne wrażenie, zupełnie jakby rozpadła się na dwie osoby: jedną rzeczową i opanowaną, drugą - objającą się o ściany jak piłka.

- Nie. Jest zszokowany, ale poza tym w porządku.

- A Josh? Co z Joshem?

- Jemu nic się nie stało. Jeśli kogoś zatrzymają w szpitalu, to Heather, ona jest w kompletnej rozsypce, nie może się uspokoić.

To babsko potrąciło samochodem jej syna. Kogo obchodzi, że ona jest „w rozsypce”?

- Zaraz tam jadę.

- Może potrwać kilka godzin, zanim go wypuszczą. Briana chciała rozmawiać z Alekiem.

Właśnie był na badaniu w gabinecie. Poprosiła do telefonu Josha.

- Mama? Alec miał wypadek. - Głos mu się łamał.

- Wiem, skarbie. Postaram się przyjechać, jak najszybciej, więc się trzymajcie, okej?

- Okej. Ale się pośpiesz.

Logan. Zadzwoń do Logana i poprosi, żeby ją podwiózł do miasta.

- Już jadę, synku. Powiedz to tacie i Alecowi, jeśli pozwolą ci go zobaczyć, dobrze?

- Dobrze, tylko się pośpiesz. Heather świruje, a tata jest tak śmiesznie szary na twarzy i ja się boję, że dostanie ataku serca albo że Alecowi się pogorszy...

Ja też. Ja też się boję, myślała dziko Briana.

Zakończyła jak najszybciej rozmowę i nagle uświadomiła sobie, że nie zna numeru Logana. Połączyła się z informacją; na szczęście mieli go w spisie.

Odebrał po drugim sygnale.

- Dylan?

No jasne. Miał włączony identyfikator rozmówcy, a ona dzwoniła z numeru zarejestrowanego na Dylana.

- Tu Briana. - Nagle tak się zaplątała w sznur, że poczuła się jak schwytana na łąso. - Alec jest w klinice. Ma złamane ramię i ja...

- Zaraz u ciebie będę. - Spokojna siła jego głosu sprawiła, że Brianie napłynęły do oczu łzy... ulgi. Tak, wie, że musi być dzielna, ale przynajmniej raz będzie miała przy sobie kogoś, kto jej pomoże.

Logan rozłączył się bez pożegnania, a ona pobiegła do sypialni, zdjęła sukienkę, wciągnęła dzinsy i lekki sweter, ten sam, który od początku zamierzała włożyć, a na nogi skarpetki i tenisówki. Przechodząc przez kuchnię, złapała torebkę.

Samochód Logana wtoczył się na podjazd, ledwie zdążyła zamknąć za sobą drzwi.

Przebiegła przez podwórze i wskoczyła na miejsce pasażera.

- Mogłam pojechać swoim - zaczęła się tłumaczyć - ale trochę mnie to trzepnęło, więc pomyślałam...

- To była słuszna decyzja - wtrącił Logan, gdy tylko głos zaczął jej słabnąć. Wrzucił bieg, wykręcił wóz i ruszył ku głównej drodze. - W jakim stanie jest Alec? Bardzo z nim źle?

Briana cała się trzęsła; zęby dzwoniły jej tak, że mimo ciepłej, letniej nocy Logan włączył ogrzewanie.

- Podobno ma „tylko” złamane ramię, tak mówi Vance.
- Oddychała teraz wolno i głęboko, starając się ze wszystkich sił nie wpaść w histerię. - Heather cofała samochód, a Alec akurat za nim przebiegał. Nie widziała go i... i... - Przycisnęła ręce do twarzy, a Logan ścisnął ją za kark. - I uderzyła go - wykrztusiła, zupełnie jakby zamiast słowa miała w gardle ość.

Zacisnął zęby.

- Szlag by to trafił.

Pędzili przez wiejskie drogi, kłuli światłami coraz gęstszy mrok, wrzynając się w noc, wycinali sobie w niej ścieżkę.

Kiedy wjechali na parking przed kliniką, Briana zerwała się z miejsca, jeszcze zanim Logan wyhamował wóz.

- Przypomnij mi, abym cię nauczył, jak bardzo głupio się zachowałeś - powiedział, gdy dogonił ją i złapał za ramię w czasie sprintu do najbliższego wejścia.

Josh, który wypatrzył ich pierwszy, od razu rzucił się Brianie na szyję, o mało nie zwałając jej z nóg. Przytuliła go mocno, ale jednocześnie szukała wzrokiem Vance'a, lekarza, pielęgniarki, kogokolwiek, kto zaprowadziłby ją do Aleca.

- Ja wołałem do Aleca, mamusiu - prawie krzyczał Josh
- wołałem, żeby uważał, ale on się nie zatrzymał...

- Już dobrze, synku.

Vance szedł w ich stronę, patrząc niepewnie to na Brianę, to na Logana.

- Tędy - rzucił obróciwszy się na pięcie.

- Zostań z Loganem. - Briana ścisnęła Josha za ramiona.

Zawahał się, ale skinął głową. Poszła za Vance'em.

Wszystko było tutaj obłądne, jeden wielki mętlik - lekarze w jednorazowych chirurgicznych ubraniach, sprzęt, wykafelkowane ściany, zbyt jaskrawe światła, hałas...

Nagle rozsunięto jakąś zasłonę i zobaczyła Aleca. Drobny i kruchy jak pisklak, blady, z prawym ramieniem w gipsie, na widok Briany wydał z siebie ni to jęk, ni to szloch, od którego ścisnęło się serce, i próbował przedostać się do matki.

Zagarnęła go w ramiona.

- To był wypadek - odezwał się Vance gdzieś w pulsującej wokół Briany i jej synka próżni.

Nie zareagowała.

- Heather nie chciała...

Briana podniosła głowę. Nie musiała nic mówić, aby dać mu jasno do zrozumienia, że ma się zamknąć i nie wymawiać imienia Heather. Ona w ogóle się nie liczy, ważny jest tylko Alec.

- Mogę już wrócić do domu? - spytał Alec tak cichutko, że Briana musiała wyteżać słuch. - Zabierzesz mnie do domu?

Pogłaskała go po policzku, pocałowała w czoło.

- Najpierw muszę porozmawiać z panem doktorem. Jeśli tylko pozwoli, zaraz się stąd zmywamy.

Uśmiech Aleca był nieco drżący, lecz prawdziwy.

- To dobrze. Przywieźli mnie tutaj ambulansem, wiesz? Z migającym kogutem, na sygnale i w ogóle.

- Super. - Chociaż dostroiła się do tonu Aleca, spojrzenie, które rzuciła nad jego głową Vance'owi, mówiło całkiem co innego.

Wkrótce pojawił się lekarz. Poinformował Vance'a, że dał Heather środek na uspokojenie, a następnie zwrócił się do Briany i Aleca:

- No, młody człowieku, miałeś kupę szczęścia. - Doktor Elliot był pediatrą i już wcześniej opiekował się obydwojma chłopcami, więc znał ich od strony medycznej. - Mam nadzieję, że na przyszłość będziesz bardziej uważał?

Alec skwapliwie pokiwał głową.

- Mogę już wrócić z mamą do domu?

Doktor wyraził zgodę i podał Brianie brązową plastikową buteleczkę.

- To na uśmierzenie bólu. Mogą mu wystarczyć nie więcej niż dwie dawki. I chcę go widzieć za tydzień w gabinecie, chyba że będzie go bardzo bolało albo wystąpią objawy infekcji, na przykład gorączka.

Pokiwała głową i schowała buteleczkę do kieszeni.

Pielęgniarka przywiozła fotel na kółkach i razem z Vance'em usadowiła w nim Aleca. Chociaż zaraz po przyjeździe matki wydawał się wystraszony, teraz wyraźnie się cieszył, że jest w centrum uwagi. Natomiast umysł Briany przestawił się już na sprawy praktyczne. Na szczęście dzięki hojnemu pakietowi socjalnemu kasyna miała dobre ubezpieczenie, więc nie będzie musiała płacić rachunków za opiekę lekarską i szpital, ale nieprędko zostawi chłopców samych w domu, a już na pewno nie pod opieką Heather.

A to znaczy, że opuści nie wiadomo ile dni pracy, przy czym nie może liczyć na zwolnienie lekarskie, gdyż to nie ona ucierpiała w wypadku.

To tyle, jeśli chodzi o fundusz samochodowy.

Za tę ostatnią myśl natychmiast dała sobie mentalnego szturchańca. Nic nie jest ważniejsze od zdrowia Aleca. Dzisiejszy wypadek mógł się skończyć gorzej, gdyby Heather najechała na Aleca, a nie tylko potrąciła go zderzakiem.

Logan i Josh, którzy siedzieli w poczekalni, zerwali się z krzeseł na widok Aleca. Vance został jeszcze, prawdopodobnie ze względu na Heather.

Heather.

Briana zagryzła wargę.

- Zaraz wracam.

Pacjentka leżała w pokoju badań na kozetce, Vance się nad nią pochylał.

- Przepraszam - wyjąkała. Miała oczy niczym dwie wypalone w kocu dziurki, jak zwykł mawiać ojciec Briany, i twarz w kolorze płótna, z wyjątkiem ust, które były w upiornym odcieniu lawendy. - Och, Briano, tak mi przykro... Po prostu go nie zauważyłam. Usłyszałam ten straszny huk, nacisnęłam hamulec, ale...

Briana ścisnęła ją za rękę.

- Alecowi nic nie będzie, Heather. - Prawdę powiedziawszy, mówił to jej anioł stróż, nie sama Briana. W głębi duszy wcale nie była taka łaskawa ani skłonna do wybaczenia czy nawet podjęcia próby zrozumienia. - Wiem, że nie chciałaś go skrzywdzić.

Po policzku Heather ściekała wielka łza, torując sobie drogę w rozmazanym makijażu. Kobieta niemal miażdżyła palce Briany w mocnym uścisku.

- Pozwolisz jeszcze chłopcom do nas przychodzić, prawda?

Briana przełknęła z wysiłkiem ślinę. Spojrzała na Vance'a, potem znowu na Heather, wreszcie po dłuższej chwili skinęła głową. Po raz kolejny do akcji wkroczył anioł stróż, bo ta druga jej część wciąż kipiała z gniewu.

Nic już nie mówiąc, wyszła z pokoju badań. Zatrzymała się jeszcze przy biurku w recepcji, żeby pokazać kartę ubezpieczenia i podpisać dokumenty.

Logan, Josh i Alec zdążyli tymczasem wyjść na zewnątrz, więc spotkali się już na parkingu.

Josh i Alec siedzieli na tylnym siedzeniu tracka, Logan ze splecionymi ramionami czekał oparty o zderzak. Na widok Briany uśmiechnął się blado i wyprostował.

- Gotowa? Przytaknęła.

Otworzył jej przednie drzwi i pomógł wsiąść. Nawet jej sam zapiął pas.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak... „zaopiekowana”. Wyprostowała plecy i kazała sobie przestać się wygłupiać. Logan Creed to sympatyczny facet i jak każdy dobry sąsiad jest gotów śpieszyć z pomocą w kryzysowej sytuacji.

To znaczy tylko tyle i nic więcej.

Tak naprawdę to w ogóle nic nie znaczy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Alec drzemał przez całą drogę do domu. Prawdopodobnie zmogło go podniecenie, wyczerpanie i środki zaaplikowane w klinice. Logan podjechał pod sam tylny ganek i ostrożnie wyjął śpiące dziecko z fotela.

Chłopczyk pachniał świeżym gipsem, dziecięcym potem i tłustymi burgerami, które Logan kupił im w punkcie sprzedaży po drodze z miasta.

Briana wyciągnęła ręce po Aleca, ale Logan położył palec na ustach i pokręcił głową. Nawet Josh milczał, wygramolił się z pojazdu i śpieszył do domu.

- Mogę już go wziąć - szepnęła.

- Wiem - odparł i wyminął ją z chłopcem na rękach. Zaniósł go do samego domu, gdzie Josh wskazał mu drogę do mniejszej sypialni.

Josh wyglądał na tak wstrząśniętego, jakby i jego potrafił samochód.

- Może zająć dolne łóżko - zdecydował. - Logan zrozumiał, że chłopak poszedł na wielkie ustępstwo i przyjął to ze wzruszeniem. - Bo z górnego mógłby spaść.

Położył Aleca na łóżku i już w drzwiach spotkał się z Brianą.

- Nie idź jeszcze - szepnęła. - Proszę. Skinął głową i czekał na nią w kuchni.

Znał to miejsce, a jednak czuł się w nim obco. Właścicielem domu był Dylan, chociaż prawdopodobnie nigdy w nim nie mieszkał. Dawno temu, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiali, mówił, że chce kiedyś wyremontować budynek. Zamierzał dodać sypialnie, ze dwie łazienki, dobudować stajnię i trzymać konie.

Teraz, w tej powypadkowej ciszy, Wanda patrzyła na niego błagalnie, więc Logan ją zapewnił, że Alec wróci do zdrowia. Nigdy nie wiadomo, co zwierzęta rozumieją, ale na pewno więcej niż nam się wydaje.

Niebawem z pokoju chłopców wyszła Briana. Stała w progu między kuchnią a wąskim korytarzem.

- Dziękuję. - Oczy miała ogromne i pełne tego wszystkiego, co chciałyby powiedzieć, ale nie mogła czy też nie chciała. Może to kwestia dumy, a może tylko właściwej oceny sytuacji.

- Nie ma za co. - Takie zwykłe słowa, które nawet nie musnęły tego, co się pod nimi kryło.

Podszedł do niej i pocałował ją w czubek głowy, chociaż - Bóg jeden to wie - że miał ochotę na dużo więcej.

- Prześpij się trochę.

Pochyliła się lekko do niego, jakby chciała go dotknąć, i zaraz się cofnęła. Podniosła głowę, poruszyła ustami, lecz nie padło żadne słowo.

Potrzeba pocałunku stała się niemal namacalna ale nie, jeszcze nie czas.

Dopiero po chwili kiwnęła głową, jakby dopiero teraz dotarła do niej rada, żeby się przespać.

-Może zrobię kawę... - zaproponowała w lekkim otumanieniu. Wypadek Aleca naprawdę dużo ją kosztował, wydawała się inna. Jeszcze jeden powód, żeby zostawić ją samą... albo zostać na noc. Logan się uśmiechnął.

- Kofeina to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujesz. Zamknij za mną dobrze drzwi, a potem się połóż. Rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

- Na pewno?

Już miał wyjść, ale jeszcze się obejrzał. Serce mu się ściskało od miękkiego, smutnego tonu jej głosu.

- Przywieź mi jutro chłopców, jeśli musisz jechać do pracy. - Był zdecydowany nie wykorzystywać sytuacji, chociaż go kusiło. - Będę miał na nich oko.

Widział walkę na jej twarzy: potrzeba przeciw dumie, strach przeciw odwadze. Co za dzielne stworzenie - takie kobiety pomagały budować Zachód. Bierze sprawy, jakimi są, dobre czy złe, i stara się wycisnąć, co się da, z ograniczonych środków.

- Nie jestem jeszcze gotowa do oddania ich pod opiekę Heather - przyznała ze słabym uśmiechem. - Ona chyba także się do tego nie pali.

- Josh ma komórkę. - Jak jego głos mógł brzmieć tak normalnie przy wszystkim, co czuł? Zupełnie jakby narowisty mustang wyrwał mu się w środku na wolność i teraz wierzga, przewracając wszelkie bariery... - Ty także. Jeśli okażę się babysitterem z piekła rodem, to najwyżej do ciebie zadzwoni.

Zaśmiała się, ale był to śmiech podszyty szlochem. Od dłuższego czasu sama dźwigała ogromne brzemie. Nie

potrafiła zaufać komuś, przyjąć pomoc, zwłaszcza od relatywnie obcej osoby.

- Oni potrafią dać popalić. - Łamała się już, co Logana dziwnie ucieszyło. - Ciągłe się kłóć...

- Mam braci, to wiem. I potrafię kłócić się z najlepszym z nich. - Już z ręką na klamce dodał: -1 gwizdać też potrafię. Tak, że bębunki pękają.

- Słyszałam. - Teraz już uśmiechała się pewnie, chociaż oczy pozostały mokre.

Potrzeba, żeby zostać i trzymać ją przez całą noc w ramionach, stała się teraz niemal fizyczna. Jeśli kiedykolwiek jakaś kobieta potrzebowała przytulenia - i tylko tego, chociaż oczywiście on pragnął więcej - to była nią Briana Grant, ale w domu spały dzieci. A na niego w domu czekały dwa psy i konie do nakarmienia z samego rana.

Ot, życie ranczera. Chciał, to ma.

- Do zobaczenia rano - rzucił i zebrawszy resztkę siły woli, wyszedł.

Noc była ciepła i ciemna, tylko sierp księżycy odcinał się od przepastnego nieba. Logan stał przez chwilę na ganku, powstrzymując się ze wszystkich sił przed powrotem.

W samą porę, pomyślał; patrzył w jasne, wiejskie gwiazdy, śledził wzrokiem ich dalekie trajektorie. Jeszcze będzie dość czasu.

- Co o tym sądzicie? - spytała Briana rano chłopców, odwracając naleśnik na patelni. - Nie macie nic przeciwko temu, żeby spędzić dzień u Logana?

- Przeciwno? - Josh rzucił Wandzie kawałek naleśnika.
- To będzie frajda!

Jak na kogoś, kogo zaledwie wczoraj potrącił samochód, Alec był wesół jak szczygieł.

- Poproszę go, żeby mi się podpisał na gipsie. Myślisz, że pozwoli nam pojeździć na koniu?

Briana zastygła z naleśnikiem na łopatce.

- Nie ma mowy o żadnych przejażdżkach, słyszysz?
Wolno ci jeździć tylko ze mną!

Alec przewrócił oczami.

- Umiem jeździć, mamusiu, tata mnie nauczył! To akurat była prawda. Chociaż Vance od lat nie miał własnego

konia, mógł korzystać z tych, które występowały w rodeo, czasem też zatrudniał się na różnych ranczach jako pomocnik. Briana zawsze pragnęła stabilizacji, ale on nigdy nie mógł długo utrzymać się w jednym miejscu i upierał się, że trzeba jechać dalej.

Zarówno Alec, jak i Josh siedzieli z ojcem na końskim grzbiecie, odkąd tylko potrafili samodzielnie utrzymać głowę.

- Cisza! - Trzasnęła talerzem z naleśnikami o stół. - Nie będzie jazdy beze mnie, jasne?

Myślała o wszystkich tych miejscach, w których mogła ułożyć sobie życie z Vance'em. Za każdym razem kiedy pakowali się i wyjeżdżali, zostawiając ubogi, ale zupełnie niezły domek, Briana lądowała w samym środku starej rzeczywistości. Vance to Vance i prędzej czy później wyjedzie ze Stillwater Springs, bez względu na żonę, pracę, synów.

Jak ma ich na to przygotować?

To oczywiście niemożliwe. Będzie musiała zbierać do kupy rozbite kawałki, próbować wyjaśniać coś, czego sama nie rozumiała, pomimo tych wszystkich szczęśliwych lat

wędrowania z ojcem... Tej tajemniczej siły przyciągania tkwiącej w cyrku rodeo i otwartej drodze. Różnica polegała na tym, że Bill McIntyre kochał córkę bardziej niż cygańskie życie, bardziej niż wiwatujące tłumy widzów, bardziej niż byki i mustangi, a ona o tym wiedziała.

Gdyby tylko poprosiła go, by zerwał z tym życiem i osiedlił się gdzieś na stałe, zrobiłby to.

I z całą pewnością nie zrobiłby jednego: nigdy by jej nie porzucił.

- Mamo? - usłyszała głos Josha. - Nie będziesz nic jadła?

Uśmiechnęła się; nie warto zaprzętać myśli takimi rozważaniami. I tak nie rozgryzie, co tyka w głowie Vance'a, a ciągle próby to nawyk, który musi przełamać.

Zjadła naleśnik i trochę jajecznicy, wypiła sok pomarańczowy. Nakarmiła Wandę, wypuściła ją i wpuściła z powrotem. Przygotowała chłopcom na lunch kanapki z masłem orzechowym i galaretką.

Potem załadowali się wszyscy do trucka (Alec wymagał pewnej pomocy) i ruszyli w drogę.

Logan siedział okrakiem na belce nad bramą i przymocowywał przekrzywioną tabliczkę. Osiodłany bułanek, na którym przyjechał ze stajni, pasł się nieopodal w wysokiej trawie.

Pomachał im wesoło na powitanie, przerzucił nogę nad belką i zawisł na rękach, zanim zeskoczył na ziemię - dobre trzy metry - lądując zgrabnie na obu nogach.

Briana opuściła szybę.

- Wygląda dobrze - stwierdziła. To on wyglądał dobrze w dżinsach, wysokich butach i podkoszulku bez rękawów odsłaniającym wspaniałe bicepsy.

- Obejrzyj konia, mamó! - zawołał Alec z tylnego siedzenia. - Jesteś tutaj, więc chyba mogę pojeździć?

-Nie.

Logan, który stał na tyle blisko, że bez trudu widziała wyzwanie w jego oczach, czekał.

Briana przyglądała się uważnie wałachowi przez przednią szybę.

- Jest tak łagodny, jak na to wygląda - powiedział Logan.

- Proszę, mamusiu - napierał Alec. - Przeżyłem traumę, potrzeba mi pozytywnej energii.

Logan zachichotał i przesunął dłonią po nieco zakurzonych włosach.

- Nie jestem odpowiednio ubrana. - Miała na myśli swój zwykły strój do pracy w kasynie, równoznaczny z uniformem. Nie może się tam pokazać z końską sierścią na spodniach.

- Ale Logan jest. Logan uniósł brwi.

- No dobrze. - Briana sama się zdziwiła, kiedy to usłyszała.

Alec wydał okrzyk triumfu.

- A kiedy on skończy, to ja mogę? - chciał wiedzieć Josh.

- Jeśli mama pozwoli - zaznaczył Logan. Obszedł wóz, otworzył tylne drzwi i wyniósł Aleca

prosto na koński grzbiet - wszystko w zaledwie kilku krokach. Zanim Briana zdążyła nabrać tchu, wsunął się zwinnie na siodło za chłopcem i ujął wodze.

Wyglądał na tym koniu, jakby był jego częścią, komórka odpowiadała komórce, oddech, oddechowi. Nie, to powinno być zabronione.

Wskazał ręką dom.

- Ty pierwsza. Alec promieniał.

Josh wyplątał się z pasa, ukląkł na fotelu i patrzył przez tylną szybę, jak za nimi podążają na koniu Logan z Alekiem.

- Fajnie - orzekł z niechętnym podziwem. Tylko dwa razy zerknęła w wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy Alec nie spada. Ledwie zaparkowała na podwórku, wyskoczyła z pojazdu i osłoniwszy oczy ręką patrzyła, jak zbliżają się swobodnym truchtem.

As i York przyszli obwąchać jej spodnie - tego ostatniego ledwie poznała, nie miał niebieskiej kokardki i długich kudełków.

- Co się stało Snooksowi? - spytała, gdy tylko Logan zeskokczył z wałacha i postawił Aleca na ziemi.

Jego uśmiech oślepił niczym południowe słońce.

- Znalazłem na strychu nożyce i ostrzygłem go dzisiaj rano. - Wziął pieska na ręce. - Mizerota z niego, ale przynajmniej zyskał trochę godności.

- Mogę się teraz przejechać? - dopominał się Josh ze źle skrywaną niecierpliwością.

Briana westchnęła. Wyjęła z tracka brązowe torebki z jedzeniem dla chłopców i podała Loganowi, który zaraz odłożył je na maskę swojego dodge'a, żeby przytrzymać wodze dla Josha.

Po co się trudzić ustanawianiem zasad, skoro zawsze kończy się na ich łamaniu?

Mimo wszystko, widząc synka na końskim grzbiecie, poczuła przyływ dumy, a jednocześnie coś bardzo podobnego do żalu. Alec i Josh tak szybko rośli! Zanim się obejrzy, będą mężczyznami podążającymi śladem własnych odległych marzeń. Ona zaś pozostanie na orbicie ich życia, niczym planeta zdegradowana do statusu księżycy, zawsze wyczekująca na telefon czy e-mail.

- Postaram się wrócić jak najszybciej - powiedziała do Logana, który obserwował rundkę Josha wokół podwórka. To poczciwie z jego strony, że zaopiekował się chłopcami, ale nie może oczekiwać tego codziennie.

- Nie musisz się śpieszyć.

Wsiadła do trucka, uruchomiła go i odjechała.

Przed wejściem do kasyna czekała na nią Heather z wyjątkowo smętną miną. Jak zwykle miała na sobie obcisłe

dżinsy, kusy top i mikroskopijną denimową kurteczkę dla ochrony przed nieistniejącym chłodem.

Brianie przemknęło przez głowę bezlitosne pytanie: czy w tej kobiecie dopiero kiełkował nałóg hazardu, czy już ją całkiem opanował? Wszystko się w niej burzyło na myśl, że miałyby powierzyć tej obcej osobie swoje dzieci, ale Alec i Josh potrzebowali Vance'a, a Heather była częścią tego układu.

- Rozmawialiśmy z Vance'em - mówiła teraz szybko, starając się dorównać kroku Brianie, która szła odbić w biurze kartę. Jasno oświetlone, hałaśliwe automaty do gier migały po drodze kolorowymi plamami. - Ustaliliśmy, że dopóki nie zacznie się szkoła, nie będę pracować. I postaram się być wolna, kiedy chłopcy skończą lekcje, tak żeby móc się nimi zaopiekować.

Brianę zamurowało.

Heather zdobyła się na tyle przyzwoitości, żeby odwrócić wzrok.

- Już się wczoraj dostatecznie wykazałaś - syknęła Briana. No dobra, nie wzniosła się dzisiaj na szczyty łaskawości i jej anioł stróż widocznie w tej chwili

przytruwał komu innemu, ale nie tylko jedna Heather doznała wczoraj szoku.

Briana wciąż była wstrząśnięta, wciąż miała w uszach głos Vance'a, gdy zawiadamiał ją, że Alec jest ranny.

Zbrylony tusz na rzęsach Heather zaczął przechodzić w stan ciekły.

Kątem oka Briana dostrzegła Jima, który ze zmarszczonymi brwiami zmierzał prosto w ich stronę.

- Jakiś problem? - spytał, kiedy się z nią zrównał. Był głównym menedżerem kasyna, więc podlegał mu także szef ochrony. Wystarczył nawet nieznaczny sygnał, by się tutaj zjawił błyskawicznie.

Heather zadrgała warga.

- Przepraszam - szepnęła do Briany.

- Nie, nie ma żadnych problemów - odparła Briana, patrząc na nią.

- Ja nie chciałam potrącić Aleca vanem!

- Ona potrąciła Aleca? - Jim się najeżył.

- Nic mu nie będzie - zapewniła go Briana. Anioł stróż, niech go szlag, już znowu był na miejscu. - Posłuchaj,

Heather - dodała niechętnie - podjadę do ciebie po pracy, to pogadamy, okej?

- Okej - zgodziła się łzawo Heather, ale nagle zaszła w niej zaskakująca, błyskawiczna transformacja. Z uśmiechem girelaski z rewii zwróciła się do Jima: - Dłlowałam przez jakiś czas przy pokerze w Reno. Może mogłabym pracować tutaj od jesieni? Na przykład od siódmej do trzeciej?

Briana osłupiała. Czy ta kobieta jest poważna? Chce pracować z byłą żoną swojego męża? Jim patrzył to na jedną, to na drugą. Briana łypnęła na niego złym wzrokiem. Stłumił uśmiech i zwrócił się grzecznie do Heather:

- Proszę wypełnić aplikację. - Skierował ją do biurka obsługi klienta. - Mamy dużą płynność kadr i we wrześniu, kiedy studenci wracają na uczelnie, zwykle brakuje nam personelu.

Heather skinęła głową, uśmiechnęła się tajemniczo do Briany i ruszyła dopełnić formalności.

- Kto to w ogóle jest? - spytał Jim.

- Nowa żona mojego eks. A jeśli ją zatrudnisz...

Uśmiechnął się szeroko i zakołysał na obcasach.

Czekał.

Briana westchnęła przeciągle. Zresztą co ona ma do gadania w sprawach kadrowych.

- Muszę odbić kartę.

Ale Jim wziął ją za ramię i pociągnął do swojego gabinetu, właściwie centrum dowodzenia, pełnego mrugających monitorów. Minęli po drodze Heather, która pokiwała im palcem. W ręku trzymała już formularz podania.

- Jeśli Alec miał wypadek, co ty tutaj robisz? - spytał sensownie Jim, kiedy byli sami.

- Nie jest w stanie krytycznym. Ma złamane ramię, a dzisiaj razem z Joshem są u Logana.

Na ustach Jima zadrgał uśmiezek.

- To Logan robi za babysitterkę?

- Nigdy tak przy nich nie mów. Jim dotknął ramienia Briany.

- Wracaj do domu. Poradzimy sobie bez ciebie.

- Tego się właśnie obawiam.

- Możesz wziąć zwolnienie lekarskie albo wolne dni.

- Nie jestem chora.

- Wyglądasz na chorą. - Przekrzywił głowę i przyjrzał się Brianie badawczo.

- Jejku, dziękuję!

- Jedź. Praca na ciebie poczeka, dopóki nie opanujesz sytuacji.

- Już ją opanowałam.

- Doprawdy?

- No... powiedzmy.

Pięć minut później Briana była z powrotem na parkingu i patrzyła, jak Heather odjeżdża samochodem Vance'a. Natychmiast zdecydowała się ruszyć za nią do kampera i mieć z głowy tę rozmowę, zanim odbierze dzieci od Logana.

W roztargnieniu omal nie uderzyła w starą corollę.

Wsiadł z niej Brett Turlow z tym swoim przypo-
chlebnym uśmiechem i zaraz ruszył w jej stronę. Nieraz już przystawiał się do niej, tylko zawsze miała akurat urwanie głowy w pracy, więc udawało się jej go spławić.

- Dokąd to się wybierasz? - spytał. W trucku nie było klimatyzacji, więc Briana odruchowo opuściła szybę, ale zaraz tego pożałowała.

- Wzięłam wolny dzień - odparła, próbowała się uśmiechnąć mimo wielkiego pośpiechu.

- A to szkoda. - Stał tak blisko, że bała się, czy nie wskoczy na stopień. - Bo na pewno dzięki tobie to miejsce jest jaśniejsze.

Zrobiła ruch, jakby chciała spojrzeć na zegarek, chociaż go nie miała na ręku. Zapomniała, że go zdjęła, gdy smażyła naleśniki.

Brett przymrużył małe oczka. Był tylko jednym z kilkunastu naprzykrzających się mężczyzn i chociaż Briana nigdy się go nie bała, czuła się jednak nieco skrępowana w jego obecności.

- Na mnie już czas.

- W kinie samochodowym puszczają w piątek nowy film. Może wrzucimy w mieście coś na ruszt, a potem...

- Przykro mi - przerwała mu. - Mam inne plany.

Czy ona zawsze musi być taka miła? Brett Turlow budził w niej dreszcz obrzydzenia i nie zamierzała wychodzić z nim nigdzie ani w piątkowy, ani w żaden inny wieczór.

Wyglądał na urażonego. Żeby nie wspomnieć o jego permanentnym niechlujstwie.

- Coś mi się zdaje, że ty zawsze masz inne plany. Wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. Potem wrzuciła bieg, gotowa w każdej chwili nacisnąć pedał gazu.

- Nie umawiam się z klientami - wyjaśniła pojednawczo.

- Ale nie masz nic przeciwko randkom z Jimem Huntinghorse'em. Chociaż to tylko cholerny czerwonec.

W głowie Briany zapadła jakaś klapka.

- No dobra. Spadaj, rozumiesz? Jeszcze nie dość jasno się wyraziłam?

Wytrzeszczył oczy i cofnął się, jakby go spoliczkowała.

Wykorzystała sytuację i wyminęła go.

We wstecznym lusterku widziała, że ją obserwuje, i czuła, jak niewidzialne mrówki chodzą jej po plecach. Wzdrygnęła się i nacisnęła mocniej pedał gazu.

A jeśli zechce ją śledzić?

Wypatrzyła przed sobą van Heather stojący na światłach. Tylko bez paranoi, ostrzegła się w duchu, ale i tak przyspieszyła. Ostrożności nigdy za wiele.

Zamierzała siedzieć Heather na zderzaku przez całą drogę do przyczepy, stojącej na drugim końcu miasta, ale małżonka Vance'a zaskoczyła ją znowu, nie pojechała do swojego lokum, celem jej podróży okazał się auto shop. Briana wiedziała, że uczucie mdłości w jej żołądku nie ma nic wspólnego z ich ewentualną rozmową, którą prędzej czy później będą musiały odbyć.

Przez całą drogę do domu nie spuszczała oka z lusterka.

Po rozsiodłaniu bułanka i wprowadzeniu go do koralala Logan z chłopcami zatrzymali się na chwilę przy płocie. Śmiali się, gdy Josh wsadził sobie Snooksa za koszulkę, „żeby nikt na niego nie nadepnął”. Teraz z otworu na szyję wystawały dwie głowy: psa i chłopca. Snooks co jakiś czas wylizywał Joshowi policzek.

- Lunch nam się zepsuje - zauważył nagle Alec. Po chwili Logan uświadomił sobie, że chłopiec mówi o dwóch brązowych papierowych torebkach, które wciąż leżały na masce jego samochodu.

- Nie przymawiaj się, gówniarzu! - upomniął go Josh.

- Kto się przymawia, dupku? Logan się uśmiechnął.

- Mam gwizdnąć?

Obaj pokręcili energicznie głowami, chociaż w oczach błyskały im figlarne ogniki.

- Czy w sadzie naprawdę są niedźwiedzie? - Alec szurał czubkiem buta w piachu, kiedy w milczącym porozumieniu zmierzali ku domowi.

- Czasami tam się pojawiają.

- A co byś zrobił, gdybyś spotkał niedźwiedzia? - drażył Alec z oczami jak spodki. Jego gips nabrał szacownie niechlujnego wyglądu; Logan złożył na nim swój podpis, podobnie jak wszyscy robotnicy z ekipy remontującej stajnię.

- Prawdopodobnie wróciłbym do religii mojego dzieciństwa.

Dwugłowe stworzenie w jednym T-shircie trzymało z nim równy krok.

- A poza tym? - dociekał Josh. - Zastrzeliłbyś go?

- Za nic bym tego nie chciał. - Logan nie polował, zresztą dość miał strzelaniny w Iraku.

- Ale jednak byś go zastrzelił, prawda? - upewniał się Alec. - Gdyby chciał pożreć ciebie, Asa czy Snooksa albo...

- Albo ciebie? - zadrwił Josh. Wystawił ręce, udając, że to łapy z pazurami, i wydał głośny ryk.

Alec poczerwieniał. Widać było, że odpowiedź jest dla niego ważna.

Logan przesunął dłonią po ostrzyżonym łebku psiaka. Sierść Snooksa była teraz niemal tej samej długości, dzięki dobrej robocie z nożycami.

- Gdyby mój kumpel był w opałach, na przykład ty albo Josh, tobym zastrzelił niedźwiedzia.

- Masz strzelbę?

- Nawet kilka. Przeważnie stare myśliwskie, spadek po rodzinie.

- Możemy je obejrzeć? - spytał Josh już na ganku.

- Innym razem. Teraz musimy coś wrzucić na ruszt. Potem... pomyślałem, że moglibyśmy sprawdzić, jak postępuje budowa zagrody dla starego Cimarrona.

Logan nie zrobił zbyt wielkich postępów we wnętrzu domu, ale mieszkanie było wygodne, a bez naładowanego elektrycznością temperamentu Jake'a atmosfera nie

iskrzyła. Miał teraz łóżko i sofę, przywiezione z domu w Las Vegas, oraz komputer, który stanął w pokoju dziennym.

Od razu wpadł w oko Joshowi.

- Jeju! - wykrzyknął. - Prawdziwe dzieło sztuki!

Snooks zaczął się wiercić, więc Josh wyciągnął go z koszulki i postawił ostrożnie na podłodze, ale cały czas gapił się na trzy olbrzymie monitory i inny sprzęt.

- Co ty na tym robisz? Sterujesz rządowym programem rakietowym czy jak?

Logan się zaśmiał.

- Czasem tak to wygląda - przyznał. - Ostatnio sprzedałem firmę i musiałem pomóc nowym ludziom wyorać kilka pniaków.

- Nasz komp to dinozaur. - Alec westchnął.

- Dziadek dinozaurów - skorygował go brat.

- Co byście powiedzieli na hot dogi z chilli? - Logan czuł, że ciągnąc poprzedni temat, zagląda do książeczki czekowej Briany czy coś w tym rodzaju. Długo nie mogła się zdecydować na zostawienie z nim chłopców, znaczy że

jej zależało, żeby nie opuścić dnia pracy, co niechybnie odbiłoby się na wypłacie.

Po lunchu Logan włożył naczynia do zlewu i zabrał chłopców dodge'em na pastwisko. Płot był w trzech czwartych gotowy, ale ekipa zachowywała się nieco nerwowo.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, dlaczego: Cimarron nie stał już przy odległym zagajniku brzozowym, tylko pośrodku pola, do tego prychał i rzucał od czasu do czasu łbem.

- Zostańcie w środku - przykazał chłopcom Logan.

Zerkali zza tylnego siedzenia razem z Asem i Snooksem.

- Moja umowa nie przewiduje pobodzenia przez byka - oświadczył szef ekipy.

- Im szybciej skończycie, tym mniej ryzykujecie - odparł Logan, obserwując z namysłem zwierzę. Ależ sukinkot jest wielki! I właściwie po co Dylan go trzyma? Taki byk to prawdziwe zagrożenie, zwłaszcza gdyby miał się wyrwać na wolność.

- Powiniennem zażądać dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach - żartował szef. Nazywał się Dan Phillips i kiedyś chodził z Loganem do średniej szkoły, chociaż skończył ją trzy lata wcześniej.

- Za późno. Za trzy tygodnie spodziewam się dwudziestu sztuk bydła. Do tej pory płot musi stać.

- A może sprowadź je jeszcze wcześniej? Może dzięki temu drań będzie miał co robić. On się przybliża z każdym dniem i jest w coraz gorszym humorze. Wczoraj o mały włos nie przyszarżował, kiedy jeden z chłopaków musiał wywiercić w słupku dziurę, żeby usunąć gniazdo os. Ralph skakał i wrzeszczał, machając rękami, a stary Cimarron sadził prosto na niego z pochylonym łbem. I chyba osy go przepłoszyły.

- Pewnie tak - zgodził się Logan.

Pogadał z nim jeszcze chwilę i zawrócił do trucka.

- Faj! - krzyknął Alec, machając ręką przed nosem.

- A po co karmiłeś Asa swoim chilli? - przyciął mu Josh.

Logan udawał, że smród, chociaż potężny, nie robi na nim wrażenia.

Asystent machał ogonem i wyglądał jak sama niewinność.

Chłopcy wygramolili się z wozu; Josh - chyba z czystej litości - zabrał Snooksa.

- Powinieneś wozić z sobą taki specjalny sprej - poradził mu Alec, kiedy czekali, aż zapach się ulotni. - Mama tak robi.

Logan zachichotał.

- Pewnie pogłaskałaby cię po główce za takie gadanie - prychnął Josh.

Alec zaczerwienił się tak, że aż piegi zdawały mu się wystawać z twarzy.

- To przez Wandę, rozumiesz. - Podniósł wzrok na Logana. - Bo ona ciągle pierdzi.

Wreszcie uznali, że mogą już bezpiecznie wrócić do trucka.

- Widzieliście kiedyś prawdziwe tipi?

Pomysł okazał się hitem, więc wszyscy udali się do chaty Cassie. Zastali ją na dworze. Ubrana w szorty i bezrękawnik podlewała wężem pomidory.

Kiedy chłopcy i psy wysiedli z samochodu, powitała ich uśmiechem.

Logan dokonał prezentacji, ale Josh i Alec ledwie wytrzymali do końca, gdyż tipi przyciągało ich jak magnes. Psy nie odstępowały ich na krok.

- To ma być pies? - Cassie pokręciła głową, zezując na Snooksa.

Ostrzyżone na zapałkę miniaturowe zwierzątko bardziej przypominało szczura.

- Pies, jak najbardziej - potwierdził Logan.

- Nie zabierałabym go w publiczne miejsca. Mógłby wywołać bójkę.

- Snooks i ja potrafimy o sobie zadbać. - Podał Cassie dolara za wstęp do tipi.

Machnęła ręką.

- Dzisiaj rano miałam tutaj cały autokar turystów, was mogę wpuścić na koszt firmy. Logan rozejrzał się dookoła.

- Żadnych chętnych do stawiania kart?

- Tobie mogę postawić.

- Dziękuję, ale nie.

Patrzyła, jak chłopcy z psami to wpadali do tipi, to z niego wypadali.

- Nie potrzebuję kart, żeby wiedzieć, dokąd zmierzasz, Loganie Creed.

- Ach, tak? No dokąd? - prowokował ją dobrodusznie.

- Prosto do ołtarza. - Posmutniała nagle, patrząc na chłopców. Może przypominali jej jego, Dylana i Tylera, kiedy tak samo się bawili. Jednego dnia - niewinne dzieci, a następnego - po pogrzebie ojca - gotowe powybijać sobie zęby.

- Co jest, Cassie? Spojrzała mu w oczy.

- Miałam wczoraj sen. Ktoś chce cię skrzywdzić, Loganie. A przy okazji może ucierpieć Briana i jej dzieci, jeśli przypadkiem wejdą mu w drogę.

Gdyby ta przestroga nie pochodziła od Cassie, Logan pewnie by ją zlekceważył.

- Kto?

Przyszedł mu do głowy Vance Grant, potem Brett Turlow, ale zaraz obu wykluczył. Vance to świr, przeważnie blefuje. A Turlow cały jest jednym wielkim blefem.

- To może się wiązać z kandydowaniem Jima Huntinghorse'a na szeryfa - mruknęła Cassie. Chociaż stała tuż przed Loganem, tak samo mogła być za najdalszymi wzgórzami.

- Z tego, co wiem, nie ma innych kandydatów poza Jimem.

- To znaczy, że niewiele wiesz. Zapamiętaj moje słowa. Zanim Jim wydrukuje pierwszą nalepkę na zderzak, pół tuzina ludzi zdąży przybić na słupach swoje plakaty. Dość długo nie było cię w Stillwater Springs... - Wyciągnęła ostrzegawczo rękę, widząc, że chce jej przerwać. - Nie masz pojęcia o wielu rzeczach, które się tutaj dzieją. Wiem, że lubisz Jima, ale w czasie kampanii lepiej trzymaj się w cieniu. Jeśli ma wygrać, to wygra i tak.

- A właściwie, co się tutaj dzieje? - Skoro Stillwater Springs stało się pod jego nieobecność gniazdem przestępców, to „Courier” o tym nie wspominał. Ani Jim czy szeryf Book... chociaż Floyd niedawno prosił, żeby Logan wpadł do jego biura.

Zrozumiał wtedy, że miało to być powitanie, ale i ostrzeżenie: dobrze, że znów z nami jesteś, chłopie, lecz nie próbuj rozrabiać w moim mieście.

Przesunął wizytę u szeryfa o oczko wyżej w swoim programie.

- Czemu przedtem nic o tym nie mówiłaś? - spytał, marszcząc czoło.

- Po prostu wczoraj w nocy miałam ten sen - odparła ze śmiertelną powagą.

- Będę uważać. Cassie pokiwała głową.

- Zgarnij tych zuchów. - Wskazała Aleca i Josha. - Pora wejść do środka i napić się czegoś zimnego.

Znów była sobą... i nie była. Zawołał dzieci.

Telefon Josha zadzwonił w momencie, kiedy wszyscy pili colę z lodem w nieskazitelnej kuchence Cassie. Josh słuchał przez chwilę w milczeniu.

- Jesteśmy z Loganem, mamusiu - tłumaczył cierpliwie. - Widzieliśmy prawdziwe tipi i... - Twarz mu się zmieniła, ramiona napięły. - W porządku. - Rozłączył się, westchnął i spojrzał na Logana. - Musimy wracać do domu. Wanda gdzieś wyszła i mama nie może jej znaleźć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wanda! - zawołała Briana już na skraju starego cmentarza, chowając do kieszeni telefon. Nie powinna martwić chłopców, ale prawdę mówiąc, wpadła w panikę, gdy zastała w domu otwarte na oścież drzwi i ani śladu psa.

- Wanda!

Z sadu dobiegł ją cichy skowyt; szybko ruszyła w tamtą stronę. - Wanda!

Kiedy dotarła do pierwszego rzędu starych jabłoni, stanęła jak wryta. Wanda siedziała wyprostowana w cieniu gałęzi, które uginały się pod ciężarem podziobanych przez ptaki owoców. Miała zjeżoną na karku sierść, wzrok wbity w koronę drzewa i się trzęsła.

Brianie stanęło serce. Czowała, jak podnoszą się jej drobne włoski na ramionach i karku. Wtem gałęzie - od łba Wandy dzieliło je zaledwie kilkadziesiąt centymetrów - zaszeleściły gwałtownie.

Briana nie od razu odważyła się spojrzeć w górę, ale kiedy wreszcie się na to zdobyła, ujrzała przyciśniętego do

pnia potężnego brunatnego niedźwiedzia, który z ciekawością przyglądał się suce.

Czy gdzieś w pobliżu były małe? Briana miała znikomę - powiedzmy, równe zeru - doświadczenia z niedźwiedziami, ale wiedziała, że jeśli trafiła na matkę z dziećmi, to jest w gorszym niebezpieczeństwie, niż myślała.

Nie chcąc, żeby Wanda się poruszyła, Briana powoli wyciągnęła telefon. Dzięki Bogu, Josh zaprogramował szybkie wybieranie; nacisnęła jeden klawisz i czekała z biciem serca tak głośnym, że była pewna, iż niedźwiedź je słyszy.

- Mama? - odezwał się Josh. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Znalazłaś Wandę?

- Stoję w sadzie - szepnęła Briana, podziwiając swój spokojny głos. - Jest tutaj też Wanda i niedźwiedź. Powiedz Loganowi, że tutaj jest niedźwiedź.

Josh przekazał wiadomość i Logan pojawił się na linii, zanim Briana zdołała zrobić wydech.

- Nie ruszaj się - polecił surowo.

Gałęzie znów zaszeleściły. Wanda zaskomlała cicho.

- Pośpieszcie się - błagała Briana. Telefon wyślizgiwał się jej ze spoconej dłoni.

- Skręcamy już na ranczo - mówił Logan. - Daję ci Josha, nie rozłączaj się, ja potrzebuję obu rąk do prowadzenia.

Briana przerwała jednak połączenie. Gdyby niedźwiedź zaatakował Wandę albo ją samą, Josh nie powinien tego słyszeć.

Telefon nie zadzwonił ponownie, jak się obawiała, ale i oczekiwała. Logan miał dość zdrowego rozsądku, wiedział, że ostry, nieznanymi dźwiękami mógł sprowokować niedźwiedzia, który już był na granicy wściekłości; powietrze aż drżało od straszliwych pomruków

Wanda napięła mięśnie zadnich łap, jakby zamierzała przemknąć do Briany. Jej ogromne oczy przepełniała ufność. Wierzyła, że jeśli tylko dobiegnie do pani, wszystko będzie dobrze.

Briana wiedziała jednak, że to nie takie proste. Serce jej się ścisnęło na myśl, że psica źle ulokowała swoje zaufanie.

Zdawało się, że minęły całe godziny, choć były to tylko sekundy. Słyszała już warkot furgonetki, ale prawdopodobnie Loganowi nie uda się dotrzeć na czas.

„Nigdy nie okazuj strachu wobec niebezpiecznego zwierzęcia”. Głos, który odezwał się w jej głowie, należał do ojca. Powtarzał jej to nie raz, ale dziesiątki razy, a przecież był ekspertem od tych spraw, musiał stawiać czoło rozjuszonym bykom i podnieconym dzikim koniom, ilekroć występował na arenie w tym swoim głupim stroju.

Furgonetka już się zbliżała; Briana, choć ogarnięta paniką, czuła radość. Niedźwiedź, który też słyszał warkot, zaczął się zsuwać po pniu, trząsał przy tym gałęziami starej jabłoni, omal nie wyrywając z korzeniami całego drzewa.

Wanda wyrwała do przodu, gdy tylko niedźwiedź dotknął ziemi i stanął na tylnych łapach, przednie unosząc w górę. I nagle na Brianę spłynął jakiś dziwny, niemal mistyczny spokój. Do głosu doszła silniejsza, odważniejsza część jej natury.

- Nie tkniesz mojego psa. - Wypowiedziała te słowa czy tylko je pomyślała? Tak czy inaczej, niedźwiedź, wciąż

wyprostowany, przyglądał się jej uważnie z lekko przekrzywionym łbem.

Wanda skuliła się za Briana, przywierając do jej nóg.

Niedźwiedź wydał z siebie ostrzegawczy pomruk i opuścił przednie łapy na ziemię. Przez sparszywiałe futro przebiegła fala energii; zwierzę gotowało się do skoku.

Briana desperacko próbowała się uśmiechnąć.

W tym momencie rozległ się ryk klaksonu i do sadu wpadł na pełnej szybkości, podskakując z łomotem na wybojach, truck Logana.

Niedźwiedź przemyślał widać swoje opcje, bo z leniwą gracją uskoczył w bok i mijając o kilka kroków Briana i Wandę, oddalił się w paru susach w stronę cmentarza.

Logan wcisnął hamulce, wyskoczył z auta, podbiegł do Briany i porwawszy ją w ramiona, przytulił z całej siły do piersi.

Poczuła, że miękną jej kolana; osunęłyby się na ziemię, gdyby jej nie podtrzymał. Za jego plecami widziała przez szybę samochodu dwa białe krążki twarzy swoich synków.

- Nic ci nie jest - szeptał bez tchu. - Nic ci nie jest. Zaczęła się strasznie trząść. Wanda także.

Całe ciało Briany spływało zimnym potem.

- Mogę iść - wykrztusiła z trudem. - Nie wiem tylko, czy pies...

Logan przytrzymał ją jeszcze przez chwilę, upewniając się, czy nie upadnie. Potem schylił się i wziął na ręce Wandę.

Briana, zataczając się, ruszyła za nimi. Obejrzała się tylko raz, żeby sprawdzić, czy niedźwiedź rzeczywiście zniknął.

Brett Turlow przycupnął w ciemnym boksie na końcu Skiwie's Tavern. W brzuchu burczało mu, jakby miał tam garnek zjełczalej zupy, pozostawionej zbyt długo na ogniu. Nie cieszył się tutaj dobrą opinią, ale wcześniej zatrzymał się w agencji nieruchomości, gdzie pracowała jego siostra. Freida akurat pokazywała dom jakiemuś frajerowi, więc pożyczył sobie kilka dolców z pudełka po cygarach, które trzymała w szufladzie biurka i nazywała swoim „bankiem drobnych”.

Dla Bretta wszystko, co wiązało się z Freidą, było małosatkowe.

Na przykład to ciągle gędzenie, że ma zabierać tyłek z jej sofy i brać się do roboty. Uważała, że w Stillwater Springs samo nazwisko Turlow coś znaczy. Chociaż kiedy kilka lat temu ta nadęta bibliotekarka Kristy Madison kupiła za psi pieniądz ich stary rodzinny dom przy Mapie Street, Freida oszczędzała każdy cent, by go odzyskać.

Nie obchodziło jej, że Kristy i tak nigdy nie sprzedałaby tej rudery. Przeciwnie, harowała tam od świtu do zmierzchu, czasem nawet dłużej, w każdy swój wolny dzień. Brett o tym wiedział, bo czasem przesiadywał na Mapie Street po ciemku w poobijanej corolli Freidy, wspominając dawne czasy, i widział, że światło w oknach cały czas się pali.

Żyła jak stara panna ta cała Kristy, a przecież całkiem przyjemna z niej kobietka. Bibliotekarka czy nie, podwozie prima sort. Ludzie gadali, że kiedyś złamał jej serce nie kto inny jak sam Dylan Creed, a ona wciąż czeka na jego powrót.

Zupełnie jak ta żalosna kobieta z piosenki... *Delta Dawn*. Dzień w dzień wychodziła do pociągu, w nadziei, że przywiezie jej dawno utraconego kochanka.

Prychnął pod nosem, obracając w palcach już drugi pienisty browar przy porysowanym stoliku. Tak, już na pewno Dylan pofatyguje się z wizytą do Stillwater Springs, skoro tak mu się wszystko układa w wielkim świecie...

Co do Kristy... No cóż, skoro na kogoś czeka, ma swoje powody, i to raczej nie takie, że czepiła się Dy-lana czy kogoś innego. Brett zna ją całe życie i wie, że nigdy nie obchodziło jej nic poza książkami, końmi i tym starym domem.

Trzeba będzie przyhamować z piwem. To musi być już ostatnie, bo przepuścił całą kasę. Znowu.

Kiedyś miał wszystko, czego potrzebował - w czasach chwały, gdy Turlow Timber było jednym z największych przedsiębiorstw w całym stanie. Tamtemu Turlowowi Briana Grant nie zatrzasnęłyby drzwi przed nosem, to pewne. No dobra, gdy chodzi o kobiety, Brett zbierał resztki po braciach Creed, ale w niczym mu to nie uchybiało. Miał wtedy cabrio, karty kredytowe i ciuchy full wypas, czyli więcej niż Loganowi, Dylanowi czy Tylerowi się śniło.

Wtedy całkiem dobrze radził sobie z kobietami.

Potarł zarośnięty podbródek. Aż mu ślinka ciekła do drugiego piwa, czuł, jak każdy łyk trafia do rozdygotanych nerwów, kojąc wszystkie żale... Niestety poza pustym portfelem istniał też inny powód, dla którego musiał przystopować.

Za każdym razem, kiedy choć trochę się ubzdryngolił, widział ducha Jake'a Creeda.

Prawdę rzekłszy, chociaż nadal był w połowie trzeźwy, widmo już majaczyło po drugiej stronie stołu, tam, w tylnym boksie. I chociaż cała pierś Jake'a była jedną krwawą masą pod wyświechtaną roboczą koszulą, to jednak stary skurwiel i tak się uśmiechał.

Och, on zawsze się uśmiechał.

- Nie zabiłem cię, skurwysynu - wybełkotał Brett i aż podskoczył, bo uświadomił sobie, że powiedział to głośno. Po wypadku wszczęto śledztwo, po którym został oczyszczony z wszelkich zarzutów.

Duch zniknął razem ze swoim uśmiechem, ale Brett nie zaznał spodziewanej ulgi. Zwykle za dnia, kiedy był trzeźwy, czuł się bezpieczny od cienia Ja-ke'a, ale teraz dopiero minęło południe, a jednak mu się ukazał, no nie?

Wychylił się bokiem z boksu, żeby zerknąć na zegar wiszący na przeciwległej ścianie, wmontowany w logo browaru - podświetlonego niedźwiedzia z puszką w łapie. Z pozycji druczianych wskazówek wynikało, że jest za pięć trzecia.

Już w następnej chwili miejsce Jake'a zajęła Briana Grant w całej swojej seksownej, miękkiej kobiecości. Patrzyła na niego ze wstrętem, jakby śmierdział czy co, a potem - klik - i już jej nie było.

Ogłupiały mózg Bretta rozpaczliwie szukał wspomnienia, które wymykało mu się niczym mokre mydło na dnie wanny. Logan Creed! Logan Creed z chłopcami Briany w meksykańskiej knajpie w kasynie.

A niech go chudy byk!

Nic dziwnego, że Briana odstawiła Bretta, kiedy ten zaprosił ją na piątkowy wieczór do przydrożnego baru. Bzykała się z miejscowym waźniakiem!

Pociągnął łyk z kufła w nadziei, że to go uspokoi.

Czy naprawdę pojechał prosto do domu Briany, kiedy ta go rano skasowała na parkingu kasyna? Czasem to, co naprawdę zrobił, miesza mu się z tym, co tylko zamierzał...

Łyknął znowu piwa, tym razem ostrożnie. Przecież to ostatnie, upomniął się w duchu. Freida, ta skąpa suka, nie chciała mu kupować. Czasem miewała wino, ale zawsze je znajdował i kiedy wrócił od Briany, wykończył jej zapasy do ostatniej kropli.

Jeśli rzeczywiście był u Briany.

Wsunął obie dłonie we włosy.

Myśl!

Tak, był tam. Wszedł przez otwarte tylne drzwi i chciał tylko to i owo poprzestawiać. Żeby po powrocie przeżyła lekki wstrząs.

Ale od razu rzucił się na niego ten stary czarny pies. Nawet nie szczeknął ostrzegawczo, jak to psy mają w zwyczaju. Brett zrobił w tył zwrot, a kiedy pędził co sił w nogach do corolli, pies wciąż jeszcze łapał go za tyłek zębami.

- Cześć Brett! - odezwał się znajomy głos, przerywając mu trudy oddzielania faktów od fantazji.

Zamrugnął gwałtownie, a gdy podniósł wzrok, ujrzał po drugiej stronie stołu szeryfa Floyda Booka. W pierwszej

chwili uznał go za taki sam wytwór swojej wyobraźni, jak starego Jake'a, a potem Brianę.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że szeryf jest istotą z krwi i kości.

- Nic nie zrobiłem - zastrzegł się od razu. Book się uśmiechnął. Zdjął kapelusz, położył go

obok siebie i skinął z wdzięcznością głową barmance Sally Jo, gdy ta przyniosła mu to co zawsze: colę z dodatkowym lodem. Popatrywała przy tym na Bretta, jakby się go obawiała, i czmychnęła z powrotem za bar.

- Pomyślałem, że podwiozę cię do Freidy - rzucił lekko.

- Coś mi się zdaje, że nie jesteś w formie, żeby prowadzić.

Furia w piersi Bretta tylko czekała, żeby znaleźć ujście.

- Sally Jo podkablowała, że jestem zalany?

- Nie wiń dziewczyny, że akurat tutaj wpadłem. - Brett pociągnął łyk coli. Na chwilę przymknął oczy, jakby rozkoszował się smakiem. - W świetle prawa stanowego poniosłaby częściową odpowiedzialność, gdybyś spowodował wypadek.

- Nie spowoduję żadnego wypadku.

Book westchnął. Był już zmęczony swoją funkcją, wszyscy o tym wiedzieli. Miał dość Stillwater Springs i prawdopodobnie także swojej kalekiej żony.

A Brett miał dość jego.

Jest źle, ale wszystko potoczy się jeszcze gorzej, jeśli Jim Huntinghorse wygra dodatkowe wybory.

- Mówisz jak prostak. Powinieneś wziąć prysznic i się ogolić, a te ciuchy... No tak. Te ciuchy. - Szeryf splótł palce i przyjrzał mu się z namysłem. - Kiedyś twoje nazwisko znaczyło coś w tym mieście. Co się stało?

Brett tylko prychnął. Book cholernie dobrze wie, co się wydarzyło. Stary umarł, zostawiając księgi w totalnym chaosie. Okazało się, że w dalekiej Mis-souli ma zachomikowaną całą drugą rodzinę... A potem Jake Creed zabił się w lesie w taki sam piękny, letni dzień, jak dzisiejszy. Od tej pory nazwisko „Brett Turlow” w Stillwater Springs i całej okolicy znaczy tyle, ile „popapraniec”.

- Skończę tylko drinka - powiedział Book tak pogodnie, jakby właśnie odbywał miłą pogawędkę z przyjacielem - i

podrzucę cię do Freidy. A po corollę przydrepczesz sobie później.

- Nie jestem pijany - upierał się Brett. -1 nie przeciąłem łańcucha! To nie przeze mnie drewno zważyło się na Jake'a Creeda!

- Nikt nie mówi, że to zrobiłeś - rzekł pojednawczo szeryf. Robił wrażenie luzaka, jakby miał panewki stawowe posmarowane olejem silnikowym, ale Brett wiedział, że za oczami Booka kryje się mężczyzna bystrzejszy i młodszy, niż można by się spodziewać.

- Wszyscy uważają, że to ja - biadolił Brett. - W kółko to samo.

Szeryf zerknął na jego piwo, jakby chciał zabrać i oddać Sally Jo do wylania na zapleczu. Dlatego Brett chwycił kufel i wydudlił wszystko do dna.

Book tylko czekał i obserwował.

Robił to od lat.

Wyczekiwał, obserwował... Czasem o mało mu oczy nie wypadły od wypatrywania jakiegoś błędnego ruchu.

- Cały czas coś cię gryzie - zauważył. - To pewne.

- Sam prowadziłeś śledztwo - przypomniał Brett.

- Nie ma dowodu, że zabiłem Jake'a Creeda.

Szeryf pochylił się do przodu, nie rozplatając palców.

- Z tego, co pamiętam, tarzał się na sianie z twoją dziewczyną.

- On to robił z dziewczynami wszystkich facetów - odparował Brett. Teraz, kiedy w kuflu nie zostało już ani kropli, język zaczął mu się plątać, a po całym wnętrzu rozlewał się wielki, głuchy żal, dręczyła świadomość, że nieprędko dorwie się do następnego.

- A Jake pieprzył się nie tylko z dziewczynami. Wszadzał go także cudzym żonom.

Niech szeryf ma co przeżuwać. Stary, pojebany kutas! Myśli, że Brett nie wiedział o nim i o Freidzie? Kiedyś omal razem nie uciekli. Zatarliby wszelkie ślady i opuścili miasto na dobre.

Zrobiliby to jak nic, gdyby pewnej śnieżnej nocy żona Booka nie rozbiła samochodu o słup mostu i nie wylądowała potem na wózku inwalidzkim.

- Przeciąłeś ten łańcuch - rzekł cicho Book. - Nie.

Kolejne westchnienie - głębokie, brzemiennie całymi latami cierpienia.

- Skończyłeś piwo. - Book sięgnął po kapelusz, włożył go i wstał, zostawiając niedopitą colę. - Idziemy, robota na mnie czeka.

Brett podniósł się, bo nie miał wyboru, ale czuł się strasznie urażony.

Samochód policyjny stał na zewnątrz, gdzie każdy mógł go zobaczyć. Co gorsza, na przednim siedzeniu leżał monitor komputera, więc Brett musiał usiąść z tyłu, jak jakiś aresztant.

Wszystko się w nim gotowało. Ludzie szli chodnikiem i gapili się na niego z tymi krzywymi uśmieszkami na twarzach.

Starał się usiąść tak nisko, żeby jak najmniej rzucać się w oczy.

- Zapnij pas - polecił szeryf. - Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Brett posłusznie zapiął.

I nagle tuż przy nim pojawił się Jake Creed w swojej zwykłej, krwawej, wyszczerzonej postaci.

Brett zamknął oczy, żeby się od niego odciąć, a wtedy znów znalazł się w górach, w tamtych odludnych lasach.

Nie, nie przeciął tego łańcucha, ale jednak nie umocował go dobrze. Zamierzał się do tego wziąć, tylko jeszcze musiał skoczyć w krzaki, żeby się odlać.

Kiedy usłyszał łomot walących się kłód, omal nie zmoczył spodni. Biegł w stronę wyładowanej ciężarówki, szukając na oślep zamka rozporoka, i czuł, jak trzęsie się ziemia.

Każdy inny zacząłby krzyczeć, jeśli nie ze strachu, to przynajmniej z bólu, ale nie Jake Creed. Kiedy Brett dotarł na miejsce, zobaczył w szparze między kłodami twarz tego skurwiela, który tylko szczyrzył zęby w uśmiechu...

Brett bluznął długą wiązką i miotał się dookoła, nie mogąc ustać na miejscu.

- Sprowadź kogoś - powiedział chłodno Creed. Brett nie miał komórki; właściwie mało kto wtedy nosił ją przy sobie, zwłaszcza w lasach, gdzie zasięg się rwał. Ostatecznie wsiadł do kabiny ciężarówki i zaczął szarpać linkę klaksonu, dopóki nie zleciała się reszta ekipy.

Od tej pory Jake Creed nie przestawał go prześladować.

A teraz dojdzie do tego Logan. I to właśnie był prawdziwy powód jego powrotu, zdecydował Brett. Wszystko się zgadzało.

Pies nie mógł chodzić. Kiedy Logan przed domem postawił Wandę na ziemi, zrobiła kałużę i spojrzała na niego z bezradnym poczuciem winy.

Briana wciąż siedziała nieruchomo na miejscu pasażera, patrząc prosto przed siebie przez przednią szybę.

- Zostań tutaj z mamą - powiedział cicho Logan do Josha. - Wrócę po nią za parę minut.

Josh, który stał tuż przy nim, nawet się nie poruszył. Logan pojął, że jego polecenie prawdopodobnie nie dotarło nawet do świadomości chłopca.

- Niedźwiedź poranił Wandę? - spytał Josh ledwie dosłyszalnym szeptem.

Logan położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie sędzę. Po prostu się wystraszyła.

Chłopiec zagryzł wargę w sposób, jaki Logan podpatrzył wcześniej u Briany, po czym skinął głową. Nietrudno było domyślić się linii jego rozumowania: najpierw Alec został

ranny, a teraz matka i Wanda spotkały się oko w oko z niedźwiedziem. Nie ma nic pewnego na świecie.

Wszystko mogło się stać - jego matce, psu... Nie wystarczy kochać, potrzebować jakiejś osoby czy zwierzęcia, żeby zagwarantować im bezpieczeństwo.

Logan ścisnął chłopca za ramię. Znał to uczucie.

Przed oczami wyświetliła mu się twarz Take'a na szpitalnym łóżku.

„Otrząśnij się z tego”, usłyszał w tyle głowy głos starego człowieka.

Tak więc pochylił się i podniósłszy jak najostrożniej Wandę, skierował się w stronę domu. Snooks z Asystentem wyskoczyli z furgonetki i ruszyli za nim, a kiedy postawił wciąż rozdygotaną labradorkę na podłodze pośrodku kuchni, zaczęli ją obwąchiwać, trzymając jednak dystans.

Logan wrócił po Brianę, ale spotkał ją już w połowie drogi, z Alekiem po jednej stronie, a Joshem po drugiej. Podtrzymywali ją za łokcie, tacy mali mężczyźni.

Na widok Logana zamrugła, jakby zaskoczona, że znalazła się nagle na jego podwórku. To dobry znak - widać wychodziła już z szoku.

Odzyskiwała orientację.

Wcześniej, w furgonetce popadła niemal w katatonię. Kiedy chłopcy zasypali ją pytaniami, trzęsła tylko głową. Czy próbowała uśmiechnąć się do niedźwiedzia? Czy on miał małe? Czy myśli, że pożarłby ją razem z Wandą, gdyby nie nadjechali przez pole na pełnej szybkości i z włączonym klaksonem?

Teraz zdawała się wracać do siebie, jakby z podróży poza własne ciało.

Kiedy Logan wziął ją za rękę, miała skórę zimną i wilgotną. Kusiło go, żeby wnieść ją do domu na rękach, tak jak wtedy, gdy miała na sobie te niestabilne pantofle, ale pewnie nie chciałaby robić zamieszania. Zjeżyłaby się i kazała mu trzymać łapy przy sobie. Doskonale może iść sama, wielkie dzięki.

Więc się nie wyrywał.

Poprowadził wszystkich do domu i dalej, do kuchni. Ledwie znaleźli się w środku, chłopcy pobili się o telefon komórkowy, ten, który mieli na spółkę. Alec dorwał go pierwszy i zaraz wybiegł na podwórko, trzaskając drzwiami. Josh nie podjął pościgu, tylko klapnął ciężko na

podłogę i objął ramieniem Wandę. Trąciła go nosem i polizowała po twarzy. Asystent i Snooks, dopełniając obrazu tej sielanki, zwinęli się na starym dywaniku przed piecykiem.

Logan, nie zważając na dzieci i psy, usadowił Brianę na krześle przy stole. Co się daje osobie, która dopiero co przeżyła bliskie spotkanie z niedźwiedziem? On strzeliłby sobie nierozcieńczonej whiskey - zresztą czuł taką potrzebę - ale umysł kobiety działa zupełnie inaczej.

Herbata.

Niestety nie miał pod ręką żadnej herbaty. Zaczął więc nastawiać kawę. - Dziękuję - odezwała się Briana tak głucho, jakby wyciągnięto ją z głębokiej i bardzo ciemnej studni.

- Alec zabrał komórkę - poskarżył się Josh. - Zakład, że dzwoni do taty.

Obrzuciła go spojrzeniem i skinęła głową.

- Też się o to założę. - Wciąż miała zmieniony głos, ale jej twarz nabierała kolorów. - Wyprowadź Wandę na dwór. Jeśli zaraz tego nie zrobisz, będzie się bała wychodzić z domu.

Josh przytaknął i siłą wywlókł psa na ganek. Logan ciągle majstrował przy dzbanku do kawy. Snooks i As ruszyli śladem tamtych, więc też ich wypuścił.

- Vance przyjedzie - odezwała się Briana w zamyśleniu. Powiedziała to takim tonem, jakby chodziło o jakąś drobną zmianę w skądinąd znajomym krajobrazie. - Znaczy, po chłopców.

Logan, który akurat wyjmował swoje jedyne dwie filiżanki, znieruchomiał.

- Nie masz nic przeciwko temu?

Nie wzruszyła ramionami, ale tak to wyglądało.

- Jest ich ojcem. Ma prawo.

Wyobraził sobie Brianę, jak z dwoma chłopcami i psem błąka się przed WalMartem w obcym mieście, bez pieniędzy i nie ma dokąd pójść. Widział całą gromadkę, wpatrzoną w tylne światła znikającego w ciemności samochodu Vance'a. Żałował, że to Dylan był tam wtedy, a nie on.

Takie myśli nie miały w ogóle sensu, zwłaszcza że prawdopodobnie i tak nic by to nie zmieniło. Dwa lata

temu, kiedy Briana została wystawiona do wiatru, on próbował dogadać się z Laurie.

- No tak - odrzekł z zakłopotaniem. - Ma prawo.

- Mogę zostać? - zapytała nagle Briana.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co właściwie powiedziała.

- Zostać? - powtórzył jak echo.

- Tutaj, z tobą. Tylko na tę noc.

Przeszedł na drugą stronę kuchni i przykucnąwszy przed krzesłem Briany ujął ją za rękę.

- Jesteś teraz w szoku. Nie myślisz jasno. Roześmiała się, chociaż łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak bardzo się wystraszyłam...

Pochyliła się do przodu, aż głowa oparła się o jego ramię. W tym momencie Logan zrozumiał: Briana Grant różni się od wszystkich znanych mu kobiet, i jest to tak pewne, jak fakt, że jego kochany ojczonek wolałby głosować na jakiegoś żółtego psa niż na republikanina.

Poklepał ją po plecach. Kolana zdążyły mu zdrętwieć, ale prędzej szlag go trafi, niż się stąd ruszy.

- Wiem. I to właśnie świadczy o twoim zdrowym rozsądku.

- Naprawdę uśmiechnęłam się do niedźwiedzia - wyznała łamiącym się głosem, stłumionym przez jego koszulę.

Zachichotał na myśl o tej scenie, ale z gardła wydobył mu się jakiś chropawy, drżący odgłos. On także się wystraszył, i to bardziej niż chciał się przyznać.

- Ale już po wszystkim. Po wszystkim, jesteś cała i zdrowa.

Uniosła głowę znad jego ramienia i spojrzała mu w twarz.

- Nie czuję się dobrze. Przedtem byłam silna i potem także będę, ale w tej chwili potrzebuję...

Logan wstał.

- Sama nie wiesz, czego potrzebujesz. - Powiedział to, ponieważ uznał, że musi wprowadzić pomiędzy nich pewien dystans, zarówno werbalny, jak i fizyczny. Gdyby nie chłopcy, którzy byli tuż za progiem, zabrałby ją prosto do łóżka. - Jesteś w szoku.

- Może i tak - zgodziła się, patrząc, jak wycofuje się w stronę zaparzynki. Milczała.

Wrócili chłopcy, prowadząc z sobą psy. Logan zrobił kanapki, nasypał karmy do misek, a przed Brianą postawił kubek gorącej kawy.

Niebawem zjawili się Vance i Heather, wezwani przez Aleca, jak przewidział Josh. Zostali tylko kilka minut, po czym zapędzili chłopców do vana i odjechali w takim pośpiechu, jakby bali się, że niedźwiedź trafi śladem dzieci aż do kuchni Logana i urządzi tutaj jatkę.

- Mogę zostać? - zapytała znowu Briana, gdy tylko zostali sami.

- Możesz.

Zabrał ją więc do łóżka, ale wszystko odbyło się inaczej, niż to sobie wyobraził. Wygładził przykrycie, ułożył ją, zdjął jej buty i okrył narzutą.

Spojrzała na niego zmieszana.

Przyczłapała Wanda. Logan wziął ją na ręce i także położył na łóżku.

Kobieta. Pies.

Dla niego miejsca zabrakło.

- Odpocznij trochę. Zamknęła oczy.

Wyszedł z pokoju, niemal potykając się o Snooksa i Asa w progu. Zamknął za sobą drzwi. W korytarzu przesunął ręką po włosach.

Pożądał Briany Grant. Akurat teraz była bezbronna, zdana na jego łaskę, dlatego wynosił się razem ze swoim napalonym ego z powrotem do kuchni, dopóki Briana nie odpocznie i nie ochłonie po incydencie z niedźwiedziem.

Oczywiście chodziło o coś więcej niż tylko o niedźwiedzia. Logan dobrze o tym wiedział. Ciągle przeżywała jeszcze wypadek Aleca z poprzedniej nocy. Jedną kobietą nie jest w stanie udźwignąć aż tyle, naturalną reakcją będzie stres.

Tak więc wyniósł się do kuchni i wyciągnąwszy album „Nasza rodzina” zaczął od nowa oglądać zdjęcia.

Patrzył na Jake'a.

Na matkę.

I na siebie jako niemowlę.

Zjadł jeszcze jedną kanapkę i przygotował drugą dla Briany na wypadek, gdyby obudziła się głodna.

Po zapadnięciu zmroku wyszedł nakarmić konie, zabierając z sobą psy.

Kiedy wrócił, Briana siedziała przy kuchennym stole w jego T-shircie i jadła kanapkę. Zdążyła już wziąć prysznic i rozpleść włosy, które niczym złote płomyki ognia wiły się wokół jej twarzy i ramion, opadając z tyłu aż do pasa.

Loganowi zamarło na chwilę serce.

Stał w progu razem z psami jak wrośnięty w ziemię, niezdolny do żadnego ruchu.

Wskazała głową album na stole.

- Ty jesteś na zdjęciach? - Rzuciła Wandzie kawałek kanapki, zupełnie jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, że tak siedzi w jego kuchni, prawie naga, z rozpuszczonymi, wilgotnymi włosami.

Jak też mogą pachnieć takie włosy? Jak to jest poczuć je spływające między palcami?

- Na niektórych - odrzekł nie swoim głosem. Ale oderwał się już od drzwi, prawdę mówiąc dlatego, że psy napierały nań z tyłu.

- Jeśli nie chcesz się ze mną kochać, ja to zrozumiem.

- Chcę, ale wiem na pewno, że nie jesteś jeszcze całkowicie sobą, dlatego nie będę.

Popatrzyła na niego, unosząc lekko brwi.

Logan przypomniał sobie jej wczorajsze wysokie obcasy i krótką sukienkę z materiału lekkiego jak pajęczyna.

Może to była druga strona Briany Grant.

- Myślisz, że wciąż jestem w szoku.

- A nie jesteś? -Nie.

- Dopóki nie nabiorę całkowitej pewności - przywołał na pomoc całą swoją siłę woli - nawet cię nie tknę.

- To dość uczciwe.

Ziewnęła i wstawiła do zlewu swój talerz. Potem kołysząc biodrami, wyszła do pokoju.

Kiedy opanował się na tyle, by pójść za nią, zastał ją w swoim łóżku, śpiącą jak kamień.

Wziął prysznic, zmienił ubranie.

Zajrzał do niej znowu.

Wrócił do dziennego pokoju, sprawdził pocztę i surfował jakiś czas w Internecie. Zjadł następną kanapkę, a potem nie potrafi już wymyślić sobie żadnego zajęcia.

Odnalazł koc i wyciągnął się na sofie.

Ledwie zamknął oczy, przyszedł do niego Jake.

Ocipiałeś, chłopie? Masz w łóżku ciepłą, chętną kobietę i śpisz na pieprzonej sofie?

Nie jestem tobą tato - odpowiedział milcząco Logan. Jake wydawał się taki realny, taki żywy, że Logan aż bał się otworzyć oczy.

Więc nie otworzył.

Masz cholerną rację, nie jesteś mną. Ja wiedziałem dosyć, żeby korzystać, kiedy przyjemność sama pcha się pod nos.

Logan obrócił się na bok, tyłem do pokoju i do swojego zmarłego ojca. Jasne, wiedziałeś. A ja próbuję żyć inaczej, nie iść w twoje ślady. Spadaj.

Jakiś ruch w powietrzu.

Logan odwrócił się, otworzył oczy.

Nie Jake stał przy nim, lecz Briana.

Bez słowa wsunęła się pod koc i przywarła ciasno do jego boku.

- Przytul mnie.

Otoczył ją ramionami i pocałował w czubek głowy.

- Jestem tu - szepnął. - Jestem przy tobie. Pokiwała głową, wczepiła palce w jego koszulę i natychmiast zasnęła.

Niebawem on zasnął także.

A kiedy się obudził następnego ranka, zobaczył, że Briana wciąż śpi wtulona w jego bok.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zanim odważyła się otworzyć oczy, pozwoliła sobie przebiec myślami przez wydarzenia, które doprowadziły do tego, że leżała wtulona w Logana Creeda na wąskiej kanapie. Przykra dyskusja z Heather, nerwowa konfrontacja z Brettem Turlowem na parkingu. Otwarte drzwi domu, zniknięcie Wandy, wędrówka po sadzie, wreszcie niedźwiedź i dziwny, zimny dreszcz grozy, jaki ją wówczas przeszedł. Warkot furgonetki podskakującej na nierównym gruncie między drzewami, ryk klaksonu. A potem błogosławiony spokój, bezpieczny azyl w ranczerskim domu, który tak długo stał pusty... Palce wciąż miała wczepione w jego koszulę. A on miał erekcję. Już nie spał?

Zmusiła się do zerknięcia. Nie, nie spał. W ciemnych, poważnych oczach tlił się ogień.

Powinna ruszyć się wreszcie z tej sofy. Odnaleźć swoje rzeczy, ubrać się i umknąć stąd, nawet piechotą, jeśli będzie trzeba.

Piechotą? Ma ryzykować ponowne spotkanie z niedźwiedziem? A zresztą, niedźwiedź czy nie, Wanda i tak nie da rady iść.

Furgonetka Dylana wciąż stała tam, gdzie Briana zaparkowała ją wczoraj - przy sznurze na bieliznę.

Przeciągnęła się sennie. Usłyszała cichy jęk Logana. Czuła jego erekcję przez cienki T-shirt, jedyną rzecz, jaką miała na sobie.

Poprzedniej nocy nie chciał się z nią kochać. Powiedział, że Briana „nie jest sobą”, cokolwiek miałyby to znaczyć. No dobrze, ale teraz już jest i pragnie go tutaj, na tej sofie, choćby tylko na ten jeden szybki numer dwojga ludzi, niczym spuszczonech z oka młodocianych kochanków.

Jej ciało, ciepłe i wygłodniałe do bólu, rozwierało się już, gotowe na jego przyjęcie.

Nie używała środków antykoncepcyjnych - nie było powodu - a co do Logana, to nawet jeśli miał gdzieś w domu kondom, poznała po jego oddechu i stanie napięcia, że nie zdąży go znaleźć i użyć.

Była już jednak znużona tym ciągłym odmawianiem sobie; gdzieś głęboko w sobie czuła przepastną niczym kanion, niebezpieczną potrzebę mężczyzny.

Odnalazła ustami jego usta i zaczęła całować.

Cofnął się, ale zaraz dał za wygraną.

Języki ich się splątały, zagarnął ją pod siebie i już w następnej chwili Briana wiała się pod nim wygięta w łuk. Na dworze jeszcze nie świtało. Byli sami, spowici w mrok nocy. Gdzieś obok tykał zegar, odmierzając sekundy niczym uderzenia serca.

Logan odsunął się, zdyszany. Widziała wyraźnie jego twarz - musiała gdzieś palić się lampa, a może to tylko blask księżyca - widziała też niechęć, a zarazem potrzebę równą własnej.

Nie zadał jej pytania; dostrzegła je w jego oczach.

Jesteś pewna?

Skinęła głową. Nawet wtedy, bez żadnej gry wstępnej poza tym jednym pocałunkiem, o mało się nie rozsypała na kawałki. Chciała mieć go w sobie, chciała czuć, jak ją wypełnia.

Westchnął, wymawiając jej imię.

Poruszyła się pod nim.

Przewrócił się na bok, zdarł z niej T-shirt i cisnął na podłogę.

Wsunął jej dłonie pod swoją koszulkę i przyłożył palce do ciepłej, masywnej piersi. Sutki pod naciskiem jej dłoni stwardniały mu niczym guziki.

Oparł się na rękach po obu jej bokach i odgiął w tył głowę z gniewnym sapnięciem.

- Briano, ja nie mam... -Ciii...

Znalazła zapięcie jego dżinsów, uwolniła go i zaczęła gładzić z jakimś bezwstydnym, nieznanym dotąd zapamiętaniem.

Logan wydał z siebie chrapliwy, gardłowy dźwięk i pozwolił jej na tę pieśczętę przez kilka długich, rozciągniętych aż do granic wytrzymałości chwil. Wreszcie opadł na nią, smakował językiem jej nagie piersi, ssąc to jedną, to drugą.

Briana krzyknęła i wygiąwszy się w łuk, poruszyła biodrami; rozsunęła nogi, poczuła, jak się między nimi mości.

I nagle, niczym jakiś rozpalony miecz, był w niej, w środku - głęboko, głęboko.

- Tak! - krzyknęła. - O, tak!

W mgnieniu oka dotarła na sam szczyt, wiedziała, że tak będzie. Wszechogarniająca siła wyssała jej z płuc całe powietrze, rozkoszny prąd wstrząsnął każdym mięśniem. Niczym bezsilny ptak, pochwycony w oko cyklonu, uległa temu sztormowi. W oczach miała łzy.

To się zaraz skończy.

Ale się nie skończyło. Logan nie ruszał się z jej wnętrza, wciąż się nad nią unosił, a ledwie przestała dygotać, poczuła, że zbiera się do kolejnego natarcia, tym razem jednak wolniej.

- Spokojnie - szepnął.

- O... mój... Boże... - jęczała, rzucając się pod nim, wczepiała w ramiona - Loogaan!

Zaczął poruszać się znowu, ale z wyrafinowaną, wręcz sadystyczną powolnością, doskonale panując nad sytuacją. Gdy szczytowała, kilka minut później, z jej piersi wydobył się długi zawodzący jęk. Ale teraz nie było mowy o

stopniowym opadaniu. W spazmach rozkoszy unosiła się coraz wyżej i wyżej.

Zwiększył tempo, a Briana kompletnie się zatraciła. Oszołomiona, oślepiąca, bełkotała coś bez sensu, czuła, że rozpada się na kawałki. Triumfalny krzyk Logana dobiegał jakby z oddali, był echem słyszonym pod wodą, bardziej wibracją niż dźwiękiem.

Tulili się potem długo, wolno wracali do siebie, aż wreszcie opadli, wyczerpani, niezdolni rozplątać rąk i nóg ani wydobyć głosu.

Nawet kiedy oprzytomnieli, nie od razu zaczęli rozmawiać.

Bo co tu było do powiedzenia?

Logan leżał na Brianie, uważał jednak, by nie przynieść jej całym ciężarem.

- Na drugi raz zrobmy to w łóżku, dobrze? Roześmiała się tylko, rozsmakowując w tym wzajemnym nasyceniu, bliskości. To złote uczucie wolności może niebawem przeminąć, kiedy rzeczywistość dojdzie do głosu.

- Kto mówi, że będzie drugi raz?

Uniósł się na rękach i z uśmiechem spojrzał jej w oczy.

- Chyba żartujesz. Po tym? - Pocałował ją lekko. -
Jasne, że będzie drugi raz, a po nim kolejny...

Briana poczuła, że prawda o jej życiu napiera na granice przyjemności, szukając drogi do środka. Postara się trzymać ją z daleka, jak długo się da, pozostać w tej mydlanej bańce zadowolenia, dopóki nie pęknie.

Zanim jej przyćmiony mózg zdołał wymyślić odpowiedź na uwagę Logana, ten skrzywił się nagle i przeskoczył przez nią na ziemię. Wrzasnął i zaczął podskakiwać na jednej nodze.

Psy wpadły z impetem do domu, szczekając tak, że omal nie rozniosły dachu.

- Zakwas! - krzyknął.

Briana parsknęła śmiechem, który wydobywał się z głębi jej istoty, jej prawdziwej natury kobiety, bogini, tej niewzruszonej, Tej, Która Wie. Śmiała się tak, że aż zgięło ją w pół, aż Logan przestał skakać, a Wanda przydreptała do swojej pani i zaczęła zlizywać jej łzy.

Logan z nieodłącznymi psami pokuśtykał do kuchni. Chciał nastawić kawę i pozwolić Brianie trochę się ogarnąć. Kiedy maszynka zaczęła perkotać, wyszedł na

zewnątrz, nakarmił konie i sprawdził, czy koryto na wodę w korralu jest pełne.

Kiedy wrócił do domu, słońce stało wysoko, a Briana, już przebrana w swoje rzeczy, smażyła jajka i boczek.

Logan spał z wieloma kobietami, ale nigdy jeszcze rano nie zabrakło mu słów. A dzisiaj tak właśnie się stało.

Zdażyła już ujarzmić te dzikie, oślepiająco złote włosy w zwykłym francuskim warkoczu - tego akurat żałował - ale i tak zdawała się ją otaczać mgiełka miękkiego światła, jakby niezupełnie przynależała do tego szarego, brutalnego świata, ale zablądziła tutaj z jakiegoś innego, lepszego.

- Jak tam twoja noga? - spytała. Logan nie załapał.

- Moja...? - Zaraz jednak przypomniał sobie o zakwasie. To skutek spania na sofie, kiedy skręcony jak kłęb zardzewiałego drutu kolczastego starał się nie dotykać Briany, a jednocześnie nie dopuścić, żeby spadła. - W porządku.

- Loganie Creed, czy zamierzasz tam stać przez całą dzień? - Zabrzmiało to tak, jakby była jedną z długiego szeregu kobiet, które stały w tej kuchni i przewracając na patelni plastry boczku, poganiały jakiegoś kolejnego męża

Creeda, żeby się szybciej ruszał. - Umyj się i nakryj do stołu. Śniadanie już prawie gotowe.

Słodycz tej chwili ścisnęła go za gardło. Tak łatwo wyobrazić sobie, że to zwykły, codzienny poranek, że są mężem i żoną, że lada chwila wpadną tu jej chłopcy, dopiero co obudzeni, wyskoczą ze swoich łóżek. Mogłoby też być jeszcze niemowlę w kojcu albo w takim podobnym do kołyski urządzeniu, które daje się składać do transportu...

Tak łatwo i tak niebezpiecznie.

Wyłożył karmę dla trzech psów i napełnił miskę wodą, a następnie umył mydłem ręce w zlewie, osuszył papierowym ręcznikiem i ustawił na stole talerze i sztućce.

Co teraz, miał ochotę zapytać. Dokąd mamy teraz iść?

Ale się nie odważył. Wszystko wydawało się jeszcze zbyt delikatne, zbyt kruche. To, co oddzielało ich od realnego świata, było tak ulotne, tak przejrzyste piękne, jak skrzydełko motyla.

Nie miał w domu żadnych półmisek, więc Briana nałożyła im na talerze jedzenie prosto z dużego rondla i drugiego, mniejszego, w którym smażyła jajka.

Siedząc już przy stole, zerknęła ukradkiem na zegar na ścianie między pokojem a kuchnią: wpół do siódmej.

Zmarszczyła lekko twarz i poruszyła głową. Logan czytał w jej myślach.

Za wcześnie, żeby dzwonić do chłopców i sprawdzić, jak przetrwali noc u Vance'a i Heather.

- Prędzej czy później - odezwał się Logan - będziemy musieli pogadać o tym, co zrobiliśmy.

Odłożyła widelec i zmarszczyła brwi. Ale zdradził ją lekki rumieniec na policzkach.

- Uprawialiśmy seks.

- Kochaliśmy się.

Mimo że się nie poruszyła, widział, że wycofuje się w głąb siebie, staje się tamtą normalną Brianą - ciężko pracującą samotną matką, która ledwie wiąże koniec z końcem.

- A co to za różnica?

Krew uderzyła mu do głowy. Czy Briana próbowała go wkurzyć? Jasne, że tak.

Chciała odgrodzić się od niego barierą.

- Co za różnica? - powtórzył, zdecydowany nie pozwolić jej udawać, że nic się między nimi nie wydarzyło. Może jej cały czas chodziło tylko o seks, ale nim nigdy jeszcze nie miotnęło tak, że aż wyszedł z siebie. Jeszcze czuł ten wstrząs.

Zagryzła wargę; nie zamierzała na niego spojrzeć.

- A skąd do wszystkich diabłów wzięli takie imię: Briana? - spytał ni stąd, ni zowąd, żeby tylko przerwać milczenie.

W zielonych oczach rozbłysła jakaś iskierka.

- Dzikus sporo czytał... - Dopiero po chwili Logan zorientował się, że ona mówi o swoim ojcu, „Dzikus” to była jego ksywka na pokazach rodeo. - W jakiejś książce występowała postać o imieniu Briana i jakoś przypadło mu to do gustu.

Napięcie rosło, ale było to coś w rodzaju dobra wiadomość-zła wiadomość. Teraz zacznij się udawanie.

Jasne, uprawiali seks, ale przecież za obopólną zgodą, jak dwoje dorosłych ludzi. Nic wielkiego.

W Loganie wezbrała fala żalu. Zupełnie, jakby stał na pokładzie „Titanica” i patrzył, jak ostatnia szalupa znika w zimnej ciemności Atlantyku.

- I matka się na to zgodziła?

- Nie wiem. Umarła, kiedy miałam osiem lat. Zerknął na album „Nasza rodzina”, który wciąż

leżał tam, gdzie go wczoraj zostawił - po drugiej stronie stołu. Potem wrócił wzrokiem do Briany.

- Ja też niewiele wiem o swojej matce, ale miałem macochy. Obie próbowały wziąć cugle w garść.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Macochy? Dwie?

Przytaknął i uśmiechnął się smutno na wspomnienie matki Dylana, Maggie, krzątającej się po tej samej kuchni, a potem matki Tylera, Angeli.

- Dwie. Jake, mój tata, zdawał się myśleć, że przechytry swoje demony, jeśli poślubi jakąś porządną kobietę i zaraz po ceremonii ona zajdzie w ciążę. - Westchnął. - Ale nic nie działo.

Zapamiętaj to sobie.

Briana przesuwiała jedzenie widelcem po talerzu.

- To dlatego żeniłeś się więcej niż raz? Też chciałeś przechytryć jakiegoś demona?

Pytanie zakłuło, trafiając w odsłonięty nerw. Zastanawiał się przez chwilę, kto ją poinformował o jego małżeństwach, wreszcie uznał, że nie mógł to być nikt ze Stillwater Springs. Prawdopodobnie sam jej o tym powiedział.

- Możliwe - przyznał. - Ale patrząc wstecz, widzę, że to był całkiem niezły pomysł... zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem.

Roześmiała się smutno.

- Tak, wiele rzeczy wydaje się dobrymi pomysłami w swoim czasie. Kiedy poznałam Vance'a, nie zawracałam sobie głowy sprawdzaniem, co to za jeden. Sama stworzyłam mu tożsamość, był dla mnie kowbojskim księciem, o którym czytałam w książkach z biblioteki. A kiedy to wszystko okazało się fałszem, próbowałam go zmienić w takiego, jakiego chciałam.

- Powodzenia.

- A ty nie próbowałeś odmienić swoich żon? Nigdy?

- Nie. Ale po sześciu miesiącach najchętniej zgłosiłbym je obie jako ochotniczki do długodystansowych lotów w kosmos. Na przykład na Jowisza albo w pas asteroid po drugiej stronie Plutona...

Briana, śmiejąc się, trzepnęła go po ramieniu. Od jej dotyku aż zadrgały mu nerwy pod skórą.

I wtedy zadzwonił telefon.

Ale ktoś sobie znalazł porę!

Logan westchnął, wstał i przeszedł przez pokój.

- Halo!

- Jest tam moja mama? - spytał nieśmiało Alec.

Logan miał na końcu języka twierdzącą odpowiedź, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie minęła jeszcze siódma i nawet tak mały chłopiec z łatwością mógł dodać dwa do dwóch, a sądząc z miny Briany, wcale by to nie było wskazane.

- Właśnie wpadła na kawę.

Briana błyskawicznie znalazła się przy jego boku. Oddał jej telefon.

- Josh? Alec?

Obserwował ją podczas rozmowy. Niepokój zniknął z jej twarzy.

- W porządku? Naprawdę? - Długa pauza. - Tak. Tak, jadę do pracy. - Znowu dość długo słuchała. Rzuciła okiem na Logana i zaraz się wycofała. - Tak, pamiętam, żeby naładować telefon... Jasne, widzimy się wieczorem, pa!

Poszła odwiesić telefon, cały czas odwrócona tyłem do Logana.

- Możemy się zachowywać, jakby dzisiejszy ranek się nie wydarzył?

- Nie - padła natychmiastowa odpowiedź. Odwróciwszy się patrzyła na niego rozszerzonymi z zakłopotania oczami.

- To był błąd. Już raz musiałeś przez to skłamać...

Podszedł i ścisnął ją lekko za ramiona.

- To nie był błąd, Briano.

- Może nie dla ciebie - odparowała z przygnębieniem. - Jesteś mężczyzną. Możesz to sobie odptaszkować jako jeszcze jeden sukces, ale dla mnie...

- Czym to było dla ciebie? - Rozluźnił uścisk, ale nie zdobył się, żeby ją puścić. -1 nie mów mi, że tylko seks, bo przecież byłem przy tym.

Oblała się rumieńcem.

- No dobrze, podobało mi się... Tak samo jak tobie. Przez dłuższą chwilę po prostu patrzyli na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Potem się odsunęli. Briana zaczęła sprzątać ze stołu. Logan ją powstrzymał.

Odnalazła torebkę i zawołała psa, on wyjął kluczyki i w milczącym porozumieniu odwiózł ją i Wandę do domu.

Drzwi znowu były otwarte.

Briana patrzyła bez słowa. Przecież zamknęła je wczoraj, kiedy poszła szukać Wandy, pamiętała to.

Logan zaklął pod nosem i wyskoczył z samochodu, zanim zdołała rozpiąć pas. Wyciągnął Wandę z tylnego siedzenia i ruszył w stronę ganku.

Brianę przeszedł zimny dreszcz. Może Vance i Heather zatrzymali się tutaj wczoraj, żeby chłopcy mogli zabrać piżamy czy coś innego, i w pośpiechu zapomnieli zamknąć...

Ale Josh by tego nie zrobił. Zbyt wielką wagę przywiązywał do kwestii bezpieczeństwa. A Vance i Heather, chociaż nie tak odpowiedzialni, na pewno by zauważyli.

Wanda wyszczerzyła zęby i zawarczała, przykucając w trawie.

- Zostań tam - polecił Logan Brianie, widząc, że wysiadła.

Zniknął w środku.

Sięgnęła po telefon, ale przypomniała sobie, że jest nienaładowany, więc wrzuciła go do torebki i krok za krokiem zmierzała w stronę domu. Spodziewała się, że lada moment wybuchną jakieś krzyki czy odgłosy bójki, może nawet strzały.

- Logan?

Wanda - wciąż na przykurczonych łapach - powarkiwiała z cicha, ale wyraźnie nie szykowała się do skoku na tego kogoś czy coś wewnątrz domu.

Briana już miała postawić nogę na stopniu, nie mogąc znieść tego napięcia, kiedy na ganku zjawił się Logan.

Przesunął palcami po włosach.

- Ktoś tam był - oznajmił z ponurą miną. - Ale już go nie ma.

Ruszyła po schodkach, Wanda niechętnie powlokła się za nią, niemal szorując brzuchem po ziemi.

Kuchnia... salon... pokój chłopców... łazienka... Nie, nic się nie zmieniło.

Ale w jej sypialni...

Wciągnęła gwałtownie powietrze. I nie dlatego, że Logan położył jej dłoń na ramieniu.

Jedyną rzeczą nie na swoim miejscu była jej zwiewna nocna koszula - różowy, skąpy ciuszek, podarunek od Vance'a na któreś walentynki. Leżała dokładnie pośrodku łóżka, prawie jakby Briana miała ją na sobie.

Przyłożyła dłoń do ust.

- Vance? - spytał Logan.

Pokręciła głową. Nie był zdolny do takich subtelności. Nie, to ktoś inny przewrócił do góry nogami jej szuflady, znalazł dawno zapomnianą koszulę i ułożył na wierzchu z pedantyczną, niemal złowieszczą czołobitnością.

Ktoś chciał ją nastraszyć.

Ale kto? I dlaczego?

Przemknął jej przez myśl Brett Turlow... Potraktowała go wczoraj obcesowo, ale jakoś jej do tego nie pasował.

Któryś z robotników pracujących przy ogrodzeniu pastwiska? Przypadkowy przechodzień?

Oparła czoło o pierś Logana, próbując odzyskać oddech.

Gładził jej plecy okrągłymi ruchami, ale drugą ręką otwierał już klapkę telefonu.

- Tu Logan Creed. Poproszę z szeryfem Bookiem. Natychmiast.

- Dużo wody, kurna, upłynęło, zanim udało nam się wreszcie usiąść i pogadać - zauważył Floyd Book godzinę później przy stole kuchennym Briany. Ona sama po krótkiej rozmowie telefonicznej z Jimem pojechała do miasta po chłopców. Jeszcze przy wsiadaniu do furgonetki Dylana czuła, jak jej płoną policzki po incydencie z koszulą.

- Ano dużo - zgodził się Logan z roztargnieniem. Ciarki mu chodziły po grzbiecie, tak samo jak Brianie, na myśl, że ktoś się zakradł do tego domu i grzebał w jej rzeczach. A

potem przygotował to małe intymne tableau, żeby je zastała po powrocie.

-Wciąż podejrzewasz jej eks. Tego... - sprawdził w notatkach - Vance'a Granta.

- Briana od razu go wyeliminowała - przypomniał Logan.

- Nie pytałem, kogo ona podejrzewa.

- Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia.

- To nie był Brett Turlow. Zawiozłem go sam do domu ze Skiwie's Tavern, a ta jego stara corolla stała na parkingu przed barem, ile razy tam zaglądałem.

Briana opowiedziała zarówno szeryfowi, jak i Loganowi, jak Brett ją zaprosił na wieczór, a ona odmówiła - z początku grzecznie, a potem, kiedy rzucił jakąś uwagę na temat Jima, sprowadziła go do parteru.

A szeryf już wcześniej opowiedział im, jak zabrał Turlowa od Skiwie's Tavern i jak sprawdzał, czy corolla wciąż stoi na parkingu.

Błędne koło.

- Istnieje możliwość, że to dzieciaki - zauważył Book. - Briana jest ładną kobietą i na pewno rozpala fantazje

nastolatków. Może jeden drugiego podpuścił i sprawy wymknęły się spod kontroli.

- To dobra koncepcja, szeryfie. Ale przypuśćmy, że to coś poważniejszego?

Book wypuścił powietrze z płuc.

- Masz na myśli jakiegoś maniaka? Za długo mieszkałeś w wielkim mieście. To jest Stillwater Springs, nie Vegas.

- Skąd wiesz, że byłem w Vegas?

- Spuść z tonu, chłopie. Wszyscy wiedzą, że połknąłeś haczyk jeszcze za czasów rodeo i wróciłeś tam, kiedy zwolniono cię z wojska. - Uśmiechnął się szeroko na widok zaskoczonyj miny Logana. - A ja pytam, jak to się stało, że jeździsz starą furgonetką, mieszkasz i ubierasz się jak parobek, skoro założyłeś spółkę wartą prawie dwadzieścia milionów i właśnie ją sprzedałeś?

Logan nie odpowiedział.

- Myślałeś, że nie znałem tej strony? Dostatecznie długo pracuję w wymiarze sprawiedliwości.

- Do czego ty pijesz, Floyd?

- Po prostu się zastanawiam - starszy mężczyzna świdrował go wzrokiem - czy czasem nie wróciłeś tutaj

dlatego, że wciąż posądzasz Bretta o umyślne zwalenie ładunku drewna na twojego tatę. Człowiek może udawać niski status finansowy, żeby nie przyciągać uwagi, jeśli ma zamiar naprawić stary błąd. Kłopot polega jednak na tym, że ledwie przekroczyłeś granicę okręgu, wszyscy już o tym wiedzieli.

- Myślisz, że wróciłem do Stillwater Springs, żeby odegrać się na Turlowie?

- A tak jest?

- Kurna, nie!

- No więc dlaczego? Czy widzisz, żeby Dylan kręcił się w pobliżu? Albo Tyler? Nie. Bo oni mają coś lepszego do roboty w jakichś lepszych miejscach. I ty także. - Zawiesił głos. - Chyba że...

- Że co?

- Że po prostu tędy przejeżdżałeś i wpadła ci w oko Briana Grant.

Logan przymrużył oczy.

- Czy ty czasem nie próbujesz oskarżyć mnie o myszkanie w tym domu i grzebanie w damskiej bieliźnie?

- Jeśli grzebiesz w jej bieliźnie, to twoja sprawa. Ale jeśli nie zatraciłeś tego słynnego Creedowskiego talentu, to nie musisz kluczyć opłotkami. - Floyd siorbnął łyk kawy. - Niedługo składam urząd - podjął, kiedy wreszcie dojrzał do decyzji - i mam nieskazitelne notowania, przynajmniej na papierze. Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że Brett Turlow przeciął łańcuch umyślnie, ale nie sposób tego udowodnić. Za nic nie chciałbym odpuszczać tej sprawy, chociaż potrafię się na to zdobyć. Wezmę emeryturę, oddam odznakę, no i dobrze. Ale jest coś, czego nie potrafię i nie zrobię: nie będę patrzył beczynn timer, jak bierzesz prawo w swoje ręce.

- Powiem ci, co ja myślę, szeryfie. Brett Turlow nie ma jaj, on nie przeciąłby tego łańcucha, nawet po tym gdy odkrył, że Jake sypia z jego dziewczyną. Pewnie chętnie zatańczyłby na jego grobie, ale żeby sam miał kogoś zabić? W życiu.

- No więc może masz rację, zdarzył się wypadek. - Szeryf ustąpił. - Gdybym to wiedział, na pewno by mi ulżyło.

Logan zmiękł; prawdę mówiąc, dociekanie powodów jego powrotu do Stillwater Springs należało do obowiązków służbowych Booka. I chociaż nawet nie splunąłby na Bretta, gdyby ten się palił... no, może wtedy tak - to absolutnie nie zamierzał „brać prawa w swoje ręce”. Chociaż nie uprawiał swojego zawodu, nadal był członkiem palestry, przysiągł stać na straży prawa, a nie je łamać.

- Nie zastanawiałeś się czasem, czy nie kandydować na moje miejsce? - zagaił po chwili Book.

- Nie potrzebuję posady, pamiętasz? - odparł Logan. - A nawet gdybym potrzebował, to z całą pewnością nie twojej.

Floyd się roześmiał.

- No i do tego jesteś najlepszym kumplem Jima Huntinghorse'a. Głupio by ci było stawać przeciw niemu.

Loganowi przemknęła przez myśl przestroga Cassie, że grozi mu niebezpieczeństwo, a być może pośrednio także Brianie i chłopcom. Specjalnie prosiła, żeby pod żadnym względem nie angażował się w wybory.

- Jim to porządny facet.

- Owszem - zgodził się Floyd - zawsze go lubiłem. Ale już podnoszą się głosy, że na pierwszym miejscu stawia interesy swojego plemienia, a dopiero na drugim, jeśli nie na trzecim interesy białych z tego okręgu.

- To bzdura.

- Bigoci, zwłaszcza biedni, zawsze są z nami. A bigoci głosują częściej nawet niż reszta wyborców. - Floyd wziął swój kapelusz i podniósł się ciężko z krzesła. Zanim ruszył do drzwi, poklepał Wandę po głowie. - Skoro mówisz, że nie wróciłeś tutaj, aby wyrównać rachunki z Brettem Turlowem, to ci wierzę - dodał na odchodnym. - Nie pozwól, żebym się pomylił. To tyle.

Logan pokiwał głową, ale nie na znak zgody, tylko aby pokazać, że przyjął to do wiadomości. Bo naprawdę nie przyjechał do Stillwater Springs, żeby pomścić śmierć Jake'a - czyż nie?

Wstał i wyszedł za szeryfem na zewnątrz, a potem patrzył, jak stary przyjaciel, uosobienie karzącej ręki sprawiedliwości wsiada do policyjnego wozu, zapala silnik i odjeżdża.

Dziwnie się czuł w domu Briany pod nieobecność jej czy chłopców, ale nie zamierzał wychodzić. Chciał, żeby ten, kto krąży wokół tego miejsca, wrócił tutaj jeszcze i spotkał się z nim twarzą w twarz. Ale ponieważ jego furgonetka stała na podjeździe, doskonale widoczna, nie sądził, aby tak się stało.

- Tylko ty i ja - powiedział do psa. Zadzwoił telefon na ścianie. Logan odruchowo sięgnął po słuchawkę.

- Logan Creed.

Brak odpowiedzi, tylko jakieś chrapliwe sapanie. I trzask odkładanej słuchawki.

Zmarszczył brwi i nacisnął „gwiazdka-sześć-dziewięć”, ale niczego nie wskórał. System u Briany był tak samo przestarzały, jak u niego.

- Halo! - krzyknął, chociaż nie spodziewał się odpowiedzi. Przetrzymał kilka monotonnych sygnałów, zanim też trzasnął słuchawką.

Wanda poruszyła się niespokojnie i podniosła łeb, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Wyczuwała, że jest jakiś problem, i czekała na reakcję.

- Wiem, dziewczynko, wiem.

Pies podreptał z ciężkim westchnieniem na swoje legowisko i tam się umościł.

- Potrzebujemy planu. Kolejne westchnienie.

Logan odwrócił tyłem do stołu krzesło i usiadł na nim okrakiem. Oparł brodę na splecionych dłoniach i zmrużył oczy.

Tak, potrzebowali planu.

I właśnie coś zaczynało mu świtać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

To czyste wariactwo! - wykrzyknęła Briana, kiedy już zapędziła Josha i Aleca do kuchni i Logan wytłumaczył jej, co chce zrobić. - Zamienić się na domy?

Widziała, jak stwardniał mu mięsień szczęki. Powinien się ogolić, ale z zarostem wyglądał seksownie jak diabli i całe ciało Briany przeszył nagły dreszcz wspomnienia ich nocy.

- Przemyśl to sobie - powiedział cicho, chociaż chłopcy zdążyli już wparować do pokoju, kotłując się z rozbawioną Wandą. Gips na ramieniu Aleca bynajmniej nie spowolnił ruchów chłopca, a podniecenie związane z niedźwiedziem zwiększyło jego energię do granic szaleństwa. - Przeniesiesz się do mnie z chłopcami. Zamienimy samochody. Ten, kto porozkładał twoją... bieliznę na łóżku, zakradnie się do domu i zamiast na ciebie, natknie się na mnie, a wtedy... - Wyrzucił ręce w górę. - Niespodzianka!

Briana wzdrygnęła się na wspomnienie niedźwiedzia w sadzie.

- Pięknie to wygląda - rzuciła na blat torebkę - ale w teorii. - Sam pomysł jednak sprawił, że ciarki jej przeszły po grzbiecie. - Ta osoba, kimkolwiek jest, wybiera czas, kiedy nie ma mnie w pobliżu. Dlaczego uważasz, że pojawi się znowu, chociaż zobaczy mój samochód przed domem?

Położył jej dłonie na ramionach; uwielbiała czuć na sobie ich siłę i ciężar. Starła się nie myśleć o tym, jak te same dłonie doprowadzały ją do szaleństwa na jego sofie.

- Takie sprawy zwykle eskalują. To cała kampania, a ten incydent ją zapoczątkował.

Briana westchnęła i odsunęła włosy z czoła, cofnęła się o krok w próżnej nadziei, że wreszcie przestaną przelatywać między nimi te ładunki elektryczne, istne ognie świętego Elma.

- Chyba masz rację - przyznała. - Ale czy nie powinniśmy oddać tej sprawy w ręce szeryfa Booka?

Logan wykrzywił usta w namiastce uśmiechu.

- Szeryf Book uważa, że mamy do czynienia z dziećmi. Że to taki jednorazowy wyglup nastolatków. Zresztą on liczy już dni do emerytury.

- Mogę sobie wyobrazić, że nastoletnich chłopców stać na coś takiego - powiedziała Briana, ale nie bardzo w to wierzyła. Wyczuła, że i Logan myśli podobnie.

- Można przyjąć, że dzieciakom odbiło - zgodził się. - Ale mnie nie trafia do przekonania, że ktoś zrobił głupi kawał, ten maniak działa według planu. Musimy zrobić coś więcej, niż tylko czekać na kolejny incydent.

Poczuła się nagle bardzo zmęczona. Przysunęła krzesło z powrotem do stołu i opadła na nie ciężko.

- Czy coś w tym rodzaju zdarzyło się już wcześniej? - Logan odwrócił drugie krzesło tyłem i usiadł okrakiem. Czy on ją specjalnie tak prowokuje?

Przecież gdyby nie synowie w przyległym pokoju, rzucałyby się na niego tutaj, w tej kuchni! - W Stillwater Springs czy gdzie indziej?

Zaprzeczyła ruchem głowy, starając się zebrać myśli. Czy coś takiego zdarzyło się już przedtem? Chodziło mu, czy ktoś wtargnął do jej domu i grzebał w intymnych rzeczach, ale jakaś część jej osobowości miała zupełnie inną odpowiedź: „Nie, nigdy jeszcze żadnego mężczyzny nie pragnęłam tak, jak ciebie”.

- Briano? - dopytywał się Logan swoim niskim, jakże seksownym głosem. Gdyby dotknął jej w tej chwili, choćby tylko wziął za rękę, chyba rozpląnęłaby się w drżącą kałużę kobiecej protoplazmy...

Ścisnął lekko jej dłoń.

Briana wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Nie - wykrztusiła, czując, jak rumieniec rozlewa się jej po twarzy.

Oczywiście zauważył to i uśmiech zadrgał mu w kąciku ust.

- Jesteś pewna, że to nie Vance? - cedził słowa, przeciągał je tak, jakby skubał ustami płatek jej ucha albo leciutko wodził nimi po szyi.

Przełknęła głośno ślinę i powachlowała się ręką.

- Nie sądzisz, że tutaj jest gorąco?

Po twarzy Logana znów przemknął uśmieszek.

- Goręcej niż przy dymiącej pukawce, jakby powiedział mój tata. Ale trzymajmy się tematu, dobrze? Kto mógłby chcieć buszować w twoim pokoju poza Brettem Turlowem czy Vance 'em? Może ktoś cię podrywał w kasynie?

- Przestań mnie dotykać. Nie mogę się skoncentrować.

Cofnął rękę, ale przedtem przesunął koniuszkami palców po wewnętrznej stronie jej nadgarstka. Znów dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie.

- Mnóstwo facetów podrywa mnie w kasynie. Ale na razie wszyscy godzą się z odmową.

- Z wyjątkiem Bretta Turlowa?

- No, zdenerwował się, kiedy go odstawiłam

- przyznała z namysłem - ale nie miałam powodu przypuszczać, że zacznie się mścić. I szeryf dał mu alibi...

- W porządku. - Logan westchnął. - Gdy tylko się ściemni, zamieniamy się domami i samochodami. Mam nadzieję, że ten cham zrobi jakiś ruch.

Briana z różnych powodów nie sądziła, że pomysł wypali, ale obawiała się zostać w tym domu sama z chłopcami. Przypuśćmy, że prześladowca wróci i napędzi im strachu czy nawet skrzywdzi dzieci? Zresztą nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

- Nie podoba mi się to - powiedziała mimo wszystko. Logan uniósł brew.

- Mnie także - odparł z przesadną cierpliwością.

- Oczywiście, że wolałbym spać z tobą w twoim albo moim łóżku, ale przy dzieciach to niemożliwe.

- No nie.

Zabawne. Tyle czasu radziła sobie bez seksu, nawet nie miała okazji, by za nim zatęsknić, a teraz, kiedy już doszło do tej nocy z Loganem, nie mogła się doczekać powtórki. Fizycznie dokonała przeskoku od kompletnego bezruchu do zwariowanej szybkości i to ją przerażało.

Wstał z ociąganiem i przeczesał palcami włosy.

- Lepiej już pójdę. Wrócę zaraz po zmierzchu. Skinęła tylko głową.

Na pożegnanie pocałował ją w czubek głowy i poklepał po ramieniu. Wyczuła w nim wahanie; wiedziała, że chciałby objąć jej pierś, ale się powstrzymał.

- Jeszcze jedno - szepnął. - Kiedy już odjedziecie, powieszę tę twoją koszulkę na sznurku.

Odwróciła się na krześle i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co?! Dlaczego?

- Zaufaj mi. Chcę zwrócić uwagę tego gościa. Niech pomyśli, że chcesz go bliżej poznać.

Gwałtowny dygot wywołany strachem i odpłynięciem krwi z twarzy wstrząsnął Brianą do szpiku kości. -Ale ja nie...

- To może wykurzyć go z ukrycia - stwierdził Logan z ponurą determinacją.

Briana przełknęła ślinę, ale skinęła głową.

- Zamknij za mną porządnie - przypomniał jej na odchodnym.

Przekręciła zamek i klapnęła na krzesło, bo nogi wciąż miała miękkie.

Dwie sekundy później w progu ukazał się Alec.

- Logan już poszedł? - Na piegowatej buzi malował się zawód. - Nawet się nie pożegnał...

- Jeszcze wróci.

Alec machnął w powietrze zwiniętą pięścią.

- Super! - wykrzyknął radośnie.

- Lubisz Logana? - spytała ostrożnie.

Nie powiedziała chłopcom o incydencie z koszulą i nie miała takiego zamiaru. Nie wspomniała też o tym Heather, kiedy odbierała synków przy przyczepie. Jakieś wyjaśnienie będzie im winna wieczorem, gdy już zamienią

się z Loganem na mieszkania, ale nie miała bladego pojęcia, jakie.

- Jest fajny. Tata mówi, że on „bada teren”. Co to znaczy?

Stary, poczciwy Vance. Zawsze gotów zagmatwać problem.

- Tak się tylko mówi. - Briana siliła się na lekki ton. - Nie musisz się tym martwić.

- Logan powiedział, że możemy nadać imiona jego koniom! - Do kuchni wparował Josh i odpychając brata, skierował się prosto do lodówki. - Co na kolację?

- To, co zostało. - Czy rzeczywiście już pora kolacji? Brianie zdawało się, że od śniadania przeżyła całe życie.

- Ty nadajesz dwa imiona i ja dwa - uściślił Alec.

- Bułany będzie Trigger, a myszaty Traveler.

- Bez sensu! - sprzeciwił się Josh. - Obydwa są naT!

- I co z tego?

Większość dzieci nie skojarzyłaby Triggera z Royem Rogersem ani myszatego z koniem generała Roberta E. Lee. Zarówno te konie, jak i ich właściciele żyli na długo

przed urodzeniem chłopców, ale domowe nauczanie Josha i Aleca było, delikatnie mówiąc, dość eklektyczne.

- Przestańcie się kłócić - wtrąciła się Briana.

- Głowa mnie od tego boli.

- To się nazywa „przerzucanie winy” - oznajmił triumfalnie Josh. - Nieczysta zagrywka, mamó.

Mimo bólu głowy, skołatanych nerwów i przemożnej chęci pójścia do łóżka z Loganem Creedem – im prędzej, tym lepiej - Briana zachichotała. Może mimo wszystko publiczna szkoła to całkiem niezły pomysł. Niech dzieci skupią się na czytaniu, pisaniu, arytmetyce i odpuszczą sobie tanią psychologię.

„Przerzucanie winy”? To jak życie pod jednym dachem z dwoma miniaturowymi doktorami Philami ze słynnego programu w telewizji.

Logan pilnował się, żeby przyjechać do Briany nie wcześniej niż dobrze po zachodzie słońca. Zaparkował dodge'a za domem i po cichu wyładował psy, a także torbę z przyborami do golenia i zmianą ubrania. Zastanawiał się, czy intruz nie kryje się między drzewami, obserwując go, ale czuł intuicyjnie, że nie.

A nauczył się w Iraku, jeśli nie jeszcze wcześniej, ufać swojej intuicji.

Zapukał delikatnie do tylnych drzwi, żałując, że cały scenariusz nie przebiega inaczej: najpierw wspólna kolacja, może z butelką wina, potem seks, tym razem w łóżku... Fantazja wygodnie zakładała nieobecność chłopców.

Briana otworzyła mu drzwi, była blada i minę miała nietęgą.

- Powiedziałam im, że trzeba coś naprawić w łazience i jutro przychodzi hydraulik - szepnęła jak szpieg, zdradzający kluczową informację na środku jakiegoś tajemniczego mostu. - I że ty będziesz miał na wszystko oko. Czy już ci mówiłam, że nie znoszę okłamywać dzieci?

- Nie. - Wszedł za nią do kuchni. - Ale mógłbym się tego domyślić.

Wanda przywitała Asa i Snooksa, obwąchując ich po przyjacielsku.

Na dźwięk głosu Logana Alec i Josh błyskawicznie zjawili się w kuchni, każdy ze swoim plecakiem.

- Fajno jest - oznajmił Josh.

- Możemy nakarmić konie? - spytał Alec.

- Już nakarmione. Chłopcu zrzęła mina. -Och...

- Ale możecie mi pomagać, kiedy tylko mama wam pozwoli.

- Dobra obrona! - mruknęła Briana.

- W tym to ja jestem najlepszy. Zresztą nie tylko w tym.

Zaczerwieniła się; ukrył w tych słowach aluzję i widział, że ją pojęła.

- Masz. - Wręczyła mu zmiętą papierową torbę. W środku była kusa nocna koszula: szmatka wielkości czterech kawałków papieru toaletowego, ułożonych w strategiczny rząd.

Odjazd przebiegał w ogromnym zamieszaniu, co prawdopodobnie wyszło wszystkim na dobre. Logan pomógł Wandzie wejść do samochodu, a Briana zupełnie niepotrzebnie podsadziła Aleca. Kiedy usiadła za kierownicą, Logan stanął na stopniu i przez otwarte okno pocałował ją lekko w usta.

Alec i Josh, obserwując to z tylnego siedzenia, wydali jęk obrzydzenia, a potem zaczęli demonstracyjnie cmokać.

Briana udała, że tego nie słyszy, tylko utkwiała w Loganie swoje zielone jak leśne jeziorka oczy.

- Bądź ostrożny!

- Zawsze. - Chciał ją znów pocałować, tym razem na serio, ale wolał nie prowokować kolejnych jęków i cmoków.

Pokiwała głową i przełknęła ślinę.

Zeskoczył na ziemię, cofnął się i patrzył, jak wrzuca bieg. Przy zawracaniu o mało nie skasowała słupka ze sznurem do wieszania prania. Kiedy tylne światła zniknęły za pierwszym zakrętem, Logan wyciągnął koszulkę z torby i przytrzymał ją przez chwilę w dwóch palcach.

Briana pewnie wkładała ją dla Vance'a... albo później dla jakiegoś innego faceta. Starał się nie dopuścić, aby ten pociąg myśli odjechał ze stacji.

Udrapował koszulkę na sznurku, zabezpieczył ją drewnianymi klamerkami i zawrócił do domu. Snooks z Asystentem obserwowali wszystko z ganku, wpatrzeni czujnie w otaczające go drzewa.

Okej, draniu, droga wolna!

Logan przed wyjściem zostawił chłopcom śpiwory na szerokim dmuchanym materacu przed kominkiem w dziennym pokoju, przygotował też łóżko z wykrochmaloną

białą pościelą, to samo, na którym ułożył Brianę po incydencie z niedźwiedziem. Odgiął zapraszająco przykrycie, a na nocnym stoliku postawił kwiaty w słoju po konserwach.

Wszystkie domowe wygody, pomyślała Briana.

Poza tym, że brakowało Logana, wyglądało to perfekcyjnie, przytulnie i prawdziwie ranchersko.

Odwróciła się od tego obrazka i omal nie potknęła o Wandę, która bezszelestnie przyczłapała za nią z tyłu.

W dziennym pokoju chłopcy kłócili się o imiona dla koni.

Powędrowała w tamtą stronę zdenerwowana, nie wiedząc, co z sobą począć.

- Cisza! - krzyknęła na chłopców bardziej z przyzwyczajenia niż w nadziei, że chociaż na chwilę przestaną jazgotać.

Josh zapadł przy komputerze Logana, zafascynowany licznymi monitorami, trzema drukarkami i innymi elektronicznymi urządzeniami.

- Jest włączony - oznajmił, poruszając ostrożnie bezprzewodową myszą. - Naładowany i w ogóle...

Briana wiedziała, do czego to zmierza i natychmiast uruchomiła hamulce.

- Nie możecie używać komputera Logana. To sprzęt osobisty i w dodatku bardzo drogi.

- Nie sądzę, aby miał coś przeciwko temu - upierał się Josh.

- A ja nie sądzę, żebym urodziła się wczoraj. Zabieraj łapy, Josh, mówię na serio.

Ramiona mu opadły.

- Myślisz, że dorobimy się kiedyś takiego kompa? Zabrzmiało to tak żałośnie, że Briana podeszła do synka i położyła mu dłoń na głowie.

- Myślę, że dorobicie się wszystkiego, czego naprawdę będziecie chcieli. Nie musicie być biedni tylko dlatego, że ja jestem biedna. Pójdziecie do college'u, zdobędziecie dobrą pracę...

Josh spojrział na nią pełnymi smutku oczami.

- Zaopiekuję się tobą, mamusiu - obiecał tak żarliwie, że Brianie serce po prostu rozpadło się na połowy. - Kiedy dorosnę i pójdę do college'u, to się tobą zaopiekuję.

Przytuliła go mocno i zacisnęła powieki, żeby powstrzymać i tak wyciekające łzy.

- Ja świetnie dam sobie radę. Nie będziesz musiał się o mnie troszczyć, skarbeczku.

- Ale chcę.

- A ja chcę jeszcze bardziej niż Josh - wtrącił się Alec. - I kupię ci fajny dom, i konia, i posłacam wszystkie twoje rachunki. I nie będziesz już musiała chodzić do tego głupiego kasyna.

Briana zamrugła, pociągnęła nosem i otarła ręką oczy.

- A może odłożymy tę dyskusję, dopóki nie skończycie college'u i nie zaczniecie zbijać tej wielkiej kasy?

Alec zgodził się skwapliwie, ale jego radosny uśmiech szybko zgasł.

- Logan nie ma telewizora! - oznajmił z całą powagą.

- To straszne! - Briana uśmiechnęła się przez łzy do młodszego synka, udając, że się przejęła. - No to pozostaje nam już tylko coś tak koszmarnie staroświeckiego, jak rozmowa!

- A o czym będziemy rozmawiać? - zainteresował się Josh.

- Na przykład o college'u?

- To zbyt odległa przyszłość - uznał zdecydowanie.

Przemogła się wreszcie i usiadła niepewnie na sofie. Kiedy poklepała zapraszająco poduszki, obaj synkowie skwapliwie zajęli miejsca po obu jej stronach.

- Podoba się wam u taty i Heather?

- Może być - odparł lakonicznie, jak zawsze, Josh.

- Heather pozwala nam dłużej siedzieć wieczorem niż ty

- wyznał z całą otwartością Alec, poruszając zagipsowanym ramieniem. Oczy mu się rozszerzyły.

- Ona naprawdę nie chciała potrącić mnie tym vanem, wiesz?

- Wiem. - Na chwilę przytuliła go mocno, jeszcze to akceptował, chociaż z trudem. Czasy piżamek ze stopkami, pluszowego misia i czułości na dobranoc dawno minęły, co nawet teraz wspominała z żalem, jeśli w ogóle pozwalała sobie na wspominki.

- Odeszłaś z kasyna? - spytał nagle Josh. - Nie byłaś dzisiaj w pracy.

- Nie. Wzięłam tylko trochę wolnego z powodu wypadku Aleca.

- A stać nas na to? - W Joshu odezwała się głowa rodziny. Jak Atlas dźwigał świat na swoich wątych barkach.

- Niezupełnie - przyznała szczerze Briana. Już i tak zataiła przed nimi prawdziwy powód, dla którego nocowali u Logana, i nie chciała dalej kombinować. Kiedy rzeczywiście musiała ich okłamywać, było to raczej przemilczanie prawdy niż łgarstwo w żywe oczy. - Ale wybrniemy z tego, jak zawsze, więc nie musisz się martwić.

- Lubię rozmawiać - oświadczył Alec.

- To miłe - zgodziła się.

- Skoro tata ożenił się drugi raz, to czemu ty nie możesz?

Ilekroć małe cwaniaki wyciągały jej dywanik spod nóg, zawsze ją to zaskakiwało.

- Pewnie bym mogła - odparła po namyśle - ale nie znam tu żadnych potencjalnych mężów.

- Znasz Logana - zasugerował Alec.

- On jest za biedny, nie stać go nawet na telewizor - zauważył Josh.

Roześmiała się i przycisnęła ich mocniej do siebie.

- A wcale że nie! - odparował Alec, okręcając się wokół Briany, żeby spojrzeć z góry na brata. - Spójrz na tego kompa, kretynie!

- Tylko bez przezwisk - upomniała go.

- Jeśli wyjdiesz za Logana, będziesz mogła mieć dzieci - powiedział Alec. - Heather chce mieć dziecko, ale tata mówi, że ma pełne ręce roboty z tymi, które już są.

Az zakipiała ze złości. Vance ma pełne ręce roboty? Jak dotąd cały czas zalegał z alimentami, a jego kontakty z synami sprowadzały się do okazjonalnego telefonu na koszt rozmówcy czy nabazgranej byle jak pocztówki.

Ale zmobilizowała się do uśmiechu. Owszem, ma z Vance'em na pieńku i kiedy dorwie go samego, powie mu kilka ciepłych słów, ale Josh i Alec to co innego.

- Dzieci to duża odpowiedzialność... - zauważyła pojednawczo. Ten temat, podobnie jak sofa, na której siedziała, przypomniawszy jej o tabletkach antykoncepcyjnych. Nie była naiwna, by sądzić, że to, co się wydarzyło, już się nie powtórzy, ani że w najbliższym czasie nie będzie ich potrzebować.

- Możemy napalić w kominku? - spytał Josh. Na ruszcie leżała podpałka i zmięte gazety, obok piętrzyła się sterta polan.

- W zasadzie noc jest ciepła... Ciekawe, czy Logan specjalnie przygotował palenisko, tak samo jak łóżko z tą odwiniętą narzutą?

- Moglibyśmy udawać, że to biwak ~ napomknął Alec z nadzieją w głosie.

- No dobrze. - Briana poddała się. Przez całe ich krótkie życie odmawiała im tylu rzeczy, że raz może ustąpić.

Odsunęli materac i śpiwory dalej, a Briana przykucnęła, żeby rozpalić ogień. Kiedy płomienie buzowały już wesoło na ruszcie, dorzuciła jeszcze polano, po czym zasunęła z powrotem ekran i cofnęła się, podziwiając swoje dzieło.

Chłopcy tymczasem wleźli już do śpiworów, a przestrzeń na materacu między nimi szczelnie wypełniła Wanda. Z opartymi na rękach głowami wpatrywali się w płomienie.

- Podoba mi się tutaj. - Alec westchnął i ziewnął.

- Mnie też - dodał Josh.

Po piętnastu minutach już spali.

Briana wyjęła z torby biblioteczną książkę, ale po półgodzinie także zaczęła ziewać. Sprawdziła zamki w drzwiach, zasypała ogień i poszła do sypialni Logana.

W przyległej łazience z wielką wanną na nóżkach w kształcie lwich łap i z umywalką na słupku umyła zęby i twarz, a potem skutecznie oparła się pokusie zajrzenia do apteczki.

Wiele da się powiedzieć o danej osobie na podstawie zawartości apteczki.

Różnorodność środków sprzedawanych bez recepty i tabletek przeciwbólowych? Hipochondryk.

Specyfiki na receptę od więcej niż jednego lekarza? Lekoman.

Kolorowe albo - uchronij Boże - perfumowane kondomy? Komediant.

Odwróciła się lojalnie tyłem do apteczki i wyszła.

Noc w łóżku Logana Creeda to dostateczne wyzwanie. Nie ma potrzeby myszkować jeszcze po jego apteczce.

Snooks i As dawno zalegli na psim legowisku w kącie kuchni, natomiast ich pan, siedząc w ciemnościach,

próbował stworzyć profil intruza, który wtargnął do domu Briany.

Krótko po północy spojrzął prawdzie w oczy: plan okazał się niewypałem.

Niespecjalnie przypadł mu do gustu pomysł przespania reszty nocy w łóżku Briany, ale ponieważ stracił nadzieję na przyłapanie zbrojcy, tam właśnie się skierował. Usiadł na brzegu materaca i zrzuciwszy buty położył się.

Kwieciste poszewki na poduszkach z lekką nutą perfum pachniały jak Briana.

Położył się na bok, klepnął kilka razy poduszkę, obrócił się na drugi bok. Tamtego ranka obudził się przy Brianie, ciasno w nią wtulony na wąskiej sofie. Jutro prawdopodobnie poczuje na piersi ciężar Snooksa, który polize go w nos.

Leżąc w ciemnym, zalanym światłem księżycy pokoju, myślał o tej zwiewnej koszulce, o intruzie i uwadze szeryfa Booka na temat brania prawa w swoje ręce.

Logan nie wrócił do Stillwater Springs, żeby szukać kłopotów, ale także nie zamierzał się przed nimi cofać. To nie po Creedowsku. Jeśli Brett Turlow czy ktokolwiek inny

będzie krążył wokół Briany, on, Logan, zrobi co trzeba, ze skopaniem tyłka włącznie.

Zamknął oczy, przekonany, że i tak nie zaśnie. Kiedy obudził go jakiś hałas, pomyślał w pierwszej chwili, że to sen.

Zegarek przy łóżku wskazywał trzecią z minutami. Coś stuknęło w kuchni.

Asystent, a może Snooks, wydał niski, groźny pomruk.

Logan zmarszczył brwi i usiadł, starając się nie wydawać żadnego dźwięku.

Spojrzał w dół i zobaczył dwa psie nosy wystające spod łóżka.

Znów odgłos - jakby tupot, potem stłumione przekleństwo.

Wstał, zadowolony, że wcześniej zdjął buty, i na palcach wyszedł z sypialni.

Na korytarzu panowała całkowita ciemność, ale w kuchni poruszał się jakiś cień. Logan, choć przebiegł mu po plecach dziwny, niesamowity dreszcz, poczuł przyływ adrenaliny.

Cholerny zbok chwycił przynętę!

Logan posuwał się naprzód, zezując na boki, ale widział tylko cień mężczyzny, który pełził wokół kuchni, skrzętnie omijał smugę księżycowego światła, wpadającą przez okno nad zlewem.

Nie przyszło mu do głowy, że intruz może być uzbrojony - po prostu w pewnym momencie rzucił się na niego z gołymi pięściami i obalił na podłogę.

- Co jest, kurwa? - wyrzeźził włamywacz. W świetle księżycy błysnęła jasna czupryna.

- Gównno - odparł Logan, powoli usuwając ręce z jego szyi.

Dylan usiadł.

- Logan?

Logan wstał, sięgnął na oślep do kontaktu i patrzył, jak brat wolno podnosi się z podłogi.

- Co, do diabła, tutaj robisz? - Niebieskie oczy Dylana sypały iskrami wściekłości.

- Mógłbym cię spytać o to samo - odparował Logan, krzyżując ramiona.

- Nie mogłem znaleźć w mieście wolnego pokoju. - Dylan podniósł z podłogi kapelusz i strzepnął go o nogę. -

Dzwoniłem do Briany, ale nikt nie odbierał, więc przyszedłem tutaj w nadziei, że prześpię się na sofie...

-A przyjechałeś tutaj, to znaczy, do Stillwater Springs, bo...?

- Bo, do cholery, miałem taką zachciankę! Na pewno nie spodziewałem się, że ni stąd, ni zowąd zwali się na mnie dziewięćdziesiąt pięć kilogramów kowboja.

Logan wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale wiedział, że nie było w nim ciepła.

- A Briana prawdopodobnie nie spodziewała się znaleźć rano na kanapie chrapiącego gościa.

- Zostawiłem wiadomość - przypomniał mu Dylan, wieszając kapelusz na kołku przy drzwiach, jakby... hm... był u siebie, i wskazał głową telefon.

- Jak widać jej nie odsłuchiwała. Kurczę, nie możesz tak sobie włączyć w środku nocy do cudzych domów. Ktoś mógłby najpierw strzelić, a dopiero potem zadawać pytania.

Dylan uśmiechnął się kwaśno.

- Albo na przykład zwalić biednego sukinsyna na podłogę i chwycić go za gardło. - Niebieskie oczy zawsze

pełne diablików. - A właściwie, gdzie jest Briana? I skąd ty się tutaj wzięłaś?

Logan podszedł do kredensu, znalazł puszkę z kawą i zajął się zaparzeniem.

- To długa historia.

- Zamieniam się w słuch. - Dylan usadowił się przy stole. - Jest coś do żarcia?

-Nie.

- W porządku, tylko pytam.

Snooks i As przyczłapali z korytarza i podeszli do Dylana, który powitał ich z niewymuszoną serdecznością. Zwierzęta zawsze go lubiły, podobnie jak kobiety i dzieci.

W Loganie odezwał się nagle instynkt terytorialny. Otworzył ze złością lodówkę, wyciągnął pojemniczek jakiegoś idiotycznego jogurtu wielkości kieliszka do wódki i rzucił bratu.

- O! - Dylan ucieszył się, łapiąc go w powietrzu. - Wielkie dzięki!

- Jesteś głodny, to jedz.

- Zachowujesz się dość defensywnie, zważywszy że do kurwy nędzy, to mój dom, a nie twój.

- Raczej Briany.

- To dlatego chciałeś, żebym wrócił na ranczo? Żebyś mógł odgryźć mi głowę? - spytał uprzejmie Dylan. Wstał, wyszperał w szufladzie łyżeczkę i zabrał się do jedzenia.

- Kto powiedział, że chcę twojego powrotu? Dylan oparł się o blat.

- Nie dawałeś znaku życia od pięciu lat - mówił między jedną łyżeczką a drugą - i nagle ni z gruszki, ni z pietruszki dzwonisz i mówisz, że mój byk jest groźny i chcesz stawiać ogrodzenie. Po co miałbyś to robić, jeśli nie po to, żeby sprowokować mnie do powrotu?

- Ty czasem nie spadłeś na głowę z dachu saloonu w jakimś filmie? - Logan wyjął z szafki dwa kubki i walnął nimi o stół. Przecież chciał, żeby Dylan przyjechał, więc czemu jest taki wkurzony?

Odpowiedź była dość niewygodna. Vance miał żonę i nie stanowił dla Logana żadnej konkurencji. Ale Dylan to co innego.

Dylanowi rozbłysły oczy; zawsze umiał czytać w myślach brata.

- Skończyłem wcześniej kaskaderskie sceny i złapałem trochę wolnego, więc postanowiłem sprawdzić, co kombinujesz z ranczem.

Kawa jeszcze się nie zaparzyła, ale Logan przyniósł termos do stołu i napełnił kubki.

- Co jest grane, stary? - spytał cicho Dylan. - Gdyby Briana tutaj była, ten raban już dawno wywabiłby ją z ukrycia.

- Jest u mnie. Razem z dziećmi i psem.

- Dlaczego?

Logan przeczesał palcami włosy. Usiadł. Dylan przyłączył się do niego przy stole. I Logan opowiedział mu wszystko o intruzie. Dylan pilnie słuchał.

- Myślałeś, że to ja.

- Tak - przyznał jego brat z uśmiechem. - I szczerze mówiąc, trochę się rozczarowałem. Naprawdę chciałem złapać tego łobuza za uszy i walić jego głową o podłogę.

Dylan łyknął w zamyśleniu kawy i skrzywił się na jej smak. Logan zdążył zapomnieć, że młodszy brat uważał się za urodzonego baristę, zresztą w ogóle w swoim mniemaniu na wszystkim znał się najlepiej.

- Tandeta - mruknął. Logan odchylił się w krześle.

- Twoja lokatorka nie jest zbyt bogata. Spodziewasz się najlepszych kolumbijskich ziaren dostarczonych osobiście przez Juana Valdeza?

- Człowieku, tobie chyba naprawdę odbiło. Sypiasz z Brianą?

- A cóż to, kurna, za pytanie?

- Sensowne. Jesteś okropnie drażliwy na jej punkcie... i co znaczy ta przezroczysta koszulka na sznurku?

Logan odruchowo zacisnął szczękę.

- Mówiłem ci, co się stało. Pomyślałem, że to może przyciągnąć tego zboka.

- Na mnie z pewnością podziałało - droczył się z nim Dylan.

- Nie mam nic do dodania.

- Bardzo śmieszne.

- Och, boki zrywam.

- Nieprawda. Jesteś wciąż tym samym upierdliwym sukinsynem, który wszystko ma za złe.

- Będziemy to tak ciągnąć? - Logan pochylił się do przodu i skrzyżował ramiona. Bicepsy drgały mu, gotowe do akcji. - Bo zawsze jeszcze mogę ci przypierdolić.

- Widzę, widzę.

- Dlaczego nie poszedłeś do mnie?

- O czym ty mówisz? Logan rozłożył ręce.

- Kiedy dowiedziałeś się, że nie dostaniesz w mieście pokoju, czemu nie poszedłeś do mnie?

- Nie byłem pewien przyjęcia - odparł Dylan, z iskierkami wesołości w oczach, chociaż miał na końcu języka „odpieprz się”. Potarł sobie tył głowy i skrzywił się z bólu. - Głupio mi teraz. Nie miałem pojęcia, czy w gruncie rzeczy mam rację.

- Słuchaj, przykro mi, że na ciebie skoczyłem. Myślałem, że jesteś jakimś zbokiem.

Dylan zachichotał; wypił jeszcze trochę kawy.

- To dla mnie nic nowego.

- Nigdy nie mówiłem, że jesteś zbokiem.

- Owszem, powiedziałeś to raz. Miałeś siedemnaście lat i te wszystkie polaroidowe zdjęcia swojej dziewczyny na golasa... jak jej było? Cindy? Suzanne? Powiesiłem je w

Internecie i ścigałeś mnie za to aż poza granice okręgu, wrzeszcząc, że jestem chorym skurwysynem. Czyli zbokiem.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

- To uwierz. Ukradłeś mi tę dziewczynę. Męska duma domagała się odwetu.

- Jej ojciec by cię zabił, gdyby Jake w to nie wkroczył.

Logan za późno zorientował się, że wzmianka o ojcu była błędem. Mimo wszystko Jake to wciąż czuły punkt między trzema braćmi, a jego śmierć doprowadziła do ich burzliwego rozstania i wyjazdu w trzy różne strony.

Na twarzy Dylana odmalował się smutek. Przez chwilę wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści dwa lata. A jednak jego słowa zaskoczyły Logana:

-Jak myślisz, co doprowadziło go do takiego strasznego wariactwa?

Nie odpowiedział od razu. Po tym gruncie musiał poruszać się ostrożnie, zresztą chyba sam nie znał prawdy.

- Myślisz, że był psychiczny? - odparował. Nauczył się tej techniki w poradni małżeńskiej, kiedy on i Laurie wciąż jeszcze mieli nadzieję uratować statek od zatonięcia. Miało

to jakąś nazwę w tym głupim psychobełkocie, ale w tej chwili jej nie pamiętał.

- Tylko nie próbuj ze mną tego prawniczego gówna, Logan. Co z nim było nie tak?

Logan uniósł ramiona, opuścił je znowu. Nie wzruszył nimi lekceważąco, tylko z rezygnacją.

- Był alkoholikiem.

- Ale dlaczego? Maltretowali go w dzieciństwie czy jak?

Logan westchnął. Patrzył to tu, to tam, unikając oczu brata.

- Niektórzy ludzie są po prostu źle zaprogramowani, i tyle. Może Jake miał zespół maniakalno-depresyjny, może zwyczajnie świrował. Naprawdę nie wiem i mam już po dziurki w nosie tych dociekań.

- Ja także - wyznał po dłuższym milczeniu Dylan. Wstał i się przeciągnął. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, walnę się na sofę.

- Poczekaj chwilę.

- Na co?

- Może ten dom jest twoją własnością, ale w tej chwili mieszka tutaj Briana. I do wszystkich kłopotów brakuje jej tylko gospodarza, który myszkuje po kątach i wyżera jej jogurt.

Dylan zachichotał.

- No dobra, jutro przeniosę się do mojego dawnego pokoju w głównym domu.

Czyli jednak zostaje na jakiś czas.

Logan miał w związku z tym mieszane uczucia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nakarmiliśmy konie! - obwieścił z dumą Alec, kiedy rano Logan zajechał pod swój dom starym gruchotem Briana. Zaraz za nim zjawił się lśniący, czerwony pikap Dylana.

- Super - odparł z uśmiechem Logan. Tuż za nim wyskoczyły z auta oba psy i natychmiast pobiegły witać się z Wandą i chłopcami.

Briana - istny sen ranczera - stała przy płocie korrala na tle niedokończonej stajni, popatrując się z niepokojem na drugą furgonetkę. Kiedy jednak wyskoczył z niej Dylan, uśmiechnęła się tak, że Loganowi aż się ścisnął żołądek.

Błyskawiczna podróż w przeszłość: Logan był wysokim, czternastoletnim chudzielcem, wciąż próbującym nadrobić ostatni skok wzrostu i wypełnić własną skórę.

Kurczę, ona go lubi.

Briana uściskała Dylana - naprawdę go uściskała - a ten natychmiast odwzajemnił ten uścisk, bo przecież nie jest głupi. Kiedy spojrzał na Logana zza jej głowy, w oczach miał ten stary, diabelski błysk.

- Dylan! - wrzasnęli chłopcy chórem i pognali w jego stronę, a tymczasem Briana cofnęła się, wygładziła bluzkę i zerknęła z ukosa na Logana.

Rozluźnił zaciśnięte zęby i zmusił się do uśmiechu, widząc, że do niego podchodzi.

- Poszczyściło ci się? - zapytała.

Totalny pech, pomyślał, obserwując, jak swobodnie Dylan gawędzi z chłopcami. Prawdopodobnie spotkali się raptem ze dwa razy, a można by sądzić, że to starzy kumple.

Dylan tak działał na ludzi.

Briana dotknęła jego ramienia.

- Logan?

- Ach, chodzi ci o tego zboka! - Poczul się jak idiota. - Nie pokazał się, ale o mało nie zabiłem Dylana, kiedy przyjechał w nocy.

Briana zagryzła wargę.

- Pewnie chce odzyskać dom - powiedziała ze zmartwioną miną. Logana mogłaby uspokoić ta uwaga, gdyby nie wiedział, jak trudno byłoby Brianie związać koniec z końcem, gdyby musiała płacić czynsz.

- Na razie zatrzyma się u mnie.

- Och... - Przez chwilę zdawało mu się, że chce powiedzieć coś więcej, ale sama nie wie, co.

- Posłuchaj, nie podoba mi się, że mieszkasz tam sama. Może powinnaś zostać tutaj, a Dylan niech koczuje u ciebie?

Uśmiechnęła się smutno.

- Nic z tego. Zmarszczył brwi.

- Chłopcy - przypomniała mu.

Dylan już zmierzał w ich stronę, więc Logan musiał kuć żelazo, póki gorące.

- Mogłabyś mieć swój pokój.

- I jak długo by to trwało? - spytała, przesuwając czubkiem palca po jego bicepsie, co było pewną formułą spontanicznego zapłonu.

Westchnął i przeczesał palcami włosy.

- Masz rację.

- Jadę dzisiaj do pracy i zabieram chłopaków.

- Oni nie cierpią przesiadywania w kafeterii. Może zostawisz ich tutaj?

- Tak! - wrzasnął Alec.

- Tak! - zawtórował mu Josh.

- Tak - przyklasnął im Dylan, szczerząc zęby w uśmiechu. - Tylko powiem „cześć” staremu Cimar-ronowi i zasuujemy do oczka wodnego.

Skurwiel.

Logan nie bez pewnej satysfakcji patrzył, jak Bria-na marszczy brwi.

- Co to za oczko wodne? - zapytała.

Dylan zerknął na Logana świadom, że właśnie doprowadza go do szafu. Ale numer!

- To nie powiedziałaś im o naszym tajnym miejscu do pływania?

- Nie - odparł cierpko Logan. - Byłem trochę zajęty.

Briana nie przewróciła oczami. Dzięki Bogu. Może nie działał na nią urok Dylana, chociaż mało która potrafiła mu się oprzeć.

- Alec ma gips i...

- Proszę, mamó... - błagał chłopiec.

- Worek na śmieci i taśma klejąca załatwią sprawę - powiedział Dylan.

- Przecież my świetnie pływamy - przypomniał Josh.

Logan wciąż czekał na sposobną chwilę, kiedy Briana nagle rzuciła kolejny oślepiający uśmiech... Dylanowi!

Niech to szlag.

- W porządku. - Dała się przekonać. - Alec, przynieś mi z domu torebkę.

Alec i Josh pognali kłusem do domu. Dylan wahał się jeszcze przez chwilę, a potem ruszył za nimi.

- Jesteś pewien, że chcesz ich tutaj mieć przez cały dzień?

Logan wciąż obserwował Dylana.

- Logan! - Briana szturchnęła go łokciem w bok.

- Jestem pewien.

Między jego brwiami pojawiły się mikroskopijne pionowe kreseczki.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, a ty?

Westchnęła, odwróciła wzrok, a potem spojrzała mu prosto w oczy.

- Właściwie nie od razu jadę do pracy.

- A gdzie?

- Do kliniki w Choteau. Potrzebne mi są tabletki antykoncepcyjne, a jeśli zrealizuję receptę tutaj, za pięć minut całe miasto się dowie.

Logan zamrugał; poczuł, jak usta rozciągają mu się same w uśmiechu, który jednak zaraz zgasł.

- Zamierzasz z kimś spać? Uśmiechnęła się i poróżowiła.

- Tak. Z tobą. Uśmiech powrócił. -Aha.

Pochyliła się do niego i dodała ściszym głosem:

- A ty co pomyślałeś, Loganie Creed? - Obejrzała się na dom i wyraz twarzy znów jej się zmienił. Na groźny. - Że z Dylanem?

- On jest pies na kobiety.

- Ale nie na tę tutaj. - Briana znów stuknęła go w splot słoneczny, tym razem jeszcze mocniej.

Z domu wyszedł Alec z torebką. Przebiegł przez podwórko i podał ją matce.

- Tylko się zachowuj - upomniała go. - I nie zamocz gipsu.

Przewrócił oczami.

- Mamo, naprawdę nie jestem głupi.

Ledwie zdążyła cmoknąć go w czoło, bo już się odwracał do Logana.

- Dylan mówi, że umiera z głodu i mógłby zjeść północny koniec obróconego na południe skunksa. Pyta, czy masz bekon.

Logan roześmiał się, ale zaprzeczył. Tak, od razu widać, że Dylan wrócił. Uważaj, kurna, o czym marzysz, bo jeszcze ci się spełni.

Kiedy Briana w porze lunchu dotarła do kasyna, miała w torebce opakowanie tabletek antykoncepcyjnych, a w głowie same zmartwienia.

Mogła już być w ciąży.

Dylan Creed mógł chcieć odzyskać swój dom.

Alec i Josh mogli utonąć w oczku wodnym.

Obcy mogli spaść z nieba w wielkim statku kosmicznym i objąć rządy na Ziemi. No dobrze, to jedyna weselsza myśl z tego pakietu.

Automaty do gier działały jak zwykle pełną parą, na parkingu stały co najmniej trzy busy seniorów, gdy nagle nie wiadomo skąd wyrósł przy niej Jim, który miał sokoli wzrok.

- Hej.

- Mam tutaj jeszcze robotę? Uśmiechnął się półgębkiem.

- Możesz mieć moją, jeśli chcesz - zażartował. Wyglądał fantastycznie w nowym garniturze, skrojonym na miarę swojej imponującej sylwetki.

- Jakaś gorąca randka? - zagaіła Briana, zmierzając do biura, żeby odbić kartę.

Poprawił gustowny krawat.

- Dzisiaj oficjalnie zgłaszam swoją kandydaturę - oznajmił, dotrzymując jej kroku. Ma tutaj później przyjechać ktoś z „Couriera”.

- Gratuluję! - Ucieszyła się. - Bez względu na to, ile wart jest mój głos, już go masz.

- Właściwie to chciałbym cię o coś poprosić - dodał nieco ciszej.

Zastygła z ręką na klamce.

- A o co?

- Tak się zastanawiam... Gdyby mnie wybrali...

- Jim! Wyduś to wreszcie!

- Będę potrzebował kierowniczkę biura. To państwowa posada... wszystkie ubezpieczenia, przywileje i...

- Proponujesz mi stanowisko kierowniczkę biura? Pokiwał głową.

- Oczywiście najpierw muszę wygrać wybory, ale... no tak. Angie Wilson pracowała tam przez trzy kadencje, ale chce przejść na emeryturę razem z Floydem.

Briana wyciągnęła rękę.

- Szeryfie Huntinghorse, umowa stoi. Mogę ci nawet poprowadzić kampanię.

Poczerwieniał lekko i znowu poprawił krawat.

- Jest coś jeszcze...

No, zaraz szydło wyjdzie z worka. Pracując w kasynie, Briana popadnie w swego rodzaju konflikt interesów. I w taki to sposób, zanim zapadnie wieczór, zostanie bez pracy i dachu nad głową.

Gdzie, u diabła, jest ten statek z przybyszami z kosmosu? Może zabrać chłopaków i uciec z nimi na jakąś planetę, gdzie samotne matki nie muszą cały czas żonglować posadami i rachunkami?

- Martwisz się za dużo. - Jim jakby czytał z jej twarzy. Ujął ją pod łokieć i razem weszli do biura. Rzadko się zdarzało, żeby tak jak teraz nie było tam nikogo poza nimi.

- Miałem nadzieję, że namówisz moją eks-żonę, aby zgodziła się pozować ze mną do fotografii... Ona i nasz syn Sam. Wiesz, chodzi o zdjęcia reklamowe do gazet i na plakaty.

Zamrugła.

- Jim, przecież ja jej nie znam. Czemu miałabym lepiej sobie poradzić niż ty?

- Bo z Caroline każdy lepiej się dogada niż ja. To ważne, Briano. Freida Turlow chce dzisiaj także zgłosić swoją kandydaturę i jeszcze Mike Danvers z Danvers Chevrolet...

- Chwileczkę. Pani Turlow i właściciel największej agencji samochodowej w okręgu?

- Freida jest ostatnią z dynastii. Nazwisko Turlow wciąż jeszcze dużo znaczy w okolicy pomimo tego obiboka, jej brata. A Mike ma modelową rodzinę: uśmiechnięta blondynka, urocze dzieci w liczbie bliskiej średniej

krajowej, dwa przecinek dwa i nawet pies o trzech łapach, uratowany ze stawu...

- Jej brat...? - Briana czuła, że nie nadała.

- Brett.

- Ach! On może się okazać politycznym zagrożeniem.

- Freida jest inna, kompletne przeciwieństwo Bretta.

Wszyscy ją lubią. A Mike...

- Jim - przerwała mu Briana. - Pomyśl chwilę. Zdjęcia z synem to jedno, ale wywlekanie w kampanii byłej żony może wyglądać... dziwnie. A nawet fałszywie.

- Muszę coś zrobić!

- Będiesz wspaniałym szeryfem i to wystarczy.

Wyciągnął szyję tak, że prawie stykali się nosami.

- Jestem rdzennym Amerykaninem - szepnął.

- Jasne. - Briana uśmiechnęła się. - Zauważyłam.

Jim się wyprostował. Z kieszeni swojej nieskazitelnej marynarki wyciągnął jakiś świstek i wcisnął Brianie do ręki.

- Twoje pierwsze zadanie jako kierowniczkę przyszłego biura szeryfa: zadzwonić do Caroline i namówić ją, żeby przyłączyła się do kampanii.

- Jim...

- Proszę!

- No dobrze, zadzwonię. Ale na pewno każe mi spadać w podskokach.

- Zadzwonź teraz, z mojego gabinetu. Zastąpię cię w sali.

- Chyba żartujesz.

- Jeśli zostanę szeryfem, też się będziesz ze mną wyklócać?

- Odbij za mnie kartę - poprosiła Briana z rezygnacją. - Skoro muszę to zrobić, niech chociaż nie będę stratna.

Patrzył za nią, póki nie weszła do gabinetu. Caroline Huntinghorse odebrała po drugim sygnale. -Jim?

Briana odchrząknęła.

- Hm... nie. Nazywam się Briana Grant i pracuję u pani... hm... eksmęża...

- Och. - Caroline miała miły głos, ale nie wyglądała na zachwyconą telefonem od obcej kobiety. - Rozumiem.

Briana zamknęła na chwilę oczy. Na telefonie Jima mrugały wszystkie guziki. Zapadła się w fotel przy biurku, ale nagle zerwała się znów na nogi.

- Zapewne pani wiadomo - zaczęła, zastanawiając się, jak często będzie musiała prowadzić takie rozmowy, zanim jeszcze obejmie to pisane palcem na wodzie stanowisko - że Jim ubiega się o funkcję szeryfa. Pomagam mu w kampanii, dlatego...

- Tak, znam się na takiej pomocy - przerwała jej Caroline.

- To nie tak...

- Chce mi pani wmówić, że nigdy nie umawiała się z moim... z Jimem?

- Poszliśmy na kolację, do kina... i nic poza tym. Caroline westchnęła.

- Przepraszam. Wciąż jeszcze bywam zaborcza. - W cichutkim chichocie było coś żalnego. - A więc, pani Grant, o co Jim boi się mnie poprosić, że wysługuje się panią?

Lubię tę kobietę, pomyślała Briana.

- Zastanawiam się, czy nie zechciałaby pani pozować z nim do kilku reklamowych zdjęć... razem z synem.

- Rozwód jest teraz w polityce powodem do chwały? Briana się uśmiechnęła.

- Zadałam mu to samo pytanie. Ale Jim uważa, że to dobry pomysł.

- Więc proszę mu powiedzieć, że musi mnie sam poprosić.

Briana walnęła pięścią w powietrze - gest ten podpatrzyła u chłopców, kiedy coś im się powiodło.

- Się robi!

Caroline się zaśmiała.

- Niech do mnie zadzwoni.

Alec, w worku do śmieci oklejonym taśmą, chlapał się bez troski w oczku wodnym, próbując zamoczyć Josha przy akompaniamencie wszystkich trzech psów, które czekały na brzegu jak oszalałe.

- Całkiem jak za dawnych lat - zauważył Dylan, pociągając łyk wody z butelki. Razem z Loganem siedzieli na znanym sobie zwałonym pniu. - Kiedyś przychodziliśmy tutaj obaj...

Loganowi serce ścisnęło się z żalu. Mimo pijaństwa i burd Jake'a oraz zmieniających się matek, jakże wspaniałe chwile spędzał razem z braćmi w tej sadzawce i na jej brzegu podczas upalnych, letnich dni...

Więc co się stało?

Chciał zadać to pytanie głośno, ale nie pozwoliła mu na to pieprzona duma Creedów.

- Stare, dobre czasy - mruknął po długim milczeniu.

Dylan, nie patrząc na niego, pokiwał głową.

- Miło widzieć tutaj dzieciaki - powiedział cicho. Nagle się odwrócił i spojrzał bratu w oczy. - Czy ty i Briana...?

- Co „ja i Briana”?

- Daj spokój, Logan. Ślepy by zauważył, że albo już z nią sypiasz, albo tego chcesz, i to bardzo. To coś poważnego?

- Dostatecznie poważnego, żebym skopał ci tyłek, gdybyś próbował do niej startować.

Dylan roześmiał się i przesunął ręką po jasnych włosach, jak zwykle rozczochranych, co jednak podobało się kobietom.

- No proszę! Raz w życiu uzyskałem od ciebie wyraźną odpowiedź. - Znów skupił uwagę na dzieciach i psach, szczerze ciesząc się ich radością. - Bez względu na nasze stosunki, nie wejdę ci w paradę, więc możesz się o to nie martwić.

Logan uświadomił sobie, że zachowuje się jak kogut, więc starał się nieco rozluźnić.

- Widujesz czasem w mieście Kristy? - spytał po chwili Dylan.

- Kristy...?

- Kristy Madison, bibliotekarkę. Kiedy wyjeżdżałem ze Stillwater Springs, była zaręczona z Mikiem Danversem i szykowała się do życia w wielkim świecie.

Logan poczuł, jak na twarz wypływa mu uśmiech, ale go powstrzymał, nie chcąc zdradzić się przed bratem. Najwyraźniej Dylan nie prenumeruje „Stillwater Springs Courier”. Chociaż nadzwyczaj bystry, jako dziecko miał dysleksję i czytanie nie sprawiało mu przyjemności.

- Mike Danvers ożenił się z Becky Hammond. Dylan obrócił się tak szybko, że Logan nie zdołał zmienić wyrazu twarzy.

- Bez jaj? -Bez.

- A Kristy?

- Z tego, co wiem, nadal pracuje w bibliotece.

- W ciągu paru ostatnich lat Kristy była tematem kilku historii w kronice towarzyskiej, a każdy krok Danversa od razu trafiał na łamy lokalnej gazety.

- Mieszka w starym domu Turlowów.

- A niech mnie diabli porwą!

- Pewnie to zrobią, ale wciąż jeszcze możesz odprawić pokutę i polecieć duszę Jezusowi.

- W twoich ustach, braciszku, brzmi to dość ironicznie.

Logan upił łyk wody. Ni stąd, ni zowąd tak mu zaschło w gardle, jak w sierpniowy dzień na zapyłonej drodze.

- Przepraszam, Dylan. - Słowa, które wypowiadał, rozdrapywały mu gardło do żywego. - Przepraszam za wszystko, co powiedziałem o Jake'u po pogrzebie, to znaczy...

Dylan poklepał go po ramieniu.

Logana zapiekły oczy; musiał zamrugać kilka razy.

- On naprawdę był starym sukinsynem - przyznał Dylan. - Ale nie miałem ochoty słuchać tego w dniu pogrzebu.

- Wiem. Ani ty, ani Tyler. Powinienem zachować moją opinię dla siebie.

Potem już żaden nie odzywał się przez dłuższy czas. Logan rozumiał, że brat musi ochłonać, zresztą on też. Dlatego patrzyli na chłopców i psy, siedząc ramię w ramię na zwalonym balu, i wspominali inne psy, dawno już martwe, i chłopców, jakimi sami kiedyś byli.

- A co z tym cholernym bykiem? - spytał Logan, kiedy uznał, że może już zaufać własnemu głosowi.

Dylan przeciągnął się i wstał.

- Cimarronem? To ostatni byk, którego ujeżdżałem, zanim zrezygnowałem z rodeo. Miał świetne notowania... Nikt poza mną na nim nie jeździł i nigdy mnie nie zrzucił. Wygrał tę rundę, ale chcieli go postać na emeryturę, więc go wykupiłem i przewiozłem na ranczo. Pomyślałem, że może kiedyś go rozmnożę.

Logan wstał także. Gwizdnął na chłopców i psy. Alec i Josh niechętnie wyszli z wody. Psy podreptały za nimi, gotowe do następnej wielkiej przygody.

- Pora coś przetrącić - powiedział Logan. Kiedy zaczął się o nich tak troszczyć?

Czy Vance Grant zdawał sobie sprawę, jakim jest cholernym szczęściarzem?

- Możemy jechać do miasta na lunch? - dopytywał się Alec, dygocząc w mokrych džinsach i starym, dziurawym ręczniku, który Logan znalazł w łazience przed wyjściem z domu.

- Czemu nie? - zgodził się z uśmiechem. Godzinę później wtoczyli się na parking przed kasynem w Dylana wytwornym pojeździe jak z kowbojskiego filmu. Po drodze wstąpili do domu Briany, żeby chłopcy mogli się przebrać w suche rzeczy. Ponieważ nie zauważyli śladów włamania, zostawili tam przy okazji Wandę, która musiała odespać poranne szaleństwa przy sadzawce.

Briana wypatrzyła ich natychmiast - Logan uznał, że pewnie zadziałał matczyzny radar. Kiedy Alec z Joshem tłukli się o miejsca w najbliższym boksie, on i Dylan czekali, aż do nich podejdzie.

- Hej, mamó - wykrzyknął Alec - pływaliśmy w sadzawce i wcale nie zamoczyłem gipsu, i rzucaliśmy Wandzie do wody patyki, a ona się na wszystkich otrząsała i...

Briana patrzyła na chłopców z taką czułością, że Loganowi otworzyła się w środku nowa klapka. Zupełnie

jak uskok sejsmiczny; aż przyłożył sobie rękę do piersi, bo myślał, że dostanie ataku serca.

No i dostał - jak zorientował się w następnej chwili - ale nie miało to nic wspólnego z niedrożnymi arteriami.

- O kurczę - szepnął Dylan, obserwując brata.

- To super - ucieszyła się Briana, ale nie patrzyła na synka, tylko na Logana. - Ta sprawa, o której ci rano mówiłam... Już wszystko załatwione.

- Świetnie - wykrztusił Logan chrapliwie, jakby miał w gardle żwir. Fala gorąca pełzła mu wolno z szyi na twarz. Briana jeździła do kliniki w Chateau po pigułki, a to znaczy...

Nie myśl o tym.

- Przyłączysz się do nas? - spytał Dylan. Ten - gdy chodzi o kobiety - zawsze wie, co powiedzieć i robi to pierwszy.

Chociaż może z Kristy Madison było inaczej. Briana pokręciła głową.

- Muszę wracać do pracy. -1 mrugnawszy okiem, dodała: - Szykuje mi się awans.

Logana to nie zachwyciło. Akurat w tej chwili odezwał się w nim instynkt jaskiniowca: najchętniej przerzuciłby sobie Brianę Grant przez ramię, wywłókł ją stąd, zmienił jej nazwisko na Creed i zrobił dziecko. I utrzymywał ją w wielkim stylu przez resztę życia.

Prrr, wyhamuj.

- Widzimy się wieczorem? - spytał głośno.

- To zależy. Pracuję do późna, muszę nadrobić zaległości, a poza tym niedawno dzwonił Vance.

- I zwróciwszy tę swoją twarz promiennej bogini do Aleca i Josha, dodała: - Chcą z Heather wybrać się dzisiaj do kina samochodowego i jesteście obaj zaproszeni. Tata ma wolny weekend, więc możecie u nich zanoćować, jeśli macie ochotę.

Dylan popatrywał to na brata, to na Brianę; nagle uśmiechnął się do siebie i zaczął pilnie studiować kartę.

- Super! - ucieszył się Alec, zawsze skory do zabawy.

- Tylko pamiętaj, żebyś nie stawał za vanem - upomniał go Josh, przewracając oczami.

- Tata i tak nie pozwoli Heather prowadzić, kiedy tam będziemy - zauważył Alec z taką samą powagą, z jaką Logan dopiero co potraktował swój potencjalny atak serca.

- No to ustalone - zdecydowała Briana.

- No to ustalone - potwierdził głupio Logan. Tym razem to Dylan przewrócił oczami.

Walter, postawny ochroniarz kasyna, dostatecznie stary, aby mógł być dziadkiem Briany, odprowadził ją do auta, kiedy wychodziła po dziewiątej wieczorem z pracy. Vance zabrał chłopców o wpół do szóstej, więc musiała tylko nakarmić Wandę, a potem mogła cieszyć się wolnością.

Wolna kobieta z tabletkami anty w torebce!

- Dzisiaj nie sposób przesadzić z ostrożnością - zauważył Walter, czekając, aż Briana otworzy samochód.

To prawda, zgodziła się w duchu, mając na myśli tabletki.

Dzisiejszego dnia nie widziała Bretta Turlowa, ale jeśli szeryf Book miał rację, Brett i tak nie stanowił problemu. Pozostawała więc tylko setka stałych bywalców, którzy mogli gotować się pod wyrozumiałymi uśmiechami, jakimi

obdarzali Brianę, kiedy im wmawiała, że jest zbyt zajęta pracą i wychowywaniem dzieci, aby mieć czas na randki.

- Zablokuj drzwi - przypomniał jej Walter przez otwarte okno, gdy siedziała już za kierownicą, przypięta pasem. Był ciepły, pogodny wieczór. - W tych starych gruchotach trzeba samemu naciskać guziki.

Uśmiechnęła się i przechyliła do drzwi pasażera. Gdyby ktoś na nich napadł, to ona musiałaby bronić Waltera, a nie na odwrót, ale staruszek serce miał po właściwej stronie i bardzo go lubiła.

- Wszystko w porządku. - Zablokowała jeszcze drzwi po stronie kierowcy i podciągnęła szybę. Wyjeżdżając z parkingu, zatrąbiła wesoło Walterowi.

Mimo świadomości, że Wanda cierpliwie czeka w domu na porcję karmy i wypuszczenie, Briana zdecydowała się przejechać koło kampera Heather i Vance'a. Na podjeździe nie było vana, a w przyczepie paliło się światło.

Czyli „na Zachodzie bez zmian”.

Widok furgonetki Logana przed domem zaskoczył ją tylko trochę. Tabletki nagle zaczęły pulsować w torebce jak coś nuklearnego, co miało zaraz wybuchnąć.

Zrobiła głęboki wdech... potem wydech. Wyłączyła silnik i wysiadła, ciągnąc za sobą wypakowaną torebkę. Pierwszą tabletkę wzięła jeszcze przed wyjściem z apteki w Choteau, popiwszy szklanką dietetycznej coli ze staromodnego syfonu, ale nie zdobyła się na wypytanie przepracowanego lekarza z kliniki, kiedy specyfik zacznie działać.

Zmierzając w stronę domu, postanowiła, że nie będzie się tym przejmować. U Logana na pewno jest Dylan, więc i tak nie ma mowy o żadnym seksie.

Nie ma seksu, nie ma ciąży.

Chyba że już zdążyli począć dziecko - wtedy, na sofie.

Policzki jej płonęły, ale i tak się uśmiechała. Miło wspominała okres ciąży zarówno z pierwszym, jak i drugim synkiem, chociaż jej życie z Vance'em miało swoje wzloty i upadki. Ciągłe przeprowadzki, brak pieniędzy i w ogóle wszystkiego...

Lubiła czuć w ramionach ciężar niemowlęcia, jego zapach i ciepło. Cudownie byłoby mieć jeszcze jedno dziecko, malutką dziewczynkę...

Czasy się zmieniają i nikt nie może mieć wszystkiego, powiedziała sobie.

W tym momencie otworzyły się tylne drzwi i w progu ukazał się Logan. Stał oświetlony od tyłu - ranczer, kowboj, mężczyzna z gatunku, jaki znała i rozumiała.

Czy naprawdę? Jak dotąd, Logan Creed nie wyjawiał jej o sobie jeszcze wielu rzeczy i to budziło w niej niepokój.

Zatrzymała się na środku podwórka.

Wanda przepchnęła się przed Logana i pobiegła do niej, machając radośnie ogonem.

Briana przywitała się z psem, zebrała w sobie i ruszyła do drzwi.

- Dylan jest w tamtym domu - poinformował ją Logan, chociaż nie pytała.

Podniosła na niego wzrok, nagle onieśmielona.

Wyciągnął do niej rękę i wtedy uświadomiła sobie, że stoi w miejscu. Podeszła.

Wciągnął ją po schodkach na ganek i pocałował leciutko, a potem popchnął do środka. Wanda dreptała za nimi ochoczo, ciesząc się jak szczeniak.

- Coś ty dał temu psu? - spytała Briana. - Speeda?

- Miała udany dzień. Jest szczęśliwa. Trzymając ją od tyłu za ramiona, skierował ją do stołu i usadowił na krześle.
-Co...

- Zrobiłem kolację. No dobrze, powiedzmy, że kupiłem kolację. - Z rozmachem otworzył piekarnik i po kuchni rozszedł się zapach kurczaków ze smażalni na wynos.

Briana otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

Uraczył ją prawdziwą ucztą: oprócz kurczaków przywiózł dwa rodzaje makaronowej sałatki, kruche ciasteczka i sernik.

- Czy to jakieś święto? - Wodziła oczami po stole. Skłonił się przed nią jak kelner i uśmiechnął szeroko.

- Kto wie?

Rozłożył talerze i sztucce, ze stojącej na blacie rolki papierowych ręczników oddał dwa kawałki na serwetki.

Ponieważ mimo chmary motyli w brzuchu Briana konała z głodu, więc nie dała się prosić.

- Chcesz mnie uwieść? - spytała po kurczakach i sałatkach, ale przed sernikiem.

- To zależy od ciebie. Jeśli nie jesteś za bardzo zmęczona po pracy, może wybierzemy się na przejażdżkę. Chciałbym pokazać ci kilka miejsc.

Nie wiedziała, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie. A może jedno i drugie?

- Na przykład?

- Oczko wodne, do którego zabraliśmy dzisiaj dzieci - odparł bez namysłu. - I takie jedno miejsce w górach, gdzie gwiazdy wydają się tak bliskie, że wystarczy sięgnąć ręką, by sobie którąś ściągnąć.

Super. Mało, że seksowny, to jeszcze romantyczny. Taki to pamięta o urodzinach i rocznicach, a kartki walentynkowe kupuje jeszcze przed Dniem Świstaka.

Ostatnim prezentem walentynkowym od Vance'a była owa skąpa nocna koszulka - upominek dla niego, nie dla niej. Bóg jeden wie, po co w ogóle zatrzymała tę szmatkę, a wiedząc, że intruz miał ją w łapach... Zdecydowała, że po prostu ją spali.

- Nie jestem pewna, kiedy tabletki zaczną działać - palnęła bez zastanowienia i natychmiast zapragnęła wyparować.

- Nie ty jedna jeździłaś dzisiaj do apteki. Odpręż się, co? Kto powiedział, że idziemy prosto do łóżka?

- Kupiłeś to wszystko na kolację. I mówiłeś o sięganiu po gwiazdy...

- Czy to znaczy, że za dwie minuty się na ciebie rzucę?

- A nie?

Oczy Logana zapłonęły wesołością i żarem. Odchylił się w krześle i powiódł po niej uważnym spojrzeniem.

- Niech nikt nie waży się mówić, że któryś Creed nie zachował się jak dżentelmen.

- To nie oglądaj się teraz, ale myślę, że to już zostało powiedziane - odparła Briana, wstając, żeby sprzątnąć ze stołu.

Logan przyłożył dłoń do piersi, jakby go ktoś zranił, ale błysnął uśmiechem.

- Reputacja nas poprzedza. - Westchnął.

- Rozgłos - sprostowała Briana, ale nie mogła się nie uśmiechnąć.

Logan wstał.

- Ja posprzątam. Ty idź się przebrać w coś stosowniejszego do łapania gwiazd rękami. A nad całym aspektem seksu zastanowimy się później.

- To znaczy kiedy?

- Gdy tylko będziesz gotowa. Dzisiaj, jutro, za tydzień, za rok... Oboje wiemy, że to nastąpi, ale nie ma pośpiechu, prawda?

- Prawda.

Wzięła szybki prysznic, włożyła dżinsy i T-shirt z długimi rękawami. Noce w okolicach Stillwater Springs bywają chłodne, nawet w lecie.

Zamknęli dokładnie dom, Wandę załadowali na tylne siedzenie i ruszyli furgonetką na przełaj, podskakując na wybojach.

Logan to wiejski chłopak, myślała Briana. Komu potrzebna jakaś droga?

Najpierw podjechali do oczka wodnego i zaparkowali na wysokim brzegu ze światłami skierowanymi na lustro wody. Miejsce było niemal magiczne, zwłaszcza w blasku księżyca. Pośrodku kołysała się stara drewniana tratwa, z gałęzi zwieszał się sznur, który służył jako huśtawka.

Poza tym Briana niewiele mogła dostrzec.

- W dzieciństwie często bywaliśmy tutaj z braćmi... -
Wpatrywał się w przednią szybę, jakby mógł przez nią
zajrzeć w tamte czasy.

- Ty, Dylan i...?

- Tyler. - Głos Logana brzmiał chrapliwie i bardzo
smutno.

Odruchowo ścisnęła go za rękę.

- Chcesz o tym pogadać, kowboju? Obrócił głowę,
spojrzał.

- Dylan za parę dni wyjeżdża. Chciał tylko sprawdzić,
jak się miewa byk, i dopilnować, żebym nie postawił
żadnego płotu bez jego zgody.

- To dobrze czy źle?

Przesunął ręką po włosach i zapatrzył się przed siebie.
Po chwili uruchomił silnik i włączył wsteczny bieg.

- Jedno i drugie, jak sądzę. Miałem nadzieję...

- Na co? Na co miałeś nadzieję?

- Że wszystko potoczy się inaczej. Między Dylanem,
Tylerem i mną.

- A co się stało?

- Z Dylanem doszliśmy do porozumienia... a przynajmniej zaczęliśmy dochodzić. - Logan manewrował między drzewami, zmierzając prawdopodobnie do miejsca, gdzie gwiazdy były na wyciągnięcie ręki. - Z Tylerem nie pójdzie tak łatwo...

- Co właściwie wydarzyło się między wami? - Wiedziała, że to zbyt osobiste pytanie, ale skoro już się z nim wyrwała, chciała usłyszeć odpowiedź.

Logan westchnął urywanie. Furgonetka zagrzechotała i z podskokiem wylądowała na stromym wzgórzu. Wyłączył silnik.

Nad ich głowami rozciągało się bezkresne montańskie niebo, usiane milionami srebrzystych gwiazd.

- W dniu pogrzebu ojca padły pewne mocne słowa, które nie powinny być wypowiedziane. Byłem rozzalony i ździebko pijany po całonocnym czuwaniu. Tyler odśpiewał całą odę pochwalną, jakiego to wspaniałego mieliśmy ojca... - Logan zdawał się nie dostrzegać gwiazd, chociaż wcześniej tak je wychwalał. Jego profil robił wrażenie wykutego w skale. - Dylan pojawił się na pogrzebie z jakąś dyżurną zdzirą, estradowym czupiradłem w czerwonej,

wydekoltowanej sukni, a kiedy już wszyscy odeszli od grobu, puściliśmy w obieg flaszkę.

Briana czekała, co dalej, ale chociaż miała wielką ochotę, nie odważyła się wziąć go za rękę.

- Potem udaliśmy się do Skiwie's Tavern, żeby jak najszybciej się urznąć. Zdzira z dekoltem zaraz się zmyła z jakimś przejeżdżającym kierowcą ciężarówki, a Tyler wyjął gitarę i znów zaczął śpiewać tę cholerną pieśń...

-No i...?

- No i nie mogłem już tego znieść. Wyrwałem mu gitarę, rozbiłem ją o bar, zacząłem wrzeszczeć, że to wszystko gównieście, że Jake był zwykłym pijakiem, a my nie jesteśmy lepsi... - Oddech mu się rwał, więc umilkł na chwilę. - Ta gitara to był rzęch, ale jednocześnie jedyna pamiątka, jaką Tyler miał po swojej matce, nawet Jake nie tknął jej palcem, to znaczy, nie połamał, nie oddał ani nie spalił na tylnym podwórku. No i w tym momencie zaczęliśmy się tłuc. Przyjechał szeryf Book i dwóch zastępców, których na miejscu powołał, zawlekli nas do pudła. Koniec historii.

Briana wzięła go jednak za rękę i już jej nie puściła.

- A może byśmy - odezwała się po chwili - wysiedli z furgonetki i przyjrżeli się bliżej gwiazdom?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Leżeli na wznak w wysokiej trawie, trzymając się za ręce, i patrzyli w gwiazdy. W furgonetce spokojnie spał stary pies Briany. Chwila była tak idealna, że Logan, który nigdy nic podobnego nie przeżył, marzył tylko o tym, by zatrzymać ją na zawsze.

Zupełnie jak jakieś święte błogosławieństwo, rozlewało się nad nimi niebo - czarne, aksamitne, mrugające milionami innych światów.

Briana westchnęła, ogrzana ciepłem jego boku. Nie kochali się jeszcze, ale tak się czuła - jakby w jakiś niewytłumaczalny sposób złączyli swoje dusze, po prostu leżąc przy sobie pod całą tą wiecznością.

- Miałeś rację - szepnęła. - Jest pięknie.

Przyciągnął ją bliżej, tak żeby mogła oprzeć głowę na jego ramieniu. Przesunął dłoń po całym jej warkoczu. Dylan wiedziałby, co powiedzieć w takiej chwili, ale Logan miał ściśnięte z zachwyty gardło, milczał. Już samo to, że dane mu jest żyć i mieć przy sobie tę niezwykłą kobietę, uważał za cud.

- Dobrze się czujesz? - spytała, kładąc mu dłoń na piersi w miejscu, gdzie prawdopodobnie czuła równe bicie jego serca.

Kobiety! Jeśli nic do nich nie mówisz, zaraz myślą, że coś jest nie tak.

- Bardziej niż dobrze. Briana umilkła.

Pocałował ją w czoło i oparł brodę o czubek jej głowy.

Leżeli tak dłuższy czas. Pierwsza przerwała milczenie:

- Kim ty jesteś, Loganie Creed? - spytała cicho.

- Dobre pytanie. Jestem członkiem Stowarzyszenia obrońców sądowych Stanu Nevada. Ranczerem od siedmiu boleści. Synem Jake'a Creeda. I sam nie wiem, kim jeszcze.

- Przed przyjazdem do Stillwater Springs żyłeś zupełnie innym życiem, prawda?

Obrócił ją przy swoim boku i oparł się na łokciu, patrząc z góry w jej twarz.

- Owszem. Mam dom w Vegas. Dwa razy byłem żonaty... - Przesunął palcem po jej policzku. - Myślisz, że ukrywam jakieś mroczne sekrety?

Nawet przy słabym świetle gwiazd i księżycy dostrzegł jej rumieniec. Pokręciła głową.

- Po prostu staram się zrozumieć...

- A co tu jest do rozumienia?

- Ty sam. Masz inne życie w innym miejscu. Po co tutaj wróciłeś?

- Gdybym ci powiedział, mógłbym cię wystraszyć.

- Strzelaj.

- Wróciłem, bo mogę leżeć tutaj, w tej trawie i patrzeć na gwiazdy. Bo tutaj się urodziłem i do tej ziemi należę.

- Niezbyt to odstraszaające. Pocałował ją ze śmiechem.

- Teraz dopiero będzie: chcę odbudować ranczo... przywrócić mu dawny blask, że tak powiem. Chcę mieć żonę i gromadkę rozbrykanych dzieciaków. I chcę udowodnić, jeśli nie komuś innemu, to przynajmniej sobie, że nie jestem taki, jak mój ojciec.

Przyjęła to wszystko do wiadomości. Nie zerwała się i nie pobiegła do głównej drogi, chociaż mogłoby ją kusić.

- A jaki był twój ojciec?

- Był pija...

Położyła mu palec na ustach.

- Oprócz tego, że pił. - W jej oczach lśniły zabłąkane plamki gwiazdnego blasku.

Myślał przez chwilę.

- Twardy. Tak, zdecydowanie był twardzielem. Miał charakter. Całe życie pracował jako drwal i nawet kiedy ledwie utrzymywaliśmy się na ranczu, zwłaszcza w martwym sezonie zimowym, ani razu nie musieliśmy się obywać bez posiłku. Mieliśmy buty i co pół roku chodziliśmy do dentysty.

- Stosował wobec was przemoc? - To pytanie trochę ją kosztowało; Logan poznał po nagłym napięciu mięśni.

- Fizycznej raczej rzadko. Owszem, ciągnął nas czasem do drewni, ale w tamtych czasach to były normalne metody. Za to kiedy się upił, wpadał w szał. Nie umiał powstrzymać gniewu tak jak w okresach trzeźwości. Gdy tylko zauważyliśmy butelkę, biegliśmy z braćmi do kryjówki i siedzieliśmy jak myszy pod miotłą, póki alkohol nie wywietrzał mu z głowy.

Dłoń Briany zataczała małe kółeczka na jego piersi.

- Nie widziałam, żebyś ty się kiedyś upił i wpadł w szał. Zdarzyło ci się coś takiego?

- Od czasu pogrzebu nigdy. - Zamknął oczy, żeby lepiej sobie przypomnieć. - Zaraz następnego dnia przysięgłem sobie nie tknąć więcej mocnego trunku... Boże, ależ miałem wtedy kaca! A teraz nawet piwa nie dopijam do końca.

- Czy twój tata chciał zbudować ranczo i mieć więcej dzieci?

Znowu ten ucisk w gardle.

- Nie chciał mieć nawet nas trzech, a co dopiero gromadki. A rancza nienawidził, uważał je chyba za obciążenie, którym obarczył go dziadek. Ranczo świetnie prosperowało przez całe pokolenia, ale kiedy nastął kryzys, nikt nie chciał kupować wołowiny, więc stopniowo wybili i zjedli tych kilka wychudzonych sztuk bydła. Dziadkowie chyba już nigdy się z tego nie podnieśli, w każdym razie nie Jake. Mawiał, że to ranczo jest jak albatros owinięty wokół jego szyi. A kiedy matka Tylera popełniła samobójstwo, wszystko zaczęło się walić. Ojciec pił coraz więcej, jeśli to w ogóle możliwe.

- Logan, ty nie widzisz, jak bardzo się od niego różnisz?

- A może pogadamy teraz o twoim? - Już samo mówienie o Jake'u wprawiało go w przygnębienie, zaczynał się czuć beznadziejnie, chociaż miał więcej pieniędzy, niż był w stanie wydać. Kiedyś myślał, że bogactwo go uszczęśliwi.

Ale tak się nie stało.

Uśmiechnęła się leciutko - pewnie miała przed oczami obraz Billa Dzikusa McIntyre'a, króla rodeowych klaunów.

- Lubił czytać. Mielśmy całe pudło po butach wypełnione kartami bibliotecznymi, każda z innego miasta w kilku stanach. Kiedyś zapomniał oddać książkę przed wyjazdem na kolejny pokaz rodeo i zawróciliśmy po prawie stu pięćdziesięciu kilometrach, żeby zapłacić karę... pięćdziesiąt centów.

- Nigdy ci nie przeszkadzał koczowniczy tryb życia?

- Nie chciałabym żyć tak znowu - odpowiedziała po dłuższym namyśle. - Nie w tym punkcie życia. - Ale wtedy uważałam to za coś cudownego, ten widok drogi, która rozwijała się przed nami, śpiewanie razem z radiem, kiedy puszczali Johnny'ego Casha, Patsy Cline czy George'a Jonesa, chociaż najbardziej lubiliśmy Toma T. Halla *Old*

Dogs, Children and Watermelon Wine... - Westchnęła. - W każde Boże Narodzenie odwiedzaliśmy ciotkę Barbarę i jej rodzinę. Zawsze była tam wielka choinka, specjalne potrawy i mnóstwo prezentów, ale nie umiałam się cieszyć tym wszystkim, bo się bałam, że ciotka wreszcie przekona ojca, aby mnie u niej zostawił i pozwolił posłać do „prawdziwej” szkoły. Nigdy jednak do tego nie doszło, nawet kiedy miałam już kilkanaście lat. Gdy skończyłam dwanaście, zamienił przyczepę na większą - z dwiema sypialniami - oczywiście z drugiej albo

i trzeciej ręki. Przedtem sypiałam na opuszczonej koi, a on zajmował sofę.

- Nie myślałaś, żeby osiąść gdzieś na stałe? Ani razu?

- Owszem, nawet kilka razy. Na przykład, kiedy w galerii handlowej natknęłam się na rozchichotane dziewczyny w moim wieku albo je widziałam z matkami przy lunchu... Myślałam, że dobrze byłoby mieć mamę, brakowało mi jej zwłaszcza, gdy dostałam okres i zaczęłam interesować się chłopakami.

Logana przeszedł dreszcz na samo wyobrażenie sobie Briany jako młodziutkiej dziewczyny. Uścisnął ją lekko.

- Zaraz po tym, kiedy tata postanowił skończyć z rodeo i zamieszkać w Boise, poznałam Vance'a.

- Miłość od pierwszego wejrzenia?

- Bardziej pożądanie. Roześmiał się.

- Znam to! Obydwie moje żony poślubiłem dlatego, że byłem młody, głupi i chciałem uprawiać z nimi seks. Nie przyszło mi do głowy - im zresztą także - żeby dać sobie spokój z weselem, tylko po prostu pójść do łóżka.

Ledwie to wypowiedział, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien ugryźć się w język.

- Chyba wszystko dzieje się z jakiegoś powodu - zauważyła Briana. - Wprawdzie z Vance'em mi nie wyszło, ale za to mam Josha i Aleca, więc było warto.

- Są fantastyczni. I... – I co?

- I robi się coraz zimniej. Lepiej już wracajmy. Wstał i pociągnął ją za rękę.

-To znakomite miejsce na seks - powiedziała z szelmowskim uśmiechem. Pocałował ją lekko.

- Łóżko jest jeszcze lepsze.

Kiedy z głównej drogi skręcili w tę do jej domu, Briana poczuła w żołądku dziwny ucisk. Z tylnego siedzenia rozległ się nagle groźny pomruk Wandy.

Jeszcze zanim dotarli na miejsce i zobaczyli otwarte drzwi, Briana wiedziała, że coś jest nie w porządku.

Pierwsza myśl - jak zawsze - chłopcy. Niby nie ma sensu się martwić, przecież byli z Heather i Vance'em w kinie samochodowym i na pewno teraz wcinali popcorn. Mimo to sięgnęła po telefon, Logan zaś wcisnął hamulec, wyłączył silnik i wyskoczywszy na ziemię ruszył sprintem do domu.

Komórki nikt nie odbierał.

Najprawdopodobniej wyłączyli ją przed seansem.

Briana wysiadła i podążyła śpiesznie za Loganem. Nagle przypomniała sobie o Wandzie; w pierwszym odruchu chciała po nią wrócić, ale zaraz uznała to za nie najlepszy pomysł.

- Logan? - zawołała.

Właśnie wychodził z korytarza prowadzącego do jej sypialni i łazienki. Gdyby nie wiedziała, że ma go po

swojej stronie, wyraz jego twarzy mógłby ją śmiertelnie wystraszyć.

Ktoś tu był... i tym razem zdemolował kuchnię. Opróżnił wszystkie szuflady, rozbił każdy półmisek i filiżankę.

Obróciła się, żeby zerknąć na zamek w tylnych drzwiach - ale był nienaruszony. Intruz miał klucz?

Brianie przypomniawszy się albumowi ze zdjęciami ojca, jej samej w młodszym wieku, dzieci... Pobiegnęła do dziennego pokoju.

Fotografie z albumu poniewierały się po całej podłodze, niektóre podarte na strzępy. Z okrzykiem obrzydzenia padła na kolana i w jakimś szaleńczym zapamiętaniu zaczęła je zgarniać.

Za jej plecami Logan rozmawiał ze swoim telefonem z szeryfem Bookiem.

Ślubne zdjęcie jej i Vance'a, pamiątka, którą zamierzała zduplikować i przekazać chłopcom, kiedy dorosną, było przedarte na pół. Z pierwszej fotki Meca, zrobionej zaraz po urodzeniu, zostały kawałeczki nie większe niż konfetti, takie samo zdjęcie Josha leżało w kącie zmięte w kulkę.

Briane łyzy ciekły po policzkach; co gorsza, nie mogła opanować tych okropnych, jękliwych odgłosów protestu, rozpacz i bezsilnej złości.

Logan podniósł ją z podłogi i otoczył ramionami. Dygotała w jego objęciach, próbując złapać oddech.

- Dlaczego ten ktoś to zrobił? - łkała z twarzą przy jego piersi.

- Nie wiem. Szeryf Book będzie tutaj za kilka minut.

Briana odsunęła się gwałtownie.

- Szeryf Book! I co nam z tego przyjdzie? - Z daleka dobiegało stłumione, lecz coraz bardziej zajadłe szczekanie Wandy.

- Wypuszczę ją - powiedział Logan.

Skinęła głową i zmusiła się do ogarnięcia wzrokiem pokoju ze stertą zniszczonych zdjęć pośrodku podłogi. Poduszki z sofy rozdarte, zasłony zerwane... Roztrzaskany ekran telewizora...

Przyłożyła rękę do ust i obracała się wolno, czując, jak buntuje się jej żołądek. Przechodziła właśnie przez kuchnię, zamierzając sprawdzić stan pokoju chłopców i swojej sypialni, kiedy wrócił Logan z Wandą.

- Nie wchodź tam.

Ruszyła biegiem, próbując wepchnąć się przed nim do holu, ale ją wyprzedził i chwycił za ramię.

- Nie, Briano. Jeszcze nie teraz.

- Jest aż tak źle?

- Gorzej niż źle. Zaczęła dygotać.

Logan podprowadził ją do stołu, posadził na najbliższym krześle i wręczył torebkę.

Znalazła telefon i znów zaczęła wybierać numer.

Nadal nikt nie odbierał.

Dzieci! A jeśli ten ktoś zdołał do nich dotrzeć?

- Jaki jest numer Vance'a? - spytał spokojnie Logan.

Wanda klapnęła ciężko na stopy Briany. Była wystraszona, podobnie jak jej pani, a także Logan, którego twarz w okolicach szczęki przybrała niebezpiecznie szary kolor.

Briana z trudem przypomniawszy sobie numer i podała go Loganowi. Z oddali dobiegał już jęk syreny.

- Vance? - powiedział Logan do telefonu. - Tu Logan Creed. Czy Josh i Alec są z tobą?

Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Briana jednym ruchem wyrwała mu telefon.

- Vance? Gdzie są moje dzieci?

- Spoko! Udało mi się złapać trochę roboty po godzinach, więc Heather pojechała przodem i zabrała ich do kina.

Logan stał w grobowej ciszy, chociaż dźwięk syren narastał, a Wanda zaczęła szczekać.

- Nie odbierają komórki - wrzasnęła Briana, przekrzykując hałas.

- Pewnie są w tym szerokoekranowym kinie przy autostradzie i wyłączyli telefon. Nie wrzeszcz tak.

W drzwiach zamajaczyła sylwetka szeryfa Booka. Kiedy przekroczył próg i ogarnął wzrokiem zdemolowane wnętrze, gwizdnął cicho.

- Muszę porozmawiać z Alekiem i Joshem - upierała się Briana. - Jeśli możesz dorwać jakoś Heather, zrób to!

W głowie Vance'a musiała zapalić się jakaś lampka.

- Coś się stało?

A jak ci się zdaje, idioto?

- Ktoś dostał się do mojego domu - sapnęła, z trudem łapiąc oddech. - Wszystko jest w rozsypce. Muszę wiedzieć, czy chłopcom nic się nie stało.

- Zaraz po nich pojedę i odwiozę do domu.

- Nie! - Briana zmusiła się do kilku głębokich oddechów.

- To niewiele pomoże. Najpierw muszę posprzątać, nie chcę, żeby widzieli, jak teraz dom wygląda.

- Sama tam jesteś?

- Nie, jest ze mną Logan. I szeryf Book. Znajdź Heather, Vance. Poproś, żeby chłopcy natychmiast do mnie zadzwonili, dobrze? Możesz to zrobić?

- Mogę - odparł słabym głosem Vance. Rozłączyli się bez pożegnania.

Tymczasem szeryf z Loganem zniknęli z pola widzenia. Sądząc po odgłosach - stłumionych i ostrych słowach - znajdowali się w jej sypialni. Od czasu do czasu wpadało jej w ucho przekleństwo.

Briana zacisnęła telefon w dłoni, próbując w duchu zmusić go, by zadzwonił. Po chwili wstała, szepnęła Wandzie, że wszystko będzie dobrze, i ruszyła do sypialni.

Kiedy tam dotarła, stanęła w progu jak wryta.

Na drzwiach szafy widniało słowo SUKA, wypisane czymś, co wyglądało jak szminka.

Łóżko, szyby w oknie i ściany pokrywała błyszcząca czerwień, Briana w pierwszej koszmarnej chwili pomyślała, że to krew, ale potem pociągnęła nosem i poczuła opary.

Farba w spreju.

- O mój Boże. - Podniosła z podłogi szminkę, która wtoczyła się pod komodę. Kupiła ją dzisiaj w Cho-teau, w tej samej aptece, co tabletki.

Tabletki antykoncepcyjne.

Czy naprawdę jeszcze niecałą godzinę temu leżała z Loganem na górskiej polanie, podziwiając niebo tak pełne gwiazd, że ledwie mogło je utrzymać?

Logan objął ją.

- No tak. - Szeryf Book wyszarpnął zza pasa radio.

- Zaraz każę dowieźć Bretta Turlowa na przesłuchanie.

Nie ruszajcie tu niczego, dopóki nie ściągnę ekipy techników z policji stanowej.

Briana zagryzła wargę i skinęła głową. Komórka w jej dłoni zaczęła wibrować. Odebrała natychmiast.

- Alec? Josh?

- Mamo? Nic ci nie jest? - Josh dławił się słowami.

- Tato mówił, że ktoś się włamał do domu...

- Ze mną wszystko w porządku. - Brianie aż zakręciło się w głowie od nagłej ulgi. - Z Wandą też. A jak tam wasze kino?

- Nie pojechaliśmy... - odparł Josh smutno, drżał mu głos.

Brianie serce znowu gwałtownie przyśpieszyło, niczym koń wyścigowy wpadający na prostą.

- To gdzie jesteście?

- Tata nie kazał mówić.

- Nie obchodzi mnie, co wam kazał! Chcę wiedzieć, gdzie jesteście, w tej chwili!

Szeryf zdążył już wyjść z sypialni, chociaż w kuchni trzeszczało jego radio, do którego wyrzaskiwał rozkazy. Logan został z Brianą, wciąż obejmował ją ramieniem.

- On już po nas jedzie, mamusiu - tłumaczył przymilnie Josh. - Nie możemy tego zostawić? Nie chciałbym łamać słowa.

Briana zamknęła oczy.

- Joshuo Williamie Grancie - wycedziła. - Gadaj, ale już!

- W kasynie. -Co?!

- No, w kafeterii... - Josh zaczął płakać. - Alec też jest ze mną i nic złego się nie dzieje, naprawdę.

- Gdzie jest Heather?

Logan z marsem na czole wsłuchiwał się pilnie w koniec tej rozmowy.

- Powiedziała, że musi zagrać w jakiegoś black-jacka, a potem pojedziemy do kina. I mamy nic nie mówić tobie ani tacie, bo ty zaraz się wściekniesz.

Briana przełknęła głośno ślinę, patrząc w pełne niepokoju oczy Logana.

- Posłuchaj, kochanie, nie zrobiliście nic złego, ani ty, ani Alec. Tylko dlaczego wyłączyliście telefon? Martwiłam się, że nie mogę się do was dodzwonić.

- Heather go pożyczyła. Bo zapomniała naładować swój. Pewnie dzwoniła do taty czy gdzieś tam, bo kiedy wróciła, to trzasnęła nim o stół i powiedziała, że możemy teraz się cieszyć, bo wszyscy troje oberwiemy jak cholera.

Ja zadzwoniłem do taty, bo przecież mieliśmy u niego nocować i on nie kazał nic mówić...

- Heather tam teraz jest?

- Nie. Alec chce z tobą pogadać.

- Za chwilę. Posłuchaj, Josh. Poproś kogokolwiek z pracowników kasyna, żeby ściągnął Jima, jeśli jest w pobliżu, albo ochroniarza. I nie ruszycie się stamtąd na krok, ani z tatą, a już absolutnie nie z Heather.

- Okej. Ale jak mamy wrócić do domu?

- Przyjedziemy po was z Loganem. Logan cały czas potakiwał głową.

- Rozumiesz? - powtórzyła, bo Josh nie odpowiadał.

- Tata tutaj jest - usłyszała po chwili, a potem rozległ się głos Aleca:

- Mama? Ja się boję. Tata jest wkurzony na maksa.

Heather wróciła i on na nią wrzeszczy...

Briana i Logan już szli do samochodu razem z nieodłączną Wandą. Szeryf czekał na ekipę techników kryminalistycznych.

- Trzymaj się, koteczku. Już do was jedziemy. Logan przypiął Wandę w tyle furgonetki i siadł za kierownicą, stukając jednocześnie kciukiem w klawisze telefonu.

- Dylan? - spytał.

Briana zapinała już pas, słuchała jednym uchem Logana i jednocześnie wciąż mówiła do Aleca.

- Muszę iść - powiedział nagle chłopczyk.

- Poczekaj!

Ale połączenie już się przerwało.

- Przynajmniej raz - mówił Logan do brata - cieszę się, że jesteś takim pokerowym rekinem. Alec i Josh są teraz w kafeterii i coś tam się dzieje... nie bardzo wiem, co. Czy mógłbyś dopilnować, aby nikt, ale naprawdę nikt nie zabrał ich stamtąd, dopóki nie dojedziemy tam z Brianą?

Brianie serce waliło jak młotem, na czole wystąpił zimny pot. Manipulując przy telefonie, upuściła go i obmacywała teraz palcami podłogę.

- Dzięki - zakończył Logan; zmieniając biegi tak szybko, że Briana omal nie wylądowała z nosem w desce rozdzielczej.

- Myślisz to, co ja myślę? - spytał, zerkając na jej telefon.

- To Heather. -Uhm...

Ledwie skręcili na pełnym gazie w główną drogę, zadzwonił telefon Logana. Biedna Wanda pewnie wczepiła się wszystkimi pazurami w tylne siedzenie.

Logan słuchał przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Dobrze. Czekaj tam na mnie.

- Dylan jest z nimi? - chciała wiedzieć Briana.

- Tak, i Jim także. Z dziećmi wszystko w porządku, są tylko trochę wystraszone i zdezorientowane.

- A Vance?

- Okropnie na siebie wrzeszczeli i ochrona zatrzymała ich do wyjaśnienia - odrzekł niechętnie. Koncentrował się teraz na drodze. Długa wstęga zalana światłem księżyca zdawała się nie mieć końca, przynajmniej w odczuciu Briana. - Weź głęboki oddech. Jesteś cała i zdrowa, chłopcy także. Na razie tylko to się liczy.

- Nie obchodzi mnie, co mówi Vance. Nie pozwolę więcej tej babie zbliżyć się do moich synów.

- Poczekaj, aż usłyszymy ich wersję tej historii. To wszystko może okazać się zwykłym nieporozumieniem.

- Dziękuję, mecenasie! - prychnęła. - Ale czy nie ty sam wystąpiłeś z podejrzeniem, że to Heather zdemolowała mi dom? Mogła to zrobić, kiedy chłopcy siedzieli w kafeterii i czekali, aż skończy grać w black-jacka. Blackjacka!

- Tylko głośno myślałem. Nie wiemy, co naprawdę się wydarzyło, więc nie ma sensu psuć sobie krwi, zanim odkryjemy prawdę.

Briana splotła ramiona.

- Daj mi tę komórkę - zażądała, nie dostrzegając sprzeczności między mową swojego ciała a tym, co wydobywało się jej z ust.

- Nie. Alec i Josh są już dostatecznie zdenerwowani.

- I dlatego muszę z nimi porozmawiać.

- Za pięć minut porozmawiasz z nimi twarzą w twarz.

- Nie możesz jechać szybciej?

- Nie, chyba że przekroczę barierę dźwięku. Ledwie zdążył zahamować przed kasynem, Briana

wyskoczyła z furgonetki i odpychając portiera, który otwierał jej drzwi, wpadła do środka.

Chłopcy siedzieli z Dylanem w boksie kafeterii i pili koktajle mleczne. Byli nieco bladzi i niedomyci, ale bez żadnych obrażeń.

Dotarła do stolika, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i zemdląła. Kiedy ciemności się rozproszyły i gwiazdy przestały wirować, Dylan ją podtrzymał, a obaj chłopcy przyglądali się jej rozszerzonymi oczami.

- Usiądź. - Dylan usadowił ją na krześle i podał szklankę wody z sąsiedniego stolika.

- Gdzie jest Jim? - wykrztusiła, przytomniejąc.

- W pomieszczeniu ochrony z dobraną parą.

W tym momencie wszedł Logan i obaj chłopcy rzucili się do niego, kompletnie zapominając o istnieniu matki. Briana patrzyła z pewnym żalem, jak zamyka na chwilę oczy, a oni tulą się do jego boków.

- Możemy już jechać do domu? - Alec zadarł głowę, nie puszczając ani na chwilę ręki Logana.

- Gdy tylko wasza mama zdoła wstać.

Briana dopiła do końca wodę.

- Najpierw muszę zamienić słówko z Vance'em.

- To może poczekać - zaprotestował Logan. Odpowiedziało mu twarde spojrzenie.

A jednak to Logan wygrał tę rundę. Briana była u kresu sił - zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym, i chciała jak najszybciej zabrać dzieci do domu.

Wystarczy już tego cyrku.

- Dziękuję - powiedziała do Dylana. Bracia wymienili spojrzenia.

- Wyjaśnię ci później - rzucił Logan. Dylan przyjął to do wiadomości.

- Lepiej wróć do mojego pokerka. W ostatnim rozdaniu miałem strita z ręki.

Pożegnał chłopców uśmiechem i zawrócił do pokerowej sali na tyłach kasyna.

Alec i Josh byli zbyt wycieńczeni, aby coś opowiedzieć. Kiedy dotarli do głównego domu, Logan zrobił jajecznicę i grzanki, a Briana przygotowała śpiwory w dziennym pokoju.

Zjedli - chociaż większość jedzenia przypadła w udziale psom - i Briana położyła ich spać.

Logan czekał w kuchni, popijając kawę, aż skończy zajmować się chłopcami. Kiedy wreszcie przyszła, dosłownie słała się na nogach.

- Chyba jestem nadopiekuńcza.

- Jesteś matką. - Nalał jej kawy, bo przez całe popołudnie nie miała nic w ustach. - A matki takie już są, prawda?

Usiadła przy stole i wzięła od niego filiżankę.

- Dziękuję. Za to, że ściągnąłeś Dylana, że zawiozłeś mnie do miasta i...

- Briano - przerwał jej. - Daj spokój. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Gdyby coś im się stało...

- Są w sąsiednim pokoju. Bezpieczni. Jeśli nie mają zostać kłębkiem nerwów do końca życia, lepiej przedstawić im to jako przygodę, a nie kidnapping z potencjalnie ponurymi skutkami.

Twarz miała mokrą, ale próbowała się uśmiechnąć.

- Mówisz jak... jak...

- Jak kto?

- Jak prawnik. Zachichotał.

- To akurat może się przydać. Jeśli nie pomyliłaś się co do Heather, będą pewne prawne problemy.

Obejrzała się przez ramię, jakby w obawie, że chłopcy podsłuchują.

- Z opieką?

- Pogadamy o tym jutro. Teraz jesteś wykończona i niezdolna do rozsądnego myślenia.

Po namyśle zgodziła się z tą opinią.

Ujął jej twarz w dłonie i otarł łzy kciukami.

- Pozwól, że dzisiaj ja będę decydował, dobrze? Tylko dzisiaj.

Przytaknęła.

Wstał i pociągnąwszy ją za sobą, wyprowadził z kuchni. Przeszli obok śpiących już chłopców do holu, a stamtąd do jego sypialni.

- Okoliczności łagodzące - oznajmił, kiedy wzdragała się przed położeniem na łóżku. - Nie zmieścisz się na dmuchanym materacu, a sofę zaklepał sobie Dylan.

Rozebrał ją - najpierw buty, potem dzinsy, koszulę...

- Chłopcy...

Niech to licha, ależ wyglądała w tych koronkowych majteczkach i fikuśnym różowym staniczku! Wyobrażał ją sobie raczej w białych bawełnianych figach i zwykłym sportowym biustonoszu, ale jak widać się mylił.

- Śpią jak zabici. A dzisiaj ja podejmuję decyzje, pamiętasz?

- Pamiętam. - Odsunęła się, żeby wejść pod przykrycie.

Logan usiadł na krawędzi łóżka i zdjął buty. Potem jednym ruchem ściągnął przez głowę koszulę i wstał, żeby rozpiąć dzinsy. Kiedy opadły na podłogę, Briana wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Przepraszam. - Roześmiał się. - Zapomniałem spakować bieliznę przed wyjazdem z Vegas.

Zgasił lampkę i położył się obok Briany w łóżku. Była zmarznięta, więc wziął ją w ramiona.

- Wszystkie decyzje? - spytała. Pocałował ją w czubek głowy.

- Wszystkie - potwierdził stanowczo.

Przez dłuższy czas leżeli w ciszy, wsłuchani w dźwięki, jakie wydawał stary dom w miarę opadania temperatury.

Kiedy Briana się rozgrzała, Logan zaczął ją całować, manipulując jednocześnie przy przedniej haftce stanika. Zesztywniała na chwilę, ale zaraz zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunki.

Zsunął się niżej, do piersi, i pieścił językiem sutki, aż jęknęła i wplątała mu palce we włosy.

Zajął się jej pępkiem.

Wygięła plecy i westchnęła, szepcząc jego imię.

- Mury są grube - mruknął z ustami przy jej ciele. - Nie krępuj się, Briano, odpuść sobie!

- O mój Boże! - jęczała, bo już dotarł pomiędzy jej uda. - Logan, ja...

-Ciii.... - szepnął prosto w słodkie, wilgotne gniazdko, które właśnie rozchyłał językiem.

Gdy wdarł się tam ustami i zaczął ssać, podtrzymując mocno pośladki, wydała zduszony krzyk. Spijał ją, chłonał, zupełnie jak spragniony człowiek klęczący przy strumieniu.

Wiła się pod nim, ale i przyciskała z całej siły, kołysząc biodrami.

Doprowadził ją do orgazmu i został z nią, dopóki nie poddała się gwałtownej sile odprężenia. Kiedy podniósł

wzrok, zobaczył, że Briana zaciska kurczowo dłonie na prętach wezglowia, a jej piersi, brzuch i uda są mokre od potu.

- To było... - sapnęła - to było...

- Jakie?

- Cudowne.

- I bardzo dobrze. - Wciąż trzymał ją wysoko, przebieając palcami w zagłębieniu jej ud. - Bo zamierzam zrobić to znowu.

- Logan... -Hm?

- Nie wiem, czy potrafię być cicho tym razem...
Smakował ją, aż znowu wydała jęk.

- Mówiłem, że mury są grube. -Ale...

Wziął ją znowu.

Solidne montańskie bale, jakie otaczały pokój, wchłonęły jej okrzyki rozkoszy, tak samo jak przez całe lata wchłaniały podobne okrzyki, wyrywające się z ust innych kochanków.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kiedy dobrze przed świtem Logan przywędrował do kuchni, Dylan był już na nogach i właśnie nalewał sobie świeżo zaparzoną kawę. Albo miał na tej sofie ciężką noc, albo w ogóle nie zmrużył oka.

Na widok brata podniósł w górę kubek, jakby wznosił toast. Z dyskretnym rozbawieniem przesunął wzrokiem po krzywo zapiętej koszuli i dżinsach, które Logan rano odnalazł na podłodze.

Snooks, As i Wanda wrębały już swoją karmę w kącie kuchni i wyszły na dwór.

- Muszę nakarmić konie - mruknął Logan, nie patrząc na brata, i zabrał się do wciągania butów, które trzymał w ręku.

- Masz to z głowy - odparł Dylan. - Kawy? Logan westchnął ciężko. Wczoraj, po wszystkim, co

się wydarzyło, uznał spędzenie nocy z Brianą za dobry pomysł, teraz jednak wiedział, że prawdopodobnie będzie jej wstyd przed Dylanem, nie mówiąc o chłopcach.

- Dzięki.

Dylan zachichotał i podał mu kubek. Potem wskazał album „Nasza rodzina”, który wciąż leżał na stole.

- Chciałbym mieć odbitki tych zdjęć. Tyler także, jak przypuszczam.

Logan kiwnął głową i łyknął parującej kawy.

- Jest ich więcej. Nie zdążyłem jeszcze porządnie wszystkiego przejrzeć.

Dylan wysunął krzesło, odwrócił je tyłem do stołu i usiadł.

- Co to się wczoraj stało? - spytał, a widząc, że Logan się jeży, podniósł szybko dłoń i dodał: - Nie chodzi mi o ciebie i Brianę, tylko o dzieci. Próbowałem coś z nich wyciągnąć, kiedy czekaliśmy w kafeterii, ale nie chciały nic mówić, chociaż przekupiłem ich koktajlami.

- Wolisz najpierw dobrą czy złą wiadomość? - Logan uśmiechnął się krzywo.

- Złą.

- Twój dom będzie wymagał poważnego remontu. Ktoś go wczoraj zdemolował - cała sypialnia ochlapana jest czerwoną farbą. - Skrzywił się, bo stanęła mu przed oczami Briana, zbierająca z podłogi strzępki swoich ukochanych

fotografii. - Briana oczywiście wpadła w panikę, nie mogła połączyć się z dziećmi przez komórkę. Alec i Josh mieli być w kinie ze swoją macochą, ale ona wolała ich zabrać do kasyna. Zostawiła chłopców w kafeterii, a sama poszła grać w blackjacka. Na razie to wszystko, co wiem.

Dylan słuchał uważnie, potem przez dłuższą chwilę przetrawiał te informacje, skrobiąc się po głowie.

- Ten sam świr, który plądrował w jej szufladzie z bielizną?

Logan przytaknął ponuro.

- Prawdopodobnie.

- A zamki i okna całe?

- Tak. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć klucz. Dylan westchnął.

- Nie zmieniłem zamków, kiedy Briana się wprowadzała. Zawieraliśmy umowę w pośpiechu, bo ona nie miała gdzie się podziać. Kurczę, żaden z poprzednich lokatorów nie zawracał sobie głowy zamkami z tego, co wiem. Klucze do tych drzwi mogą być rozsiane dosłownie po całym mieście!

- To pocieszające.

- Zaraz zaczynam w Cheyenne zdjęcia do następnego filmu. Każ zmienić zamki i odmalować sypialnię, wszystko jedno na jaki kolor, byle nie czerwony. Rozliczymy się, kiedy wrócę. - Znowu westchnął. - Faktem jest, że gdyby nie Briana, dawno zrównałbym ten dom z ziemią i zbudował nowy.

- Ona tam nie wróci, dopóki nie będzie bezpiecznie. Dylan pocierał brodę z jasną szczecinią zarostu.

- A gdzie pójdzie?

- Może zostać tutaj.

- Jeśli się na to zgodzi - zauważył Dylan z powątpiewaniem. - A z tego, co wiem o Brianie Grant, jest nie tylko dumna, ale także bardzo oddana dzieciom. Wiesz, co ci powiem? Ona nie zamieszka z tobą, choćby nie wiem jak tego pragnęła, przez wzgląd na Josha i Aleca.

- Dzięki za wykład. - Był zły, bo wiedział, że brat ma rację. Briana prędzej zaryzykuje powrót do domu Dy-lana i spotkanie ze swoim prześladowcą, niż zdecyduje się na to, co w jej mniemaniu mogłoby zgorszyć dzieci.

Z drugiej strony, w tamtym domu nie tylko jej groziło niebezpieczeństwo, ale także Joshowi i Alecowi. I to mogło przeważać szalę.

- A może odebrałbyś meble z magazynu i urządził ją w dawnym pokoju Tylera? - Dylanowi rozbłysły oczy. - Chłopcy mogą spać w moim, tylko załatw im jakieś łóżka. W ten sposób przynajmniej sprawa dzieci spadnie jej z głowy, ale i tak ludzie będą gadać. Wiesz, jak łatwo w Stillwater Springs o plotki.

- Mam w dupie, co ludzie gadają.

- Jasne, ale założę się, że Briana jest innego zdania. W tym momencie drzwi się otworzyły i do kuchni

weszła Briana - całkowicie ubrana i zaróżowiona aż po linię włosów.

- Na jaki temat? - Podeszła do kredensu, wzięła sobie filiżankę i naląła kawy.

- Ja tam umyłam ręce. - Dylan rozłożył ramiona jak w konkurencji łapania cielaków na czas na pokazie rodeo. - Mogę osiodłać bułanka i podjechać na pogawędkę z Cimarronem?

- Proszę bardzo. - Loganowi wyraźnie ulżyło, gdy Dylan od razu ruszył do zagrody.

Briana usiadła przy stole.

- Wie, że spaliśmy razem - powiedziała znękany głosem.

- Wie, że spędziłaś tutaj noc, a to różnica. Poza tym nie jesteśmy dziećmi.

Oparła łokcie na stole, kryjąc twarz w dłoniach.

- I co ja teraz zrobię? - Skierowała to pytanie bardziej do siebie niż do Logana. - Co ja zrobię?

- Przeprowadzisz się do mnie?

- Możesz mnie nazwać staroświecką - szepnęła, łypiąc na niego ze złością - ale nie uznaję mieszkania z mężczyzną bez... - Straciła na chwilę impet. - Bez ślubu.

- Dylan raz w życiu wpadł na całkiem niezły pomysł. Możemy wstawić łóżka do jego dawnego pokoju i do pokoju Tylera. Chyba nie myślisz poważnie o powrocie do...

- Wystarczy jeden dzień i dowie się całe miasto. I nikt nie uwierzy, że spiamy w oddzielnych pokojach.

- Nie powiedziałem, że to idealne rozwiązanie, Briano. Czy plotka naprawdę tyle dla ciebie znaczy? Więcej niż bezpieczeństwo twoje i... - sięgnął po kartę atutową, chociaż sumienie go trochę uwierało - dzieci?

- Doskonale wiesz, że uprawialibyśmy seks.

- Wolę używać określenia „miłość”.

- Niech ci będzie. - Dalej mówiła tym samym syczącym szeptem. - Znam mnóstwo porządnych ludzi, którzy żyją razem. Wiem, że pozostaję mocno w tyle w stosunku do naszych czasów, ale nie zamieszkam z tobą pod jednym dachem, dopóki... - Urwała, oblewając się jeszcze silniejszym rumieńcem.

- Dopóki się nie pobierzemy?

- Na to się nie zanosz. Znamy się raptem tydzień. - Opuściła ręce na boki. - Jasne, że jest nam razem dobrze... więcej niż dobrze, ale...

Ujął ją za rękę. -Ale...?

- Sama nie wiem. Po co my w ogóle o tym gadamy? To jakieś wariactwo!

- Naprawdę? - odparował Logan. Prawdopodobnie wyglądał na spokojnego, ale w środku serce mu dudniło, a

w mózgu rozbrzmiewała wciąż uwaga Briany: „To jakieś wariactwo”. W kwestii małżeństwa już dwa razy miał pecha, a oni dwoje, prawdę mówiąc, byli sobie obcy. A jednak...

Popatrywała na niego bez słowa.

- Możemy się pobrać w ciągu trzech dni - usłyszał własny głos. - Potraktuj to jako interes. Ty zyskujesz to, na czym ci zależy: bezpieczeństwo i dobre nazwisko, a ja... także to, czego pragnę: żonę i dzieci.

- Ty to mówisz na serio!

Na Boga, tak właśnie było. Uśmiechnął się na myśl o realizacji pomysłu.

- Ustanowię fundusz powierniczy dla Aleca i Josha - dawał się ponieść fali - a zamiast intercyzy mogę odłożyć na twoje imię kwotę dwóch milionów...

- Dwóch milionów? - Rozejrzała się z dziwnym uśmiechem po kuchni, wodziła wzrokiem po obłazących tapetach, starych, zniszczonych szafkach i drewnianej podłodze.

- Czyżbym zapomniał poinformować cię, że jestem bogaty?

- Tak. O tym drobnym szczególe rzeczywiście zapomniałeś.

- Co masz do stracenia, Briano?

Otworzyła usta, zamknęła je znowu. Zerknęła w stronę drzwi do pokoju, prawdopodobnie żeby się upewnić, czy chłopcy nie słuchają.

- Z drugiej strony, spójrz, ile możesz zyskać: kilka milionów dolarów; solidny fundusz na opłacenie college[^] dla chłopaków. Ani im, ani tobie samej niczego nie zabraknie, nawet jeśli małżeństwo okaże się pomyłką.

Zamrugła.

- A co ty będziesz z tego miał?

- Już ci mówiłem. Żonę, dzieci...

- Alec i Josh są synami Vance'a. I chociaż przyznaję, że wolałabym, aby było inaczej, takie są fakty.

- Mam na myśli własne dzieci. Co najmniej dwoje. Pierwsze w ciągu roku.

Zielone oczy Briany omal nie wyszły z orbit. Mój Boże, co za oczy, myślał Logan. Można by przez nie stracić zmysły i już nigdy ich nie odzyskać...

- Chyba cię nieźle pogięło, skoro uważasz, że urodzę ci dzieci, a jeśli coś źle pójdzie, to ci je zostawię. Mnie zależy na dzieciach, nie na kasie.

- To jeden z powodów, dla których mógłbym cię pokochać. Nie bylibyśmy pierwszą parą, która bierze ślub ze względów praktycznych, a potem się w sobie zakochuje.

- W życiu nie słyszałam o większym wariactwie! Logan splótł ramiona i uniósł brew.

- Pomyśl o tym. - To powiedziawszy, wstał i skierował się do tylnych drzwi. Może Dylan jeszcze nie odjechał, ale jeśli nawet, Logan zamierzał go dogonić. Tyle czasu minęło, odkąd gonili się konno przez pole w świetle poranka, drąc się jak jacyś Siuksowie na wojennej ścieżce...

O wiele za dużo.

- Dokąd Logan pojechał? - Alec zaglądał przez próg do pokoju dziennego, wciąż mrugając zaspanymi oczami. Za nim przepychał się Josh.

Briana stała przy kuchni, smażyła jajka i bekon. Wydawało się jej najnormalniejszą rzeczą na świecie, że krząta się wokół śniadania w tym starym, zapuszczonym, lecz przestronnym ranczerskim domu z całą jego historią.

- Chyba jeździ konno z Dylanem - powiedziała niepewnie. Prawdę mówiąc, widziała przez okno, jak zaraz po wschodzie słońca odjeżdżali razem - Dylan na bułanku, a Logan na oklep na myszaty.

- Jesteś zła na Heather? - Alec wśliznął się do środka i przysunął z powrotem krzesło do stołu.

- Nie wiem, czy „zła” jest odpowiednim słowem

- odpowiedziała spokojnie. - Może mi powiecie, co właściwie zdarzyło się wczoraj?

Josh klapnął między trzy psy i zaczął czochrać im uszy. Wkrótce napięcie na jego twarzy złagodził uśmiech.

- Ktoś zadzwonił do Heather jeszcze w przyczepie, gdy tata wyszedł już do pracy na dodatkowy dyżur. I ona zaczęła płakać.

- Nie wiedzieliśmy, co robić - dodał z powagą Alec.

Briana zdjęła rondelki z palników. Śniadanie może poczekać.

- To oczywiste. - Podeszła do Aleca i dotknęła z czułością jego twarzy, nie spuszczać jednak z oka Josha. - A wiecie, dlaczego płakała?

- Podobno jej mama poważnie zachorowała - wtrącił Josh.

- Przykro mi bardzo - szepnęła.

- Mieliśmy przed kinem zjeść kolację w kasynie. Heather powiedziała, że najpierw musi koniecznie zagrać w blackjacka, a później możemy jechać. Ale kiedy przyniosła z powrotem telefon, była strasznie wkurzona, znowu płakała i powiedziała, że dzwonił tata i teraz wszystkim nam się dostanie. To zadzwoniłem do taty i on powiedział, że już po nas jedzie i mamy ci nic nie mówić...

- Ale i tak wyklepałeś - nie omieszkał mu wytknąć oskarżycielskim tonem Alec.

- Przestań, Josh postąpił właściwie - upomniała go matka.

- Heather chciała wygrać trochę szmalu, żeby pomóc swojej mamie - tłumaczył Alec. - Tak nam powiedziała.

Objaśnianie zawilości logiki Heather nie należało do Briany, nawet gdyby wiedziała, jak się do tego zabrać. Na ten temat pogada jeszcze z Vance'em i z nią samą, ale nie w obecności dzieci.

- Ona nie jest zła, mamusiu - upierał się Alec. - Po prostu się przestraszyła, i tyle.

- Nie pozwolisz nam teraz spotykać się z tatą? - spytał Josh.

- Nie. - Brianę uderzyła nagła zmiana nastawienia starszego syna do Vance'a. - Ale my, dorośli, musimy ustalić pewne zasady.

- Musimy wrócić do starego domu? - chciał wiedzieć Alec.

- Chyba zostaniemy tutaj przez kilka dni. - Briana znowu skupiła się na śniadaniu; musiała znaleźć sobie coś do roboty, żeby się nie zdemaskować.

- Co tam się wydarzyło, mamusiu?

Czy mówiła im wcześniej o włamaniu i zniszczeniu ich dobytku? Nie mogła sobie tego przypomnieć.

- A kto wam powiedział, że coś się stało?

- Stało się. - Alec wpatrywał się w matkę.

- Ktoś nam zrobił bałagan - odpowiedziała z westchnieniem. Widziała, że obaj chłopcy obserwują ją pilnie, ale nie potrafiła spojrzeć im w oczy.

-Kto?

- Nie wiem. - Przedtem podejrzewała Heather, ale po tym, co jej powiedzieli, nagłym telefonie, nie była już taka pewna. Może to jednak Brett Turlow pozwolił sobie na jakiś idiotyczny odwet za to, że przesłuchiowano go w związku z poprzednim incydentem. Jeśli rzeczywiście szeryf znowu go wezwał, tak jak zamierzał, Brett będzie uważał za swój obowiązek uderzyć ponownie.

- Chcieli nam zrobić coś złego? - dopytywał się Alec.

Nawet jeśli to prawda, nie powinna pozwolić, żeby tak myśleli.

- Nie - skłamała, nienawidząc siebie za to. - Prawdopodobnie chodziło o głupi kawał.

Alec zadygotał.

- Jeśli Logan jest w pobliżu, nikt nam nic nie zrobi. Nawet niedźwiedź.

Nie do końca się z tym zgadzała, ale Josh i Alec byli za mali, żeby to zrozumieć. Niech póki mogą, zachowają swoje złudzenia.

- Mam dzisiaj parę spraw do załatwienia - oznajmiła, przygotowując każdemu z nich talerz z jedzeniem. - Logan może być zbyt zajęty, żeby was przypilnować... Jeśli tak

jest, będziecie musieli spędzić kilka godzin w ośrodku dziennej opieki w mieście.

Natychmiast rozległ się chóralny jęk.

- Mamo! Tam są same maluchy w pampersach! Briana przewróciła oczami.

- Życie jest ciężkie. - Oby nigdy nie przekonali się, jak bardzo. Czy Logan mówił serio o tym funduszu powierniczym?

„Ani im, ani tobie samej niczego nie zabraknie, nawet jeśli małżeństwo okaże się pomyłką”.

Pozmywała po śniadaniu i pogoniła chłopców, żeby przygotowali się do wyjścia. Loganowi zostawiła karteczkę.

W ośrodku opieki nad dzieckiem Happy Dale przyjęto chłopców bez problemu, Briana zaś udała się prosto do kampera Vance'a, przy czym nie uszło jej uwagi, że van zniknął. Zaparkowała furgonetkę, podeszła do drzwi i zapukała.

Heather uchyliła powoli drzwi, owinięta w lawendowy welurowy szlafrok, który podobnie jak sama przyczepa, widywał lepsze dni. Nie zmyła makijażu z poprzedniej

nocy, toteż pod oczami miała czarne plamy, a w pęknięciach warg zostały ślady szminki.

- Vance'a nie ma - oznajmiła zaspanym głosem.

- Nie przyjechałam do Vance'a. Mogę wejść? Wydała długie, głośnie westchnienie i cofnęła się o krok.

- Czemu nie?

W środku było wyjątkowo czysto. Każdą wolną powierzchnię zagracwały tandetne bibeloty, na oparciu sofy leżała niechlujnie afgańska narzuta.

- Nie nastawiałam jeszcze kawy - zastrzegła się Heather.

- Nie potrzebuję kawy.

Wskazała jej czarny uchylony fotel, poklejony gdzieś taśmą - prawdopodobnie służył Vance'owi do oglądania telewizji.

Briana usiadła na brzeżku i złożyła ręce, żeby utrzymać je w spokoju.

- Dzieci mówiły, że dostałaś wczoraj przykre wiadomości o matce - zaczęła.

Heather opadła ciężko na sofę. Miała pantofle na wysokich plastikowych obcasach, ozdobione na podbiciu

zwiewnymi fioletowymi piórkami. W jej świecie zapewne stanowiło to szczyt elegancji.

- Taa. Nieźle mnie to rąbnęło. Nie przywykłam do obecności dzieci.

Nie przywykłam do obecności dzieci! Briana trzymała nerwy na wodzy.

- Bezpieczeństwo i dobre samopoczucie moich dzieci to dla mnie bardzo poważna sprawa. Dlaczego zabrałaś chłopców do kasyna?

Twarz Heather się skurczyła.

- Myślałam, że cię tam zastanę.

To było bardziej sensowne, niż Briana chciała przyznać, i miało otoczkę prawdy.

- Bo chciałaś mieć je z głowy?

- To nie tak - upierała się Heather. Pociągnęła nosem i uniosła nieco podbródek. Musiała stoczyć w życiu sporo bitew i to w większości ciężkich, uznała Briana. - Lubię Aleca i Josha, naprawdę ich lubię. A Vance'owi tak bardzo zależy na ułożeniu sobie z nimi stosunków. - Łzy napłynęły do jej zapuchniętych oczu, rozmazując jeszcze bardziej smugi tuszu. - Po tej całej drace w kasynie prawdopodobnie

wyleją go z roboty, a wtedy znowu zechce ruszyć w świat. I będę mogła zapomnieć o własnym dziecku, nigdy nie uda mi się go przekonać...

- A uważasz, że naprawdę jesteś na to gotowa? To znaczy, na dziecko? - Sama myśl o bezbronnym maleństwie zdanym na łaskę tej zmiennej, niedojrzałej kobiety przyprawiała ją o dreszcz.

Heather zdawała się jej nie słuchać. Siedziała, obejmując się ramionami, i patrzyła w ścianę przyczepy, jakby chciała ją przeniknąć wzrokiem.

- Będę miała szczęście, jeśli w ogóle zechce mnie z sobą zabrać - mruknęła.

Briana przechyliła głowę, próbując zajrzeć jej w oczy.

- To już jest wasza sprawa, mnie interesuje tylko Josh i Alec. Vance'owi to się nie spodoba, ale nic na to nie poradzę. Dopóki wszystko się nie ułoży, nie zostawię dzieci pod waszą opieką.

- Nie możesz zabronić Vance'owi kontaktu z własnymi dziećmi!

- Prawdopodobnie nie mogę. Ale wezmę adwokata i postaram się o ograniczenie wizyt.

- Ty nic nie rozumiesz - jęknęła Heather. - Vance już jest na mnie wściekły, a kiedy jeszcze to usłyszysz...

Briana wstała.

- O tym powinnaś pomyśleć wcześniej. Zanim zostawiłaś dzieci w kasynie bez opieki i poszłaś grać w blackjacka.

- Przecież ci mówiłam! Myślałam, że tam jesteś! - Heather szła za Brianą do drzwi.

- Mogłaś zadzwonić, ale tego nie zrobiłaś.

- Ale...

Briana otworzyła drzwi.

- O której Vance wraca z pracy?

- On nie jest w pracy! - wybuchnęła Heather. - Siedzi w biurze szeryfa i próbuje wyciągnąć nas z tego bagna!

- Dzięki.

- Zaczekaj! - krzyknęła Heather z obskurnego ganku.

Ale Briana wsiadła do furgonetki, przekręciła kluczyk i odjechała.

Rzeczywiście samochód Vance'a stał na bocznym parkingu przed biurem szeryfa, a on sam akurat wychodził przez główne drzwi.

Na jej widok przystanął, zdjął kapelusz i przesunął ręką po włosach.

- Odstąpili od postawienia zarzutów? - spytała. Skinął głową, spojrział w bok, a potem znowu na Briana.

- Musimy pogadać - powiedział.

Pojechali - każde swoim samochodem - do Bird-house Café przy głównej ulicy. Chociaż Briana nie zjadła nic z tego, co przygotowała dla chłopców, nie mogła nawet patrzeć na jedzenie ani kawę. Poprzestała na samej wodzie, natomiast Vance zamówił sobie jajka na szynce.

- Czy Heather jest chora psychicznie? - spytała cicho Briana po odejściu kelnerki, kiedy atmosfera nabrała pewnej intymności. - A może jest nałogową hazardzistką? Pijaczką?

- Nie. Po prostu nie jest zbyt bystra. - Vance sypnął za dużo soli do jajek. - Kiedy poczuje się osaczona, zaczyna się bronić na oślep.

- Potrąciła Aleca samochodem - przypomniała Briana. - A potem zostawiła jego i Josha bez opieki w kasynie.

- Ty robisz to cały czas - wytknął jej Vance, łypiąc z nad talerza. - Myślałaś, że mi nic nie powiedzą?

- Ale mam na nich oko. -1 kto tutaj jest osaczony?

- Podobnie jak inni pracownicy. Jest różnica i dobrze o tym wiesz.

- Czyżby? - Zacisnął pięści po obu stronach talerza i pochylił się do przodu, świdrując Brianę wzrokiem.

- Chcesz mi wmówić, że ktoś nie mógłby ich zabrać, kiedy ty i ci „inni pracownicy” akurat nie patrzycie?

Zagryzła wargę.

- Nie stać mnie na całodzienną opiekę. Jest taki drobiazg jak alimenty.

Vance poczerwieniał.

- Robię, co mogę.

- Ja też.

- Gdzie oni są w tej chwili?

- W ośrodku opieki nad dzieckiem. - Uśmiechnęła się. - Ależ tego nie znoszą! Chcieli zostać u Logana, ale już dość go wykorzystujemy.

Vance'owi mięsień drgnął w szczęce. Wziął widelec i zaatakował kawałek szynki z taką furją, jakby ten nagle ożył, a on chciał go zabić.

- Co robisz z Loganem Creedem albo kimkolwiek innym, to twoja prywatna sprawa.

- Dobrze to ująłeś. Logan nie ma z tym nic wspólnego, natomiast Heather ma wszystko. Jest jak widać niestabilna emocjonalnie i dopóki się nie usatkuje, nie chcę, żeby chłopcy zostawali z nią sam na sam.

- Myślisz, że po wczorajszym pozwoliłbym jej gdzieś ich zabrać?

- Nie wiem. Zrobiłbyś to?

- Nie.

- A ja mam ci wierzyć i ryzykować ich bezpieczeństwo? Dlaczego?

Cała sztywność uszła z Vance'a razem z długim wydechem. Ramiona mu opadły i przez dłuższą chwilę siedział ze zwieszoną głową.

- Dlatego - wychrypiał po kilku sekundach. - Przecież staram się, do cholery! - Patrzył jej prosto w twarz; nagle zobaczyła w jego oczach szczerą, a nawet pewną siłę charakteru, o którą nigdy go nie podejrzewała. - Niewiele znam się na ojcostwie. Pobraliśmy się z Heather za szybko. Ale kiedy wygrałem te pieniądze... kiedy wreszcie po raz

pierwszy coś mi się w życiu udało... pomyślałem sobie, że to znak od Boga czy kogo tam. Miałem szansę zacząć wszystko od nowa. Dotknęła jego ręki.

- Chłopcy cię kochają - powiedziała łagodnie.

- Nie poddawaj się zbyt prędko.

- Mój szef się dowie o tej awanturze w kasynie - zreflektował się Vance. Posmutniał i znowu odwrócił wzrok. - On chodzi do kościoła trzy razy na tydzień. Może uznać, że nie odpowiadam mu pod względem moralnym, i pokaże mi drzwi.

- Skoro trzy razy w tygodniu chodzi do kościoła, to może należy do tych miłosiernych - zasugerowała Briana nieco na wyrost.

- A byłeś ostatnio w kościele?

Pozostawiła pytanie bez odpowiedzi. W dzieciństwie, kiedy jeździli w trasę z Dzikusem, uczestniczyli często w różnego rodzaju nabożeństwach za każdym razem gdzie indziej. Zawsze witano ich serdecznie, zachęcano do pozostania, a niekiedy oferowano nawet dach nad głową, jedzenie, pracę.

I za każdym razem Briana czuła ulgę, kiedy ojciec odmawiał i tłumaczył, że muszą jechać dalej, zgodnie z planem.

- Nie chcę przekraczać granic - zaczęła, omal ich nie przekraczając - ale jest coś jeszcze. Wiem, że Heather chce mieć dziecko. To nie ma nic do rzeczy, lecz chłopcy słyszeli, jak mówiłeś, że masz dosyć kłopotów z tymi, które już są na świecie.

Vance wyglądał, jakby uszło z niego całe powietrze, i Briana nie czuła się z tym dobrze, chociaż przez ostatnie dwa lata często snuła fantazje o sprowadzeniu go do parteru.

- Nie wiedziałem, że to słyszeli.

- To dla nich żadna pociecha. Drgnął mu mięsień w szyi.

- Skończyłaś?

Briana wstała i spojrzała z góry na mężczyznę, którego poślubiła kiedyś ze znacznie gorszych powodów niż te proponowane przez Logana.

- Prawie. Nie chcę stawiać sprawy na ostrzu noża, Vance, ale jeśli nie będziesz osobiście opiekował się chłopcami podczas ich wizyt, wezmę adwokata.

- Na mieście mówią, że już sypiasz z jednym - zauważył cierpko Vance.

Te małe miasteczka! Nie sposób utrzymać sekretu.

Nie zaszczyciwszy tej uwagi odpowiedzią, zwłaszcza wobec jej prawdziwości, Briana po prostu wyszła. Powiedziała to, co musiała, a teraz może tylko patrzeć, czy coś z tego do Vance'a dotarło.

Logan po przejażdżce konnej miał dużo do przemyślenia i dużo czasu, by się z tym uporać.

Dylan załadował swój sprzęt, wsiadł do furgonetki i wyruszył do Cheyenne, gdzie miał ujeżdżać byki do filmu o rodeo. Płaca była dobra, jak mówił, ale zamierzał osiąść gdzieś na stałe i dogadać się ze swoją byłą dziewczyną Sharlene, żeby móc spędzać więcej czasu z córeczką.

Zdjęcie Bonnie nosił przy sobie w portfelu. Dziewczynka miała kręcone włosy i oczy Dylana, łącznie z tym diabelskim błyskiem, co stanowiło lepszy dowód na ojcostwo niż jakikolwiek test DNA.

W zasadzie nie uzgodnili z Dylanem nic konkretnego, nic na dłuższą metę, ale dobrze było przejechać się razem, jak za dawnych czasów, pogadać trochę...

Oczywiście wielu rzeczy Dylan mu nie powiedział.

Ale przynajmniej zrobili początek.

Żeby tak jeszcze udało się z Tylerem...

Po przeczytaniu po raz czwarty karteczki Briany - że zabiera chłopców do ośrodka opieki i jedzie rozmówić się z Heather i Vance'em - przyszły mu na myśl zdjęcia porzucane na podłodze w drugim domu.

Z kuchennego telefonu na ścianie zadzwonił do szeryfa Booka i zapytał, czy nie narazi na szwank materiału dowodowego, jeśli tam pojedzie.

Floyd odpowiedział, że policja stanowa obfotografowała wszystko, czego potrzebowała, on zaś przetrzymał Bretta przez noc w areszcie, ale rano musiał go wypuścić z braku dowodów.

Logan przyjął to do wiadomości.

Wsiadł do furgonetki, pojechał do Briany i pozbiierał zdjęcia wraz ze zniszczonym albumem. U siebie ułożył je starannie w stosik przy komputerze.

Potem zrobił sobie kanapkę, zjadł, wyprowadził i przyprowadził psy.

Usiadł przy biurku i uruchomił program do obróbki zdjęć.

Używał go często, kiedy zakładał spółkę, do tworzenia broszur i strony internetowej, nawigacja zaś była po prostu jego drugą naturą. Zaczął sklejać zdjęcia najlepiej, jak potrafił, skanował, usuwał ślady rozdarcia i zagniecenia.

Może dlatego, że Briana była jedynaczką, Dzikus robił jej mnóstwo zdjęć. Praca nad tymi obrazkami pozwalała Loganowi obserwować proces jej dorastania - najpierw była uroczą małą dziewczynką, potem przypominała niezdarnego wyrostka, zawsze na koniu. Jako nastolatka zwała dosłownie z nóg, co zapewniło jej dwukrotny tytuł królowej rodeo.

Były też dziesiątki zdjęć Aleca i Josha - jako niemowlaków, potem dwu- i trzylatków. Ubranka na tych fotkach mieli raczej marne, a tło ukazywało szereg kamperów mieszkalnych i starych domów, ale wyglądali na szczęśliwych i bezpiecznych.

Dzieci potrafią się szybko regenerować - Alec i Josh stanowili żywy dowód tej teorii, podobnie jak on sam, Dylan i Tyler.

Zaczynał mieć nadzieję, że jeśli zeskanuje znalezione na strychu zdjęcia Creedów i podaruje płyty Tylerowi i Dylanowi, może otworzy to przed nim drogę do odzyskania braci. Prawdziwych braci.

Pracował, dopóki oczy nie odmówiły mu posłuszeństwa, po czym w przerwie poszedł sprawdzić postępy w budowie stajni - wszystko szło dobrze.

Właśnie miał zamiar zakrzętać się wokół kolacji, kiedy zajechała Briana z chłopcami na tylnym siedzeniu.

Aż śmieszne, jak ucieszył się na jej widok, i nie miało to nic wspólnego z wczorajszym kosmicznym seksem i nadzieją na powtórkę.

- Hej - powitał ich.

Alec i Josh wygramolili się z samochodu.

- Musieliśmy pojechać do dziennej opieki! - poskarżył się Josh.

- Jak jakieś dzidziusie - dodał Alec.

I natychmiast pobiegli witać się z psami. Tyle w kwestii traumy po dniu spędzonym w ośrodku.

Logan przesunął ręce po udach, skrępowany z jakiegoś powodu tym nagłym sam na sam z Brianą.

- Czy rzeczywiście dzisiaj rano mówiłeś na serio? -
spytała bardzo cicho. Miała poważną minę i wyglądała,
jakby wstrzymywała oddech. - O... o małżeństwie?

- Tak.

- To kiedy możemy dostać licencję?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Logan osiodłał dla Briany wciąż bezimiennego srokatego wałacha, a myszatemu Travelerowi założył uzdę. Alec i Josh, uszczęśliwieni z powodu corn dogów* na kolację, obserwowali ich ze swoich stanowisk na płocie wybiegu.

- Wyszłaś z wprawy? - zapytał Logan, gdy Briana zawahała się przy srokaczu.

Uniosła dumnie głowę.

-Nie zapomniałam, jak się dosiada konia.

- Na poparcie tych słów włożyła nogę w strzemień i dźwignęła się na siodło. Ukośne promienie popołudniowego słońca opromieniły ją niczym zabłąkaną świętą. - Nie podoba mi się tylko, że chłopcy zostaną tutaj sami.

- Nie odjedziemy daleko - zapewnił ją. Wiedział, że boi się powtórnego spotkania z niedźwiedziem

- wystarczała sama taka możliwość, żeby oczyścić i naładował jedną ze starych myśliwskich strzelb Jake'a, a potem przytroczył wytłaczany skórzany futerał do jej siodła, bo własnego nie miał.

* Hot dogi w cieście z mąki kukurydzianej.

- Nic nam nie będzie, mamó - zawołał Alec.

Logan dosiadł myszatego w indiańskim stylu, chwytając konia za grzywę, i wskoczył jednym susem wprost z ziemi.

- Co za popis jeździectwa! - zauważyła Briana. Odkąd przystała na propozycję Logana, stała się drażliwa niczym kropla wody na rozgrzanej patelni, a srokacz widocznie wyczuwał jej nastrój, bo kręcił się niespokojnie.

- To Jim Huntinghorse nauczył mnie tego numeru - powiedział Logan, podjeżdżając bliżej, i chwycił na chwilę srokacza za uzdę, żeby się uspokoił. - Mieliśmy po siedem lat.

Uśmiechnęła się, ale spojrzała znacząco na jego dłoń.

- Nie jestem żółtodziobem, wiesz? Puść go. Puść!

- Gotowa? - spytał z uśmiechem. Przytaknęła.

Pochylił się, żeby otworzyć bramkę wybiegu, i zaczął czekać, aż przejedzie pierwsza.

- Nie odchodźcie od domu! - krzyknęła przez ramię.

- Naprawdę nic im nie grozi - zapewnił ją Logan.

- Ścigamy się? Na przełaj przez pole i sad do cmentarza i z powrotem.

- Zgoda.

Logan pochylił się nisko nad końską szyją i lekkimi uderzeniami obcasów przynaglał zwierzę do biegu. Wysforował się przed Brianę, ale wkrótce z szybkością błyskawicy pojawiła się u jego boku - sama poezja na końskim grzbiecie, tak piękna, że ledwie mógł to znieść.

Prawdę powiedziawszy, tak się na nią zapatrzył, że kiedy Traveler zatrzymał się na ułamek sekundy, szykując do skoku przez zwalony bal, Logana omal nie wyrzuciło na ziemię.

Przemknęli przez sad - konie mogły zwietrzyć niedźwiedzia, jeśli był w pobliżu, ale żaden nie zawahał się ani na chwilę. Zdawały się rozkoszować pędem i wolnością, zarówno srokacz, jak i myszaty.

Kiedy jednak wyjeżdżali już z sadu i w zasięgu ich wzroku pojawił się cmentarz, gdzieś w górze rozległ się strzał.

Logan momentalnie osadził konia i chwycił za wodze Briany, próbując wyciągnąć strzelbę z pokrowca.

- Pewnie jakiś kłusownik. Zawróć do domu, Briano.
- Zawróćmy razem - odparła.

Kolejny strzał rozdarł popołudniową ciszę... a zaraz po nim trzeci i czwarty.

Logan ruszył naprzód ze strzelbą ułożoną w poprzek przed sobą.

Nagle wśród cmentarnych drzew zobaczył Bretta Turlowa, który stał okrakiem nad grobem Jake'a i strzelał raz po raz, kierując lufę w ziemię.

Ten cholerny głupek strzelał do nieboszczyka!

Logan wyobraził sobie, jak trumna rozpada się w ziemi, a gruby śrut zamienia szczątki Jake'a w pył. Wiedział wprawdzie, że ołów nie sięga tak głęboko, ale nie miało to wpływu na upiorne wizje w jego głowie.

- Dzwon po szeryfa - rzekł, nie podnosząc głosu, i podał Brianie telefon. Wiedział, że jej komórka ładuje się teraz na kuchennym blacie. - I wynoś się stąd czym prędzej, zanim cię zauważy.

Na to jednak było już za późno. Brett podniósł głowę i ruszył na nich jak burza ze strzelbą w rękę.

- Jedź! - wychrypiał Logan. - Poradzę sobie, a ty jedź i złap szeryfa Booka, gdy tylko znajdziesz się poza zasięgiem.

W oczach Briany błysnęły łzy.

- Logan...

Brett z pochyloną strzelbą był coraz bliżej.

- Odlóż to, Brett. - Logan poczuł ulgę, gdy Briana zawróciła konia i ruszyła. - Połóż strzelbę na ziemi.

Brett go nie słuchał. Kiedy podszedł bliżej, Logan zobaczył, że twarz ma wyniszczoną pijaństwem, złością, rozpaczą i Bóg wie czym jeszcze.

- Nie zabiłem twojego starego! - zawył. - Ale przysięgam na Boga, że tego żałuję, bo przynajmniej nie musiałbym płacić przez tyle lat za coś, czego nie zrobiłem!

- Jesteś nawalony, Brett - powiedział Logan lekkim tonem, trzymając jednak palec na cynglu odbezpieczonej broni. - Odlóż strzelbę, to pogadamy.

Brett przystanął i trzęsącymi się dłońmi wycelował. Ledwie trzymał się na nogach, więc prawdopodobnie nie trafiłby ani Logana, ani konia, chociaż słowo „prawdopodobnie” raczej tutaj nie pasowało. A Logan nie mógł nawet na ułamek sekundy spuścić go z oka, żeby sprawdzić, czy Briana odjechała dostatecznie daleko. Wyczuwał jej obecność tam, w sadzie - dziwną,

nieustępliwą energię, od której ciarki chodziły mu po plecach i kurczył się żołądek.

Ścisnął mocniej broń. Nie chciał strzelać do Bretta ani do nikogo innego, ale zrobi to, jeśli będzie musiał... a podejrzewał, że Turlow zechce go sprowokować. Samobójstwo po uniewinnieniu... Znał to zjawisko z Iraku, widywał je po stronie zarówno amerykańskiej, jak i nieprzyjacielskiej.

Gra, w której nie zamierzał uczestniczyć.

Brett pociągnął za spust, a Logan zamachnął się szeroko strzelbą, w ostatniej chwili unikając odruchowego wybawienia biednego skurwiela z ziemskich kłopotów. Broń Turlowa albo się zacięła, albo zapomniał ją załadować po odpaleniu ostatniego strzału w grób Jake'a.

Logan w mgnieniu oka był na ziemi. Odrzucił strzelbę na bok i zwał się z Turlowem, chcąc odebrać mu broń.

Walka była krótka, ale Turlow okazał się silniejszy, niż na to wyglądał, i nie poddał się tak łatwo.

Loganowi udało się wyrwać mu śrutówkę z ręki i cisnąć daleko w trawę. Usiadł mu okrakiem na brzuchu i unieruchomił kolanami ramiona.

Turlow wydał z siebie pisk osaczonego zwierzęcia, tak ostry i przenikliwy, że Loganowi aż mróz przeszedł po kościach.

- Spokojnie, Brett - burknął. - Nie zrobię ci krzywdy.

W tym momencie podjechała Briana; Logan słusznie się domyślił, że nie wróciła na ranczo, co napełniło go dumą, ale i rozłościło.

- Szeryf i dwaj zastępcy już jadą - oznajmiła beznamiętnie, po czym zsunęła się z siodła i podniosła obie strzelby. Odniosła je na bezpieczną odległość i oparła o pień drzewa.

- Włamałeś mi się do mojego domu, Brett? - Podeszła bliżej.

Turlow podniósł z trudem głowę i plunął jej pod nogi. Logan ścisnął go mocniej kolanami.

- Odpowiedz pani - warknął.

- Nie zamierzałem nic złego - tłumaczył się. - Chciałem tylko potrzymać trochę tę śliczną koszulkę.

Położyłem ją na łóżku i wyobraziłem sobie, że masz ją na sobie i czekasz tam na mnie.

Loganowi żółć podeszła do gardła, pozostawiając gorzki smak na języku.

- Szeryf mówił, że twój samochód całą noc stał na parkingu przed Skiwie's.

Recht Turlowa bardziej przypominał szloch niż śmiech.

- Pożyczyłem sobie blazera sąsiadki. Zawsze zostawia kluczyki w stacyjce. Nawet się nie kapnęła.

Logan siłą woli powstrzymał się od wybuchu.

- I ten miły akcent w postaci farby w spreju, co?

- Nic nie wiem o żadnej farbie w spreju - sapnął Turlow.

- Nie ciśnij tak mocno, bo mi gnaty połamiesz.

Logan i Briana wymienili spojrzenia. Logan rozluźnił ucisk kolanami.

- Nie przyjeżdżałeś do mnie po raz drugi? - spytała Briana Turlowa.

Pokręcił głową. W głębokich bruzdach przy kącikach oczu błysnęły mu łzy.

- Floyd maglował mnie już w tej sprawie, bo to mu zawsze wychodziło najlepiej, ale ja tamtej nocy pomagałem

Freidzie wieszają plakaty wyborcze. Moja siostra zaświadczy, że to prawda!

- A po co, u diabła, wytrząsałeś się nad grobem Jake'a z tą strzelbą? - Logan wciąż dyszał ciężko po walce. Brakowało mu formy; w Vegas za bardzo się rozleniwił. Ale rąbanie drewna i kopanie dołków pod słupki powinno pomóc. - Słyszałeś kiedyś takie słowo „rykoszet”? Miałeś cholernie dużo szczęścia, że żaden z tych strzałów nie trafił w skałę i nie odbił się prosto na ciebie!

- Ten skurwysyn prześladowuje mnie od dnia swojej śmierci! - krzyknął Brett z tak wielkim przekonaniem, że aż żał było go słuchać. - Nie zniosę tego dłużej!

- Odrzucił w tył głowę i ryknął straszonym głosem:

- Słyszysz mnie, Jake? Dłużej tego nie zniosę!

Logan zsunął się z Bretta, wstał i popatrzył ze współczuciem na jego wykrzywioną rozpaczą twarz.

Briana stanęła obok i dotknęła jego ramienia.

- Wracam do domu i będę wypatrywać szeryfa. Przy okazji sprawdzę, co z chłopcami. Na pewno słyszeli strzały i są śmiertelnie przerażeni.

Logan pokiwał głową.

- Jedź. - Nie odrywał wzroku od Turlowa. - Ten biedny świr potrzebuje opieki lekarskiej, a nie pryczy w okręgowym więzieniu.

Po odjeździe Briany Turlow oparł się na łokciu. Obok, na ziemi leżała jego bejsbolowa czapka.

- Wierzysz w duchy, Creed? - zapytał urywanym, tajemniczym głosem.

- Nie w takie, jakie ty widzisz. I nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Nadal mam ochotę raczej wycisnąć z ciebie ducha, niż zostawić żywego.

W oddali odezwała się syrena - niemal po ludzku zmęczony, jękliwy odgłos w wilgotnym letnim powietrzu, gęstniejącym w miarę zapadania zmierzchu.

Logan przykucnął ze splecionymi palcami nieopodal Turlowa. Dawno temu widywał Jima Huntinghorse'a siedzącego godzinami w takiej pozycji. Sam szybko poczuł skurcz w udach i musiał znów się podnieść.

Turlow rzucił mu przebiegłe spojrzenie.

- Wiem to i owo.

- Nie do wiary - mruknął Logan, modląc się w duchu, żeby szeryf się pośpieszył. Jeśli nie Brett Turlow

wymalował sprejem sypialnię Briana na czerwono, a wewnętrzny instynkt podpowiadał Loganowi, że tak właśnie było, znaczy, iż prawdziwy wandal wciąż jest na wolności. I nie podobało mu się, że Briana i chłopcy są poza zasięgiem jego, Logana, wzroku.

Zwłaszcza że robi się ciemno.

- Wiem, na ten przykład - ciągnął Turlow - że nasz wszechwładny szeryf tarza się w pościeli z moją siostrą.

- Też mi nowina!

„Courier” z pewnością nie pisał nic o tym skandalu, to nie ten rodzaj gazety. Logan słyszał tę plotkę gdzieś około pogrzebu Jake'a; miał to wtedy głęboko w dupie, podobnie jak teraz.

Z każdą chwilą rosło w nim nerwowe napięcie.

Briana.

Zabrała jego komórkę, więc nie mógł zadzwonić do domu, upewnić się, czy Alec i Josh są bezpieczni.

Syrena przecięła ciszę; Turlow zakrył uszy rękami i zaczął się kołysać w przód i w tył.

Po paru sekundach z sadu wybiegł ciężkim truchtem szeryf. Musiał podtrzymywać na biodrze kaburę, która obijała mu się o udo.

- Niech cię cholera, Brett - wycharczał, zwalniając, i wyszarpnął zza pasa kajdanki. - Co ty jesteś, jakiś jednoosobowy James Gang? - Odwrócił się do Logana. - Lepiej wracaj do domu. Briana wczepiła się w Jenkinsa, bo podobno ktoś uprowadził jej dzieci...

Logan zaklął. Ruszył biegiem do konia, który pasł się kilkanaście kroków dalej, i wskoczył mu na grzbiet.

Kiedy Floyd zajął się aresztowaniem Turlowa, on gnał już na myszaty przez zarośla, jak wyrzucony z katapulty.

Ledwie dotarł do korrala, zeskoczył w biegu z wałacha, przesadził jednym susem płot i podbiegł do Briany, która przy samochodzie policyjnym szamotała się z zastępcą szeryfa Jenkinsem - miejscową wersją Barneya Fife'a*.

Szarpnął Jenkinsa i pchnął go do tyłu tak mocno, że ten grzmotnął w wóz patrolowy. Na dachu wciąż błyskały oślepiająco czerwone i niebieskie światła.

* Postać fikcyjna; zastępca szeryfa w popularnym programie telewizyjnym *The Andy Griffith Show*, grany przez komika Dona Knotts'a.

Uwolniona Briana natychmiast ruszyła do furgonetki Dylana.

Logan dogonił ją w paru susach i chwycił za ramię.

Kopała go i drapała; zupełnie jakby próbował wepchnąć do worka zdziczałego kota.

- Przestań - powiedział to bardzo cicho, a jednak gardło tak go piekło, jak gdyby krzyczał ile sił w płucach.

Jakimś cudem znieruchomiała. Wciągając wielkimi haustami powietrze, drżała na całym ciele.

- Dzie... dzieci... zniknęły...

- Ja tylko nie chciałem pozwolić, żeby zrobiła sobie krzywdę - wtrącił znękany głosem Jenkins, który pojawił się w pobliżu. - Nikt nie powinien prowadzić w takim stanie nerwów, a gdy tylko wróci szeryf Book...

Logan chwycił Brianę mocno za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy.

- Znajdziemy dzieci - rzekł z naciskiem. - Na pewno je znajdziemy.

W zielonych oczach błysnęła iskierka rozpaczliwej nadziei. Przełknęła z wysiłkiem ślinę i kiwnęła głową.

- Ty też nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany - rezonował Jenkins. - Gdy tylko wróci szeryf...

- Możemy poczekać - przerwał mu Logan. - Kluczyki do furgonetki miał w górnej kieszonce; wyjął je teraz z brzękiem. - Wyświadcz mi przysługę, zastępczo, i odprowadź tego srokacza do korrala.

Jenkins poczerwieniał aż po nasadę włosów.

- Musimy przestrzegać procedur - zaprotestował, ale ujął wodze i ruszył z koniem w stronę korrala.

- Nie możesz brać prawa w swoje ręce...

Briana wdrapała się do furgonetki na miejsce pasażera.

Logan usiadł za kierownicą. Psów nigdzie nie było widać, zresztą przez jakiś czas mogą biegać luzem.

- Opowiadaj. - Logan w tumanach kurzu i z piskiem opon wpadł tyłem w utwardzony zakręt.

Włosy wymykały się jej ze splecionego ciasno war-
kocza; jednym szybkim ruchem odgarnęła do tyłu grzywkę.

- Weszłam do domu - zaczęła monotonicznie jak w hipnozie albo we śnie - bo... bo nie zastałam dzieci na podwórku. Psy były, a ich...

- Zabrałaś komórkę z kuchennego blatu? - Logan podziwiał swój spokój; przecież w środku wszystko się w nim gotowało. Gdyby Alec i Josh byli jego synami, krew z krwi i kość z kości, nie mógłby się bardziej o nich bać.

Skinęła głową i zaczęła szukać wokół siebie; najwidoczniej przypomniała sobie o torebce. Odnalazła w niej komórkę i prawie jednocześnie przechyliła się, naciągając pas, żeby zerknąć na telefon Logana, który miała przy kieszeni na biodrze.

Zabrał jej go, gdy tylko skręcili na długi podjazd.

Czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła falą mdłości. Dłonie miała wilgotne od potu, a gdzieś w jej wnętrzu ktoś histerycznie krzyczał.

Logan.

Dzięki ci, Boże, za Logana. Przy bramie obrócił samochód maską w kierunku miasta.

W dłoni Briany odezwał się telefon. Niemal go upuściła przy otwieraniu klapki.

- Halo? Josh? Alec?

- Mama? - szepnął Josh tak cicho, że ledwie go usłyszała. - Boję się...

Zapieкло ją w tyle gardła. Zerknęła nerwowo na Logana, kiwnęła głową. Miała tyle przytomności umysłu, żeby przełączyć na tryb głośnomówiący.

- Gdzie... Gdzie jesteście?

- W vanie. - Josh zaczął płakać. - Tu jest ciemno, mamusiu, a Heather... Heather uderzyła Aleca, kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, bo zaczął wzywać pomocy, i teraz nie mogę go dobudzić...

Tylko spokojnie, upomniał ją anioł stróż. Logan już wystukiwał kciukiem numer. Opisał komuś vana - prawdopodobnie dyspozytorce w biurze szeryfa.

- Tata też tam jest? - spytała Briana, opanowując kolejny atak paniki.

- Nie - szepnął Josh. - Ona już wraca, muszę kończyć...

- To przełącz telefon na wibrację - powiedziała szybko Briana.

- Już to zrobiłem. Cześć... I się rozłączył.

Tu jest ciemno, mamusiu... Heather uderzyła Aleca... Nie mogę go dobudzić...

- Moje dzieci... - wychrypiała Briana. - Moje dzieci...

- Daleko nie zajedzie - pocieszał ją Logan. -
Dyspozytorka kontaktuje się z szeryfem przez radio.
Powiedziała, że organizuje blokadę obu autostrad za
miastem.

- Słyszałeś, co mówił Josh. Alec jest nieprzytomny...

Logan ścisnął ją lekko za kark.

- Dzwon do Vance'a. Może on się domyśli, dokąd ona
jedzie. Na jego miejscu z pewnością chciałbym wiedzieć,
co jest grane.

Otworzyła telefon, żałując sobie każdej minuty, bo
przecież Josh mógł znowu próbować się połączyć. Nie
znała na pamięć numeru byłego męża, ale Josh, spec od
techniki, zdążył go już zaprogramować.

Vance odebrał po drugim sygnale.

- Co znowu? - burknął.

Briana nabrała powietrza i wolno je wypuściła, bo
inaczej krzyczałyby aż do zdarcia gardła.

- Heather ma dzieci, Vance. Pobiła Aleca. Josh mówi,
że nie może go dobudzić...

- Co, do dia...

- Wiesz, coś o tym, Vance? Bo jeśli tak, to lepiej mi powiedz!

- Ta kurwa jest obłąkana. Pożarliśmy się i ona w ten sposób się odgrywa...

- Vance, ona ma z sobą dzieci!

- Pożyczę wóz od któregoś z chłopaków i ją znajdę.

Wyluzuj, dobra?

- Nie! Nie wyluzuję! Dokąd mogła pojechać?

- Chyba do kasyna. Będzie chciała postawić resztę kasy, to co jej została po zakupach...

- Kasyno! - wrzasnęła do Logana, aż się wzdrygnął.

Trzasnęła klapką telefonu i natychmiast połączyła się z Jimem.

Jim Huntinghorse, twój najlepszy kandydat na szeryfa.

- Jim, tu Briana!

Głos oddany na mnie, to głos za prawem i porządkiem...

Dobry Boże, to poczta głosowa!

Doprowadzona do rozpacz, roztrzęsiona i spainikowana, zadzwoniła do centrali kasyna, prosząc o połączenie z ochroną.

Pędzili już autostradą, a w ślad za nimi podążali szeryf Book i jego zastępca Jenkins, każdy w swoim wozie na włączonym sygnale.

Briana w miarę spójnie wyjaśniła sytuację ochroniarzowi kasyna i natychmiast rozłączyła się, modląc w duchu, żeby Josh się znów odezwał, żeby Heather oprzytomniała, żeby uwolniła chłopców, żeby Alecowi nic się nie stało...

Ale Josh nie zadzwonił.

Poobijany van stał, krzywo zaparkowany, przed zachodnim wejściem do kasyna, w strefie dla niepełnosprawnych.

Briana jednym susem wyskoczyła z trucka. W tym samym momencie z piskiem opon wjechały dwa policyjne wozy. Ledwie zdawała sobie sprawę z obecności Floyda i Jenkinsa - cała skupiona na vanie, szarpała się już się z tylnymi drzwiami.

Logan i Vance jednak dotarli tam pierwsi.

Alec i Josh leżeli na podłodze, mrugając w ciemności.

Vance wyciągnął Josha, do którego miał bliżej, i chłopiec chociaż taki duży, natychmiast rzucił mu się na szyję, powtarzając wśród szlochów tylko jedno słowo:

- Tata... tata...

Logan odsunął się na bok, Alec zaś czołgał się rakiem do Briany, tłukąc gipsem o podłogę, i popłakiwał.

- Ona... ona chciała nas ukraść - szeptał z buzią w zagłębieniu szyi matki. - Powiedziała... że już nigdy nie zobaczymy ani ciebie, ani taty...

Vance postawił Josha na ziemi, ale nadal obejmował go przez plecy, patrząc spode łba, jak Briana tuli Aleca.

- Przepraszam, Bree, nigdy nie przypuszczałem, że ona...

Uciszyła go spojrzeniem znad głowy synka. Kątem oka zauważyła na tylnym siedzeniu wozu szeryfa Bretta Turlowa. Jeśli Floyd i Jenkins byli gdzieś w pobliżu, to i tak poza zasięgiem jej mętnego wzroku.

Nagle uwagę wszystkich zwróciła jakaś szarpanina w drzwiach kasyna.

Briana, Logan, Vance i chłopcy obrócili się akurat, kiedy wyprowadzano Heather; z jednej strony trzymał ją za ramię

szeryf, z drugiej Jenkins, w otoczeniu ochrony kasyna. Przerażliwie krzyczała, nie szczędząc inwektyw, i rozpaczliwie usiłowała się wyrwać, ale na próżno.

Alec przywarł mocniej do Briany.

- Nie daj nas, mamusiu...

W tym momencie Vance oderwał się od Josha i niczym szarżujący byk ruszył w stronę Heather.

- Oho... - mruknął Logan. Pobiegnął za nim i w ostatniej chwili zdążył go powstrzymać od rzucenia się na żonę.

- Czy Logan zrobi coś tacie? - spytał nerwowo Josh, przyciskając się do boku matki.

- Nie, skarbie. - Fala adrenaliny zdawała się ustępować i Brianie kręciło się w głowie. Musiała posadzić Aleca na podłodze i uchwycić się drzwi.

Vance szarpnął się, ale Logan trzymał go mocno od tyłu.

- Zabrałaś moje dzieci! - ryknął Vance na Heather, która przeszła koło niego z uniesionym podbródkiem, pomiędzy szeryfem a jego zastępcą. Przestała się szamotać i przyjęła postawę obrażonej królowej. Prawdopodobnie

lubiła zwracać na siebie uwagę w jakikolwiek sposób. -
Zabrałaś moje dzieci!

Logan powiedział mu coś; Vance zeszywniał, pokręcił
głową.

Logan go puścił.

Jenkins usadowił Heather w swoim wozie. Siedziała tam
z miną gwiazdy rocka, odjeżdżającej po wyprzedanym do
ostatniego miejsca koncercie.

Szeryf podszedł do Briany i chłopców. Logan podtrzy-
mywał ją za prawy łokieć, Vance stanął przy lewym bolcu.

- W porzo, chłopaki? - zapytał Floyd z uśmiechem typu
„takie rzeczy zdarzają się codziennie”.

Alec przytaknął. Josh także.

Żaden z nich nie wyglądał na przekonanego.

- Lepiej zawieź dzieci do kliniki, Briano, niech je
przebadają na wszelki wypadek. A potem chcę widzieć was
wszystkich w swoim biurze, żebyśmy dotarli do sedna tej
sprawy.

- Muszę oddać kumplowi samochód - powiedział Vance,
gdy oba policyjne wozy odjechały, jęk syren ucichł i

migające koguty zniknęły w oddali. Trzech ochroniarzy także zniknęło już w głębi kasyna.

Logan, ku niejakiemu zdumieniu Briany, położył Vance'owi dłoń na ramieniu.

- Zawiozę tylko Brianę z chłopcami do kliniki, a potem mogę po ciebie podjechać.

Vance z wdzięcznością kiwnął głową, rzucił Brianie zawstydzone spojrzenie, potem podszedł do synków i uścisnął ich niezdarnie. Kilka sekund później wsiadł do samochodu i odjechał.

Josh, Briana i Alec zmieścili się na tylnym siedzeniu furgonetki Logana. Briana obejmowała ich za ramiona przez całą drogę do kliniki.

Nie odezwała się ani słowem, chłopcy także. Na to przyjdzie czas później. Dzięki Bogu, będzie go jeszcze mnóstwo.

Po wielu godzinach spędzonych najpierw na badaniach chłopców w klinice (okazało się, że fizycznie nic im nie dolega), potem zaś na obowiązkowej wizycie w biurze szeryfa dotarli wreszcie do domu na ranczu.

Logan wniósł do środka śpiącego Aleca, Briana i Josh szli za nim, wszystkich serdecznie witały szczekaniem trzy psy.

Jak zdecydowała Briana, Logan położył Aleca na dmuchanym materacu w dziennym pokoju.

- Konie... - zaczął.

- Nakarm je - powiedziała, pomagając Joshowi się rozebrać. - Poradzę sobie.

Wyszedł z domu, zabierając psy. Konie stały na wybiegu - srokacz, wciąż był osiodłany, myszatemu wodze zwisały z uzdy.

Najpierw nałożył im siana, potem zdjął uprząż i schował resztę paszy do częściowo gotowej stajni.

Kiedy konie jadły, a psy robiły to, co robią zawsze po dłuższym przebywaniu w zamknięciu, Logan stał przy ogrodzeniu i patrzył w usiane gwiazdami niebo.

Montana, myślał. Jego mała ojczyzna.

Popatrzył na rozjarzone złościście okna domu. Tak, Montana i ranczo to jego dom - przynajmniej dla ciała. Ale dla owej nieuchwytniej części - duszy czy czego tam - to Briana była centrum całego kosmosu.

Kiedy się w niej zakochał?

Od pierwszego wejrzenia, tamtego dnia na cmentarzu?

Podczas kolacji w jej domu?

Kiedy kochali się na sofie i wybuchł wulkan namiętności?

Nie wiedział i nie zależało mu na tym.

Chciał jej powiedzieć, co czuje, ale dzisiaj miała już dosyć wrażeń.

Zgodziła się wyjść za niego i aż do tej chwili nie pragnął niczego więcej. Tylko że teraz już mu to nie wystarczało.

Kiedy wraz z psami wrócił do domu, chłopcy spali, a Briana brała prysznic.

Zbyt rozdygotany, by spać, opuścił schodki, wszedł na strych i wygrzebał jeszcze trzy plastikowe pojemniki z fotografiami, listami i innymi rodzinnymi pamiątkami Creedów.

Siedział nad tym wszystkim przy stole, gdy weszła Briana w jego T-shircie, ze świeżo umyтыми włosami, błyszczącymi wokół jej twarzy żywym ogniem.

- Jesteś głodny? - spytała jak zwyczajna żona po pracowitym dniu.

- Zjadłbym coś - przyznał, ale zabrzmiało to dziwnie chrapliwie i szorstko.

Zatrzymała się przy jego krześle i położywszy mu dłoń na ramieniu, pocałowała w czubek głowy. Kocham cię, powiedział jej bezgłośnie.

- Jajecznicą?

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Może być.

Zabrała się do smażenia, on zajął się zdjęciami. Dylan... Tyler... On sam... Wszyscy w różnym wieku. W halloweenowych kostiumach, w pierwszym dniu szkoły w jakimś płomiennolistnym wrześniu. Kilka fotek przy otwieraniu prezentów w gwiazdkowy poranek za tych chwalebnych lat, kiedy Jake nie wyżywał się na drzewku z piłą łańcuchową.

-Jak myślisz, co będzie z Heather? - spytała niemal leniwie Briana, wbijając jajka do rondelka, którego prawdopodobnie używała jeszcze prababka Logana.

- Nie wiem. - Wziął do ręki ostatni pakiet zdjęć. Dwa komplety negatywów z utkniętą w środek kopertą. - Potrzebuje pomocy, to oczywiste.

- Vance chce jej wytoczyć proces. O kidnapping.

Logan ledwie jej słuchał. Na wyciągniętej z pakietu kopercie zobaczył nabazgrany znajomym charakterem Jake'a napis:

„Dla moich synów”.

- To miło - rzekł z roztargnieniem. Briana podeszła do stołu i usiadła.

- Loganie Creed - powiedziała srogim tonem, chociaż oczy się jej śmiały. - Ty mnie w ogóle nie słuchasz.

Zamrugął.

W tym momencie Briana zauważyła kopertę. Zapadła cisza.

Logan drżącymi rękami otworzył list.

„Jeśli na to patrzycie, to znaczy, że jesteście gotowi przeczytać to żalosne pismo Waszego wkrótce nieboszczyka ojca”.

Loganowi mróz przeszedł po plecach.

Briana przysunęła sobie bliżej krzesło i objęła go za ramiona.

„Próbowałem, ale ani rusz nie udało mi się nauczyć tego jebanego życia. Po prostu okazało się dla mnie za

trudne. Dlatego dziś jak zawsze pojedę w góry i tak pomajstruję przy łańcuchu, że..."

Kuchnia zawirowała w oczach Logana.

Fragmenty obrazów przelatywały mu przez mózg. Malutki Tyler, który milczał przez rok, kiedy mu powiedziano o samobójstwie matki. Dylan otumaniony z żalu. On sam szlochający w zaciszu swojego pokoju po śmierci biednej, obłąkanej Angeli, która na pisk hamulców szkolnego autobusu stawiała na stole mleko i ciasteczka...

„Była taka słaba" - powiedział Jake w dniu jej pogrzebu.

- Logan? - Dotyk dłoni Briany na karku uświadomił mu, że oparł głowę na splecionych rękach, pośrodku tych wszystkich nieostrych zdjęć. - Logan!

- Sam się zabił, rozumiesz? Upozorował to na wypadek, żebyśmy dostali pieniądze z ubezpieczenia.

- Co takiego?

Podniósł głowę, czuł się jak pijany.

- Ten tchórzem podszyty skunks, ten egoistyczny skurwiel wziął i sam się zabił! - Trzasnął dłonią w otwarty list. - Przeczytaj to sobie! Myślał, że jest taki szlachetny...

Wtuliła twarz w jego włosy.

- Kto, Logan? Kto się zabił?

Dopiero po dłuższej chwili wyprostował się i odpowiedział:

- Mój ojciec.

Zwróciła na niego zatroskane oczy jak dwa zielone jeziora.

- Twój ojciec?

Podsunał jej list. Teraz, kiedy zyskał trochę czasu, by przetrwać tę wiadomość, umiał z nią sobie poradzić. Dylan też jakoś da radę, chociaż pewnie najpierw się wkurzy, tak jak on. Ale Tyler? Tyler, którego matka popełniła samobójstwo... Jak on to przyjmie?

Kiedy do Briany w pełni dotarła treść listu Jake'a, oczy wezbrały jej łzami. Tymczasem Logan wyciągnął z kieszeni koszuli telefon.

Wystukał numer Dylana.

- Hej, Logan - usłyszał po drugim sygnale wesóły głos brata. - Co tam znowu? Czyżby Cimarron jednak wyrwał się na wolność? A już myślałem, że ten płot wytrzyma...

- Nie, to nie to.

- A co? Słuchaj, właśnie skończyliśmy kręcić scenę rodeo i za pół godziny zaczyna się impreza, więc...

- Dylan... Chodzi o wypadek ojca.

Logan słyszał, jak brat wciąga powietrze. I nie mógł mówić dalej.

Briana ujęła jego twarz w dłonie, zaglądając mu głęboko w oczy.

- Logan! - Głos Dylana w telefonie dobiegał jakby z innej planety, a nie sąsiedniego stanu.

Logan dał znak Brianie, żeby wzięła od niego komórkę.

- Dylan, tu Briana. Musisz przyjechać... I to jak najszybciej.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Szeryf Book z wdzięcznością przyjął filiżankę kawy, którą Briana podała mu następnego ranka w kuchni Logana. Ten po nakarmieniu koni siedział kamieniem przy komputerze, ale teraz się do nich przyłączył.

Natychmiast wyjął list Jake'a i wręczył go szeryfowi. Book usiadł, żeby go przeczytać.

- Skontaktowałem się już z firmą ubezpieczeniową. - Logan splótł ramiona i oparł się o blat. - Zacznę ich spłacać razem z odsetkami, gdy tylko podadzą mi numery.

Szeryf gwizdnął przeciągle. Twarz mu pojaśniała, jakby pozbył się jakiegoś miazdzącego ciężaru. Odłożył troskliwie list na bok.

- Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, jak stoją sprawy z Brettem Turlowem i tą Heather. Tego jednak zupełnie się nie spodziewałem.

Briana zerknęła z ukosa na Logana i przysunęła krzesło do stołu. Czekwała. Musiała wiedzieć, czy wypuszczą Heather z aresztu, czy nadal stanowi zagrożenie dla Aleca i

Josh, ale na razie samobójstwo Jake'a miało pierwszeństwo przed wszystkim.

Szeryf westchnął ciężko.

- Przykro mi, Logan. To naprawdę straszne, gdy człowiek dowiaduje się o czymś takim. Biedny Jake... chyba nigdy nie nadał za resztą świata. - Przyglądał mu się przez chwilę z namysłem. - Mówiłeś już Dylanowi i Tylerowi?

Logan pokręcił głową.

- Dylan jest w drodze, dotrze tutaj za kilka dni. Tyler nadal nie odbiera moich telefonów.

- Pewnie źle to zniesie... - Według Logana Book był w ekipie, która znalazła Angelę w obskurnym motelowym pokoju, i musiał to do dzisiaj pamiętać. Brianie zrobiło się go prawie tak samo żal, jak wszystkich braci Creedów. - Będzie mu ciężko.

Loganowi drgnęła szczęka; w jego oczach błysnęło znużenie i szok. W nocy Briana pocieszała go w jedyny znany sobie sposób - swoim ciałem, toteż raz po raz się w niej zatracił, a w przerwach leżał, gapiąc się w sufit z rękami pod głową.

- Przynajmniej Brett Turlow nam odpadł - zauważył. - Oczywiście mówię o śmierci Jake'a.

- Freida obiecuje, że wsadzi Bretta na długoterminowy odwyk, jeśli tylko Briana nie oskarży go o włamanie - powiedział Floyd. - Jest w strasznym kłopotcie i już zrezygnowała z kandydowania. Fatalnie, byłaby świetnym szeryfem. Teraz o moje miejsce ubiegają się tylko Jim Huntinghorse i Mike Danvers. Obaj mają spore poparcie.

-A możemy zawiesić oskarżenie, dopóki nie upewnimy się, że Turlow naprawdę podjął kurację? - chciała wiedzieć Briana.

- Dopóki ja jestem szeryfem, możemy. Potem będzie to zależało od Mike'a albo Jima.

- A co będzie z Heather? - spytał Logan.

Book znowu westchnął.

-No cóż... - rzekł ze smutkiem, co wprowadziło Brianę w stan napięcia. - To zupełnie inna para kaloszy. Sprawdziłem w nocy jej kartotekę, ma dość bogatą: różne kanty, drobne kradzieże i takie tam. Co najmniej trzy fałszywe nazwiska. Ostatnim razem zamknęli ją za

narkotyki, ale wyszła za kaucją. Jest poszukiwana w Nevadzie, przysłali już dwa pisma z żądaniem przekazania jej w ich ręce. - Floyd odchrząknął. - Zdaje się, że nie zadała sobie trudu, aby rozwieść się z poprzednim mężem, zanim wzięła ślub z twoim eks.

Briana zamknęła na chwilę oczy; z jednej strony poczuła ulgę, z drugiej - żal. Biedny Vance! Naprawdę próbował zacząć wszystko od nowa, zapuścić korzenie, zbudować dobre relacje z chłopcami...

Co on teraz zrobi? Czekają go wielkie upokorzenia, gdy tylko kartoteka Heather wycieknie na ulicę i wyjdzie na jaw sprawa jej bigamii. Być może już do tego doszło. W takim wypadku Vance opuści miasto, tak jak to robił w przeszłości, i znajdzie sobie jakieś rodeo, a potem następne.

Jak zwykle, jak zwykle.

Alec i Josh będą zdruzgotani.

Pogadali jeszcze trochę o zwykłych sprawach - o pogodzie, cenach bydła, nowej stajni i ogrodzeniu pastwiska.

Szeryf Book dopił kawę, poprosił Logana o kopię listu Jake'a i opuścił ranczo z dowodem, że Brett Turlow, choć

mógł być winien różnych przestępstw, na pewno nie zamordował Jake'a Creeda.

- Jedź pogadać z Vance'em - zaproponował Logan, ku zaskoczeniu Briany. - Dziećmi ja się zaopiekuję.

Przełknęła ślinę i pokiwała głową. Potem wzięła torebkę i kluczyki do furgonetki Dylana.

Vance'a odnalazła w przyczepie. Przedtem zajechała do jego pracy, gdzie dowiedziała się, że on tego dnia ma wolne. Przez otwarte drzwi zobaczyła, że jej były mąż upycha rzeczy w poobijanej walizce. Zapukała, ale pozostała na ganku. Odwrócił się i spojrzał na nią spode łba, czerwieniąc się po nasadę włosów.

- Zadowolona, co? Twoje na wierzchu, możesz się śmiać.

Przystanąła w progu.

- Vance.

Znów ją obrzucił spojrzeniem.

- Nikt się z ciebie nie śmieje.

Wrzucił do walizki parę dzinsów i opadł ciężko na łatany fotel ze skóry, ten sam, na którym Briana siedziała

podczas wizyty u Heather. Oparł łokcie na kolanach, wsadził ręce we włosy i siedział, gapiąc się w ziemię.

Briana stała.

- Więc to tak? Po prostu sobie wyjeżdżasz? Nawet nie podniósł głowy.

- Czy nie tego zawsze chciałaś?

- Nieważne, czego ja chciałam, Vance. Chodzi o chłopców, oni cię potrzebują.

- Najlepiej będzie, jeśli wyjadę. Wychodzisz za Logana, prawda? On będzie porządnym ojczymem i...

- Czy ty choć raz przestaniesz myśleć tylko o sobie? Owszem, Logan będzie dobrym, nawet znakomitym ojczymem. Ty się pozbędziesz kłopotu, a on weźmie sprawy w swoje ręce, bo jest tego rodzaju człowiekiem. Ale czy naprawdę tego właśnie chcesz?

Co liczy się bardziej, twoja głupia, męska duma czy Alec i Josh?

Kiedy Vance podniósł na nią oczy, zobaczyła w nich łzy.

- Po tym, co stało się wczoraj... - Urwał i pokręcił głową. - Po tych wszystkich błędach, zapomnianych

urodzinach i tym całym wariactwie... - Znowu zawiesił głos. - Jak ja mam spojrzeć im w oczy?

- Jak mężczyzna - odparła łagodnie, zdławionym nieco głosem. - Jak ojciec.

- I ty nadal pozwolisz mi ich widywać?

- Tak. - Zgodziła się, chociaż niełatwo jej to przyszło. - Pod warunkiem że nie zrobisz nic głupiego, na przykład nie zejdziesz się z Heather.

Zaniósł się gorzkim rechem.

- To jedyna dobra rzecz w tym wszystkim: dowiedzieć się, że jednak nie jestem żonaty z tą wariatką. Teraz trochę posiedzi, a kiedy wyjdzie... jeśli wyjdzie, bo gdyby zarzut kidnappingu się utrzymał, to jest przestępstwo ścigane przez władze federalne, tak mówi Book. Potem pewnie znajdzie sobie kolejnego frajera i jemu zmieni życie w piekło.

- Więc jak będzie, Vance? Nie poddasz się? Zostaniesz prawdziwym ojcem, takim, który murem stoi przy swoich synach?

Uniósł brew i przyjrzał się z namysłem Brianie.

- A nie łatwiej by ci było, gdybym po prostu się zrzekł?
Tak żeby twój nowy mąż mógł ich adoptować?

- Znacznie łatwiej - przyznała Briana z całą szczerością -
ale dla mnie. A my nie mówimy o tym, co jest dobre dla
mnie, tylko dla naszych dzieci. - Wzruszyła ramionami. -
Może im rzeczywiście lepiej będzie się żyło bez ciebie. I
może zostanie im po tobie dziura w kształcie Vance'a,
wiesz, „solong, Charlie' on”.

Podniósł się wolno z fotela. Na jego twarzy malowało
się tyle emocji, że Brianie trudno było się w nich połapać.

- Jeśli zamierzasz wyjechać, nie mogę cię powstrzymać
- ciągnęła Briana, kiedy nadal się nie odzywał. Ale
przynajmniej tym razem pożegnaj się z nimi, na tyle sobie
zasłużyli. - Stłumiła szloch. - Zasłużyli, do jasnej cholery!

- Są teraz u Creeda, tak? - spytał Vance po długim
milczeniu.

Zagryzła wargę i przytaknęła.

- W takim razie pojedę z nimi porozmawiać - podjął
Vance spontaniczną decyzję. - Zobaczymy, czy w ogóle
zechcą widzieć mnie w pobliżu.

- Zechcą, zechcą. Zapytaj, to sam się przekonasz. -
Otarła policzki wierzchem ręki.

Podszedł do niej, sprawdził, czy ma w tylnej kieszeni portfel, wziął z telewizora kluczyki... Stare, znajome gesty, pozostałość po latach małżeństwa, które wygasło na długo przed wypełnieniem papierów rozwodowych.

- Kochasz tego kowboja, Briano? Naprawdę go kochasz?

Tak, kochała go. W tym momencie uświadomiła to sobie z oślepiającą jasnością, ale Vance nie usłyszy tego pierwszy, tylko Logan... w swoim czasie.

- Do zobaczenia na ranczu.

Sądząc po głosie, Dylanowi absolutnie nie było to na rękę.

- Czy to takie ważne? - dopytywał się przez telefon. -
Bo coś mi wypadło i...

- Chodzi o Jake'a. - Logan był w dziennym pokoju i patrzył jednym okiem, jak chłopcy walczyli z cyberpotworami na wszystkich trzech monitorach jego komputera.

Odszedł nieco dalej, tak żeby go nie słyszeli.

- Czyżby ktoś wreszcie udowodnił, że ten gównojad Brett Turdlow zwał na tatę dwie tony drewna?

Pogrywanie z nazwiskiem Bretta to z pewnością patent Dylana. Na samą myśl, ile ten człowiek wycierpiał przez całe lata, Logan aż zacisnął powieki. Tylu ludziom spieprzyłeś życie, staruszk...

- Nie. Brett został oczyszczony z zarzutów.

- Więc o co, do diabła, chodzi? - pieklił się Dylan.

- To nie jest sprawa na telefon.

- Czy to kolejny gambit, żeby mnie ściągnąć na ranczo? - Dylan sprawiał wrażenie nieco rozkojarzonego. - Bo wiesz, bracie, nie jestem teraz w nastroju do twoich gier.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że zjawisz się na ślubie. - Logan, ku swemu zdumieniu, poczuł, że kącik ust sam mu podjeżdża do góry.

- Ślubie? Ty i Briana?

- Tak jakby.

- Czy to nie trochę za szybko?

- Jak dla mnie nigdy nie będzie dość szybko.

- Mam ci przypomnieć, że masz za sobą dwa niecelne strzały?

- To jest coś innego.

- Zawsze tak się mówi. Kurczę, sam tak mówiłem...

- Gdy tylko dostaniemy licencję i wytłumaczymy dzieciom, Briana i ja bierzemy ślub. To znaczy, za jakieś trzy, cztery dni z dokładnością do jakichś dziesięciu minut. Przybywaj albo spływaj.

- „Przybywaj albo spływaj”? Na ogladałeś się starego kina? Tak mówiło pokolenie taty.

Logan uśmiechnął się, ale oczy go zapiekły na wspomnienie ojca. Życie okazało się dla Jake'a zbyt bolesne, więc po prostu się odmeldował. Upłynie trochę wody, zanim przywyknie do tej myśli.

- Jim będzie twoim drużbą czy ta robota jest wciąż do wzięcia?

Logan zrozumiał, że wszystko się nagle zachwiało, przynajmniej jeśli chodzi o jego stosunki z Dylanem.

- Do wzięcia. Oczywiście, jeśli zdążysz na czas.

- Postaram się - burknął Dylan, co w jego wypadku oznaczało niemal obietnicę. Nadal miał dziwny głos, nie tyle roztargniony, ile znękany.

- Wszystko u ciebie w porządku?

- Och, po prostu fajowo!

- A propos staroświeckiego języka...

- Słuchaj, Logan, ja... No przestań, kurna... Uśmiech znów ocieplił twarz Logana.

- Jesteś z kobietą?

- Chciałbym. Muszę już kończyć... Powiedziałem, przestań... Ale przyjadę, gdy tylko będę mógł. Jeśli nie zjawię się na czas, zaczynajcie beze mnie.

Logan zachichotał i przetarł sobie oczy palcami.

- Możesz być spokojny, że tak zrobimy. Zawsze zostaje nam Vegas, tam nie musielibyśmy nawet czekać na licencję.

Dylan westchnął - bardzo nie po swojemu.

- Vegas... - rozmarzył się. - Blask świateł... Piękne kobiety... Poker przez okrągłą dobę... Srebrne klamry do pasa na Narodowych Finałach Rodeo... Bracie, to były czasy!

- Możesz coś dla mnie zrobić? - spytał szybko Logan, wyczuwając, że Dylan chce się rozłączyć.

- Co?

- Zawiadom Tylera. Powiedz mu, że muszę z nim pogadać, osobiście.

- On ze mną nie gada, Logan, mówiłem ci już... No kurwa...

- Po prostu mu to przekaż.

Dylan rozłączył się bez pożegnania i bez obietnicy.

Co się z nim dzieje, do diabła? Najprawdopodobniej ma problem z kobietą, chociaż nie chce się przyznać.

Nie miał czasu rozważać tego dłużej, bo wszystkie trzy psy zaczęły nagle szczekać, a chłopcy rzucili się do okien, po czym wypadli z wrzaskiem na dwór.

- Tata! Tata tutaj jest!

Czas się stąd zmywać, powiedział sobie Logan.

Wymknął się tylnym wyjściem do stajni, zerkając po drodze w stronę nowo przybyłych.

Briana wysiadła z samochodu Dylana, a Vance ze swojego.

Położył dłonie na ramionach synów i wszyscy trzej przykucnęli na podwórku niczym patrol badający trop.

Briana dotarła do stajni zaraz po Loganie. Miała twarz zapuchniętą od płaczu, czerwone oczy, ale uśmiechała się

od ucha do ucha. Z rękami w kieszeniach różowej bluzy z kapturem, którą włożyła rano do dzinsów i tenisówek, zadarła głowę, żeby przyjrzeć się nowym krokwiom.

- Całkiem solidnie wyglądają. - Pociągnęła nosem.

- Wreszcie skończone - zgodził się, obserwując ją bacznie. - Wszystko w porządku?

Spojrzała mu w oczy i znów pociągnęła nosem.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Zebrał się w sobie. Poniósł w życiu już wiele strat: matka, Jake, dwie żony i mnóstwo marzeń. Gdyby Briana się wycofała, gdyby mimo wszystko nie zgodziła się za niego wyjść, byłoby to gorsze od wszystkich poprzednich, przykrych doświadczeń.

Stali w odległości kilku kroków od siebie, w mrocznym chłodzie stajni z jej nowymi boksami i dachem. Ta stajnia przetrwała już ponad sto lat, a teraz mogłaby stać jeszcze przez kolejnych sto.

Nic z tego jednak nie miało znaczenia bez Briany, bez Aleca i Josha, a nawet bez Wandy, kurza jej twarz.

- Ja... - Urwała, zwilżyła wargi. Nie miała makijażu, a jednak wyglądała jak piękność z obrazów Boticellego. - Chyba powinieneś wiedzieć...

- Briano, zaraz mnie szlag trafi.

- Kocham cię!

Świat stanął w miejscu. -Co?

Krew napłynęła do jej policzków.

- Wiem, że to głupie, ale...

Jednym susem pokonał dzielącą ich odległość, porwał Brianę na ręce i okręcił, krzyczał z radości. A potem ją pocałował.

Tak naprawdę.

Kiedy ją wreszcie puścił, z trudem łapała powietrze.

-Czy... Czy ty...

- Kocham cię, Briano Grant. - Odrzucił w tył głowę i zaczął krzyczeć, gdyż nie był w stanie dłużej się wstrzymać. - Kocham tę kobietę!

Podniosła ku niemu rozpromienioną twarz.

- Raczej nie musimy się martwić, jak przekazać to dzieciom - zauważyła. - Ani sąsiadom.

- Ano nie - zgodził się ze śmiechem.

W drzwiach ukazała się jedna mała figurka, potem druga.

- Czy ty i Logan się ożenicie? - spytał Alec.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu - zaznaczył Logan, modląc się w duchu, żeby nie mieli. Bo inaczej rzeczywiście na nową drogę życia on i Briana wejdą lewą nogą.

- Będziesz naszym tatą? - dopytywał się podejrzliwie Josh.

- Przecież macie tatę. Ja będę waszym ojczymem.

Cisza.

Logan czekał, Briana także.

- Ju-huu! - wrzasnął nagle Alec, atakując pięścią powietrze.

- Hura! - zawtórował mu Josh.

- Chyba się zgadzają - stwierdziła Briana.

- Możemy zanoć u taty? - chciał wiedzieć Josh. - Heather nie ma, więc droga wolna.

- Trochę na to za wcześnie - odpowiedziała Briana. - Poczekajmy, aż sprawy się choć trochę ustabilizują.

- Przecież to nigdy nie nastąpi - odezwał się Alec.

- Punkt dla niego - mruknął Logan.

- Dzisiaj nie - zdecydowała Briana.

Chłopcy, którzy tylko przez chwilę wyglądali na zawiedzionych, natychmiast wypadli na dwór.

- Mama powiedziała, że dzisiaj nie - zameldował Alec ojcu.

- Ona wychodzi za Logana! - oznajmił Josh. Logan objął Brianę w pasie i podążyli za dziećmi. Vance stał przy ogrodzeniu i przyglądał się koniom w korralu.

Po wymianie spojrzeń z Brianą Logan podszedł do Vance'a, ona zaś zagarnęła chłopców do domu.

- Niezgorszy kawał końskiego mięcha - zagadnął Vance, nie patrząc na Logana.

- Dzięki - odparł tamten, opierając się ramionami o poręcz. - Za kilka dni przyjedzie bydło. Nie żeby zaraz stado, ale na start wystarczy.

Vance pokiwał głową, wciąż nie odrywając wzroku od koni.

- Briana to dobra kobieta. Spróbuj ją skrzywdzić, kowboju, a będziesz miał ze mną do czynienia.

- Właśnie miałem ci powiedzieć to samo. Zamierzasz się stąd zmyć?

- Zamierzałem. Ale chyba nie mogę zostawić moich chłopaków. Mam robotę, przyczepę i starego vana, to niewiele, ale zawsze coś... więc chyba dam sobie spokój.

- To dobrze. - Logan wiedział, że go zaskoczył. Kątem oka zobaczył, że Vance wpatruje się w niego pilnie.

- Dobrze?

- Josh i Alec to fantastyczne chłopaki. Gdyby byli moi, także bym ich nie zostawił. Bez względu na wszystko.

- Briana mówiła ci o... o Wal-Marcie? Pokiwał głową.

- Mówiła.

- Cholernie głupio to wyszło.

- Nie przeczę. Ale to było dawno, ważne co teraz zrobisz.

- Tak. - Znowu patrzył w stronę domu. - Powiedz moim chłopcom, że wrócę tutaj innego dnia, dobra?

- Powiem.

Vance odwrócił się i odszedł w stronę vana.

Logan zaś powędrował do domu, gdzie czekała Briana, a chłopcy prawdopodobnie znowu grali na jego komputerze.

Pijąc kawę przy kuchennym stole, oglądała zbiór rodzinnych zdjęć Creedów i co jakiś czas uśmiechała się leciutko.

Loganowi na ten widok dosłownie zaparło dech w piersiach. Po raz kolejny nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Naprawdę był z ciebie słodki bobasek - zauważyła z błyskiem wesołości w zielonych oczach.

- Istny aniołek - dodał ze śmiechem.

- Nie przeginaj!

- Mam coś dla ciebie. - Wszedł do pokoju i przerywając na chwilę międzygalaktyczną bitwę, wyciągnął z szuflady biurka folder.

Wrócił do kuchni i położył go przed Brianą. Zerknęła na niego z ciekawością.

- Co to? Tylko mi nie mów, że jakieś prawnicze papiery...

- Sama zobacz. - Przysunął sobie krzesło i usiadł na tyle blisko, że mógł wdychać zapach jej włosów i skóry.

Powoli otworzyła folder i nagle wciągnęła powietrze.

- Zdjęcia... - Wpatrywała się ze zdumieniem w fotografię Josha i Aleca, jako dwulatków chlapiących się w plastikowym baseniku. Przewróciła kartkę, potem następną i nagle po policzku pociekła jej łza.

Logan jej nie otarł, chociaż miał wielką ochotę.

- Och, Logan... - szepnęła, patrząc na niego zamglonym wzrokiem. Jego własna Madonna z Dzikiego Zachodu. Prawdopodobnie nie ma pojęcia, jaka jest śliczna, i na tym między innymi polega jej urok. - Naprawiłeś je...

- Oryginały ciągle są w fatalnym stanie, ale zrobiłem, co w mojej mocy.

Zamknęła folder i przeniosła się z krzesła na jego kolana. Objęła go za szyję, przycisnęła czoło do jego policzka i siedzieli tak w milczeniu, dopóki do kuchni nie wpadł jak bomba Alec.

- Jooosh! - rozdarł się z zachwytem. - Mama siedzi Loganowi na kolanach!

- Błeee! - odkrzyknął z pokoju jego brat.

- I się migdała! - meldował z triumfem Alec.

- „Film o jedenastej, zostańcie z nami” - zacytował Logan zapowiedź z telewizji.

- Już ja wam dam film o jedenastej - mruknęła Briana z ustami przy jego szyi.

I tak się złożyło, że o jedenastej rzeczywiście obaj chłopcy od kilku godzin już spali.

A szacowne ściany głównej sypialni długo w noc słuchały odgłosów niczym nieskrępowanej rozkoszy dwojga ludzi świadomych swojej miłości.

EPILOG

Trzy dni później...

Prawdę mówiąc, Briana była nieco onieśmielona. Dom Logana w Las Vegas mógł pomieścić główną halę sporego centrum handlowego i jeszcze zostałyby miejsce. W salonie okna ciągnęły się od podłogi do sufitu, za nimi zaś na tle nocnego nieba błyszczało feerią świateł wielkie miasto, ze swoimi ogromnymi kaktusami i formacjami skalnymi, które za autora miały samego Boga.

Chłopcy zostali w domu z Vance'em. Kristy obiecała mieć na nich oko i w razie czego zadzwonić, zresztą Josh, jak zawsze, miał przy sobie komórkę.

Logan podał Brianie kieliszek do szampana z pianistym piwem imbirowym. Smoking, który włożył na ślub, zmienił po ceremonii na spodnie i sportową koszulę. Briana wzięła miała na sobie lśniąca szmaragdowozieloną wieczorową kreację, wybraną dzień wcześniej na tę okazję w jednym z butików w Pałacu Cezara w Las Vegas.

Trąciła się kieliszkiem z Loganem, wypatrując pilnie na jego twarzy choćby jednej oznaki żalu. On jednak pochylił się i pocałował ją - lekko, acz nieśpiesznie.

- Przykro mi, że Dylanowi nie udało się dojechać - powiedziała, łapiąc oddech. Ten świat - świat Logana - tak bardzo różnił się od wszystkiego, co dotąd znała!

Dzięki Bogu, już jutro wracają na ranczo, do Stillwater Springs.

Roześmiał się z ustami przy jej ustach.

- Cały Dylan! - mruknął. - Pojawi się, kiedy będzie gotów, podobnie jak Tyler.

- Czy myśmy poszaleli?

- Jeśli to jest szaleństwo, to przynieś kaftany bezpieczeństwa i całą resztę.

Briana zachichotała. W głowie się jej kręciło od tego kiczowatego ślubu w stylu Las Vegas. Ponieważ już się starali o dziecko, wołała nie pić szampana.

- Kocham cię... czy już o tym wspomniałam?

- Może ze dwa razy. - Wyjął jej kieliszek z ręki.

- Czy odpowiedziałem, że ja też?

Objęła go za szyję i przytuliła się mocniej.

- Minęły co najmniej dwie godziny, odkąd kochaliśmy się ostatni raz, panie Creed.

Sięgnął do zamka na jej plecach i rozpiął go do samego dołu, aż suknia opadła na ziemię lśniąca kałużą. Briana zrzuciła z nóg pantofle na wysokich obcasach i zdjęła przez głowę koszulę.

- Aż dwie godziny? - zdziwił się Logan. - Karygodne zaniedbanie z mojej strony.

Penthouse w luksusowym hotelu w środku miasta kazali przeobrazić w apartament nowożeńców. Przygotowania jednak się opóźniły, ponieważ Logan uznał, że panna młoda powinna na swoim ślubie mieć piękne rumieńce, i w tym celu doprowadził ją do czterech głośnych orgazmów na oparciu sofy.

Chcieli zamieszkać w apartamencie na miodowy miesiąc, natomiast noc poślubną spędzić w domu Logana. Koniec starego życia, początek nowego.

Teraz pochylił głowę, odnalazł ustami jej sutek i zaczął ssać.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Tyle razy dawał jej rozkosz, a ona zawsze przyjmowała to jako coś nowego,

nieoczekiwanego. On zaś nieodmiennie zabierał ją na nowe szczyty.

Leniwie bawił się jej piersiami - jedną, potem drugą...

Poniżej mieli Las Vegas, niemal cały świat w błyszczącej, połyskliwej panoramie kolorów.

Logan ukląkł.

Briana jęknęła cicho, wiedząc, co teraz nastąpi. Pragnęła tego, a jednocześnie zastanawiała się, czy i tym razem tak kompletnie się zatraci, zapominając o całym świecie.

Ściągnął jej koronkowe majteczki, odrzucił na bok.

- Logan...

- Ciii. - Rozsunął to miejsce językiem i poruszał nim delikatnie, zsuwając z uda koronkową podwiązkę.

Wydała gardłowy okrzyk.

- Czy ktoś... Czy ktoś może...

- Nikt nas nie zobaczy.

Zaspokajał ją już przedtem ustami, ale tym razem inaczej - bardziej intensywnie. Może dlatego, że byli małżeństwem - na dobre i na złe. Jęknęła i odchyliła się do tyłu, ale on

cały czas trzymał ją krzepkimi dłońmi za pośladki, nie pozwalając, żeby straciła równowagę.

Och, to z pewnością była „lepsz” częśćka.

Poruszał w niej ustami, aż zaczęła się wic i wyginać pod jego językiem, aż poczuła, że jej miękną kolana. I w tym momencie doprowadził ją do wstrząsającego orgazmu; wyprężyła się i wczepiwszy palce w jego gęste włosy, wykrzykiwała raz po raz jego imię w całkowitym, rozkosznym upojeniu.

Kiedy doszczętnie osłabła, Logan ułożył ją delikatnie na podłodze pokrytej okazałym dywanem. Potem sam się rozebrał, tak żeby mogła czuć przy sobie całą chwałę jego ciepłej nagości.

I nagle jednym zapierającym dech pchnięciem był głęboko w niej, a wtedy wszystkie światła miasta wokół nich i pod nimi rozplynęły się w niesamowitej, opalizującej łunie kolorów.

Ziemia i niebo zamieniły się miejscami; w środku tego cyklonu miliony rozproszonych mikroskopijnych cząsteczek zbiły się w jedną całość, a Briana Creed poczuła się nagle zupełnie kimś innym. I chociaż Logan utracił

także wszelką kontrolę nad sobą, wiedziała, że i on przeszedł taką samą transformację za sprawą owej cudownej alchemii.

Krowy z rykiem, w tumanach kurzu wypadały ze specjalnej ciężarówki do przewozu zwierząt na świeżo ogrodzone pastwisko. Briana obserwowała je z grzbietu srokacza, Logan dosiadał myszatego. Alec i Josh z dumą prezentowali kowbojskie umiejętności w nowych siodłach, które ojczym specjalnie dla nich przywiózł z Vegas.

W ciągu tygodnia, jaki upłynął od powrotu nowożeńców z podróży poślubnej, Dylan ani tym bardziej Tyler nie dawali znaku życia.

W domu trwał remont; chłopcy mieli teraz prawdziwe łóżka, wstawione do dawnego pokoju Dylana, ale życie wciąż toczyło się jak na biwaku. Alecowi i Joshowi to nie przeszkadzało, a Logan nigdy nie był szczęśliwszy. Nawet mu się nie śniło, że mógłby czuć to wszystko, co Briana z niego wydobyła, i to nie tylko w chwilach, kiedy się kochali.

Przy niej każda czynność - przygotowywanie kolacji, składanie bielizny po praniu czy tysiąc innych drobnych codziennych zadań - zdawała się uświęcona.

Codziennie powtarzał sobie, że lepiej już być nie może.

I codziennie okazywało się, że jednak może.

Vance zdecydował się zostać w Stillwater Springs, a chłopcy przejawiali z tego powodu powściągliwą radość. Jak wszystkie dzieci, żyli od chwili do chwili, zainteresowani wyłącznie dniem dzisiejszym.

Jim Huntinghorse i Mike Danvers szykowali się do zaciętej kampanii. Dodatkowe wybory miały się odbyć za kilka tygodni, a szeryf Book nie mógł się już doczekać przekazania pałeczki. Razem z żoną zapisali się na dwutygodniową morską wycieczkę na Alaskę ze wszystkimi dodatkowymi atrakcjami. Gdy tylko nowy szeryf obejmie urząd, Bookowie się zmywają.

Logan uśmiechnął się do własnych myśli. Nie obchodził go tuman kurzu, ryk bydła ani w ogóle nic z tych rzeczy, gdyż kobieta na tym małym srokaczu była jego.

Jego.

- Co o tym sądzisz, staruszkę? - mruknął pod nosem do Jake'a. Krowy dotarły już na pastwisko, Briana i chłopcy, którzy zostali w tyle, zawrócili konie w stronę domu. Cimarron już przejmował władzę nad jałówkami.

Logan dogonił żonę i pasierbów.

- Mam jeszcze coś do zrobienia - zakomunikował, poruszając się w siodle.

Briana, ku jego wielkiej uldze, zrezygnowała z pracy w kasynie. W ciągu kilku następnych lat zamierzała rodzić dzieci, ewentualnie podjąć naukę w korespondencyjnym college'u, o ile czas jej pozwoli. Na razie obiecała pomóc Jimowi w kampanii, chociaż już mu zapowiedziała, że w razie wygranej nie zdecyduje się jednak kierować jego biurem.

Skinęła głową i przechyliwszy się w siodle, pocałowała męża w policzek.

- Do zobaczenia w domu. Muszę trochę poczytać, bo wieczorem mam zebranie w klubie książki Kristy.

Skierował konia w stronę cmentarza, gdzie odszukał podziurawiony śrutem grób Jake'a. Miał twarz mokrą od potu; otarł ją rękawem.

- Posłuchaj, stary, mam zamiar sprawić, żeby nazwisko Creed znowu coś znaczyło w tych stronach - rzekł, przykucnąwszy przy grobie, żeby wyrwać kilka ździebeł trawy spod płyty. Odkupię wszystkie twoje winy, nawet gdyby mi to zabrało resztę życia.

Oczywiście nie doczekał się odpowiedzi. Tylko lekki wiaterek zmierzwił mu włosy, chłodząc kark.

- Wybaczam ci, stary sukinsynu. - Otarł znów twarz. Tym razem nie tylko z potu. - Wybaczam ci wszystko, co zrobiłeś, a także to, czego nie zrobiłeś, chociaż powinieneś. Nie mogę mówić za Dylana i Tylera... Kurna, sam nie wiem, jak powiedzieć Tylerowi, w jaki sposób umarłeś... ale ze względu na Brianę i tych dwóch chłopców nie zamierzam cię już nienawidzić. I nie chcę cię rozgryzać. Jeśli będę miał dzieci, powiem im prawdę o tobie.

Urwał i odchylił w tył głowę, wpatrując się w montańskie niebo, najbardziej błękitne i najbardziej rozległe na świecie.

- Prawda jest taka, tato - ciągnął, kiedy odzyskał głos - że mimo wszystko cię kochałem. Co nie znaczy, że gdybyś

tutaj był w tej chwili, nie wepchnąłbym ci zębów do gardła... tak dla zasady.

Wiatr szumiał w trawie i gdzieś w pobliżu jakiś ptak zawodził smętną, przejmująco piękną pieśń.

- Jest teraz nowa pani Creed - zawiadomił Logan ojca po dłuższym milczeniu. - I kiedy po latach złożą mnie tutaj na wieczny odpoczynek, ona będzie stała przy grobie w czerni, z moją obrączką na palcu. A moje dorosłe już wówczas dzieci, być może z własnymi synami i córkami, nie będą miały powodu zastanawiać się, czy ojciec je kochał, tak jak my z Dylanem i Tylerem.

Wstał.

- Ale mówkę palnąłeś - odezwał się głos za jego plecami.

Logan obrócił się na pięcie.

Tyler! Jego mały braciszek!

Był teraz wysoki - prawie metr dziewięćdziesiąt. Miał włosy ciemne jak Logan, intensywnie niebieskie oczy i język niewyparzony jak wszyscy Creedowie.

Robił wrażenie wkurzonego na maksa, mógł zaraz zamachnąć się na Logana... albo i nie.

Logan uśmiechnął się od ucha do ucha. Przesunął dłoń po brudnych włosach.

Tyler wrócił!

I na razie tylko to się liczy.